



Valerio Massimo MANFREDI



ALEKSANDER WIELKI

2

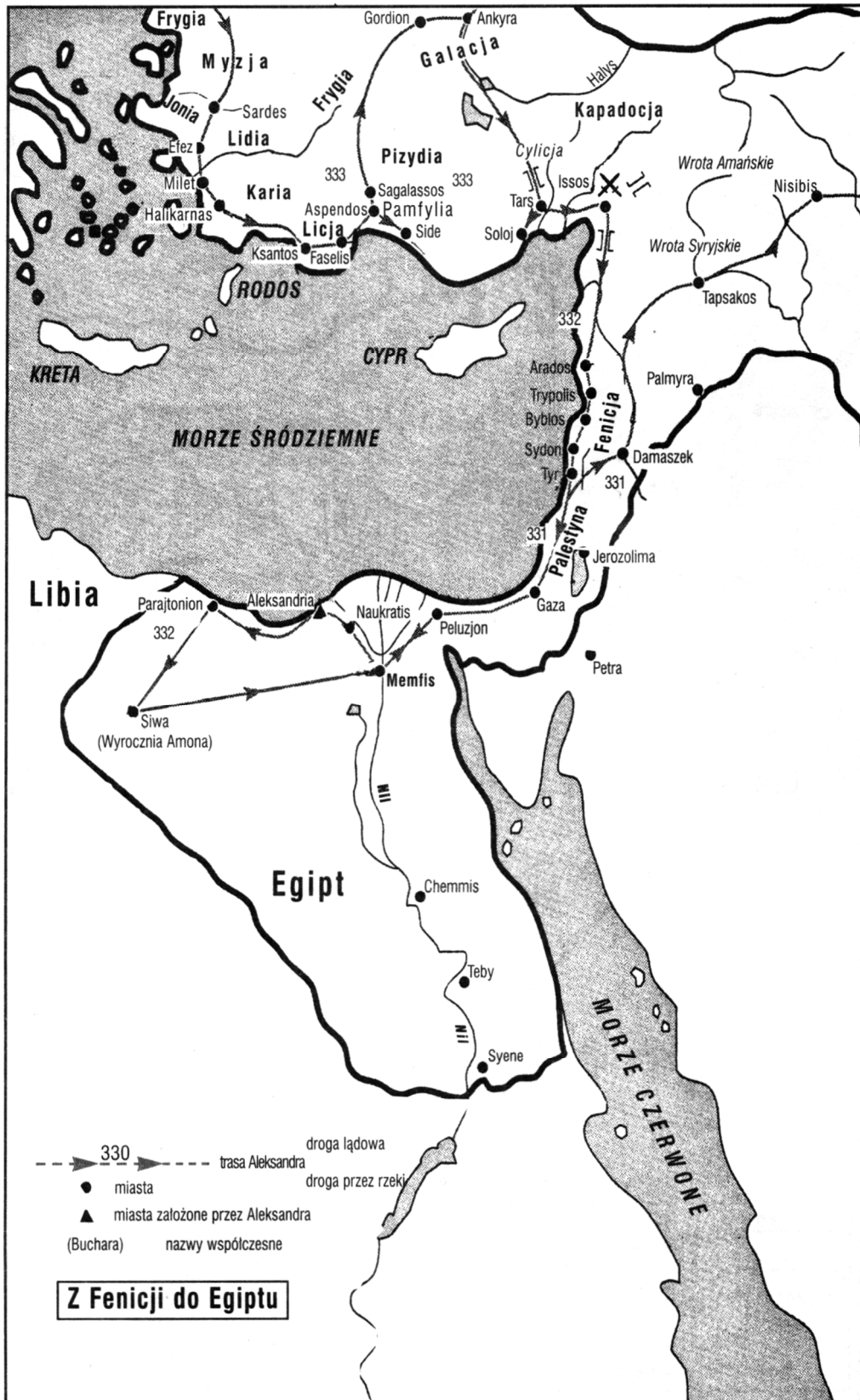
Piaski Amona



Księgozbiór DiGG



2009



Aleksander odwrócił się, by ze szczytu wzgórza spojrzeć na plażę i podziwiać spektakl, który od tysiąca już lat wydawał się niemal jednakowy - setki okrętów ustawionych wzdłuż brzegu i tysiące, tysiące wojowników. Tym razem jednak gród leżący za jego plecami, Ilion, sukcesor antycznej Troi, nie przygotowywał się do dziesięcioletniego oblężenia, ale przeciwnie, otwierał bramy, żeby powitać potomka Achillesa i Priama.

Aleksander dostrzegł towarzyszy, którzy konno wspinali się w jego stronę, więc ścisnął kolanami boki Bucefała, kierując go ku świątyni. Pragnął sam i pierwszy wejść do pradawnego sanktuarium Ateny trojańskiej. Powierzył rumaka słudze i przekroczył próg budowli.

We wnętrzu zanurzonym w półcieniu połyskiwały niewyraźne kształty i przedmioty o nieostrych konturach. Aleksander musiał przyzwyczać wzrok, który jeszcze przed chwilą oślepiało niebo Troady, lśniące od słońca w zenicie.

Starożytną budowlę wypełniały relikwie i broń, przypominające wojnę homerycką - epopeję dziesięcioletniego oblężenia murów, które wznieśli bogowie. Na każdej z tych pamiątek nadwątlonych przez czas, takich jak lira Parysa czy zbroja Achillesa z olbrzymią, rzeźbioną tarczą, widniała jakaś dedykacja, jakiś napis.

Aleksander rozejrzał się wokół, wodząc spojrzeniem po tych cennych przedmiotach, które dzięki jakimś niewidzialnym dłoniom zachowały przez wieki swój blask i wzbudzały zainteresowanie wiernych. Wisiały na kolumnach, na ścianach naosu, zwieszały się z belek sufitu. Które z nich były autentyczne, a które stanowiły owoc przebiegłości kapłanów, ich chęci zysku?

W tej samej chwili poczuł, że w owej bezładnej masie, przypominającej raczej towary stłoczone na targowisku niż wyposażenie sanktuarium, jedyne i prawdziwe było tylko jego uwielbienie dla starożytnego ślepego poety, bezgraniczny podziw dla herosów obróconych w popiół przez czas i niezliczone wydarzenia, które rozegrały się między dwoma brzegami cieśnin.

Przybył tu niespodziewanie, podobnie jak jego ojciec Filip, który pewnego dnia wkroczył do świątyni Apollona w Delfach, mimo że nikt go nie oczekiwał. Aleksander usłyszał ciche kroki, więc ukrył się za kolumną w pobliżu posągu bóstwa. Był to olbrzymi wizerunek Ateny, wyrzeźbiony w kamieniu i pomalowany na kolorowo, w rynsztunku z prawdziwego metalu. Statua była sztywna i surowa, wykuta z jednego bloku ciemnego kamienia, a jej oczy z masy perłowej w niezwykle sposób wyróżniały się na tle twarzy pociemniałej od upływu lat i dymu lamp wotywnych.

Podeszła do niej dziewczyna odziana w śnieżnobiały peplos z włosami ukrytymi pod czepkiem tego samego koloru, dzierżąc w jednej dłoni kabełek, w drugiej zaś gąbkę.

Weszła na piedestał i zaczęła przecierać gąbką powierzchnię rzeźby, roznosząc pod wysokimi wiązarami dachu mocny, przenikliwy zapach

aloesu i nardu. Aleksander zbliżył się do niej bezszelestnie i spytał:

- Kim jesteś?

Dziewczyna drgnęła i upuściła kubek, który odbił się od podłogi, a następnie potoczył daleko, zatrzymując się na jednej z kolumn.

- Nie bój się! - uspokajał władca. - Jestem tylko pielgrzymem, który pragnie złożyć hołd bogini. Kim jesteś? Jak się nazywasz?

- Mam na imię Daunia i jestem świętą niewolnicą - odpowiedziała dziewczyna, onieśmielona wyglądem Aleksandra, który w niczym nie przypominał zwykłego pielgrzyma. Spod jego płaszcza połyskiwał pancerz i nagolenniki, a przy każdym wykonywanym ruchu dawał się słyszeć brzęk pasa kolczugi spływającej na napierśnik.

- Święta niewolnica? W niczym jej nie przypominasz. Masz piękne, arystokratyczne rysy twarzy i dumne spojrzenie.

- Pewnie jesteś przyzwyczajony do wyglądu świętych niewolnic Afrodyty. Zanim staną się one świętymi, są zwykłymi niewolnicami, niewolnicami męskich żądz.

- A ty nie? - zapytał Aleksander, podnosząc z ziemi kubek.

- Ja jestem dziewicą. Jak bogini. Słyszałeś kiedyś o mieście kobiet? Pochodzę właśnie stamtąd.

Mówiła z charakterystycznym akcentem, którego władca nigdy przedtem nie słyszał.

- Nie wiedziałem nawet, że takie miasto istnieje. Gdzie ono leży?

- W Italii. Nazywa się Lokris, a mieszka w nim jedynie kobieca arystokracja. Zostało założone przez sto rodów wywodzących się od kobiet, które zbiegły ze swej pierwotnej ojczyzny - Lokrydy. Wszystkie one owdowiały i jak wieść niesie, połączyły się ze swoimi niewolnikami.

- Dlaczego przybyłaś tutaj, do tak odległego kraju?

- Aby odpokutować za występki.

- Występek? Jaki występki mogła popełnić tak młoda dziewczyna?

- Nie ja. Tysiąc lat temu nasz pradawny heros, Ajas, syn Ojleusa, w noc upadku Troi zgwałcił księżniczkę Kasandrę, córkę Priama, właśnie w tym miejscu, na piedestale podtrzymującym święte Palladion, czyli cudowny wizerunek Ateny, który spadł z nieba. Od tamtej pory Lokryjczycy płacą za to świętokradztwo, składając w ofierze dwie panny ze szlachetnego rodu, które przez cały rok służą w sanktuarium bogini.

Aleksander potrząsnął głową, jakby nie wierzył własnym uszom. Rozejrzał się wokół, gdy tymczasem na zewnątrz świątyni dał się słyszeć odgłos wielu końskich kopyt. Nadjechali jego towarzysze.

Po chwili wszedł kapłan, który natychmiast zorientował się, kto przed nim stoi, i złożył głęboki pokłon.

- Witaj, panie! Żałuję, że nas nie uprzedziłeś o swej wizycie. Zgotowalibyśmy ci zupełnie inne powitanie.

Dał znak dziewczynie, by odeszła, lecz Aleksander kazał jej zostać.

- Podoba mi się sposób, w jaki mnie tu przyjęto - przyznał. - Ta dziewczyna opowiedziała mi nadzwyczajną historię, w którą trudno mi było uwierzyć. Słyszałem, że w waszej świątyni przechowywane są relikwie z wojny trojańskiej, czy to prawda?

- Jak najbardziej. Rzeźba, którą widzisz, to święte Palladion, wykonane

na wzór pradawnego posągu Ateny, który spadł z nieba, czyniąc niezwykłym miasto mające go w posiadaniu.

W tej samej chwili nadeszli Hefajstion, Ptolemeusz, Perdikkas i Seleukos.

- Gdzie się znajduje oryginalny posąg? - spytał Hefajstion, zbliżywszy się do rozmawiających.

- Niektórzy sądzą, że wykradł go Diomedes, by następnie przenieść do Argos. Inni twierdzą, że to Odyseusz, przybywszy do Italii, podarował posąg królowi Latinusowi. Według kolejnej wersji Eneasza umieścił Palladion w pewnej świątyni niedaleko Rzymu, gdzie znajduje się do dziś. Krótko mówiąc, wiele miast chęłpi się posiadaniem oryginału.

- Nie dziwię się! - zauważył Seleukos. - Takie przeświadczenie dodaje odwagi.

- Z pewnością - przyznał Ptolemeusz. - Arystoteles powiedziałby, że przeświadczenie lub przepowiednia rodzi zdarzenie.

- Czym różni się prawdziwe Palladion od innych posągów? - spytał Aleksander.

- Autentyczny posąg Ateny - oznajmił kapłan uroczystym tonem - jest zdolny zamknąć oczy i poruszyć włócznią.

- To nie takie trudne - skomentował Ptolemeusz. - Każdy inżynier naszego wojska potrafiłby skonstruować podobną zabawkę.

Kapłan spiorunował go spojrzeniem, a król potrząsnął głową.

- Czy istnieje coś, w co wierzysz, Ptolemeuszu?

- Oczywiście - odpowiedział młodzieniec, opierając dłoń o gardę miecza.

- Właśnie to. - Następnie, kładąc rękę na ramieniu Aleksandra, dodał: - I przyjaźń.

- Musicie wiedzieć - ciągnął dalej kapłan - że wszystkie przedmioty, które widzicie, czczone są w tych świętych murach od niepamiętnych już czasów, a tumulusy usypane wzdłuż rzeki kryją prochy Achillesa, Patroklesa i Ajasa.

Dał się słyszeć odgłos kroków i po chwili do zwiedzających słynne sanktuarium dołączył Kallistenes.

- Co o tym sądzisz, Kallistenesie? - zapytał Ptolemeusz, wychodząc mu na spotkanie i biorąc go pod ramię. - Czy dałbyś wiarę, że jest to autentyczna zbroja Achillesa, a tam, na kolumnie, zawieszono prawdziwą lirę Parysa? - Dotknął strun, wydobywając z nich matowy, fałszywy akord.

Aleksander zdawał się ich nie słuchać. Przyglądał się młodej Lokryjce, zajętej dolewaniem wonnej oliwy do lamp. Patrzył na jej doskonale kształty widoczne pod przezroczystym, lekkim peplosem, i starał się odgadnąć tajemnicę błyszczącą w jej niepewnym, uległym spojrzeniu.

- To wszystko nie ma najmniejszego znaczenia, dobrze o tym wiecie - odpowiedział Kallistenes. - W świątyni Dioskurów w Sparcie można zobaczyć jajo, z którego ponoć wykluły się bliźnięta, bracia Heleny. Sądzę jednak, że jest to raczej jajo strusia, libijskiego ptaka wysokości konia. Nasze świątynie pełne są podobnych relikwii. Liczy się to, w co ludzie chcą wierzyć, ponieważ pragną wierzyć i marzyć. - To mówiąc, odwrócił się w kierunku Aleksandra.

Król zbliżył się do olbrzymich panoplii z brązu, zdobionych cyną i

srebrem, i musnął palcami tarczę z rzędami reliefów, przedstawiających sceny opisane przez Homera, oraz hełm przystrojony piórami.

- Skąd wzięła się tutaj ta zbroja? - spytał kapłana.

- Przywiózł ją Odyseusz, którego męczyły wyrzuty sumienia po tym, jak uzurpował sobie prawo do zbroi należnej Ajasowi. Złożył ją więc na grobie bohatera jako dar wotywny, błagając o możliwość powrotu do Itaki. Rynsztunek przeniesiono następnie do tego sanktuarium.

Aleksander stanął obok kapłana.

- Wiesz, kim jestem?

- Tak. Jesteś Aleksander, król macedoński.

- Właśnie. Od strony matki jestem w prostej linii potomkiem Pyrrusa, syna Achillesa, założyciela dynastii Epiru, czyli spadkobiercą Achillesa. Dlatego też ta zbroja powinna należeć do mnie. Chcę ją mieć.

Kapłan zbladł.

- Panie...

- Jak to? - Ptolemeusz uśmiechnął się szyderczo. - Mamy uwierzyć, że jest to autentyczna lira Parysa i zbroja Achillesa, którą osobiście wykonał bóg Hefajstos, podczas gdy ty nie dajesz wiary, że nasz król jest w prostej linii następcą Achillesa, syna Peleusa?

- Ależ nie - wyjąkał kapłan. - Chodzi o to, że są to święte przedmioty, których nie można...

- Bzdury - wtrącił Perdikkas. - Każesz wykonać drugą taką zbroję. Nikt nie zauważy różnicy. Naszemu władcy potrzebny jest ten rynsztunek, a ponieważ należał on do jego przodka... - Rozłożył ramiona, jakby chciał powiedzieć: „Spuścizna to spuścizna”.

- Każcie przenieść zbroję do obozu. Zostanie umieszczona na placu, niczym sztandar przed walką, by mogli ją obejrzeć żołnierze - rozkazał Aleksander. - A teraz wracamy, koniec wizyty!

Wychodzili powoli, małymi grupkami, rozglądając się wokół i podziwiając nieprzebrane mnóstwo przedmiotów wiszących na kolumnach i ścianach budowli.

Kapłan zauważył, że Aleksander śledzi wzrokiem dziewczynę, która skierowała się do bocznego wyjścia świątyni.

- Co wieczór, po zachodzie słońca, kąpie się w morzu w pobliżu ujścia Skamandra - szepnął mu do ucha.

Król nie odpowiedział i wyszedł. W chwilę później, stojąc na progu świątyni, kapłan dostrzegł, jak władca wskakuje na konia i oddala się w kierunku obozu nad brzegiem morza. Obóz roił się od ludzi niczym gigantyczne mrowisko.

Aleksander dostrzegł ją, kiedy szybkim, pewnym krokiem szła w ciemności, wzdłuż lewego brzegu rzeki, i zatrzymała się w miejscu, gdzie wody Skamandra łączyły się z falami morza.

Noc była spokojna i pogodna, a księżyc właśnie zaczął wynurzać się znad powierzchni morza, tworząc długą srebrną smugę, sięgającą od linii horyzontu po brzeg rzeki. W świetle księżyca dziewczyna rozebrała się, rozpuściła włosy i weszła do wody. Jej ciało, pieszczone przez fale, lśniło niczym gładki marmur.

- Daunio, jesteś piękna jak bogini - wyszeptał Aleksander, wychodząc z cienia.

Dziewczyna zanurzyła się aż po brodę i cofnęła.

- Nie krzywdź mnie. Zostałam poświęcona.

- Żeby odpokutować za gwałt?

- Żeby odpokutować za wszelki gwałt. Kobiety zawsze muszą cierpieć.

Władca rozebrał się i wszedł do wody, a dziewczyna skrzyżowała ramiona, by ukryć piersi.

- Słyszałem, że Afrodyta z Knidos, wyrzeźbiona przez boskiego Praksytelesa, przykrywa piersi w ten sam sposób. Jest wstydliva jak ty... Nie bój się, chodź!

Dziewczyna podeszła powoli, stawiając kroki na piaszczystym dnie. W miarę jak się zbliżała, jej mokre ciało o boskich kształtach wynurzało się z wody, której poziom obniżał się, ukazując brzuch i biodra.

- Zaprowadź mnie do grobu Achillesa, popłynemy tam! Nie chcę, żeby ktoś nas zobaczył.

- Płyn za mną - rzekła Daunia. - Mam nadzieję, że dobrze pływasz.

Obróciła się na bok i popłynęła, ślizgając się po falach niczym Nereida, nimfa morskiej otchłani.

Przed nimi roztaczała się rozległa zatoka, zakończona cyplem, którą o tej porze oświetlały ogniska obozu. Na jego krańcu wznosił się tumulus usypany z ziemi.

- Jestem dobrym pływakiem - zapewnił Aleksander, płynąc obok dziewczyny.

Daunia skierowała się na pełne morze, przecinając zatokę na pół i zmierzając prosto do przylądka. Płynęła nieprzerwanie, lekko i dostojnie, prawie bezszelestnie, przełamując fale niczym morskie stworzenie.

- Świetnie pływasz - zauważył Aleksander, dysząc.

- Urodziłam się nad morzem. Nadal chcesz dotrzeć do przylądka?

Aleksander nie odpowiedział i płynął dalej, aż w świetle księżyca rozjaśniającym brzeg dostrzegł morską pianę i fale, które wydłużały się, muskając podstawę olbrzymiego tumulusa.

Wyszli z wody, trzymając się za ręce, po czym król podszedł do ciemnej bryły grobu Achillesa. Czuł, a raczej zdawało mu się, że czuje, jak przenika go duch herosa. Kiedy odwrócił się do swej towarzyszki, odniósł wrażenie, że widzi różanicą Bryzejdę, która stoi przed nim w srebrnym świetle księżyca, szukając w ciemności jego wzroku.

- Jedynie bogom dane są takie chwile - wyszeptał Aleksander, poddając się powiewom letniej bryzy dochodzącej od morza. Tutaj przysiadł Achilles, oplakując śmierć Patroklesa. Tutaj matka oceanów złożyła jego zbroję, wykonaną przez boga.

- A więc wierzysz? - spytała dziewczyna.

- Tak.

- Dlaczego więc w świątyni...

- Tutaj jest inaczej. Jest noc, z daleka dobiegają słabe głosy, a ty, naga, zachwycasz mnie swą pięknnością.

- Naprawdę jesteś królem?

- Spójrz na mnie. Kim jestem według ciebie?

- Młodzieńcem, który często pojawiał się w moich snach, kiedy wraz z towarzyszkami spałam w sanktuarium bogini. Młodzieńcem, którego pragnęłam kochać.

Podeszła do Aleksandra i oparła głowę na jego piersi.

- Jutro wyjeżdżam, a za kilka dni będę musiał stoczyć ciężką bitwę, w której zwycięzę lub zginę.

- Jeśli więc chcesz, zażyj ze mną rozkoszy, na tym ciepłym jeszcze piasku, i pozwól, bym objęła cię ramionami, nawet jeśli mielibyśmy tego później żałować. - Złożyła na jego ustach długi pocałunek, pieszcząc dłońmi jego włosy. - Takie chwile dane są jedynie bogom. Będziemy bogami aż po kres nocy.

2

Aleksander rozebrał się do naga na oczach stojących w szyku żołnierzy i zgodnie z odwiecznym zwyczajem trzykrotnie obiegł grób Achillesa. Hefajstion wykonał tę samą czynność wokół grobu Patroklesa. Po każdym okrążeniu ponad czterdzieści tysięcy żołnierzy wznosiło okrzyk: *Alalalâi!*

- Cóż za niezwykły aktor! - wykrzyknął Kallistenes, stojący w jednym z rogów obozu.

- Tak sądzisz? - podchwycił Ptolemeusz.

- Oczywiście. Nie wierzy w mity ani w legendy, podobnie jak ty i ja, ale zachowuje się tak, jakby były prawdziwsze od rzeczywistości. Tym sposobem przekonuje swych ludzi, że marzenia mogą się spełnić.

- Wynika z tego, że bardzo dobrze go znasz - rzekł Ptolemeusz z nutą cynizmu w głosie.

- Nauczyłem się obserwować ludzi, nie tylko przyrodę.

- Powinieneś więc wiedzieć, że nikt nie może twierdzić z całą pewnością, iż zna Aleksandra. Jego czyny widzą wszyscy, lecz trudno je przewidzieć i nie zawsze można zrozumieć ich głęboki sens. Aleksander wierzy, a jednocześnie nie wierzy, zdolny jest przeżywać miłosne porywy, ale także demonstrować niepohamowane wybuchy złości, jest...

- Jaki?

- Inny. Po raz pierwszy spotkałem go, kiedy miał sześć lat, ale do dziś nie mogę powiedzieć, że znam go naprawdę.

- Chyba masz rację. Jednak wszyscy jego ludzie wierzą, że jest wcieleniem Achillesa, a Hefajstion - Patroklesa.

- W tej chwili wierzą w to również oni. Nawiasem mówiąc, czy to nie ty właśnie ustaliłeś, na podstawie astronomicznych wyliczeń, że nasz atak nastąpił w tym samym miesiącu, w którym rozpoczęła się wojna trojańska, czyli dokładnie tysiąc lat temu?

Tymczasem Aleksander i Hefajstion ubrali się, włożyli zbroje, a następnie dosiedli koni. Generał Parmenion rozkazał zadać w trąby, po czym również Ptolemeusz wskoczył na konia.

- Muszę udać się do mojego oddziału - oznajmił. - Aleksander szykuje się do przeglądu wojska.

Kilkakrotnie jeszcze dał się słyszeć dźwięk trąb i żołnierze ustawili się wzdłuż brzegu morza. Każdy oddział wyróżniał się własnym sztandarem i insygniami.

Piechota liczyła w sumie trzydzieści dwa tysiące żołnierzy. Po lewej stronie stały trzy tysiące koniuszych oraz siedem tysięcy greckich sojuszników, czyli zaledwie jedna dziesiąta tych, którzy sto pięćdziesiąt lat temu walczyli przeciw Persom pod Platejami. Mieli na sobie ciężkie, tradycyjne zbroje greckiej piechoty, na głowach zaś masywne korynckie hełmy, które zakrywały im twarze aż po nasadę szyi, z otworami na oczy i usta.

Pośrodku znajdowało się sześć batalionów falangi - pezetajrów, liczących dziesięć tysięcy żołnierzy. Natomiast po prawej stronie stali barbarzyńscy najemnicy, przybyli z północy - pięć tysięcy Traków i Triballów. Skorzystali oni z zaproszenia Aleksandra, zachęceni zapłatą i perspektywą grabieży. Byli niezwykle odważni, niestrudzeni, gotowi uczestniczyć w najbardziej niebezpiecznych wyprawach, a także znosić chłód, głód i trudy. Mieli przerażający wygląd, rude sztywne włosy, długie brody, jasną piegowatą skórę, a ich ciało pokrywały tatuaże.

Najdzikszy i najbardziej prymitywny spośród barbarzyńców byli Agrianie przybyli z gór iliryjskich. Ponieważ nie znali języka greckiego, należało porozumiewać się z nimi przez tłumacza. Wykazywali jednak wyjątkową zdolność wspinania się na wszelkiego rodzaju skalne ściany za pomocą lin z włókien roślinnych, haków i grot. Wszyscy Trakowie i pozostali wojownicy z północy uzbrojeni byli w skórzane hełmy i gorsety, małe tarcze w kształcie półksiężyca i długie szable, które mogły ranić wroga zarówno szpicem, jak i ostrzem. W bitwie byli groźni niczym dzikie bestie, natomiast walka wręcz pobudzała ich do tego stopnia, że zębami rozszarpywali na strzępy ciała przeciwników. Na końcu, jakby po to, by ich pohamować, stało kolejnych siedem tysięcy najemnych żołnierzy greckich, z formacji piechoty lekkiej i ciężkiej.

Po obu skrzydłach, za piechotą, stały szyki hetajrów, jazdy ciężkiej liczącej dwa tysiące ośmiuset żołnierzy, do których dołączyła taka sama liczba wojowników tessalskich, cztery tysiące żołnierzy posiłkowych oraz pięciuset bojowników tworzących ilę królewską, elitarny szwadron Aleksandra.

Król, dosiadłszy Bucefała, dokonywał dokładnego przeglądu wszystkich oddziałów wojska, a za nim postępowali jego wierni towarzysze. Był wśród nich również uzbrojony od stóp do głów Eumenes. Miał na sobie ateński kaftan z gęsto tkanego lnu, ozdobiony i wzmocniony płytkami z polerowanego brązu. Przesuwając się przed tłumem żołnierzy, snuł bardzo prozaiczne refleksje. Obliczał w myśli, jakiej ilości zboża, warzyw, solonych ryb, wędzonego mięsa i wina będzie potrzebował, by zaspokoić głód i pragnienie wszystkich tych ludzi, a także ile pieniędzy będzie musiał codziennie wydać, żeby kupić na targu tak dużo prowiantu. Zastanawiał się też, kiedy skończą się rezerwy, którymi dysponował.

Nie tracił jednak nadziei, że jeszcze tego samego wieczoru zdoła podsunąć królowi kilka dobrych pomysłów, które zapewnią powodzenie wyprawy.

Kiedy dotarli do czoła szyku, na znak dany przez Aleksandra Parmenion wydał rozkaz wymarszu. Długa kolumna ruszyła. Na flankach postępował podwójny rząd jazdy, pośrodku zaś szła piechota. Zmierzali na północ,

posuwając się wzdłuż brzegu rzeki.

Szeregi wojska wiły się niczym długi wąż. W oddali widniał hełm Aleksandra, zwieńczony dwoma długimi białymi piórami.

W tej samej chwili na próg świątyni Ateny wyszła Daunia i zatrzymała się na szczycie schodów. Młodzieniec, który kochał ją na plaży w ową pachnącą wiosenną noc, wydawał się mały jak dziecko, a jego wypolerowana do połysku zbroja lśniła w promieniach słońca. Aleksandra jakby już nie było, jakby przestał istnieć.

Patrząc, jak oddala się w kierunku horyzontu, dziewczyna poczuła głęboką pustkę. Kiedy zniknął zupełnie, szybkim ruchem ręki otarła łzy i weszła do świątyni, zamykając za sobą drzwi.

Tymczasem Eumenes wysłał dwóch gońców pod eskortą do Lampsakos i Kyzikos, dwóch potężnych miast greckich, położonych nad cieśninami, z których pierwsze wznosiło się nad morzem, a drugie znajdowało się na wyspie. W imieniu Aleksandra Eumenes ponownie proponował miastom wolność i przymierze.

Król oczarowany był krajobrazem i na każdym zakręcie drogi odwracał się do Hefajstiona, mówiąc: „Spójrz na tę wioskę, popatrz na tamto drzewo, przyjrzyj się temu posagowi...”

Wszystko było dla niego nowością i wprawiało go w zachwyty: białe osady na stokach wzgórz, świątynie bogów greckich i barbarzyńskich wśród pól, zapach kwitnących jabłoni, lśniące zieleń granatowców.

Pomijając wygnanie, które spędził wśród zaśnieżonych gór Ilirii, była to jego pierwsza podróż poza granice Grecji.

Za Aleksandrem jechali na koniach Ptolemeusz i Perdikkas, podczas gdy pozostali towarzysze podążali u boku swych oddziałów. Długi szereg zamykali Lizymach i Leonnatos, dowodzący dwoma oddziałami tylnej straży, które znajdowały się w znacznej odległości od reszty wojska.

- Dlaczego zmierzamy na północ? - spytał Leonnatos.

- Aleksander pragnie zdobyć kontrolę nad azjatyckim brzegiem cieśniny - wyjaśnił Lizymach. - Dzięki temu nikt nie będzie mógł wjechać ani wyjechać z Pontu bez naszej zgody, a Ateny, które uzależnione są od importu przewożonego tędy zboża, będą się starały utrzymać z nami dobre stosunki. Poza tym odetniemy wszystkie prowincje perskie położone nad Morzem Czarnym. To bardzo mądre posunięcie.

- To prawda.

Jechali dalej, w promieniach słońca, które świeciło wysoko na niebie. Po chwili Leonnatos odezwał się:

- Nie rozumiem jednej rzeczy.

- W życiu nie da się wszystkiego zrozumieć - zażartował Lizymach.

- Możliwe. Wy tłumacz mi jednak, dlaczego jest tak spokojnie. Zesliśmy na ląd z kilkudziesięciu tysiącami żołnierzy w biały dzień, Aleksander zwiedził świątynię w Ilionie, tańczył wokół grobu Achillesa, a tymczasem nikt nie wyszedł nam na spotkanie. Mam na myśli Persów. Nie sądzisz, że to dziwne?

- Bynajmniej.

- Dlaczego?

Lizymach odwrócił się.

- Widzisz tamtych dwóch? - zapytał, wskazując na sylwetki dwóch jeźdźców podążających górskim grzbietem Troady. - Jadą za nami od świtu. Na pewno obserwowali nas już wczoraj, a wokół są też inni.

- Musimy powiadomić Aleksandra...

- Spokojnie. Aleksander doskonale o tym wie. Wie również, że Persowie zgotują nam niedługo godne przyjęcie.

Przez cały ranek, aż do postoju w południe, marsz przebiegał bez zakłóceń. Widać było jedynie wieśniaków pracujących w polu lub grupki dzieci, które biegly wzdłuż drogi, krzycząc i starając się zwrócić na siebie uwagę.

Pod wieczór wojsko stanęło obozem pod Abydos. Parmenion kazał rozstawić wokół warty, w niewielkiej odległości, a także wysłał w teren oddziały jazdy lekkiej, aby zapobiec niespodziewanym atakom.

Kiedy tylko postawiono namiot Aleksandra, dźwięk trąby obwieścił rozpoczęcie zebrania rady, a wszyscy generałowie zasiedli wokół stołu, na którym podano wieczerzę. Przybył także Kallistenes, brakowało natomiast Eumenesa, który powiadomił uczestników narady, by rozpoczęli ją bez niego.

- Wiecie co? Tu jest o wiele lepiej niż w Tracji! - wykrzyknął Hefajstion.

- Cudowny klimat, ludzie wydają się gościnni. Widziałem też ładne dziewczyny, a Persowie nie wchodzą nam w paradę. Mam wrażenie, jakbym był w Miezie, kiedy to Arystoteles zabierał nas do lasu, gdzie zbieraliśmy owady.

- Nie łudź się! - doradził mu Leonnatos. - Lizymach i ja widzieliśmy dwóch jeźdźców, którzy jechali za nami przez cały dzień i na pewno kręcą się tu gdzieś w pobliżu.

Parmenion, generał w starym stylu, bardzo uprzejmie poprosił o głos.

- Nie musisz prosić o pozwolenie, by zabrać głos, Parmenionie - powiedział Aleksander. - Jesteś doświadczonym dowódcą i wszyscy powinniśmy się od ciebie uczyć.

- Dziękuję - rzekł stary generał. - Chciałem tylko spytać, jakie masz plany na jutro i na najbliższą przyszłość.

- Iść dalej, w kierunku obszarów bezpośrednio kontrolowanych przez Persów. W tej sytuacji nie będą mieli wyboru i przystąpią do walki, a wtedy ich pokonamy.

Parmenion nie odpowiedział.

- Jesteś innego zdania?

- Trochę. Walczyłem z Persami podczas pierwszej kampanii i mogę cię zapewnić, że są groźnym przeciwnikiem. Poza tym mogą liczyć na pomoc wspaniałego dowódcy, jakim jest Memnon z Rodos.

- Ten grecki renegat? - uniósł się gniewem Hefajstion.

- Nie. Zawodowy żołnierz i najemnik.

- Czy nie na jedno wychodzi?

- To nie to samo, Hefajstionie. Ludzie, którzy brali udział w wielu wojnach, często tracą przekonania i ideały, ale za to nabywają wprawy i doświadczenia. Sprzedają więc swój miecz temu, który oferuje najlepszą zapłatę, a jeśli są ludźmi honoru, takimi jak Memnon, przestrzegają paktów

bez względu na wszystko. Ich ojczyzną staje się dane przez nich słowo, którego zawsze dotrzymują.

Memnon stanowi dla nas poważne zagrożenie, tym bardziej że ma ze sobą własne oddziały, liczące około dziesięciu czy piętnastu tysięcy najemnych żołnierzy. Wszyscy oni są Grekami, doskonale uzbrojonymi i bardzo groźnymi w walce na otwartym polu.

- Ale przecież zwyciężyliśmy Święty Batalion Tebańczyków - przypomniał Seleukos.

- To bez znaczenia - oświadczył Parmenion. - Są zawodowymi żołnierzami, których jedynym zajęciem jest walka. Kiedy natomiast nie muszą walczyć, ćwiczą się.

- Parmenion ma rację - przyznał Aleksander. - Memnon jest niebezpieczny, podobnie jak jego najemna falanga, zwłaszcza jeśli u jej boku stoi perska jazda.

Po chwili wszedł Eumenes.

- Do twarzy ci w tej zbroi - rzekł żartobliwie Krateros. - Przypominasz prawdziwego generała. Szkoda tylko, że nogi masz krzywe i chude.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Eumenes zaczął deklamować:

Wódz nie musi być piękny i elegancki. Może być nawet brzydki i z krzywymi nogami, ale musi mieć serce lwa.

- Bravo! - wykrzyknął Kallistenes. - Archiloch jest jednym z moich ulubionych poetów.

- Pozwólcie mu mówić! - uciszał wszystkich Aleksander. - Eumenes przynosi nam wieści. Mam nadzieję, że będą dobre.

- Dobre i złe, mój przyjacielu. Powiedz, od których mam zacząć?

Aleksander z trudem ukrywał niezadowolony.

- Zaczynaj od złych. Do dobrych można się przyzwycząć. Dajcie mu krzesło.

Eumenes usiadł, był jednak usztywniony z powodu pancerza, który krępował mu ruchy.

- Mieszkańcy Lampsakos stwierdzili, że czują się na tyle wolni, iż nie potrzebują naszej pomocy. Krótko mówiąc, dają nam do zrozumienia, byśmy trzymali się od nich z daleka.

Twarz Aleksandra stała się purpurowa, co oznaczało, że za chwilę dostanie napadu złości. Eumenes dodał szybko:

- Dobre nowiny natomiast dotyczą Kyzikos. Miasto nam sprzyja i pragnie się z nami sprzymierzyć. To naprawdę dobra wiadomość, ponieważ najemnicy w służbie Persów opłacani są w walucie Kyzikos. W srebrnych staterach, jeśli chodzi o ścisłość. Takich jak ten.

Rzucił na stół błyszczącą monetę. Odbiła się i zaczęła kręcić wokół własnej osi niczym dziecinny bąk, aż wreszcie Klejtos przygniół ją do stołu jednym uderzeniem swej owłosionej dłoni.

- No i co z tego wynika? - spytał generał, obracając monetę między palcami.

- Jeżeli miasto Kyzikos zablokuje emisję waluty na terenach perskich prowincji, wtedy ich władcy znajdą się w trudnej sytuacji. Zmuszeni będą sami się opodatkować albo szukać innych form zapłaty, niemile widzianych przez najemników. Dotyczy to również ich zaopatrzenia, a

także żołdów załogi floty i całej reszty.

- Jak się o tym wszystkim dowiedziałeś? - spytał Krateros.

- Zacząłem działać na długo przed wylądowaniem naszych oddziałów w Azji - odparł sekretarz. - Pertraktacje z Kyzikos prowadzę już od jakiegoś czasu, kiedy żył jeszcze... - to mówiąc pochylił głowę - ...król Filip.

Na te słowa w namiocie zapanowała cisza, jakby wśród zebranych pojawił się duch wielkiego władcy, który zginął od sztyletu zabójcy w dniu swej najwyższej chwały.

- W porządku - podsumował Aleksander. - Nie zmienia to jednak naszych planów. Jutro przesuniemy się w głąb kraju i wykurzymy lisa z nory.

W całym znanym wówczas świecie nikt nie miał tak dokładnie sporządzonych map jak Memnon z Rodos. Opowiadano, że były one owocem tysiącletniego doświadczenia marynarzy z jego wyspy i zręczności kartografa, którego osoba owiana była tajemnicą.

Grecki najemnik rozłożył mapę na stole, przycisnął jej cztery rogi świecznikami, wreszcie sięgnął do skrzynki po jeden z pionków do gry i postawił go w miejscu między Dardanią a Frygią.

- Aleksander znajduje się teraz mniej więcej tutaj.

Członkowie perskiego wyższego dowództwa stali wokół stołu. Byli wśród nich: Arsamenes, namiestnik Pamfylii, Arsites z Frygii, a także Rheomitres, dowódca jazdy baktryjskiej, Rosakes oraz naczelny dowódca i satrapa Lidii i Jonii - Spithridates, olbrzymi Pers o śniadej cerze i czarnych, głęboko osadzonych oczach, który przewodniczył zebraniu.

- Co sugerujesz? - zapytał Spithridates po grecku.

Memnon podniósł wzrok znad mapy. Miał około czterdziestu lat, siwiejące skronie, muskularne ramiona i niezwykle zadbaną, wymodelowaną za pomocą brzytwy brodę, dzięki której podobny był do postaci przedstawianych w greckich płaskorzeźbach lub dekoracjach waz.

- Czy są jakieś wieści z Suzy? - spytał.

- Na razie nie. Nie powinniśmy jednak oczekiwać większych posiłków przed upływem dwóch miesięcy, ponieważ w grę wchodzi olbrzymie odległości i długi okres rekrutacji.

- Możemy więc liczyć wyłącznie na własne siły.

- Istotnie - potwierdził Spithridates.

- Mamy mniej ludzi.

- Różnica jest niewielka.

- W tej sytuacji staje się znaczna. Macedończycy dysponują doskonałą techniką walki, najlepszą ze wszystkich. W walkach na otwartym polu pokonują wojska wszelkiego typu i narodowości.

- Jaki płynie stąd wniosek?

- Aleksander chce nas sprowokować, ale sądzę, że byłoby lepiej nie dopuścić do frontalnego starcia. Oto mój plan: pošlemy w teren dużą liczbę zwiadowców na koniach, którzy będą nas na bieżąco informować o ruchach jego wojsk, a następnie, tuż przed przybyciem Aleksandra, wycofamy się, paląc za sobą wszystko, nie pozostawiając ani jednego źdźbła zboża, ani jednej kropli wody pitnej.

Ugrupowania jazdy lekkiej powinny następnie nękać atakami oddziały, które Aleksander wysłał na poszukiwanie żywności i paszy dla zwierząt. Kiedy nieprzyjaciel osłabnie z głodu i niedostatków, skierujemy do walki wszystkie nasze siły, a w tym samym czasie korpus naszej floty wysadzi na ląd oddziały, które wejdą na terytorium macedońskie.

Spithridates długo patrzył w milczeniu na mapę Memnona, głaszcząc dłonią gęstą, kędzierzawą brodę, po czym odwrócił się i podszedł do balkonu, z którego roztaczał się widok na pola.

Dolina Zalei była niezwykle piękna. Z ogrodu wokół pałacu dochodził gorzkawy zapach kwitnącego głogu, a także nieco słodsza, delikatna woń jaśminu i lilii. Śnieżnobiałe korony czereśni i drzew brzoskwiniowych pokrytych kwiatami, czyli rośliny godne bogów, rosły tylko w *pairidaeza* Memnona, lśniąc w promieniach wiosennego słońca.

Spithridates spojrział na lasy pokrywające zbocza gór, a także na pałace i ogrody pozostałych perskich dostojników, którzy stali teraz za nim, zgromadzeni wokół stołu. Wyobraził sobie te wszystkie cuda spalone przez Memnona, to szmaragdowe morze zmienione w bezkresny obszar pokryty zgliszczami i dymiącym popiołem. Nagle odwrócił się i powiedział:

- Nie!

- Ależ, panie... - zaproponował Memnon, podchodząc do dowódcy. - Czy rozważyłeś wszystkie elementy mojego planu? Wydaje mi się, że...

- To niemożliwe - uciął satrapa. - Nie możemy uciekać, zniszczywszy przedtem nasze ogrody, pola i pałace. Po pierwsze, to nie leży w naszym charakterze, a po drugie byłoby zbrodnią narazić nasze własne ziemie na szkody większe od tych, które mógłby nam wyrządzić nieprzyjaciel. Nie. Stawimy Aleksandrowi czoło i przepędzimy go, gdyż jest on tylko przemądrzałym młodzieńcem, który zasługuje na nauzkę.

- Weź pod uwagę - nalegał Memnon - że w tej okolicy znajduje się też mój dom wraz z posiadłością i że gotów jestem poświęcić wszystko dla zwycięstwa.

- Twoja uczciwość nie podlega dyskusji - oświadczył Spithridates. - Mówię tylko, że twój plan jest niewykonalny. Powtarzam, będziemy walczyć i przepędzimy Macedończyków. - Odwrócił się w stronę pozostałych generałów. - Od tej chwili wszystkie oddziały mają być w pogotowiu, a wy zadbacie o to, aby wszyscy żołnierze zdolni do walki bili się pod naszymi sztandarami. Mamy już niewiele czasu.

Memnon potrząsnął głową.

- Popelniasz wielki błąd i wkrótce się o tym przekonasz. Obawiam się jednak, że wtedy będzie już za późno.

- Nie bądź takim pesymistą - rzekł Pers. - Zaatakujemy ich z dogodnej dla nas pozycji.

- To znaczy?

Spithridates pochylał się nad stołem, opierając się na lewej ręce, i zaczął wodzić po mapie palcem wskazującym prawej dłoni. Zatrzymał się na błękitnym wężyku oznaczającym rzekę, która płynęła na północ, w kierunku Propontydy.

- Proponowałbym tutaj.

- Nad Granikiem?

Spithridates skinął głową.

- Znasz tę okolicę?

- Raczej tak.

- Ja znam ją dość dobrze, ponieważ byłem tam kilkakrotnie na polowaniu. Brzegi rzeki są w tym miejscu strome i gliniaste, kłopotliwe, a nawet niedostępne dla jazdy i raczej trudne do przebycia dla piechoty ciężkiej. Odeprzemy wroga i jeszcze tego samego wieczoru zaproszę was wszystkich na przyjęcie tutaj, do tego pałacu, gdzie będziemy czcić zwycięstwo.

3

Po zapadnięciu zmroku Memnon powrócił do swego pałacu. Była to okazała budowla w stylu orientalnym, wznosząca się na szczycie wzgórza i otoczona parkiem, który zamieszkiwały liczne gatunki zwierzyny łownej. Wokół pałacu znajdowała się też obszerna posiadłość złożona z domów, inwentarza żywego, pól pszenicznych, winnic, drzew oliwnych i owocowych.

Od wielu już lat Memnon mieszkał wśród Persów, naśladowając ich styl życia. Poślubił Barsine, która wywodziła się z perskiej arystokracji i była córką satrapy Artabazosa. Była to kobieta niezwyklej urody, o śniadej cerze, czarnych, długich włosach i wdzięcznych, zgrabnych kształtach gazeli.

Jego dwaj synowie, z których jeden miał piętnaście, a drugi jedenaście lat, mówili biegle zarówno w języku ojca, jak i matki i byli wychowywani w obydwu kulturach. Wzorem chłopców perskich nauczyli się nigdy i pod żadnym pozorem nie kłamać, uprawiali strzelanie z łuku i jazdę konną. Jak chłopcy greccy natomiast wyznawali kult odwagi i honoru w walce, znali poematy Homera, tragedie Sofoklesa i Eurypidesa, a także teorie jońskiej szkoły filozofów. Po matce odziedziczyli skórę barwy oliwkowej i czarne włosy, po ojcu zaś muskularne ciało i zielone oczy. Starszy syn, Eteokles, nosił imię greckie, młodszy, Phraates, imię perskie.

Pałac Memnona wznosił się w ogrodzie, który uprawiali i pielęgnowali perscy ogrodnicy. Znajdowały się w nim rzadkie rośliny i zwierzęta, jak na przykład przepiękne indyjskie pawie z Palimbotry, legendarnego miasta nad rzeką Ganges. Wewnątrz domu umieszczono perskie i babilońskie rzeźby, starożytne hetyckie płaskorzeźby, które Memnon kazał przywieźć z opuszczonego miasta na płaskowyżu, wspaniałe, attyckie serwisy z ceramiki, używane podczas sympozjonu, brązy z Koryntu i dalekiej Etrurii, marmurowe posągi z Paros, malowane w jaskrawe kolory. Na ścianach wisiały obrazy najwybitniejszych ówczesnych malarzy, takich jak Apelles, Zeuksis i Parrasjos. Przedstawiały one sceny polowań, batalistyczne, a także sceny mitologiczne, nawiązujące do przygód herosów, które rozślawiała tradycja. W domu panowała mieszanina różnych kultur, ale uderzała w niej jakaś specyficzna, niezrozumiała harmonia.

Na spotkanie panu pospieszyli dwaj słudzy. Pomogli Memnonowi zdjąć zbroję i zaprowadzili go do łaźni, by odświeżył się przed wieczerzą. Barsine przyniosła mężowi kielich chłodnego wina i usiadła, aby dotrzymać mu towarzystwa.

- Czy są jakieś wieści o inwazji? - spytała.
- Aleksander maszeruje w głąb lądu, prawdopodobnie z zamiarem sprowokowania nas do frontального ataku.
- Nie chcieli cię słuchać i wróg dotarł już do bram naszych domów.
- Nikt nie sądził, że ten młodzieniec odważy się na tak wiele. Wszyscy myśleli, że przez długie lata będzie zajęty wojnami w Grecji i opadnie z sił. Przewidywania nie sprawdziły się.
- Jaki on jest? - zapytała Barsine.
- Niełatwo go scharakteryzować. Jest bardzo młody, piękny, porywczy i namiętny, ale zdaje się, że w obliczu niebezpieczeństwa staje się zimny jak lód, zdolny niezwykle trzeźwo ocenić trudne i skomplikowane sytuacje.
- Ma jakieś słabe punkty?
- Lubi wino i kobiety, ale zdaje się, że stałym uczuciem darzy tylko jednego człowieka, Hefajstiona, który jest dla niego czymś więcej niż zwykłym przyjacielem. Mówi się, że są kochankami.
- Jest żonaty?
- Nie. Wyruszył na wojnę, nie dając Macedonii następcy tronu. Przed wyjazdem rozdał wszystkie dobra swym najbliższym.
- Barsine dała służącym znak, by się oddaliły, i sama zajęła się mężem, który wychodził z kąpieli. Wzięła płat miękkiego, jońskiego lnu, owinęła nim ramiona męża i wytarła plecy. Memnon snuł dalej opowieść o wrogu.
- Mówią, że na pytanie jednej z bliskich mu osób o to, co zatrzymał dla siebie, odpowiedział: „Nadzieję”. Trudno w to uwierzyć, jednak jest rzeczą pewną, że młody władca stał się już legendą. Stanowi to poważny problem, gdyż niełatwo jest walczyć z mitem.
- I naprawdę nie ma żadnej kobiety? - spytała Barsine.
- Jedna ze służebnic zabrała wilgotny ręcznik, druga natomiast pomogła Memnonowi włożyć strój do wieczery: długi, sięgający kostek chiton koloru niebieskiego, ze srebrnym haftem na brzegach.
- Dlaczego to cię tak bardzo interesuje?
- Ponieważ słabym punktem mężczyzn są właśnie kobiety.
- Memnon wziął żonę pod ramię i poszli razem do jadalni, gdzie stoły biesiadne ustawiono przy łóżach, na sposób grecki.
- Dowódca usiadł, a służebnica dołąła mu zimnego lekkiego wina z pięknego korynckiego krateru, liczącego dwieście lat, który stał na stole pośrodku sali.
- Memnon wskazał na obraz Apellesa wiszący na ścianie na wprost niego: przedstawiał on śmiałą miłosną scenę pomiędzy Afrodytą a Aressem.
- Pamiętasz, jak przyjechał do nas Apelles, żeby namalować ten obraz?
- Tak, pamiętam doskonale - odparła Barsine, która siadała zawsze plecami do obrazu, gdyż nie mogła się przyzwyczaić do bezwstydnosci Greków i ich sposobu przedstawiania nagości.
- Czy pamiętasz też modelkę, która pozowała artyście do postaci Afrodyty?
- Jak najbardziej. Była bardzo piękną kobietą, jedną z piękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałam, godną uosabiać boginię miłości i urody.
- Była grecką kochanką Aleksandra.
- Chyba nie mówisz poważnie?

- Owszem. Nazywała się Kampaspe. Kiedy po raz pierwszy rozebrała się w obecności Aleksandra, tak bardzo mu się spodobała, że kazał wezwać Apellesa i namalować jej akt. Jak się później okazało, malarz zakochał się w niej bez pamięci. Między artystą a modelką takie rzeczy się zdarzają. Wiesz, co zrobił Aleksander? Podarował dziewczynę malarzowi, a w zamian zażądał obrazu. Obawiam się, że nic nie jest w stanie nim zawładnąć, nawet miłość. Mówię ci: Aleksander jest niebezpieczny.

Barsine spojrzała mężowi w oczy.

- A ty? Czy potrafisz poddać się miłości?

Ich spojrzenia się spotkały, po czym Memnon odparł:

- To jedyny przeciwnik, z którego zwycięstwem potrafię się pogodzić.

Po chwili nadeszli synowie, chcąc ucałować rodziców przed snem.

- Tato, kiedy zabierzesz nas na bitwę? - zapytał starszy chłopiec.

- Macie jeszcze czas - odpowiedział Memnon. - Musicie podrosnąć. - A kiedy wyszli, dodał, pochylając głowę: - I zdecydować, po czyjej chcecie być stronie.

Barsine milczała dłuższą chwilę.

- O czym myślisz? - zapytał mąż.

- O kolejnej bitwie, o grożącym ci niebezpieczeństwie i o lęku, z jakim będę wypatrywać z wieży posłańca, który powie mi, czy przeżyłeś, czy poległeś.

- Taki jest mój los, Barsine. Jestem zawodowym żołnierzem.

- Wiem, ale ta świadomość nie przynosi mi ulgi. Kiedy się zacznie?

- Starcie z Aleksandrem? Wkrótce, mimo że jestem temu przeciwny. Już niebawem.

Kończąc wieczerzę, napili się słodkiego wina z Cypru, po czym Memnon ponownie spojrzał na obraz Apellesa. Bóg Ares został na nim przedstawiony bez zbroi - leżała na trawie. Głowę opierał o brzuch siedzącej obok nagiej Afrodyty, ramiona zaś o jej uda.

Memnon odwrócił się do żony, biorąc ją za rękę.

- Chodźmy spać - powiedział.

4

Ptolemeusz powracał z przeglądu oddziałów, jadąc wzdłuż palisady otaczającej obóz. Zmierzał w kierunku korpusu straży głównej, aby upewnić się, czy zmiana wart odbywa się w sposób prawidłowy.

Dostrzegłszy światło w namiocie Aleksandra, podjechał do niego. Drzemiący na legowisku Peritas nie zaszczycił przybysza spojrzeniem. Ptolemeusz minął strażników i wsunął głowę do namiotu.

- Czy znalazłby się kieliszek wina dla starego spragnionego żołnierza?

- Domyśliłem się, że to ty, zanim jeszcze wsadziłeś tu czubek nosa - zażartował Aleksander. - Wejdz! Poczęstuj się! Leptine poszła już spać.

Ptolemeusz nalał sobie z dzbana kielich wina i wypił kilka łyków.

- Co czytasz? - spytał, zaglądając przez ramię króla.

- *Anabazę* Ksenofonta.

- Ach, ten Ksenofont! Ze zwykłego odwrotu wojska uczynił jeden z najsłynniejszych epizodów wojny trojańskiej...

Aleksander zanotował coś na kartce, położył sztylet na zwój, żeby

zaznaczyć miejsce, w którym czytał, i podniósł głowę.

- Według mnie jest to bardzo interesująca książka. Posłuchaj:

Jest późne popołudnie, pora, w której barbarzyńcy na ogół się wycofują. Mają zwyczaj rozbijać obóz w odległości najwyżej sześćdziesięciu stadionów, ponieważ obawiają się, że po zapadnięciu ciemności Grecy mogliby ich zaatakować. Nocą wojsko perskie jest niewiele warte. Na ogół przywiązują konie, a w dodatku zakładają im pęta, żeby nie uciekły, na wypadek gdyby udało im się uwolnić. Kiedy więc dochodzi do nocnego ataku, żołnierz perski musi odwiązać konie, założyć im wędzidło i uzdę, włożyć na siebie zbroję i wsiąść na siodło. Wszystkie te skomplikowane czynności wykonywane są w ciemnościach nocy i bitewnym zamęciu...

Ptolemeusz skinął głową.

- Myślisz, że to prawda?

- Dlaczego nie? Wszystkie wojska mają swoje nawyki i są im wierne.

- O czym myślisz?

- Zwiadowcy donieśli mi, że Persowie wyruszyli z Zalei i kierują się na zachód. Oznacza to, że zbliżają się do nas, chcąc przeciąć nam drogę.

- Wszystko na to wskazuje.

- Istotnie... Chciałbym cię o coś spytać: gdybyś był ich wodzem, w którym miejscu starałbyś się powstrzymać nasz marsz?

Ptolemeusz podszedł do stołu, na którym rozłożona była mapa Anatolii, wziął do ręki lampę i przeniósł ją od linii wybrzeża po wewnętrzne obszary kraju. W pewnej chwili zatrzymał się.

- Widzę tu jakąś rzekę. Jak się nazywa?

- Granik - odparł Aleksander. - Bardzo możliwe, że będą nas oczekiwać właśnie tam.

- Ty natomiast planujesz przekroczyć rzekę w nocy i zaatakować wroga, zanim wzejdzie słońce. Zgadłem?

Aleksander ponownie zaczął kartkować Ksenofonta.

- Jak już ci mówiłem, to bardzo interesujące dzieło. Powinieneś przeczytać.

Ptolemeusz potrząsnął głową.

- Coś się nie zgadza?

- Nie, nic takiego, plan jest doskonały, tylko że...

- O co chodzi?

- Kiedy zobaczyłem twój taniec wokół grobu Achillesa i jego zbroję wyniesioną ze świątyni Ateny trojańskiej, wyobraziłem sobie bitwę na otwartym polu, w świetle dnia, twarzą w twarz, czyli bitwę homerycką, jeśli tak można powiedzieć.

- Taka właśnie będzie - zapewnił Aleksander. - Właśnie dlatego wziąłem ze sobą Kallistenesa. Na razie jednak nie będę bez powodu ryzykował życia ani jednego człowieka, o ile nie zostanę do tego zmuszony. Powinniście postąpić tak samo.

- Bądź spokojny.

Ptolemeusz usiadł i przyglądał się królowi, który powrócił do sporządzania notatek z lektury zwoju leżącego na stole.

- Twardy orzech do zgryzienia z tego Memnona - powiedział po chwili.
- Wiem. Parmenion opowiadał mi o nim.
- A perska jazda?
- Nasze włócznie są dłuższe, a drzewce mocniejsze.
- Miejmy nadzieję, że wystarczą.
- Element zaskoczenia i wola walki dokonają reszty. Doszliśmy do momentu, w którym musimy pokonać ich za wszelką cenę. Teraz jednak, jeśli chcesz mojej rady, udaj się na spoczynek. Trąby zagrają jeszcze przed wschodem słońca, a przed nami cały dzień marszu.
- Chcesz zająć pozycje jutro wieczorem?
- Tak. Nad Granikiem odbędziemy naradę wojenną.
- A ty? Nie idziesz spać?
- Przyjdzie czas na spanie... Oby bogowie zesłali ci spokojną noc, Ptolemeuszu.
- Tobie również, Aleksandrze.

Ptolemeusz dotarł do swego namiotu, który rozbito na niewielkim wzniesieniu, w pobliżu wschodniego ogrodzenia obozu, umył się, przebrał i przygotował do snu. Zanim się położył, wyjrzał jeszcze raz na zewnątrz i spostrzegł, że w namiotach Aleksandra i Parmeniona świeci się światło.

Przed świtem, zgodnie z rozkazem Aleksandra, zagrały trąby. Kucharze byli na nogach już od dłuższego czasu, gdyż musieli przygotować śniadanie. Składało się ono z dymiącej w kotłach *mazy* - półpłynnej polenty z jęczmienia, z dodatkiem sera. Oficerom natomiast podano pszenne podpłomyki, owczy ser i krowie mleko.

Kiedy trąby zagrały po raz drugi, władca dosiadł konia i stanął na czele wojska pod wschodnią bramą obozu. Towarzyszyła mu straż przyboczna, Perdikkas, Krateros i Lizymach. Za nimi maszerowały oddziały pezetajrów, które poprzedzały chorągwie lekkiej jazdy. Za falangą postępowała grecka jazda ciężka, najemnicy traccy, Triballowie i Agrianie, po bokach zaś dwie linie jazdy ciężkiej.

Od wschodu niebo barwiło się na różowo, a powietrze wypełniało ćwierkanie wróbli i gwizd kosów. Stada dzikich gołębi wznosiły się znad pobliskich lasów, w miarę jak rytmiczny odgłos marszu i podzwanianie oręza wyrywały je z nocnego odrętwienia.

Przed oczami Aleksandra rozpościerała się Frygia. Na jej wzgórzach rosły świerki, a w niewielkich dolinach płynęły przejrzyste strumyki, wzdłuż których stały rzędy srebrzystych topól i wierzb o lśniących liściach. Stada owiec i krów ściągały z pól, prowadzone przez pasterzy i strzeżone przez psy. Życie zdawało się toczyć spokojnie swój bieg, tak jakby beczenie jagniąt i cieląt mogło stłumić groźny odgłos maszerujących oddziałów.

Po obu stronach kolumny, w dolinach położonych równoległe do kierunku marszu, szły naprzód chorągwie zamaskowanych zwiadowców, bez sztandarów i zbroi. Mieli oni trzymać na odległość ewentualnych perskich szpiegów. Był to jednak zbędny środek ostrożności, gdyż właściwie każdy pasterz czy wieśniak mógł okazać się szpiegiem nieprzyjaciela.

Na końcu kolumny, pod eskortą sześciu wojowników tessalskich,

podążał Kallistenes z Filotasem; obok dreptał muł objuczony sakwami, pełnymi zwojów papirusu. Gdy co pewien czas zatrzymywano się na postój, kronikarz stawiał na ziemi stołek, wyjmował z jednej z sakiew drewnianą deskę i zwój, po czym zabierał się do pisania pod okiem zaciekawionych żołnierzy. Szybko rozeszła się wieść, że ten kościsty młodzieniec o wyglądzie pyszałka opisywać będzie dzieje wyprawy. Każdy w głębi serca marzył więc o tym, by prędzej czy później zostać uwiecznionym na kartach księgi. Nikogo natomiast nie obchodziły suche codzienne relacje, które pisał Eumenes i inni oficerowie zobowiązani prowadzić dziennik wyprawy i odtwarzać jej kolejne etapy.

Około południa zarządzono postój na obiad, później zaś, już w pobliżu Granika, wojsko zatrzymało się z rozkazu Aleksandra w miejscu osłoniętym przez niskie pasmo wzgórz, aby tam oczekiwać zapadnięcia zmroku.

Na krótko przed zachodem słońca król zwołał w swym namiocie naradę wojenną, podczas której przedstawił plan bitwy. Stawili się na nią Krateros, stojący na czele oddziału jazdy ciężkiej, Parmenion, dowodzący falangą pezetajrów, oraz Klejtos. Obecni byli też wszyscy towarzysze Aleksandra tworzący jego straż przyboczną i walczący w szeregach jazdy, czyli Ptolemeusz, Lizymach, Seleukos, Hefajstion, Leonnatos, Perdikkas, a także Eumenes, który miał zwyczaj prezentować się na naradach w rynsztunku. Wydawało się, że zasmakował w noszeniu puklerza, nagolenników i pasa.

- Kiedy tylko się ściemni - zaczął król - oddział szturmowy jazdy lekkiej wraz z posiłkami przeprawi się przez rzekę, podejście możliwie jak najbliżej obozu Persów i rozpocznie obserwację. Jeden z żołnierzy wróci i poinformuje nas, w jakiej odległości od rzeki znajduje się nieprzyjaciel. Jeśli nocą barbarzyńcy z jakiejś przyczyny zmienią pozycję, wyślecie kolejnych zwiadowców, którzy nas o tym powiadomią.

Nie rozpalimy ognisk, a jutro rano dowódcy batalionów i kapitanowie urządzą pobudkę bez dźwięku trąb, na chwilę przed powrotem czwartej zmiany straży. Jeśli droga będzie wolna, w pierwszej kolejności przeprawi się przez rzekę jazda i stanie w szyku na drugim brzegu. Następnie dołączy do niej piechota, po czym obie formacje ruszą w drogę.

Będzie to decydujący moment dnia - zauważył, wodząc wzrokiem dookoła. - Jeśli nie pomyliłem się w obliczeniach, Persowie będą jeszcze pod namiotami, a w każdym razie nie ustawieni w szyku. Wtedy, biorąc pod uwagę naszą odległość od czoła wroga, rzucimy do ataku jazdę, która wprowadzi zamęt w szeregach barbarzyńców. W chwilę potem falanga zada cios ostateczny. Posiłki i oddziały szturmowe dokonają reszty.

- Kto poprowadzi jazdę? - spytał Parmenion, który dotychczas słuchał w milczeniu.

- Ja - odparł Aleksander.

- Odradzam, panie. To zbyt niebezpieczne. Pozwól, żeby zrobił to Krateros. Był ze mną podczas pierwszej wyprawy w Azji i ma duże doświadczenie.

- Generał Parmenion ma rację - wtrącił się Seleukos. - Będzie to nasze pierwsze starcie z Persami, nie powinniśmy więc ryzykować przegranej.

Władca podniósł rękę, aby położyć kres dyskusji.

- Widzieliście, jak walczyłem ze Świętym Batalionem pod Cheroneją i nad rzeką Ister przeciw Trakom i Triballom. Dlaczego zatem sądzicie, że tym razem miałbym postąpić inaczej? Osobiście poprowadzę królewską iłę i będę pierwszym Macedończykiem, który stanie twarzą w twarz z nieprzyjacielem. Moi ludzie muszą wiedzieć, że stawiam czoło takim samym niebezpieczeństwom jak oni i że w tej bitwie ryzykujemy wszystko, nawet życie. Na razie nie mam nic więcej do powiedzenia. Oczekuję was na wieczery.

Nikt nie śmiał się odezwać, tylko Eumenes, który siedział obok Parmeniona, szepnął mu do ucha:

- Postawiłbym obok niego kogoś z dużym doświadczeniem, kogoś, kto walczył już z Persami i zna ich strategię.

- Myślałem o tym - powiedział generał. - U boku króla walczyć będzie Klejtos. Zobaczysz, wszystko pójdzie dobrze.

Narada wojenna dobiegła końca. Wszyscy wyszli i udali się do swych oddziałów, aby wydać ostatnie polecenia. W namiocie pozostał tylko Eumenes. Podeszedł do Aleksandra i rzekł:

- Chciałem powiedzieć, że twój plan jest doskonały, ale pozostaje jedna wielka niewiadoma.

- Najemnicy Memnona.

- Właśnie. Jeśli ustawią się w kwadrat, nawet jazda będzie mieć kłopoty.

- Wiem. Falanga może mieć trudności i prawdopodobnie będzie musiała sięgnąć po krótką broń, miecze i topory. Jest jeszcze coś...

Eumenes usiadł, okrywając płaszczem kolana, a gest ten przypomniał Aleksandrowi ojca, Filipa, kiedy odpoczywał po napadzie złości. W wypadku Eumenesa było inaczej. Ponieważ w nocy panował chłód, a on nie był przyzwyczajony chodzić w krótkim połowym chitonie, dostawał gęsiej skórki na nogach.

Władca wyjął zwój papirusu ze swej słynnej skrzynki mieszczącej wydanie Homera, które podarował mu Arystoteles, po czym rozłożył go na stole.

- Znasz *Anabazę*, nieprawdaż?

- Jak najbardziej, utwór ten obowiązuje już we wszystkich szkołach. To przyjemna lektura i nie przysparza uczniom większych trudności.

- To dobrze, a teraz posłuchaj. Jesteśmy na polu bitwy pod Kunaksą, około siedemdziesięciu lat temu. Cyrus Młodszy rozmawia z dowódcą Klearchem:

Rozkazał mu skierować oddziały w środek wojsk wroga, ponieważ właśnie tam przebywał król. Jeśli zdołamy go zabić - stwierdził - dokonamy rzeczy najważniejszej.

- Chcesz więc zabić nieprzyjacielskiego dowódcę własnymi rękami? - rzekł Eumenes tonem zdecydowanej dezaprobaty.

- Właśnie w tym celu obejmę dowództwo. Później zajmiemy się najemnikami Memnona.

- Rozumiem. Pójdę już, bo i tak nie słuchałbyś moich rad.

- Nie, panie sekretarzu. - Aleksander się zaśmiał. - Nie oznacza to

jednak, że cię nie kocham.

- Ja też cię kocham, wstrętny uparciuchu. Niech bogowie mają cię w opiece.

- Ciebie również, przyjacielu.

Eumenes wyszedł i udał się do swego namiotu. Zdjął zbroję, ubrał się ciepło i czekając na wieczerzę, zaczął czytać podręcznik taktyki wojskowej.

5

Rzeka, która wezbrała od topniejących śniegów z Gór Pontyjskich, płynęła szybko, a lekki wiatr zachodni poruszał koronami topól rosnących wzdłuż brzegów. Brzegi te były strome, gliniaste, mokre od spadłych niedawno deszczów.

Aleksander, Hefajstion, Seleukos i Perdikkas stali na małym wzniesieniu, skąd widzieli zarówno nurt Granika, jak i niewielki fragment terenu za wschodnim brzegiem rzeki.

- Co o tym sądzicie? - spytał władca.

- Glina na brzegach namokła od wody - powiedział Seleukos. - Jeśli barbarzyńcy ustawią się wzdłuż rzeki, zasypią nas strzałami i oszczepami. Zdziesiątkują nas, zanim dotrzemy na drugi brzeg, a tam z kolei nasze konie ugrzęzną po kolana w błocie, wiele z nich okuleje i ponownie będziemy zdani na łaskę wroga.

- Sytuacja nie jest łatwa - skomentował lakonicznie Perdikkas.

- Nie powinniśmy się martwić przedwcześnie. Zaczekajmy na powrót zwiadowców.

Przez chwilę milczeli. Nad szumem wody górował jedynie monotony rechot żab w pobliskich rowach i cykanie świerszczy, które rozpoczęły swój nocny koncert. W pewnej chwili dał się słyszeć dźwięk podobny do pohukiwania sowy.

- To oni - stwierdził Hefajstion.

Usłyszeli odgłos deptanej gliny, a następnie plusk wody wokół dwóch ciemnych postaci, które przebywały rzekę w bród. Byli to zwiadowcy z batalionu koniuszych.

- No i co? - spytał zniecierpliwiony Aleksander.

Obaj żołnierze wyglądali okropnie, gdyż ciała ich pokrywała od stóp do głów czerwona glina.

- Królu - oznajmił jeden z nich - barbarzyńcy znajdują się w odległości trzech lub czterech stadionów od Granika, na wzgórzu wznoszącym się nad równiną i sięgającym nurtu rzeki. Dwukrotnie rozstawiają wartę i mają cztery zastępy łuczników, którzy patrolują obszar między obozem a brzegiem rzeki. Bardzo trudno jest podejść do nich po kryjomu. W dodatku na wartowniach palą się ogniska, a strażnicy wzmacniają ich światło, ustawiając przy nich wypolerowane puklerze, odwrócone wkleśłą stroną.

- W porządku - powiedział Aleksander. - Wracajcie tam i zostańcie na brzegu rzeki. Przy najmniejszym ruchu czy sygnale w obozie wroga biegnijcie w naszym kierunku i zaalarmujcie czujkę jazdy, która stoi za tamtymi topolami. Wiadomość szybko dotrze do mnie, a wtedy podejmę stosowne kroki. Idźcie już i starajcie się nie zdradzić waszej obecności.

Zwiadowcy poszli w stronę koryta rzeki, po czym przedostali się na drugi brzeg, brnąc po pas w wodzie. Zdecydowawszy się powrócić do obozu, Aleksander i towarzysze udali się w stronę koni.

- A jeśli jutro staną nad Granikiem? - spytał Perdikkas, chwytając za uzdę swojego karego.

Aleksander szybkim gestem przesunął dłonią po włosach, jak to miał zwyczaj czynić, kiedy był pochłonięty myślami.

- W takiej sytuacji ustawią nad rzeką piechotę, ponieważ do utrzymania pozycji nie miałoby sensu użycie jazdy.

- No właśnie - przyznał Perdikkas lakonicznie.

- Ustawią więc w szyku piechotę, a my pošlemy do ataku Traków, Triballów i Agrian, a także koniuszych pod osłoną gęstego deszczu strzał i oszczepów, które rzucić będzie lekka piechota. Jeśli nasze oddziały zdołają wyprzeć barbarzyńców znad brzegu rzeki, włączymy do walki grecką piechotę ciężką i falangę, podczas gdy jazda osłaniać będzie ich flanki. Na razie jednak jest zbyt wcześnie, żeby decydować. Wracajmy, niedługo podadzą wieczerzę.

Po powrocie do obozu Aleksander zaprosił do swego namiotu wszystkich dowódców, włącznie z dowodzącymi oddziałami cudzoziemców, którzy poczuli się zaszczytzeni zaproszeniem.

Sytuacja nakazywała, by jedli uzbrojeni. Wino podano na sposób grecki, z trzema częściami wody, tak aby wszyscy mogli prowadzić dyskusję, zachowując niezbędną jasność umysłu, ale również dlatego, że pijani Agrianie i Triballowie stawali się niebezpieczni.

Kiedy władca zapoznał obecnych z aktualnym stanem wydarzeń, wszyscy odetchnęli z ulgą na myśl, że nieprzyjaciel nie dotarł jeszcze nad brzeg rzeki.

- Panie - odezwał się Parmenion. - Klejtos prosi o zaszczyt osłaniania jutro twego prawego boku. Walczył w pierwszej linii podczas poprzedniej kampanii przeciw Persom.

- Kilkakrotnie osłaniałem też bok twego ojca, króla Filipa - dorzucił Klejtos.

- Teraz więc staniesz przy mnie - zapewnił go Aleksander.

- Masz jeszcze jakieś rozkazy? - spytał Parmenion.

- Tak. Zauważyłem, że mamy już orszak kobiet i kupców. Życzę sobie, żeby pozostali oni poza obozem i byli strzeżeni aż do chwili zakończenia ataku. Moim życzeniem jest także, by nad Granikiem stał przez całą noc oddział piechoty lekkiej w bojowym rynsztunku. Jest rzeczą oczywistą, że ludzie ci nie wezmą udziału w jutrzejszej walce, gdyż będą zbyt zmęczeni.

Wieczerza zakończyła się o czasie, po czym dowódcy wyszli, a Aleksander przygotował się do snu. Leptine pomogła mu zdjąć zbroję, rozebrać się i wziąć kąpiel, którą przygotowała królowi w innej części namiotu.

- Czy to prawda, że weźmiesz udział w bitwie, mój panie? - spytała, myjąc mu gąbką plecy.

- Nie powinno cię to interesować, Leptine. A jeśli jeszcze raz będziesz podsłuchiwać pod namiotem, każe cię odesłać.

Dziewczyna spuściła wzrok i przez chwilę milczała. Kiedy przekonała

się, że Aleksander nie był na nią zły, spytała ponownie:

- Dlaczego nie powinno mnie to interesować?

- Ponieważ nawet gdybym miał zginąć, nie spotka cię nic złego. Uzyskasz wolność i pieniądze, które pozwolą ci przeżyć.

Leptine spojrzała na króla smutnymi oczami, w których pojawiły się łzy, a jej broda zaczęła drżeć. Odwróciła głowę, żeby tego nie zauważył.

Jednak Aleksander dostrzegł wilgotne policzki dziewczyny.

- Czemu płaczesz? Myślałem, że się ucieszysz.

Leptine stłumiła płacz, a kiedy trochę się uspokoiła, powiedziała:

- Cieszę się wtedy, gdy cię widzę, mój panie, a kiedy nie jest to możliwe, czuję, że brakuje mi światła, oddechu i życia.

Odgłosy w obozie przycichły. Słyszać było tylko nawoływania straży dobiegające w ciemnościach i szczekanie bezpańskich psów, które krążyły wokół obozu w poszukiwaniu pożywienia. Aleksander zdawał się przez chwilę nasłuchiwać, po czym wstał, a dziewczyna zbliżyła się, aby go wytrzeć.

- Będę spał w ubraniu - oznajmił władca.

Włożył czystą odzież i wybrał zbroję na następny dzień: hełm z brązu i srebra, w kształcie lwiej głowy z otwartą paszczą, zwieńczony dwoma długimi, białymi piórami czapli, ateński pancerz z gęstego lnu, z napierśnikiem z brązu tak błyszczącym, że zdawał się wykonany ze złota, wreszcie pas z czerwonej skóry, ozdobiony pośrodku podobizną bogini Ateny.

- Będzie cię widać z daleka - zauważyła Leptine drżącym głosem.

- Moi ludzie muszą widzieć, że ryzykuję nie tylko ich życie, ale przede wszystkim swoje własne. A teraz idź spać, nie jesteś mi już potrzebna.

Dziewczyna wyszła szybkim, lekkim krokiem. Aleksander powiesił zbroję na wieszaku, który stał obok łóżka, i zgasił lampę. W ciemnościach jednak panoplia były w dalszym ciągu widoczne. Przypominały kształtem ducha wojownika, który w bezruchu oczekiwał świtu, aby powrócić do życia.

6

Peritas obudził Aleksandra, liżąc go po twarzy. Władca zerwał się na nogi, a dwaj ordynansi pomogli mu włożyć zbroję. Leptine przyniosła na srebrnej tacy śniadanie, składające się z „pucharu Nestora”, czyli surowych jaj wymieszanych z serem, mąką, miodem i winem.

Król zjadł posiłek na stojąco, podczas gdy ordynansi wiązali na nim zbroję i nagolenniki, zakładali pas i mocowali pochwę miecza.

- Nie wezmę Bucefała - powiedział, wychodząc z namiotu. - Nabrzeże jest zbyt śliskie i mógłby okuleć. Przyprawdźcie mi sarmackiego gniadosza.

Ordynansi poszli po konia, którego Aleksander sobie zażyczył, a on sam, dzierżąc pod lewym ramieniem hełm, udał się w kierunku centralnej części obozu. Prawie wszyscy żołnierze stali już w szeregach, lecz co chwila przybywali kolejni ludzie, by zająć miejsce w rzędach, obok towarzyszy. Aleksander dosiadł rumaka, którego mu właśnie przyprawdzono, i przystąpił do przeglądu szwadronów jazdy macedońskiej i tessalskiej, a następnie piechoty greckiej i falangi.

Jeźdźcy królewskiej czekali na wodza na końcu obozu, opodal bramy wschodniej, ustawieni w szyku złożonym z pięciu szeregów. Na widok króla w milczeniu unieśli włócznie.

Kiedy Aleksander podniósł ramię, by wydać rozkaz wymarszu, u jego boku stanął Klejtos. W tej samej chwili dał się słyszeć odgłos tysięcy końskich kopyt i ciche podzwanianie rynsztunku wojowników, którzy podążali równym krokiem w ciemnościach.

Po chwili wszyscy usłyszeli tętent koni dobiegający z odległości kilku stadionów od Granika. Z ciemności wynurzyła się nagle chorągiew zwiadowców. Zatrzymali się przed Aleksandrem.

- Królu - rzekł przywódca - barbarzyńcy jeszcze nie wyruszyli. Ich obóz znajduje się mniej więcej trzy stadiony od rzeki, na niewielkim wzniesieniu. Na brzegu widać jedynie patrole zwiadowcze z Medii i Scytii, obserwujące nasze wybrzeże. Nie zdołamy ich całkowicie zaskoczyć.

- Z pewnością - przyznał Aleksander. - Zanim jednak wojsko nieprzyjacielskie pokona trzy stadiony, które dzielą je od wschodniego brzegu, my przejdziemy rzekę w bród i znajdziemy się po drugiej stronie. W ten sposób dokonamy rzeczy najważniejszej. - Dał znak straży przybocznej, by się zbliżyła. - Powiadomcie dowódców wszystkich oddziałów, żeby byli gotowi przejść na drugi brzeg, jak tylko znajdziemy się na równinie. Na dźwięk trąb rzucimy się w kierunku rzeki i postaramy się jak najszybciej przejść na drugą stronę. Pierwsza ruszy jazda.

Straże oddaliły się, a po chwili zatrzymała się piechota, tak aby dwie kolumny jeźdźców na flankach mogły przejść do przodu i uformować szyki na wprost Granika. Białe światło zaczęło rozjaśniać niebo na wschodzie.

- Sądziłem, że słońce będzie nam świeciło w oczy, a tymczasem nie zobaczymy nawet księżyca - powiedział Aleksander, wskazując na wąski świetlisty sierp, który chował się za wzgórzami Frygii po stronie południowej.

Podniósł dłoń i skierował konia ku rzece. Za nim ruszył Klejtos i cały szwadron królewski. W tej samej chwili, na drugim brzegu rzeki, dał się słyszeć pojedynczy okrzyk, a następnie liczne, coraz głośniejsze nawoływania, na koniec zaś przeciągły, płaczliwy dźwięk rogu, któremu odpowiedziały kolejne dalekie sygnały. Zwiadowcy medyjscy i scytyjscy ogłaszali alarm.

Aleksander, który był już w połowie brodu, krzyknął:

- Trąby!

Zagrały trąby, wydając pojedynczy, wysoki i przejmujący dźwięk. Niczym strzała sięgnął on przeciwległego brzegu rzeki, mieszając się z posepnymi odgłosami rogu i odbijając echem o pobliskie wzgórze.

Wody Granika pieniały się, kiedy Aleksander wraz ze strażą przemierzali je najszybciej, jak mogli. Dał się słyszeć czyjś krzyk, po czym żołnierz macedoński, przesyty strzałą, padł do wody. Zwiadowcy medyjscy i scytyjscy zebrali się na brzegu, strzelając na oślep do szeregów nieprzyjaciół. Wielu ludzi zostało trafionych w szyję, brzuch, piersi. Aleksander odczepił tarczę od strzemia i wyraźnie wzburzony, spiął nogami gniadosza.

- Naprzód! - krzyknął donośnym głosem. - Naprzód! Trąby!

Dźwięk brązów stał się ostrzejszy, bardziej przenikliwy. Wtórowało mu rżenie wierzchowców rozdrażnionych zamieszaniem i krzykami jeźdźców, którzy popędzali je i smagali biczem, starając się pokonać mętny wir rzeki.

Drugi i trzeci szereg żołnierzy przekroczył już połowę brodu, podczas gdy czwarty, piąty i szósty wchodziły do wody. Tymczasem Aleksander ze swym szwadronem wspinał się po śliskim brzegu. Z tyłu dochodził przytłumiony, miarowy odgłos falangi, która maszerowała w pełnym rynsztunku bojowym.

Kiedy nieprzyjacielscy zwiadowcy zużyli wszystkie strzały, szybko zawrócili konie i skierowali się do obozu, gdzie słychać było bezładny, przeraźliwy szcęk broni, a w ciemnościach mieszały się cienie wojowników, dzierżących pochodnie i nawołujących się w różnych językach.

Aleksander ustawił w szyku ilę królewską, stając na jej czele, a jednocześnie na rozkaz dowódców, na jej krańcu i flankach, stanęły po dwa szwadrony hetajrów i jazdy tessalskiej. Macedończykom przewodzili Krateros i Perdikkas, Tessalom natomiast księżę Amyntas i oficerowie Ojnomaos i Echekratides. Trębacze czekali na znak władcy, by zagrać do ataku.

- Klejtosie! - zawołał Aleksander. - Gdzie jest nasza piechota?

Klejtos pojechał na koniec szeregów i spojrzał w stronę rzeki.

- Nadchodzą, królu!

- Niech zagrają trąby! Do galopu!

Trąby zagrały ponownie i dwanaście tysięcy koni ruszyło do boju łeb w łeb, parskając i rżąc. Przewodził im dumnie masywny sarmacki gniadosz Aleksandra.

Tymczasem naprzeciw gromadziła się w pośpiechu i bezładzie jazda perska. Żołnierze, którzy stali już w szeregach, oczekiwali sygnału naczelnego wodza, satrapy Spithridatesa.

Przybiegli dwaj zwiadowcy.

- Panie, atakują! - wykrzyknęli.

- Za mną więc! - rozkazał niezwłocznie Spithridates. - Musimy przepędzić tych *yauna*, wrzucić do morza i nakarmić nimi ryby! Naprzód! Naprzód!

Zagrały rogi i ziemia zadrżała od głośniego galopu ognistych rumaków nisajskich. W pierwszej linii pędzili Medowie i Korasowie z dużymi, podwójnie wygiętymi łukami, za nimi podążali Oksyjczycy i Kaduzjowie z zakrzywionymi szablami, na końcu zaś Sakowie i Drangianowie, którzy dzierżyli w dłoniach olbrzymie bułaty.

Za jazdą postępowały miarowo zwarte szyki piechoty ciężkiej najemników greckich w pełnym rynsztunku bojowym.

- Najemnicy Anatolii! - zawołał Memnon, podnosząc włócznię. - Sprzedajne miecze! Nie macie ani ojczyzny, ani domu, do którego moglibyście powrócić! Możecie jedynie zwyciężyć lub zginąć. Zapamiętajcie! Nie będzie dla nas litości, bo mimo że jesteśmy Grekami, walczyliśmy po stronie Króla Królów. Żołnierze! Naszą ojczyzną jest nasz honor, naszym chlebem - włócznia. Walczycie o własne życie i jest to jedyna rzecz, która wam pozostała. *Alalalài!*

Szybkim krokiem ruszył do przodu, po chwili zaczął biec. Wojownicy odpowiedzieli: *Alalalài!*

Następnie ruszyli za Memnonem, równając szeregi. Przy każdym ich ruchu rozlegał się głośny szcęk żelaza i brązu.

Kiedy Aleksander dostrzegł chmurę białego kurzu, która unosiła się w odległości jednego stadionu, krzyknął do trębacza:

- Do galopu!

Zabrzmiała trąba, porywając ilę do szaleńczego biegu.

Jeźdźcy opuścili włócznie i pochylili się do przodu, lewą ręką ściągając cugle i grzywę wierzchowców. Pędzili aż do zderzenia z przerażającą plataniną ludzi, zwierząt, krzyków, rżenia koni. Zamęt ten potęgowały uderzenia długich jesionowych i dereniowych lanc oraz gęsto rzucanych perskich oszczepów.

Po swej prawej stronie Aleksander zauważył Spithridatesa, który walczył zawzięcie, dzierżąc miecz czerwony od krwi. Osłaniał go olbrzymi Rheomithres. Władca spał konia, chcąc się do nich zbliżyć.

- Walcz, barbarzyńco! Walcz z królem Macedonii, jeśli masz odwagę!

Słyszając te słowa, Spithridates odwrócił się do Aleksandra i rzucił w niego oszczepem. Ostrze broni rozerwało naramiennik zbroi i drasnęło króla między szyją a obojczykiem, lecz Aleksander wydobył miecz z pochwy i popędził w stronę Spithridatesa, wpadając na niego z impetem. Tracący równowagę satrapa uczeplił się wierzchowca, odsłaniając bok, a w tej samej chwili Aleksander wbił mu miecz poniżej pachy. Tymczasem wszyscy Persowie skierowali atak na Macedończyka. Jedna ze strzał trafiła w gniadosza, który upadł na kolana, władca zaś nie zdołał uchronić się od toporu Rheomithresa. Zdażył zasłonić się tarczą, mimo to cios przeciwnika spadł na hełm, a ostrze toporu przecięło metal, filc i skórę głowy. Z rany trysnęła krew, zalewając twarz króla, który upadł na ziemię.

Rheomithres ponownie uniósł topór, lecz w tej samej chwili nadjechał Klejtos. Krzycząc jak szalony i wymachując ciężkim iliryjskim mieczem, uciął ramię Persa.

Barbarzyńca spadł z konia, wyjąc z bólu, a z okaleczonej kończyny popłynął strumień krwi. Rozstał się z życiem, zanim Aleksander, który tymczasem stanął na nogi, dobił go swym mieczem.

Zaraz potem król wskoczył na wolnego konia i rzucił się ponownie w wir walki.

Przerażeni Persowie na widok śmierci swych dowódców zaczęli się wycofywać. W tym samym momencie do atakującej królewskiej dołączyły cztery szwadrony hetajrów i jeźdźców tessalskich pod wodzą Amyntasa.

Pomimo że jazda perska mężnie walczyła, ła zdołała przetrzebić jej szeregi i przedostać się w głąb wojsk nie-przyjaciela. Działaniom towarzyszył manewr jazdy lekkiej, która atakowała Persów na flankach. Walczyli tam Trakowie i Triballowie, okrutni niczym dzikie bestie. Zasypywali wroga lawiną strzał i oszczepów w oczekiwaniu, aż będą mogli podjąć walkę wręcz, kiedy przeciwnik osłabnie i się wykrwawi.

Towarzysze Aleksandra - Krateros, Filotas, Hefajstion, Leonnatos, Perdikkas, Ptolemeusz, Seleukos i Lizymach, idąc za przykładem władcy, walczyli w pierwszej linii. W wyniku bezpośredniego starcia z dowódcami

wroga padło wielu z nich. Wśród zabitych niemało było krewnych Króla Królów.

W końcu jazda perska rzuciła się do ucieczki. W ślad za nią podążyli hetajrowie, Tessalowie, a także szybka lekka jazda Traków i Triballów, rozszalałych wskutek gwałtownych walk wręcz. Ścigający natknęli się na falangę pezetajrów i najemników Memnona, którzy parli do przodu w zwartym szyku, ramię przy ramieniu, osłaniając ciała dużymi, wypukłymi tarczami, z twarzami ukrytymi pod koryncką przyłbicą. Obydwie formacje wzniosły głośny okrzyk: *Alalalài!* po czym ruszyły biegiem z podniesioną bronią.

Na rozkaz Memnona greccy najemnicy rzucili jednocześnie dzidami, zasypując nieprzyjaciół mnóstwem oprawionych żelazem drzewc, następnie dobyli mieczy i ruszyli do boju, zanim macedońska falanga zdołała uporządkować szyki. Grecy nieustannie zadawali ciosy, starając się uciąć sarisy, by dokonać wyłomu w szeregach macedońskich.

Parmenion, wyczuwając niebezpieczeństwo, wezwał do walki dzikich Agrian, kierując ich na flanki oddziałów Memnona, który w końcu musiał się wycofać.

Falanga ponownie stanęła w szyku, a jej front ruszył do ataku z opuszczonymi włóczniami. W tym samym momencie greckich najemników otoczyła na tyłach jazda macedońska, która powróciła z pościgu za Persami, ale mimo to Grecy walczyli wytrwale aż do ostatniego żołnierza.

Słońce zalewało światłem równinę, gdzie ciała zabitych leżały jedne na drugich. Aleksander kazał przyprrowadzić Bucefała, oddając ранego gniadosza pod opiekę weterynarzy, po czym przystąpił do przeglądu swych zwycięskich oddziałów. Jego twarz była czerwona od krwi płynącej z rany, a pancerz rozcięty od ciosu Spithridatesa. Ciało króla pokrywał kurz i pot, a mimo to jego ludziom wydawał się podobny do boga. Żołnierze uderzali włóczniami o tarcze jak w dniu, w którym Filip oznajmił wojsku, że urodził mu się syn, i wołali: *Aleksander! Aleksander! Aleksander!*

Król spojrział na prawy koniec szyku pezetajrów, gdzie dostrzegł Parmeniona. Siedemdziesięcioletni niemal generał stał w zbroi, z mieczem w dłoni, niczym dwudziestolatek, a na jego ciele widoczne były ślady po stoczonych bitwach. Aleksander podjechał bliżej, zsiadł z konia i mocno uściskał Parmeniona, podczas gdy okrzyki żołnierzy wznosiły się do nieba.

7

Dwaj wojownicy agriańscy nachylili się nad skupiskiem poległych, w poszukiwaniu cennych fragmentów oręża, które rzucali następnie na mały wózek. Wśród zdobyczy były między innymi brązowe hełmy, miecze z żelaza, nagolenniki.

W pewnej chwili, w słabym świetle wieczoru, na nadgarstku jednego z zabitych agriański wojownik dostrzegł złotą bransoletkę w kształcie węża. Pragnąc przywłaszczyć sobie ten mały skarb, podszedł do nieboszczyka w chwili, kiedy jego towarzysz stał odwrócony plecami. Gdy jednak pochylił się po zdobycz, wśród gmatwaniny ciał zabłysło ostrze sztyletu, które przecięło mu szyję od jednego ucha do drugiego. Żołnierz bezgłośnie

osunął się na ziemię. Drugi wojownik, zajęty układaniem broni na wózek, tak bardzo hałasował, że nawet nie usłyszał odgłosu padającego ciała. Odwróciwszy się, stwierdził, że pozostał sam w ciemnościach, zaczął więc wołać przyjaciela, sądząc, że ukrył się dla żartu.

- Chodź tutaj! Nie wygłupiaj się i pomóż mi, bo to wszystko...

Zanim skończył zdanie, broń, od której zginął jego towarzysz, utkwiała aż po gardę w jego ciele, godząc go u nasady szyi, pomiędzy obojczykami.

Agrianin upadł na kolana, sięgając dłońmi rękojeści sztyletu, ale zabrakło mu sił, by go wyrwać, i runął twarzą do ziemi.

Wówczas Memnon wstał, chwiejąc się na słabych nogach i wygrzebując się spod ciał poległych, pośród których się ukrył. Był bardzo osłabiony, trawiła go gorączka, a z szerokiej rany na lewym udzie płynęła krew.

Zdjął pas z jednego z Agrian i zacisnął go nieco poniżej pachwiny, po czym oderwał kawałek chitonu i użył go jako bandaża w celu zatamowania krwotoku. Kiedy zakończył zakładanie prowizorycznego opatrunku, resztką sił powłókł się do pobliskiego drzewa, by zaczekać, aż się ściemni.

Z daleka słyszał przytłumione okrzyki radości, dobiegające z macedońskiego obozu, a po lewej stronie, w odległości około dwóch stadionów, widział blask płomieni, które pochłaniały obóz Persów, całkowicie zniszczony przez wroga.

Mieczem przysposobił sobie kij i ruszył w drogę, utykając, gdy tymczasem z ciemności zaczęły wynurzać się stada bezpiecznych psów, żeby ogryźć martwe, zeszywniałe członki żołnierzy Wielkiego Króla. Szedł naprzód, zaciskając zęby i starając się przezwyciężyć silny ból i obezwładniające zmęczenie. Zraniona noga stawiała się podczas marszu coraz cięższa, jakby martwa.

Po chwili Memnon zobaczył przed sobą ciemną sylwetkę zbłąkanego konia, który powrócił na pole bitwy w poszukiwaniu swego pana, a teraz, zaskoczony gęstym mrokiem, nie wiedział, dokąd pójść. Memnon powoli zbliżył się do zwierzęcia, powiedział kilka słów, żeby go uspokoić, i ostrożnie schwytał ręką cugle wiszące u jego szyi.

Podszedł jeszcze bliżej, pogłaskał konia, a następnie z ogromnym trudem wciągnął się na jego grzbiet i ostrożnie uderzył go piętami. Wierzchowiec ruszył, a Memnon, przytrzymując się grzywy, skierował go do Zalei, w stronę domu. W nocy kilkakrotnie o mało nie spadł na ziemię wskutek osłabienia i utraty krwi, ale myśl o Barsine i dzieciach podtrzymywała go na duchu i dodawała sił do dalszej drogi.

Tuż przed świtem, kiedy o mało nie zsunął się na ziemię, zauważył wynurzającą się z ciemności grupę żołnierzy idących powoli skrajem lasu. Jeden z nich zawołał:

- Panie komendancie, to my!

Byli to czterej wierni najemnicy z przybocznej straży Memnona, którzy go właśnie szukali. Kiedy zbliżyli się do swego dowódcy, ten z trudem rozpoznał ich twarze, a po chwili stracił przytomność.

Otworzywszy oczy, Memnon spostrzegł, że otacza go chorągiew perskich jeźdźców, którzy przybyli na zwiady, by zorientować się, dokąd dotarł nieprzyjaciel.

- Nazywam się Memnon, jestem dowódcą - odezwał się w ich języku. -

Ja i moi odważni przyjaciele ocaliliśmy w bitwie nad Granikiem. Zaprowadźcie nas do domu.

Przywódca chorągwi zeskoczył na ziemię, podszedł do Memnona, a następnie dał znak swym ludziom, żeby mu pomogli. Persowie położyli wodza w cieniu drzewa i podali wodę do picia. Jego usta były popękane od gorączki; na ciele, twarzy i potarganych włosach widniały ślady zakrzepłej krwi, kurzu i potu.

- Stracił dużo krwi - wyjaśnił najstarszy z towarzyszy.

- Jak najszybciej sprowadź wóz - rozkazał perski oficer jednemu ze swych żołnierzy - i egipskiego lekarza, o ile zastaniesz go jeszcze w domu szlachetnego Arsitesa. Powiadom też rodzinę Memnona, że ocalał i że go odnaleźliśmy.

Żołnierz wskoczył na konia i niebawem zniknął.

- Co się właściwie stało? - spytał oficer, zwracając się do najemników. - Otrzymaliśmy sprzeczne informacje.

Ludzie poprosili o wodę, zaspokoili pragnienie i zaczęli opowiadać.

- Nocą przekroczyli rzekę i rzucili na nas jazdę. Spithridates musiał kontratakować mniejszymi siłami, gdyż nie wszyscy żołnierze zdążyli się przygotować. Walczyliśmy do ostatniej chwili, ale nas pokonali, ponieważ w pewnej chwili otoczyli nas i znaleźliśmy się między falangą macedońską a jazdą.

- Straciłem większość ludzi - przyznał Memnon, spuszczać wzrok. - Doświadczonych żołnierzy zahartowanych w bojach i odważnych bojowników, do których byłem bardzo przywiązany. Ci, których tu widzicie, należą do nielicznych, jacy mi pozostali. Aleksander nie dał nam nawet możliwości negocjowania kapitulacji. Widać było, że rozkazał ludziom atakować i zabijać, to wszystko. Masakra naszych oddziałów miała posłużyć za przykład wszystkim Grekom, którzy ośmieliliby się sprzeciwić jego planom.

- Jakie ma plany według ciebie? - spytał perski oficer.

- Zgodnie z tym, co mówi, chodzi o przywrócenie niepodległości greckich miast w Azji, ale ja w to nie wierzę. Wojsko Aleksandra jest doskonale przeszkolone, przygotowane do poważniejszego przedsięwzięcia.

- Jakiego?

Memnon pokręcił głową.

- Nie wiem.

Jego oczy zdradzały śmiertelne znużenie, a twarz, pomimo gorączki, nabrała ziemistej barwy. Dygotał i szczękał zębami.

- Teraz odpocznij - powiedział oficer, okrywając dowódcę płaszczem. - Niedługo przybędzie lekarz i zawieziemy cię do domu.

Memnon zamknął oczy i wyczerpany, zasnął. Spał snem niespokojnym, wstrząsany bólem i koszmarnymi wizjami. Kiedy wreszcie nadjechał Egipcjanin, Memnon bredził w gorączce i majaczył, wykrzykując coś bezsensownie.

Lekarz kazał położyć dowódcę na wozie, a przemywszy mu ranę octem i winem, zaszył ją, po czym przewiązał udo czystym bandażem. Podał rannemu do wypicia gorzki napój, który złagodził ból i sprowadził na

Memnona krzepiący sen. W tym samym momencie perski oficer wydał rozkaz wymarszu. Wóz zaprzężony w parę mułów ruszył, kołyszając się i skrzypiąc.

Późną nocą dotarli do pałacu w Zalei. Barsine, zaledwie zobaczyła żołnierzy na końcu alejki, wybiegła im naprzeciw, szlochając. Dzieci natomiast, zgodnie z wychowaniem otrzymanym od ojca, czekały w milczeniu przed domem, przyglądając się, jak żołnierze niosą Memnona, by położyć go na łóżku.

W całym domu paliły się lampy, a w przedpokoju czekali trzej greccy lekarze, którzy mieli zająć się dowódcą. Najstarszy z nich był prawdopodobnie przełożonym pozostałych. Pochodził z Adramytionu i nazywał się Arystones.

Egipski lekarz mówił wyłącznie po persku, dlatego też podczas konsultacji, która odbywała się u wezgowia łóżka Memnona, Barsine musiała odgrywać rolę tłumacza.

- Kiedy nadjechałem, stracił już dużo krwi i był bardzo wyczerpany, gdyż szedł przez całą noc. Nie ma żadnych złamań, oddaje mocz normalnie, a puls jest słaby, lecz regularny, a to już coś. Co zamierzacie zrobić?

- Okłady z malwy, a jeśli rana zacznie ropieć, założymy dreny - odparł Arystones.

Egipski kolega przytaknął.

- Słusznie, ale dajcie mu jak najwięcej picia. Doradzałbym też rosół na mięsie, bo wytwarza krew.

Kiedy Barsine skończyła tłumaczyć słowa Egipcjanina, odprowadziła go do wyjścia, podając mu sakiewkę z pieniędzmi.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co zrobiłeś dla mojego męża. Gdyby nie ty, pewnie już by nie żył.

Egipcjanin przyjął zapłatę, składając ukłon.

- Pani, moja zasługa jest naprawdę niewielka. Zapewniam cię, że twój mąż jest silny jak tur. Cały dzień spędził ukryty pośród zabitych, podczas gdy z jego rany sączyła się krew. Później szedł przez całą noc, znosząc ogromny ból. Niewielu ludzi ma taką siłę ducha.

- Czy będzie żył? - spytała Barsine, pełna niepokoju.

Żołnierze, którzy w milczeniu patrzyli na lekarza, mieli w oczach to samo pytanie.

- Nie wiem. Kiedy człowiek zostaje tak poważnie zraniony, życiodajne płyny uchodzą z jego organizmu, zabierając ze sobą część duszy. Właśnie dlatego jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Nikt dokładnie nie wie, ile krwi stracił Memnon, a ile jej zostało w sercu. Zadbaj więc o to, by dużo pił, bo nawet rozwodniona krew lepsza jest niż nic.

Po wyjściu Egipcjanina Barsine wróciła do komnaty, w której greccy lekarze krzątali się wokół pacjenta, szykując zioła i napary i przygotowując narzędzia chirurgiczne na wypadek, gdyby zaszła potrzeba drenowania rany. Rozebrawszy Memnona, służące nacierały mu ciało i twarz ciepłą wodą z dodatkiem esencji z dzikiej mięty.

Synowie, którzy do tej pory czekali w milczeniu, przyszli zapytać o zdrowie ojca.

- Możecie wejść - rzekł jeden z lekarzy - ale nie na długo, ponieważ wasz ojciec musi odpocząć.

Najpierw podszedł starszy syn, Eteokles, patrząc na ojca w nadziei, że otworzy oczy. Widząc jednak, że się nie rusza, odwrócił się do brata i pokręcił głową.

- Idźcie spać - próbowała uspokoić ich Barsine. - Jutro ojciec poczuje się lepiej i będziecie mogli się z nim przywitać.

Chłopcy ucałowali ojcowską dłoń, która zwisała bezwładnie z łóżka, po czym wyszli w towarzystwie wychowawcy.

Przed udaniem się do swojej komnaty Eteokles powiedział do Phraatesa:

- Jeśli nasz ojciec umrze, odszukam tego Aleksandra i zabiję go. Przysięgam!

- Ja też przysięgam! - powtórzył brat.

Barsine czuwała przy mężu całą noc, mimo że trzej lekarze zmieniali się niczym strażnicy na warcie. Co pewien czas kładła mu zimne okłady na czoło. Przed świtem Arystones obejrzał nogę pacjenta i stwierdził, że jest bardzo opuchnięta i zaczerwieniona. Natychmiast obudził jednego ze służących.

- Trzeba przystawić pijawki, żeby zmniejszyć ciśnienie płynów w organizmie. Idź do mego pokoju i przynieś, co trzeba.

Barsine wtrąciła:

- Wybacz, ale kiedy konsultowaliście się z Egipcjaninem, nie było mowy o stosowaniu pijawek. Jeśli rana miałaby ropieć, planowaliście drenowanie.

- Pani, możesz mi zaufać, jestem lekarzem.

- Egipcjanin był osobistym lekarzem Spithridatesa i leczył Króla Królów. Ufam również jemu, więc nie pozwolę stawiać pijawek, dopóki po niego nie poślę.

- Nie chcesz chyba słuchać rad tego barbarzyńcy? - wyrwało się Arystonesowi.

- Ja też jestem cudzoziemką - przypomniała mu Barsine - i powtarzam, że nie przystawisz tych robaków do skóry mego męża, jeśli egipski lekarz nie wyrazi zgody.

- Jeśli tak, to odchodzę - stwierdził poirytowany Arystones.

- Idź... - zawtórował mu jak echo głos, który wydawał się pochodzić z zaświatów - ...i każ się wypchać!

- Memnonie! - wykrzyknęła Barsine, spoglądając w kierunku łóżka. Następnie zwróciła się do Arystonesesa: - Mąż czuje się lepiej, możecie odejść. Jutro poślę wam zapłatę.

Arystones nie kazał powtarzać sobie tego dwa razy i wezwał asystentów.

- Pamiętaj, że cię uprzedzałem - powiedział, wychodząc. - Bez pijawek ciśnienie będzie zbyt wysokie i...

- Biorę na siebie odpowiedzialność - przerwała mu Barsine. - Nie martw się.

Kiedy Grecy wyszli, żona Memnona posłała sługę do pałacu satrapy Spithridatesa, aby wezwał Egipcjanina. Wkrótce przyjechał powozem.

- Co się dzieje, moja pani? - spytał, gdy tylko postawił stopę na ziemi.

- Lekarze *yauna* chcieli przystawić mi pijawki, ale się sprzeciwiłam, ponieważ pragnęłam usłyszeć najpierw twoje zdanie. Obrazili się i wyszli.

- Dobrze uczyniłaś, moja pani. Pijawki pogorszyłyby sytuację. Jak się teraz czuje?

- Cały czas ma wysoką gorączkę, ale przebudził się i rozmawia.

- Zaprowadź mnie do męża.

Weszli do komnaty Memnona. Dowódca nie spał i nie zważając na zaklinania służących i złorzeczenia żołnierzy, którzy czuwali przy drzwiach całą noc, próbował wstać z łóżka.

- Jeśli staniesz na chorej nodze, będę zmuszony ją amputować - ostrzegł lekarz.

Memnon wahał się przez chwilę, po czym położył się z powrotem, mrużąc pod nosem. Barsine odkryła zranione udo, a lekarz zaczął je oglądać. Było obrzmiałe, zaognione i obolałe, ale nie zdradzało jeszcze wyraźnych oznak ropienia. Otworzywszy torbę lekarską, Egipcjanin wysypał jej zawartość na stolik.

- Co to jest? - spytała Barsine.

- Rodzaj piżma. Widziałem, jak wojownicy Oksyjczyków leczyli nim rany, które w wielu wypadkach bardzo szybko się zabiżniały. Nie wiem, jak to tłumaczyć, ale dla lekarza ważny jest rezultat. Poza tym obawiam się, że okłady z malwy nie wystarczą.

Podszedł do Memnona i przyłożył piżmo, przymocowując je bandażem.

- Jeśli przed nadejściem jutra poczuje silne swędzenie, prawie nie do wytrzymania, będzie to oznaczać, że wraca do zdrowia. Nie pozwól mu się drapać, nawet jeśli musiałabyś związać mu ręce. Jeśli natomiast będzie czuł ból, a noga jeszcze bardziej spuchnie, wezwij mnie, ponieważ w tej sytuacji trzeba będzie ją amputować. Muszę już iść, bo w Zalei jest wielu rannych wymagających leczenia.

Powiedziawszy te słowa, lekarz odjechał powozem zaprzężonym w parę mułów. Barsine zezwoliła żołnierzom męża, by przez chwilę z nim porozmawiali, a następnie weszła na najwyższą wieżę pałacu, gdzie znajdowała się mała świątynia ognia. Czekał na nią pogrążony w modlitwie kapłan, wpatrujący się w święty płomień.

Barsine uklękła w milczeniu na podłodze. Patrzyła, jak języki ognia tańczą poruszane lekkim podmuchem, który wiał od strony górskich szczytów, i czekała na odpowiedź wyroczni. Po chwili kapłan przemówił:

- Nie od tej rany zginie.

- Możesz mi powiedzieć coś jeszcze? - spytała zaniepokojona kobieta.

Kapłan ponownie wbił wzrok w płomień, które podsycił silniejszy powiew wiatru.

- Widzę dla Memnona wielkie zaszczyty i związane z nimi poważne niebezpieczeństwo. Pani, bądź blisko niego i zadbaj, aby również synowie byli w pobliżu. Muszą się od niego jeszcze wiele nauczyć.

8

Łupy zdobyte na Persach i broń po zabitych zebrano pośrodku obozu, a ludzie Eumenesa dokonywali ich inwentaryzacji.

Po chwili, w towarzystwie Hefajstiona i Eumenesa, przybył Aleksander i zajął miejsce obok sekretarza.

- Jak tam głowa? - spytał ten ostatni, wskazując na okazały opatrunek na

głowie króla, wykonany ręką lekarza Filipa.

- Raczej dobrze - odrzekł Aleksander - ale niewiele brakowało. Gdyby nie Klejtos, nie byłoby mnie tutaj i nie mógłbym cieszyć się słońcem. Jak widać - dodał chwilę później, patrząc na bogate łupy - nie musisz już się martwić, skąd wziąć pieniądze. Wystarczy ich na utrzymanie naszych ludzi co najmniej przez miesiąc, a także na opłacenie najemników.

- Nic nie weźmiesz dla siebie? - spytał Eumenes.

- Nie. Chciałbym tylko posłać purpurową tkaninę, dywany i zasłony mojej matce, a także coś dla siostry, na przykład perskie stroje. Kleopatra lubi rzeczy oryginalne.

- Zrobimy, jak sobie życzysz - zgodził się Eumenes, wydając służącym rozkazy, by odłożyli wspomniane rzeczy. - Coś jeszcze?

- Tak. Wybierz trzysta najpiękniejszych zbroi i wyślij je do Aten, żeby zostały złożone w hołdzie bogini Atenie w Partenonie, z dedykacją.

- Jakaś szczególną dedykacją?

- Jak najbardziej. Napiszesz te słowa:

Aleksander, syn Filipa, wraz z Grekami, z wyjątkiem Spartan, przysłała to z łupów na barbarzyńcach mieszkających w Azji.

- Piękny policzek dla Spartan - skomentował Seleukos.

- Taki sam, jaki otrzymałem od nich, kiedy sprzeciwili się uczestnictwu w wyprawie - stwierdził władca. - Niedługo zdadzą sobie sprawę, że są tylko mało znaczącym miastem. Świat idzie naprzód z Aleksandrem.

- Kazałem sprowadzić Apellesa i Lizypa, którzy wykonają twój portret konny - oświadczył Eumenes. - Sądzę, że za kilka dni dobiją do brzegu w Assos lub w Abydos. W każdym razie zostaniemy powiadomieni o ich przybyciu, tak abyś mógł pozować zarówno do pomnika, jak i do obrazu.

- To mnie nie interesuje - powiedział Aleksander. - Chcę, żeby wykonano pomnik poświęcony poległym w bitwie, a więc rzecz, której dotąd nie było i którą jedynie Lizyp potrafi zrealizować.

- Wkrótce dowiemy się, jakie wrażenie wywarło twoje zwycięstwo zarówno na przyjaciółach, jak i wrogach - wtrącił Seleukos. - Ciekaw jestem, co powiedzą mieszkańcy Lampsakos, którzy nie chcieli być wyzwoleni.

- Powiedzą, że są ci bardzo wdzięczni za uwolnienie - podśmiewał się Hefajstion. - Zwycięzca ma zawsze rację, zwyciężony nie ma jej nigdy.

- Czy wysłano już list do mojej matki? - spytał Aleksander Eumenesa.

- W tej samej chwili, w której mi go dałeś. O tej porze jest już na wybrzeżu. Przy sprzyjającym wietrze dotrze do Macedonii najdalej za trzy dni.

- Żadnych wieści od Persów?

- Żadnych.

- To dziwne... Kazałem moim chirurgom opatrzyć ich rannych, a także pochować z wszelkimi honorami ich zabitych.

Eumenes uniósł brew.

- Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to mów, na Zeusa!

- Na tym polega problem.

- Nie rozumiem.

- Persowie nie chowają zmarłych.

- Co takiego?

- Ja też o tym nie wiedziałem, wyjaśnił mi to wczoraj jeden z jeńców. Według Persów ziemia i ogień są święte, natomiast zmarły jest nieczysty. Dlatego też wierzą, że jeśli pochowają zmarłego, splamią ziemię, a jeśli go spalą, tak jak czynimy to my, uczynią nieczystym ogień, który uznają nawet za boga.

- Jak zatem...?

- Kładą ciała zmarłych na pagórkach lub na szczytach wież na wzgórzach, gdzie rozdziobują je ptaki i z wolna niszczą słoty. Konstrukcje te nazywają wieżami ciszy.

Aleksander milczał. Wstał i udał się do swego namiotu. Eumenes rozumiał jego nastrój i dał znak towarzyszom, by go nie zatrzymywali.

- Czuje się upokorzony faktem, że nie zna zwyczajów narodu, który szanuje, a także tym, że go nieumyślnie obraził.

Odwiedził Aleksandra dopiero po zachodzie słońca, zapowiedziawszy przedtem swoją wizytę. Król zaprosił przyjaciela do namiotu.

- Generał Parmenion zaprosił nas wszystkich na wieczerzę. Przyjdiesz?
- spytał Eumenes.

- Tak, przekaz mu, że zaraz przyjdę.

- Nie zdręczaj się, nie mogłeś tego wiedzieć... - rzekł Eumenes, widząc, że Aleksander nadal jest smutny.

- Nie o to chodzi. Rozmyślałem...

- O czym?

- O tym perskim zwyczaju.

- Według mnie przetrwał u nich obrządek sięgający czasów koczowniczych.

- Właśnie na tym polega wielkość tego rytuału, na fakcie, że zamierzchły obrządek ojców nie został zapomniany. Mój przyjacielu, jeśli miałbym zginać w boju, sądzę, że też pragnąłbym zasnąć na zawsze na wieży ciszy.

9

Następnego dnia Aleksander wysłał Parmeniona z misją zajęcia Daskylejonu, stolicy hellespontyjskiej Frygii, pięknego nadmorskiego miasta z olbrzymim zamkiem obronnym, oraz zdobycia Zalei.

Perscy arystokraci uciekli, zabierając ze sobą tylko kosztowności. Generał wypytywał służbę o miejsce ich pobytu, przede wszystkim zaś starał się ustalić, gdzie przebywa Memnon, jako że na polu bitwy nie znaleziono jego ciała.

- Od tamtej chwili nie widzieliśmy go, moźny panie - powiedział jeden z zarządców pałacu. - Może oddalił się od miejsca potyczki i później zmarł gdzieś w ukryciu. Możliwe też, że jego słudzy czy żołnierze odnaleźli ciało i pochowali je, by nie stało się pastwą psów i sępów. W każdym razie tutaj go nie było.

Parmenion wezwał swego syna, Filotasa.

- Nie wierzę w ani jedno słowo tych barbarzyńców, możliwe jednak, że Memnon został zraniony. O ile wiem, miał tu swoją willę, w której żył jak perski satrapa. Wyślij oddziały jazdy lekkiej, żeby przeszukały teren. Ten Grek jest najbardziej niebezpieczny ze wszystkich naszych nieprzyjaciół.

Jeśli żyje, przysporzy nam jeszcze mnóstwo kłopotów. Zeszłej nocy widziałem na wzgórzach świetlne sygnały, a to oznacza, że przekazują sobie wieści o naszym zwycięstwie. Docierają one niezwykle szybko i daleko. Wkrótce otrzymamy odpowiedź, która z pewnością nie będzie nam przychylna.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ojcze, i przyprowadzę go związanego do twoich stóp.

Parmenion pokręcił głową.

- Nie uczynisz niczego podobnego. Jeśli odnajdziesz Memnona, musisz go traktować z należnym szacunkiem, gdyż jest to najodważniejszy żołnierz na wschód od cieśnin.

- Przecież jest najemnikiem.

- Co z tego? Jest człowiekiem, któremu życie odebrało wszelkie złudzenia i który ma zaufanie jedynie do swego miecza. Według mnie to wystarczający powód, żeby go poważać.

Filotas przemierzył okolicę piędziesiąt kilometrów, przeszukał wille i pałace, przesłuchał niewolników, uciekając się nawet do tortur, ale niczego nie osiągnął.

- Nic - relacjonował ojcu kilka dni później. - Kompletnie nic. Wydaje się, że Memnon nigdy nie istniał.

- Może jednak istnieje sposób, żeby go odszukać. Miej na oku lekarzy, zwłaszcza tych dobrych, i zorientuj się, gdzie odbywają wizyty. Może dzięki temu dotrzesz do wezglowia jakiegoś szacownego pacjenta.

- Dobry pomysł, ojcze. To dziwne, ale zawsze myślałem o tobie jak o żołnierzu, o człowieku zdolnym wymyślać genialne plany bitewne.

- Nie wystarczy zwyciężyć w bitwie, największe trudności przychodzą później.

- Uczynię, jak mi doradziłeś.

Od tej chwili Filotas rozdawał pieniądze i nawiązywał przyjaźnie, głównie wśród osób żyjących bardzo skromnie, dzięki czemu w krótkim czasie zdołał dowiedzieć się, którzy lekarze są najlepsi, przede wszystkim zaś poznać imię najwybitniejszego z nich - Egipcjanina Snefru-en-Kaptaha. Leczył on króla Dariusza w Suzie, a później był osobistym lekarzem satrapy Frygii, Spithridatesa.

Filotas wielokrotnie obserwował Egipcjanina z ukrycia, aż pewnego wieczoru zauważył, jak wychodzi ostrożnie małymi tylnymi drzwiami, wsiada do powozu zaprzęzonego w muła i kieruje się poza miasto. Syn Parmeniona z chorągwią jazdy lekkiej pojechał za nim, trzymając się w pewnej odległości, z dala od drogi. Po długiej jeździe w ciemnościach spostrzegł z daleka światła okazałej budowli. Był to pałac otoczony murami blankowymi, z wiszącymi portykami i lodziami.

- Mamy go - oznajmił swym ludziom. - Bądźcie gotowi. Zsiadłszy z koni, podeszli do pałacu, trzymając wierzchowce za uzdy. Kiedy byli już bardzo blisko murów, usłyszeli wściekłe ujadanie i po chwili rzuciła się na nich sfora groźnych psów, rodem z Kapadocji. Broniąc się, żołnierze musieli użyć oszczepów, ale ciemności utrudniały im mierzenie do celu i prawie uniemożliwiały użycie łuków i strzał. Dlatego też stali się przedmiotem nagłych ataków rozwścieczonych zwierząt i musieli podjąć

walke wręcz, dobywając sztyletów. Kilka śmiertelnie przerażonych wierzchowców rozproszyło się w ciemnościach, rżąc i wierzgając. Kiedy żołnierze zdołali wreszcie uporać się z rozszalałą sforą, stwierdzili, że ich szeregi zmniejszyły się niemal o połowę.

- Mimo wszystko idziemy dalej! - rozkazał rozzłoszczony Filotas.

Ci, którzy nie stracili koni, wskoczyli na nie i wjechali na pałacowy dziedziniec, oświetlony lampami zawieszonymi wokół portyku. Wyszła im na spotkanie piękna kobieta w perskiej wzorzystej sukni ze złożonymi frędzlami.

- Kim jesteście? - spytała po grecku. - Czego chcecie?

- Pani, prosimy o wybaczenie, ale poszukujemy człowieka, który walczy w służbie barbarzyńców, i mamy powody sądzić, że przebywa w tym domu, prawdopodobnie ranny. Śledziliśmy jego lekarza.

Słyszając te słowa, kobieta zadrżała i zbladła ze wzburzenia, ale pozwoliła żołnierzom przejść.

- Proszę, wejdźcie i szukajcie, gdzie chcecie. Proszę tylko, byście odpowiednio zachowali się w komnatach kobiet, w przeciwnym razie zmuszona będę powiadomić waszego króla. Słyszałam, że jest on człowiekiem, który nienawidzi nadużywania władzy.

- Słyszeliście? - Filotas zwrócił się do żołnierzy, którzy byli w oplakany stanie.

- Przykro mi - dodała po chwili Barsine, przyglądając się im. - Gdybyście nas uprzedzili, nie doszłoby do tego. Niestety w tych rejonach zdarzają się liczne rozboje i musimy się bronić przed bandytami. Co do lekarza, to jeśli chcecie, mogę was do niego zaprowadzić.

W towarzystwie Filotasa weszła do atrium, po czym skręciła w długi korytarz. Wyprzedzała ich służąca z lampą. Weszli do komnaty, w której Snefru-en-Kaptah badał chłopca leżącego na łożu.

- Jak się czuje? - spytała Barsine.

- To tylko niestrawność. Niech trzy razy dziennie pije ten napar i nic nie je przez cały jutrzejszy dzień. Wkrótce stanie na nogi.

- Muszę porozmawiać z lekarzem na osobności - powiedział Filotas.

- Jak sobie życzysz - zgodziła się Barsine, zapraszając obydwu mężczyzn do sąsiedniej komnaty.

- Wiemy, że to jest dom Memnona - zaczął Filotas, gdy tylko weszli.

- Istotnie - potwierdził Egipcjanin.

- Szukamy go.

- Musicie więc szukać gdzie indziej, bo tu go nie ma.

- A gdzie jest?

- Nie wiem.

- Leczyłeś go?

- Tak. Leczę wszystkich, którzy potrzebują mojej pomocy.

- Czy wiesz, że jeśli zechcę, mogę zmusić cię do mówienia?

- Z pewnością, jednak nie potrafię powiedzieć ci nic więcej. Czy sądzisz, że człowiek taki jak Memnon powiedziałby swemu lekarzowi, dokąd pragnie się udać?

- Był ranny?

- Tak.

- Ciężko?

- Każda rana może być ciężka. Zależy od przyczyny, która ją spowodowała.

- Nie chcę lekcji medycyny. Chcę wiedzieć, w jakim stanie był Memnon, kiedy widziałeś go po raz ostatni.

- Wracał do zdrowia.

- Dzięki twojemu leczeniu.

- A także kilku lekarzy greckich, między innymi niejakiego Arystonesa z Adramytionu, o ile się nie mylę.

- Czy był w stanie dosiąść konia?

- Nie mam pojęcia. Nie znam się na koniach. Teraz jednak wybacź, ale czekają na mnie inni pacjenci.

Filotas nie wiedział, o co jeszcze zapytać, więc pozwolił Egipcjaninowi odejść. W atrium spotkał swoich ludzi, którzy właśnie skończyli przeszukiwać dom.

- I co?

- Nic. Nie znaleźliśmy żadnych śladów. Nawet jeśli tu był, to z pewnością wyjechał jakiś czas temu albo ukrył się tak, że nie udało się nam go znaleźć. A może by tak...

- Może by tak co?

- Może by tak podpalić tę stodołę? Jeśli ukryły się tu jakieś myszy, to z pewnością wyjdą, nie sądzisz?

Barsine przygryzła wargi, ale nie odezwała się ani słowem, tylko spuściła oczy, żeby nie spotkać wzroku nieprzyjaciół.

Poirytowany Filotas pokręcił głową.

- Dajmy temu spokój i chodźmy już. Nie ma tu nic, co mogłoby nas zainteresować.

Wyszli, a po chwili dał się słyszeć cichnący gdzieś daleko tętent koni, któremu wtórowało szczekanie psów. Kiedy byli w odległości trzech stadionów od pałacu, Filotas ściągnął wodze wierzchowca.

- Do licha! Założę się, że w tym momencie wyszedł z jakiejś dziury pod ziemią i jak gdyby nigdy nic rozmawia sobie z żoną. Piękna kobieta... piękna, na Zeusa!

- Nie rozumiem, dlaczego jej nie przelecieć... - zaczął jeden z jego ludzi, Trak z Salmydessos.

- Nie dla psa kiełbasa! Gdyby Aleksander dowiedział się o tym, odciąłby ci jądra i rzucił na pożarcie swemu psu. Ulżyj sobie z dziewczkami w obozie, jeśli naprawdę nie wiesz, jak sobie poradzić. Jedźmy już! I tak zbyt długo nas nie było.

W tej samej chwili, po drugiej stronie doliny, przewożono Memnona do innej kryjówki. Leżał na noszach przywiązanych do dwóch juczych osłów prowadzonych za uzdy, z których jeden szedł na przedzie, a drugi z tyłu.

Zanim pokonano przełęcz w kierunku doliny Ezepu i miasta Aziry, Memnon poprosił poganiacza mułów o krótki postój i odwrócił się, aby popatrzeć na światła swego domu. Czuł jeszcze na sobie zapach ostatniego uścisku Barsine.

Wojsko wraz z taborem ruszyło na południe, w stronę góry Ida i zatoki Adramytion. Nie było powodu, by dłużej pozostawać na północy, jako że stolica Frygii została już zdobyta i obsadzono ją garnizonem macedońskim.

Parmenion ponownie przejął dowództwo drugiego stopnia, a Aleksander podejmował decyzje strategiczne.

- Pójdziemy na południe wzdłuż wybrzeża - oznajmił pewnego wieczoru podczas narady wojennej. - Skoro zajęliśmy stolicę Frygii, przyszła pora na stolicę Lidii.

- Sardes - uściślił Kallistenes. - Mityczna stolica Midasa i Krezusa.

- Trudno mi w to uwierzyć! - wtrącił Leonnatos. - Pamiętacie bajki, które opowiadał nam stary Leonidas? Teraz zobaczmy te miejsca.

- W istocie - zapewnił Kallistenes. - Ujrzymy rzekę Hermos, na brzegach której, niemal dwieście lat temu, Persowie pokonali Krezusa. Zobaczymy też Paktolos ze złotodajnymi piaskami, które dały początek legendzie o królu Midasie. I groby, będące miejscem spoczynku królów Lidii.

- Twoim zdaniem są w tym mieście pieniądze? - spytał Eumenes.

- Myślisz tylko o pieniądzach! - wykrzyknął Seleukos. - Właściwie masz rację.

- Pewnie, że mam rację. Wiecie, ile kosztuje nas flota naszych greckich sojuszników? No, wiecie?

- Nie - odparł Lizymach - nie wiemy, panie sekretarzu, ty zajmujesz się tymi sprawami.

- Sto sześćdziesiąt talentów dziennie. Powtarzam: sto sześćdziesiąt. Oznacza to, że wszystko, co zdobyliśmy nad Granikiem i pod Daskylejonem, wystarczy na piętnaście dni, jak dobrze pójdzie.

- Posłuchajcie - powiedział Aleksander. - Najpierw zaatakujemy Sardes i nie sądzę, żebyśmy napotkali tam duży opór. Następnie opanujemy pozostałą część wybrzeża, do granic z Licją, aż po rzekę Ksantos i w tym momencie zostaną wyzwolone wszystkie miasta greckie w Azji. Dokonamy tego przed końcem lata.

- Cudownie - zgodził się Ptolemeusz. - Co dalej?

- Nie wrócimy chyba do domu?! - wykrzyknął Hefajstion. - Dopiero zacząłem się bawić.

- Nie jest powiedziane, że wszystko pójdzie gładko - skomentował Aleksander. - Dotychczas zadrasnęliśmy zaledwie potęgę Persów, a Memnon prawie na pewno żyje. Poza tym nie wiemy, czy wszystkie greckie miasta otworzą przed nami bramy.

Przez wiele dni maszerowali wśród przylądków, niezwykle pięknych zatok, plaż położonych w cieniu wysokich sosen. Towarzyszył im widok wysp różnej wielkości, które rozciągały się wzdłuż wybrzeża niczym orszak. Dotarli w końcu do brzegów Hermosu, olbrzymiej rzeki o przejrzystych wodach i korycie pokrytym czystym żwirem.

Satrapa Lidii, Mitrytes, był człowiekiem rozsądnym. Zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnych szans, więc wysłał do Aleksandra poselstwo z propozycją poddania miasta. Następnie osobiście oprowadził króla po

twierdzy, która wyposażona była w potrójny pas murów obronnych, skarpy i przejścia dla straży.

- Stąd ruszył „odwrot dziesięciu tysięcy” - rzekł Aleksander, przemierzając wzrokiem równinę. Wiatr rozwiewał mu włosy i zginał korony wierzb i jesionów.

Kallistenes, który towarzyszył królowi, idąc kilka kroków za nim, czynił notatki na tabliczce.

- To prawda - przyznał. - Mieszkał tu książę Cyrus Młodszy, który był wówczas satrapą Lidii.

- W pewnym sensie właśnie tutaj rozpoczyna się też nasza wyprawa, tyle że my nie pójdziemy tą samą trasą. Jutro wyruszymy do Efezu.

Również Efez poddał się bez walki. W mieście nie było już garnizonu greckich najemników, a kiedy Aleksander zajął gród, demokraci, których wcześniej wypędzono, a którzy teraz powracali, wszczęli prawdziwe prześladowania. Zachęcali ludzi do szturmowania domów bogaczy, panów, którzy dotychczas byli sprzymierzeńcami perskiego zarządcy. Niektórzy z nich schronili się w świątyniach, skąd teraz wyciągano ich siłą i kamienowano. Zamieszki objęły cały Efez. Aleksander kazał piechocie wyjść na ulice i zaprowadzić porządek. Zapewnił, że przywróci demokrację, a tytułem odszkodowania nałożył na bogaczy specjalny podatek, przeznaczony na odbudowę okazałej świątyni Artemidy, która kilka lat wcześniej doszczętnie spłonęła.

- Wiesz, co ludzie mówią na ten temat? - spytał go Kallistenes podczas zwiedzania ruin olbrzymiego sanktuarium. - Bogini nie mogła ugasić pożaru, ponieważ zajęta była wydawaniem na świat ciebie. Świątynia spłonęła dokładnie dwadzieścia jeden lat temu, w dniu twoich urodzin.

- Chcę, żeby się odrodziła - wyznał Aleksander. - Pragnę zobaczyć las gigantycznych kolumn podtrzymujących sufit i chcę zatrudnić najlepszych rzeźbiarzy, aby ją ozdobili i pomalowali wnętrza.

- Wspaniały projekt. Możesz rozpocząć rozmowy z Lizypem.

- Już przyjechał? - spytał król, a jego twarz rozpromienił uśmiech.

- Tak. Wczoraj wieczorem wysiadł na ląd i nie może się doczekać spotkania z tobą.

- Lizyp, o bogowie niebios! Te dłonie, to spojrzenie... Tylko w jego oczach widziałem taki płomień siły twórczej. Kiedy na ciebie patrzy, czujesz, że nawiązuje kontakt z twoją duszą, że za chwilę stworzy innego człowieka... Z gliny, brązu, wosku, nieważne. Tworzy człowieka takiego, jakiego by stworzył, gdyby był bogiem.

- Bogiem?

- Tak.

- Jakim bogiem?

- Bogiem, który jest we wszystkich bóstwach i ludziach, ale którego tylko nieliczni potrafią dostrzec i usłyszeć.

Wybitni obywatele miasta, demokratyczni przywódcy, wprowadzeni na urząd przez króla Filipa i wypędzeni przez Persów, powrócili wraz z przybyciem Aleksandra, a teraz czekali, by pokazać mu cuda Efezu.

Gród rozciągał się na wzgórzu opadającym łagodnie ku morzu i rozległej zatoce, do której wpadały wody rzeki Kajstros. Nabrzeża portu roily się od

okrętów przywożących rozmaite towary. Ładowano na nie tkaniny, przyprawy korzenne i wonne olejki pochodzące z terenów Azji, aby je następnie sprzedać w dalekich krajach położonych nad Adriatykiem, na wyspach Morza Tyrreńskiego, na ziemiach etruskich i iberyjskich. Gorączkowym czynnościami portowym towarzyszył bezustanny hałas i pokrzykiwania handlarzy niewolników, sprzedających dobrze zbudowanych mężczyzn i przepiękne dziewczęta, które los przywiódł w to smutne miejsce.

Po obu stronach ulic wznosiły się portyki, na które wychodziły wspaniałe, pełne przepychu domy, wokół świątyń stały stragany wędrownych sprzedawców, którzy proponowali przechodniom amulety przynoszące szczęście i chroniące przed czarami, relikwie oraz podobizny Apollona i jego bladolicy siostry Artemidy.

Zmyto już z ulic krew przelaną w rozruchach, a krewni zabitych zamknęli się ze swoją żalobą w domowym zaciszu. W mieście panował nastrój święta i radości. Mieszkańcy tłoczyli się, by zobaczyć Aleksandra, kołysali gałązkami drzewa oliwnego, a dziewczęta sypały płatki róż w miejscach, przez które przechodził, lub też rzucały je garściami z balkonów, wypełniając przestrzeń wirami barw i zapachów.

Dotarli w końcu do wspaniałego pałacu z atrium wspartym na marmurowych kolumnach, zwieńczonych jońskimi głowicami, ozdobionych złotem i pomalowanych na niebiesko. Była to dawna rezydencja jednego z arystokratów, którzy zapłacili życiem za przyjaźń z Persami. Teraz budowla miała być siedzibą młodego boga, który po stokach Olimpu zszedł ku wybrzeżom rozległej Azji.

Lizyp oczekiwał Aleksandra w przedsionku. Gdy tylko go zobaczył, wybiegł mu na spotkanie i przycisnął do piersi olbrzymimi rękami rzeźbiarza.

- Mój przyjacielu! - wykrzyknął Aleksander, odwzajemniając uścisk.

- Mój królu! - odparł Lizyp, któremu zabłyśły oczy.

- Wzięłeś już kąpiel? Jadłeś obiad? Czy dali ci czyste szaty?

- Wszystko w porządku, nie martw się. Moim jedynym życzeniem było spotkać się z tobą, ponieważ nie wystarczało mi oglądanie twoich portretów. Czy prawdą jest, że będziesz mi pozował?

- Tak, ale mam też inne plany. Chcę, żebyś wykonał pomnik, jakiego nikt dotąd nie widział. Usiądź!

- Słucham cię - rzekł Lizyp, podczas gdy słudzy szykowali krzesła dla dygnitarzy i przyjaciół Aleksandra.

- Jesteś głodny? Może zjesz z nami obiad?

- Z przyjemnością - odparł wielki rzeźbiarz.

Przed każdym z gości służący ustawili stół, na którym podali dania typowe dla miasta, takie jak ryba pieczona z rozmarynem i solonymi oliwkami, warzywa i świeży chleb prosto z pieca.

- Tak więc - zaczął król, kiedy wszyscy zaczęli nakładać jedzenie na talerze - chcę, żeby powstał pomnik przedstawiający dwudziestu pięciu hetajrów z mojej ili, którzy zginęli nad Granikiem podczas pierwszego ataku na jazdę Persów. Zanim ich ciała spoczęły na stosie pogrzebowym, kazałem sporządzić ich portrety, dzięki czemu będziesz dysponował

podobiznami poległych. Powinieneś przedstawić ich w impecie natarcia, w zamięcie walki w taki sposób, żeby dało się niemal słyszeć odgłos galopu, dyszenie wierzchowców. Rzeźbom tym niczego nie powinno brakować, z wyjątkiem życiodajnego tchnienia, którego bogowie nie dali ci dotąd we władanie.

Pochylił głowę, a jego oczy zasnuły się melancholią, która kontrastowała z ogólną radością, z kielichami wina i talerzami pełnymi wonnych potraw.

- Lizypie, mój przyjacielu, ci chłopcy zamienili się w proch, a ich nagie kości spoczywają w ziemi. Postaraj się jednak uchwycić ich drżące dusze, osłoń je od wiatru, zanim ulegną rozproszeniu, i odlej w brązie, czyniąc je nieśmiertelnymi!

Aleksander wstał i udał się w kierunku okna wychodzącego na zatokę, która błyszczała w promieniach słońca. Pozostali biesiadnicy, rozochoceni winem, jedli, pili i śmiali się. Lizyp podążył za królem.

- Dwadzieścia pięć posągów konnych... oddział Aleksandra nad Granikiem. Ma to być gmatwanina nóg, silnych grzbietów, szeroko otwartych ust wznoszących okrzyk wojenny, ramion dobywających groźnych mieczy i oszczepów. Rozumiesz mnie, Lizypie? Rozumiesz, o co mi chodzi?

Pomnik zostanie wzniesiony w Macedonii i po wsze czasy słać będzie młodzieńców, którzy zginęli za ojczyznę, wzgardziwszy życiem pozbawionym chwały i sławy.

Chcę, abyś odlał w brązie ich życiową energię, chcę, aby twoja sztuka dokonała cudu, jakiego świat dotąd nie widział. Ludzie oglądający pomnik powinni zadrzeć z podziwu i przerażenia, tak jakby wojownicy mieli rzucić się do ataku, jakby z ich ust miał dobyć się okrzyk, który wykracza poza śmierć, poza mgły Hadesu, skąd nikt nigdy nie powrócił.

Lizyp przyglądał się władcy w milczeniu, z wyrazem zdumienia. Olbrzymie, stwardniałe i pozornie słabe dłonie trzymał nieruchomo wzdłuż ciała.

Aleksander uściskał je, mówiąc:

- Jestem pewien, że te dłonie potrafią dokonać cudu. Jeżeli tylko zechcesz, zwyciężysz każde wyzwanie. Jesteś podobny do mnie, Lizypie, dlatego też żaden inny rzeźbiarz nie zdoła wykonać mego posągu. Czy wiesz, co powiedział Arystoteles w dniu, w którym ukończyłeś pracę nad moim pierwszym portretem w Miezie? Powiedział: „Jeśli bóg istnieje, to ma dłonie Lizypa”. Wymodelujesz w brązie moich poległych towarzyszy? Uczynisz to?

- Uczynię, Aleksandrze, a dzieło to zadziwi świat. Przysięgam.

Aleksander skinał głową i popatrzył na Lizypa wzrokiem pełnym miłości i podziwu.

- Chodźmy! - rzekł, biorąc rzeźbiarza pod ramię. - Zjedz coś.

11

Następnego dnia po południu przybył Apelles wraz ze switą niewolników, kobiet i pięknych chłopców. Był bardzo elegancki, a nieco ekscentryczności nadawały mu naszyjniki z bursztynu i lazurytu, które miał na szyi, oraz szaty o żywych barwach. Wieść niosła, że Teofrast, autor

satyrycznej książki pod tytułem *Charaktery*, opisując cechy ekshibicjonisty, inspirował się właśnie postacią Apellesa.

Aleksander przyjął w swoim prywatnym apartamencie artystę wraz z piękną Kampaspe, która nosiła jeszcze dziewczęcy peplos - jedyny strój pozwalający jej odkryć plecy i wspaniały biust.

- Widzę, że zdrowie ci dopisuje, Apellesie. Cieszę się, że uroda Kampaspe w dalszym ciągu stanowi dla ciebie źródło inspiracji. Życie z taką muzą jest przywilejem nielicznych.

Kampaspe oblała się rumieńcem i podeszła do króla, by ucałować mu dłoń, ale Aleksander otworzył ramiona i przycisnął ją do piersi.

- Masz bardzo silne ramiona, panie - szepnęła Aleksandrowi do ucha w sposób, który rozbudziłby pożądanie nawet martwego mężczyzny.

- Mam też inne, równie silne rzeczy, na wypadek gdybyś nie pamiętała - wyszeptał w odpowiedzi.

Apelles zakasłał, chcąc ukryć zakłopotanie, i rzekł:

- Panie, ten obraz będzie arcydziełem, które przetrwa całe wieki, a raczej te obrazy, ponieważ mam zamiar wykonać dwa dzieła.

- Dwa? - spytał Aleksander.

- Oczywiście, jeśli wyrazisz zgodę.

- Zamieniam się w słuch.

- Na jednym obrazie sportretuję cię stojącego, w chwili, gdy ciskasz piorun, niczym Zeus. Obok ciebie namaluję orła, który jest jednym z symboli dynastii Argeadów.

Władca pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Panie, pragnąłbym, żebyś wiedział, że zarówno Parmenion, jak i Eumenes są zgodni co do tego, iż powinieneś być sportretowany w tej pozycji, zwłaszcza ze względu na efekt, jaki ten obraz wywrze na poddanych w Azji.

- Skoro tak twierdzą... A drugie dzieło?

- Na drugim pojawisz się na grzbiecie Bucefała, w chwili kiedy rzucasz włócznię. Będzie to wybitne dzieło, zapewniam cię.

Na te słowa Kampaspe zaśmiała się.

- O co chodzi? - spytał Apelles, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Proponowałabym trzeci obraz - odparła dziewczyna.

- Jaki? - spytał Aleksander. - Dwa nie wystarczą? Nie mogę spędzić reszty życia na pozwaniu Apellesowi.

- Nie sam - wyjaśniła Kampaspe, uśmiechając się złośliwie. - Miałam na myśli obraz, na którym król Aleksander byłby sportretowany pod postacią boga Aresa odpoczywającego po bitwie, z ryszunkiem porzucanym na pięknej łące pokrytej kwiatami, ja natomiast byłabym Afrodytą, z którą bóg zaznaje rozkoszy. Wiesz, obraz taki jak ten, który wykonałeś dla greckiego generała... Jak on się nazywał?

Apelles zbladł i niezauważalnie trącił dziewczynę łokciem.

- Chodźmy już, król nie będzie miał czasu na te wszystkie obrazy. Dwa w zupełności wystarczą, prawda, panie?

- Tak jest, przyjacielu. A teraz wybaczcie, ale Eumenes wypełnił mi dzień obowiązkami. Będę ci pozował przed wieczerzą. Sam zdecyduj, od którego tematu zacząć. Jeśli będzie to portret konny, każ wyszykować

konia z drewna, gdyż wątpię, żeby Bucefał miał cierpliwość pozować, nawet jeśli autorem dzieła będzie wielki Apelles.

Malarz, pokłoniwszy się królowi, wyszedł, ciągnąc za rękę stawiającą opór modelkę. Aleksander słyszał, że kiedy szli korytarzem, Apelles czynił jej wymówki.

W chwilę później Eumenes wprowadził nowych gości. Było to około dziesięciu wodzów plemion z terenów lądowych, którzy dowiedziawszy się o zmianie władcy, przybyli złożyć mu akt poddania.

Aleksander wstał, żeby się z nimi przywitać, i każdemu z wodzów mocno uściśnął rękę.

- O co proszą? - spytał tłumacza.

- Chcą wiedzieć, co mają dla ciebie uczynić.

- Nic.

- Nic? - powtórzył zdumiony tłumacz.

- Mogą powrócić do swych domów i żyć jak przedtem.

Mężczyzna, który wyglądał na przewodniczącego delegacji, szepnął coś do ucha tłumaczowi.

- Co powiedział?

- Powiedział: „A podatki?”

- Jeśli chodzi o podatki - wtrącił natychmiast Eumenes - to nie ulegają zmianie. Mamy wydatki i...

- Eumenesie, proszę cię - przerwał mu Aleksander. - Nie musisz rozwodzić się nad szczegółami.

Wodzowie plemion przedyskutowali coś między sobą, po czym stwierdzili, że są bardzo zadowoleni. Życzyli wszelkiej pomyślności nowemu władcy i podziękowali mu za przychyłność.

- Spytaj, czy zechcą zostać na wieczerzy - rzekł Aleksander.

Tłumacz przekazał pytanie.

- A więc?

- Bardzo ci są wdzięczni za zaproszenie, panie, ale mówią, że przed nimi daleka droga. Oczekują ich w domach, by pomogli przy udoju i podczas cielienia się krów i klaczy, a także...

- Rozumiem - uciął Eumenes. - Pilne sprawy państwowe.

Podziękuj im za przybycie - zakończył Aleksander. - Pamiętaj, żeby wręczyć im podarunki.

- Jakie podarunki?

- Nie wiem. Broń, szaty, co chcesz, ale nie odsyłaj ich z pustymi rękami. Są to ludzie staroświeccy, którzy potrafią docenić dobre maniery. A we własnych domach są królami, nie zapominaj o tym.

Wieczerzę podano po zachodzie słońca, kiedy Aleksander skończył pozować Apellesowi, siedząc na drewnianym koniu, jako że wybitny artysta zdecydował się rozpocząć pracę od trudniejszego tematu.

- Jutro udam się do stajni i każę wyprowadzić Bucefała, ponieważ on też musi mi pozować - stwierdził malarz, patrząc z pobłażaniem na wypchaną drewnianą kukłę, której wykonanie Eumenes zlecił w ostatniej chwili rzeźmieśnikowi z rekwizytorni teatralnej.

- Radzę ci więc, żebyś wziął od kucharza miodowe ciasteczka, dzięki którym zjednasz sobie względy Bucefała - zaproponował Aleksander. -

Bardzo je lubi.

Mistrz biesiadny oznajmił, że podano do stołu. Apelles kończył właśnie ogólny szkic postaci. Zsiadłszy z konia, Aleksander podszedł do malarza.

- Mogę zobaczyć?

- Nie mogę ci tego zabronić, panie, ale artysta nie lubi pokazywać dzieła przed zakończeniem pracy.

Kiedy władca rzucił okiem na obraz, nagle spowaźniał. Mistrz naszkicował węglem ogólne zarysy postaci, posługując się pośpiesznie wykonaną giętką kreską. Wykończył jedynie kilka szczegółów, takich jak oczy, pukle włosów, dłonie, rozdęte nozdrza Bucefała, kopyta grzebiące w ziemi.

Apelles śledził ukradkiem reakcje Aleksandra.

- Obraz nie jest skończony, to tylko szkic. Dzięki barwom i odpowiedniemu modelunkowi wszystko się zmieni i...

Aleksander uniósł rękę, żeby mu przerwać.

- Już teraz obraz jest arcydziełem, Apellesie. Widać w nim rękę mistrza, a resztę każdy potrafi sobie wyobrazić.

Udali się razem do sali biesiadnej, gdzie oczekiwali ich już pierwsi obywatele miasta, przełożeni szkół kapłańskich i towarzysze króla. Aleksander wydał wcześniej rozkaz, by nie przesadzać z zabawą, ponieważ nie chciał, by mieszkańcy Efezu wyrobili sobie błędną opinię o nim i jego przyjaciółach. Kobiety towarzyszące gościom grały, tańczyły i niewinnie żartowały. Wino podano na sposób grecki, to znaczy z trzema częściami wody.

Rozmowy biesiadników skupiły się na Apellesie i Lizypie, jako że byli bardzo znanymi artystami.

- Słyszałem coś naprawdę interesującego - oznajmił Kallistenes, zwracając się do Apellesa. - Mam na myśli portret, który wykonałeś dla króla Filipa.

- Doprawdy? - odparł Apelles. - Nie wiem, o co ci chodzi.

Wszyscy się roześmieli.

- Opowiem ci tę historię - ciągnął Kallistenes - w takiej formie, w jakiej ją usłyszałem. Król Filip posłał po ciebie, ponieważ pragnął umieścić swój portret w świątyni w Delfach. Powiedział ci: „Upiększ mnie trochę... Nie portretuj mnie od strony zezowatego oka, dodaj mi wzrostu, a włosy chciałbym mieć ciemniejsze, bez przesady, ale sam rozumiesz...”

- Jakbym go słyszał! - Eumenes się zaśmiewał, a naśladując sposób mówienia Filipa, dodał: - No, jak to? Sprowadzam najlepszego malarza, a potem mam mu wszystko mówić?

- Tak, przypominam sobie, tak właśnie powiedział! - Apelles śmiał się serdecznie.

- Mów, co było dalej - namawiał malarza Kallistenes.

- Nie, nie - wzbraniał się Apelles - wolę posłuchać.

- Skoro tak... No więc mistrz skończył obraz i wyniósł go na korytarz, żeby dostojny komitent mógł obejrzeć dzieło w świetle dziennym. Jeśli ktoś z was był w Delfach, na pewno widział ten piękny, cudowny portret. Król, przedstawiony na nim w złotej koronie, czerwonym płaszczu, z berłem w dłoni, podobny był do wielkiego Zeusa. „Podoba ci się, panie?” -

spytał Apelles. Filip przyjrzał się obrazowi z jednej strony, potem z drugiej, ale nie wydawał się przekonany. „Mam powiedzieć, co myślę?” - zapytał. „Oczywiście, panie” - odparł malarz. „Według mnie, wcale nie jest do mnie podobny”.

- To prawda! - zgodził się Apelles, zanosząc się od śmiechu. - Z chwilą kiedy namalowałem mu ciemniejsze włosy, bardziej zadbaną brodę i różową karnację, nie można go było rozpoznać.

- Co działo się potem? - spytał Eumenes.

- Teraz będzie najlepsze - ciągnął dalej Kallistenes - oczywiście, jeśli to wszystko prawda. Obraz przeniesiony został na korytarz, żeby można go było oglądać przy świetle dziennym. W pewnej chwili przechodził tamtędy stajenny, prowadząc za uzdę królewskiego wierzchowca. Mijając obraz, koń zatrzymał się, zaczął machać ogonem, poruszać łbem i głośno rzeć, pośród zdziwienia obecnych. Wtedy Apelles popatrzył na króla, na zwierzę, a w końcu na obraz, mówiąc: „Panie, czy ja też mogę powiedzieć, co myślę?” „Na Zeusa, mów proszę!” - odparł Filip. „Przykro mi to mówić, ale wydaje mi się, że twój koń zna się na malarstwie lepiej niż ty”.

- Święta prawda! - zawołał, śmiejąc się Apelles. - Przysięgam, że tak właśnie było.

- Co Filip na to? - zapytał Hefajstion.

- Filip? Wzruszył ramionami i rzekł: „Jak zwykle macie rację. Mimo wszystko odbierz zapłatę. Skoro już namalowałeś ten obraz, zatrzymam go”.

Wszyscy zaczęli bić brawa, a Eumenes potwierdził, że zapłata za obraz została uregulowana, pokazując na dowód szacowną fakturę.

Czując, że znajduje się w centrum uwagi, Apelles dalej odgrywał scenę niczym doświadczony aktor teatru. Aleksander przeprosił obecnych, mówiąc, że następnego dnia musi wstać bardzo wcześnie, żeby przeprowadzić inspekcję nadmorskich fortyfikacji, po czym wyszedł. Biesiada trwała nadal. Pojawiły się kolejne dzbany wina, tym razem czystsze, oraz nowe „towarzyszki”, tym razem śmielsze.

Kiedy Aleksander wrócił do swojego apartamentu, zastał Leptine czekającą na niego z zapaloną lampą. Dziewczyna była wyraźnie czymś zdenerwowana. Aleksander obserwował ją, kiedy szła przed nim, oświetlając drogę do sypialni. Nie potrafił odgadnąć powodu jej irytacji, lecz o nic nie pytał.

Kiedy stanął w drzwiach komnaty, zrozumiał wszystko. Na łóżku leżała naga Kampaspe, w pozie, która przywodziła na myśl heroinę jakiegoś mitu. Nie potrafił powiedzieć, czy była to Danae oczekująca złotego deszczu, czy Leda czekająca na łabędzia.

Dziewczyna wstała, podeszła do Aleksandra i rozebrała go. Następnie uklękła przed nim na dywanie i zaczęła składać pocałunki na jego udach i brzuchu.

- Słabym punktem twego przodka Achillesa była pięta - wyszeptała, podnosząc na króla oczy malowane bistro. - Przekonajmy się, czy pamiętam, jakie jest twoje słabe miejsce.

Aleksander pogłaskał dziewczynę po włosach. Uśmiechnął się na myśl, że Kampaspe pod wpływem Apellesa nie potrafiła mówić inaczej, jak tylko

słowami zaczerpniętymi z mitologii.

12

Wiosną Aleksander opuścił Efez, by udać się w kierunku Miletu. Lizyp, który zrozumiał, czego władca od niego oczekuje, wyruszył do Macedonii. Miał ze sobą pisemny rozkaz króla dla regenta Antypatra, nakazujący udostępnienie rzeźbiarzowi środków koniecznych do wykonania gigantycznego dzieła. Lizyp zatrzymał się najpierw w Atenach, gdzie odwiedził Arystotelesa prowadzącego regularne wykłady w Akademii. Filozof przyjął artystę w małym, przytulnym saloniku i poczęstował chłodnym winem.

- Król prosił mnie, żeby ci przekazać ukłony i pozdrowienia oraz powiadomić, że jak tylko będzie to możliwe, napisze do ciebie długi list.

- Dziękuję. Wieści o wyczynach Aleksandra szybko dotarły do Aten. Trzysta zbroi, które kazał wysłać na Akropol, przyciągnęły tłumy ludzi, a dedykacja, w której pominął Spartan, znana jest aż pod słupami Heraklesa. Aleksander wie, co uczynić, żeby wszyscy o nim mówili.

- Jakie nastroje panują wśród Ateńczyków?

- Pozostają pod dużym wpływem Demostenesa, ale wyczyny króla wywarły na nich niemałe wrażenie. Poza tym wielu z nich ma krewnych, którzy walczą w Azji w szeregach wojska albo we flocie, dlatego też starają się prowadzić ostrożną politykę. Nie powinniśmy jednak mieć złudzeń, bo jeśli król zginie w bitwie, natychmiast dojdzie do powstania i rozpoczną się poszukiwania i aresztowania wszystkich jego przyjaciół, poczynając ode mnie. Powiedz mi raczej, jak Aleksander postępuje na zdobytych terenach.

- O ile wiem, w sposób wyważony. W stosunku do pokonanych zachował się bardzo łaskawie, a w miastach ograniczył się do odnowienia demokracji, nie domagając się zmian istniejących reguł.

Arystoteles skinął głową, gładząc brodę na znak aprobaty, ponieważ jego uczeń wprowadzał w życie nauki mistrza. Po chwili filozof wstał, mówiąc:

- Miałbyś ochotę zwiedzić Akademię?

- Z największą przyjemnością - odparł Lizyp, podążając za Arystotelesem.

Udali się do wewnętrznego portyku i zaczęli spacerować wokół głównego dziedzińca, w cieniu wytwornej kolumnady z jońskimi kapitelami, wykonanej z marmuru sprowadzonego z gór Pentelikonu. Pośrodku dziedzińca, równo z poziomem ziemi, znajdowała się studnia o brzegu wykonanym z cegieł, który w jednym miejscu był głęboko wyżłobiony liną wiadra wyciąganego tą samą, odwieczną metodą. Jeden z niewolników właśnie czerpał wodę.

- Mamy czterech niewolników: dwóch z nich sprząta, a dwóch podaje do stołu. Często przyjeżdżają do nas goście z innych szkół, a niektórzy nasi uczniowie zatrzymują się tu na dłużej.

Przeszli następnie przez drzwi w kształcie łuku.

- W tej części mieści się wydział nauk politycznych, gdzie przechowujemy ponad sto siedemdziesiąt konstytucji różnych miast Grecji, Azji, Afryki i Italii, a tutaj - wyjaśnił Arystoteles, skręcając w korytarz, na

który wychodziło wiele innych drzwi - mamy wydział biologiczny ze zbiorami minerałów, roślin i owadów. W tej ostatniej części natomiast - ciągnął, wprowadzając gościa do dużego salonu - znajduje się zbiór rzadkich okazów zwierząt. Sprowadziłem z Egiptu specjalistę od taksonomii, który zajmuje się też balsamowaniem świętych kotów i krokodyli. Pracuje u nas na stałe.

Lizyp rozejrzał się wokół. Był zafascynowany nie tyle zabalsamowanymi strusiami, krokodylami czy sępami, ile raczej rysunkami anatomicznymi, w których dostrzegał biegłość artystów o dużym doświadczeniu.

- Trzeba oczywiście uważać na falsyfikaty i oszustwa - objaśniał Arystoteles. - Odkąd rozeszła się wieść o tym, że prowadzimy tego typu zbiory, otrzymujemy najdziwniejsze oferty, jak na przykład ichneumony, bazyliszki, a nawet centaury i syreny.

- Centaury i syreny?

- Tak. Zapraszają nas nawet, żebyśmy obejrzeliby te cuda przed zakupem.

- Jak to możliwe?

- To kwestia zwykłej taksonomii. Nie jest dziełem przypadku, że propozycje najczęściej nadchodzą z Egiptu, gdzie sztuka balsamowania znana jest od tysięcy lat. Dla egipskich balsamistów to żaden problem zszyć tułów człowieka z ciałem żrebięcia, zakryć umiejętnie szwy włosami i fragmentami grzywy, a następnie całość zabalsamować. Zapewniam cię, że końcowy wynik tych arcydzieł zręczności jest nie do pogardzenia.

- Wierzę.

Arystoteles podszedł do okna, z którego widać było Likabet porośnięty sosnami, a w tle akropol z olbrzymią sylwetą Partenonu.

- Jak sądzisz, co teraz robi? - spytał.

Lizyp zrozumiał, że myśl o Aleksandrze nawet na chwilę nie opuściła Arystotelesa.

- Wiem tylko, że skieruje się na południe, ale nikt nie zna jego prawdziwych zamiarów.

- Będzie szedł naprzód - rzekł filozof, zwracając się do rzeźbiarza. - Będzie szedł naprzód, aż mu starczy tchu, i nikt nie zdoła go zatrzymać.

Tymczasem Apelles, przebywający w Efezie, zajęty był malowaniem olbrzymiego portretu konnego króla Macedonii, który podjął marsz na Milet. Malarz skoncentrował się przede wszystkim na detalu głowy Bucefała, którą przedstawił z tak niezwykłym realizmem, że wydawało się, iż zwierzę wyskoczy z obrazu. Apelles pragnął wprawić w zdumienie swego zleceniodawcę i zorganizował już nawet transport, dzięki któremu miał udać się z obrazami do kolejnego obozu Aleksandra, aby pokazać władcy zakończoną pracę. Od wielu już godzin delikatnymi pociągnięciami pędzla starał się odtworzyć krwawą pianę wokół końskiego wędzidła, ale nie udawało mu się dobrać odpowiedniej tonacji barw. Co więcej, Kampaspe swym ciągłym mówieniem wyprowadzała Apellesa z równowagi, co dowodziło, że minęły już lata jego najgorętszej miłości.

- Jeśli się nie przymkniesz - wykrzyknął rozdrażniony malarz - nigdy mi się to nie uda!

- Ależ, mój drogi... - ciągnęła Kampaspe.

- Dosyć! - wrzasnął wyprowadzony z równowagi Apelles i rzucił w obraz gąbką nasączoną farbą. Traf chciał, że gąbka uderzyła dokładnie w kącik warg Bucefała, po czym spadła na ziemię.

- No, widzisz - popłakiwała dziewczyna - zniszczyłeś obraz! Teraz jesteś zadowolony? Pewnie powiesz, że to wszystko z mojej winy?

Ale artysta nie słuchał. Nie wierząc własnym oczom, zbliżył się do portretu, unosząc ramiona na znak zdziwienia.

- To niemożliwe - wyszeptał. - Nie, to niemożliwe.

Gąbka pozostawiła na wargach Bucefała ślad podobny do krwawej piany z takim realizmem, jakiego utalentowany artysta nigdy nie zdołałby osiągnąć.

- Przecież... - zaszczebotała Kampaspe, która również zdała sobie sprawę z zaistniałego cudu.

Apelles odwrócił się do niej, unosząc palec wskazujący tak, że omal dotykał jej nosa.

- Jeśli komukolwiek piśniesz, w jaki sposób powstał ten detal - to mówiąc, skierował drugi palec wskazujący na wspaniałą barwną plamę - zapewniam cię, że odgryzę ci ten piękny nosek. Czy to jasne?

- Jasne, mój ukochany - przytaknęła Kampaspe, cofając się.

W chwili gdy mówiła te słowa, była szczerą. Ponieważ jednak dyskrecja nie należała do jej największych cnót, po kilku dniach wszyscy mieszkańcy Efezu dowiedzieli się, w jaki sposób słynny Apelles namalował niezwykle szczegół krwawą pianę na wargach Bucefała.

13

Dowódca garnizonu z Miletu, Grek o imieniu Echesikratos, wysłał do Aleksandra posłańca, oznajmiając, że jest gotowy poddać miasto. Król dał więc swym oddziałom rozkaz wymarszu w celu zajęcia Miletu. Kierując się rozważą, wysłał szwadron jazdy dowodzony przez Kraterosa i Perdikkasa, aby dokonał zwiadu na drugim brzegu rzeki Meander.

Przekroczywszy rzekę, żołnierze wspięli się na zbocza góry Latmos, ale kiedy stanęli na szczycie, osłupieli na widok okrętów wojennych, które właśnie w tym momencie opływały przylądek Miletu i przygotowywały się do zamknięcia zatoki.

Za tymi kilkoma okrętami pojawiły się następne i w krótkim czasie zatoka zaroila się od setek statków, a morze zakipiało od tysięcy uderzających o wodę wiosł. Z daleka dobiegał nieco przytłumiony, a jednak wyraźny odgłos bębnow, które podawały rytm wiosłarzom.

- Och, bogowie! - wyszeptał Perdikkas. - Flota Persów!

- Jak myślisz, ile tu może być okrętów? - spytał Krateros.

- Setki... Dwieście albo nawet trzysta. A nasza flota właśnie tu płynie. Jeśli dadzą się zaskoczyć w zatoce, zostaną unicestwieni. Musimy jak najszybciej wrócić i powiadomić Nearchosa, żeby się zatrzymał. Persów jest chyba dwa razy więcej!

Zawrócili konie i pogalopowali z boczem w dół, kierując wierzchowce ku oddziałom, które miały podjąć marsz na południe. Po kilku godzinach odnaleźli wojsko na lewym brzegu Meandra i natychmiast podjechali do

króla. Aleksander w towarzystwie Ptolemeusza i Hefajstiona nadzorował przeprawę jazdy przez most, który inżynierowie ustawili z łodzi, w pobliżu ujścia rzeki.

- Aleksandrze! - zawołał Krateros. - Do zatoki Miletu wpłynęło trzysta okrętów wojennych. Trzeba zatrzymać Nearchosa, bo w przeciwnym razie zniszczą naszą flotę!

- Kiedy widzieliście okręty? - spytał posepnie król.

- Kilka godzin temu. Kiedy dotarliśmy na szczyt Latmosu, pojawiło się czoło floty, a potem przyplłynęły następne okręty. Nie było im końca. Potwory z czterema i pięcioma rzędami wiosł.

- Widziałem też wzmocnione ósemki - dodał Perdikkas.

- Jesteś pewien?

- Jak najbardziej! Mają zakrzywione dzioby z brązu, ważące pięć tysięcy libr.

- Musisz powstrzymać naszą flotę, Aleksandrze! Nearchos o niczym nie wie, a teraz znajduje się za przylądkiem Mykale. Jeśli go nie uprzedzimy, natknie się na Persów.

- Uspokójcie się! - rzekł król. - Mamy jeszcze trochę czasu. - Następnie zwrócił się do Kallistenesa, który siedział opodal na swoim podróżnym stołku: - Podaj mi, proszę, tabliczkę i rylec.

Kallistenes podał mu to, o co prosił, po czym Aleksander napisał pośpiesznie kilka słów i dał znak żołnierzowi ze swej straży przybocznej.

- Zanieś to czym prędzej sygnaliście na przylądku Mykale i powiedz mu, żeby natychmiast wysłał wiadomość do naszej floty. Mam nadzieję, że otrzymają ją na czas.

- Myślę, że tak - oznajmił Hefajstion. - Wieje wiatr Notos, sprzyjający Persom, którzy przybywają z południa, a przeciwny naszej flocie płynącej z północy.

Jeździec pogalopował przez most z łodzi w kierunku przeciwnym do przepływających się oddziałów, wołając, żeby mu schodzono z drogi. Później wspiał się po zboczu Przylądka Mykale, docierając do miejsca, z którego grupa sygnalistów ze służby terenowej nadzorowała flotę Nearchosa, znajdującą się po stronie północnej. Żołnierze mieli wypolerowane tarcze, których używali do nadawania sygnałów.

- Król rozkazał, żeby niezwłocznie wysłać tę wiadomość - rzekł posłaniec, podając tabliczkę. - Flota perska, licząca trzysta okrętów wojennych, znajduje się w zatoce Miletu.

Sygnalista spojrział w niebo, gdzie dostrzegł chmurę, którą wiatr pędził z południa.

- Nie mogę, musimy poczekać, aż przejdzie ta chmura. Spójrz, właśnie w tej chwili zasłania słońce.

- Do licha! - zaklął jeździec. - Dlaczego nie użyjecie chorągiewek?

- Są za daleko - wyjaśnił sygnalista. - Nie zobaczyliby nas. Musimy uzbroić się w cierpliwość. To kwestia kilku minut.

Cień chmury przesunął się już nad przylądek, podczas gdy flota płynęła w pełnym słońcu, w szeregu za okrętem admirała Nearchosa.

Zdawało się, że czas stanął w miejscu. Zbliżywszy się do zachodniego krańca przylądka, okręty zaczęły odwracać się prawą burtą, aby go

opłynąć.

Kiedy słońce wyjrzało w końcu zza ostatniego strzępka chmury, sygnaliści natychmiast rozpoczęli nadawanie. Po kilku chwilach wiadomość została nadana, flota zaś w dalszym ciągu posuwała się naprzód.

- Widzieli nas? - spytał posłaniec.
 - Mam nadzieję, że tak - odparł sygnalista.
 - Dlaczego więc się nie zatrzymują?
 - Nie wiem.
 - Nadajcie wiadomość ponownie, szybko!
- Sygnaliści podjęli kolejną próbę.
- Na Zeusa! Dlaczego nie odpowiadają?
 - Nie mogą. Teraz oni są w cieniu chmury.

Jeździec zagryzał wargi, chodząc tam i z powrotem. Co pewien czas rzucał spojrzenie w dół, w stronę oddziałów wojska, wyobrażając sobie nastrój króla.

- Dostali wiadomość! - wykrzyknął w pewnej chwili sygnalista. - Okręt admirałski zwija żagiel i zaczynają wiosłować. Za chwilę odpowiedzą.

Okręt admirała płynął teraz powoli i można było dostrzec wyraźnie, jak wzbija morską pianę piórami wiosł, które kierowały statek w stronę osłoniętego krańca przylądka. Na dziobie okrętu zabłysło światło, a sygnalista zaczął skandować:

- Ustawiamy... się... wzdłuż... brzegu... aż... do... rzeki. Wspaniale, zrozumieli. Jedź i powiadom czym prędzej króla, słońce utrudnia nadawanie z tego miejsca.

Jeździec zjechał po stoku i dotarł do Aleksandra, który zgromadził na plaży wyższe dowództwo.

- Królu! Nearchos otrzymał wiadomość, a teraz wykonuje manewr - oznajmił posłaniec, zeskakując z konia. - Za chwilę powinieneś zobaczyć, jak opływa przylądek.

- Świetnie - odparł Aleksander. - Z tej pozycji zobaczymy też ruchy floty perskiej.

Tymczasem olbrzymia eskadra Króla Królów zajmowała niemal całe lustro wody pomiędzy półwyspem Miletu a stokami góry Latmos, podczas gdy po przeciwnej stronie okręt admirałski Nearchosa opływał przylądek Mykale, przesuwał się wzdłuż brzegu i kierując w stronę ujścia rzeki Meander. Za nim podążały inne statki sprzymierzonej floty.

- Chyba ją uratowaliśmy - rzekł król. - Przynajmniej na razie.

- Istotnie - zauważył Krateros. - Jeśli nie przekazalibyśmy wieści o zbliżającym się niebezpieczeństwie, Nearchos natknąłby się na Persów i musiałby podjąć walkę z bardzo niedogodnej pozycji.

- Co zamierzasz teraz uczynić? - spytał króla Parmenion.

Zaledwie skończył mówić, przybył jeden z koniuszych z listem.

- Przynoszę wieści z Miletu, panie.

Aleksander otworzył list i przeczytał, co następuje:

Filotas, syn Parmeniona, do Aleksandra, pozdrawiam!

Echesikratos, komendant garnizonu stacjonującego w Milecie, zmienił

zдание i nie otworzy Ci bram miasta.

Obecnie liczy na pomoc floty Wielkiego Króla.

Bądź dobrej myśli i dbaj o siebie.

- Można się było tego spodziewać - rzekł Aleksander. - Teraz, kiedy perskie okręty zakotwiczone są w zatoce, Echesikratos uważa się za niepokonanego.

- Królu! - odezwał się jeden z koniuszych straży. - Nasz okręt admirałski spuścił szalupę, która zbliża się do wybrzeża.

- Tym lepiej. Dzięki temu nasi marynarze wezmą udział w naradzie wojennej.

W chwilę potem Nearchos stanął na ziemi, a wraz z nim przybył Ateńczyk Charilaos, dowódca zastępu sojuszników.

Aleksander przyjął ich bardzo serdecznie i przedstawił aktualną sytuację, po czym spytał o zdanie wszystkich obecnych, według wieku. Na początek pragnął wysłuchać opinii najstarszego dowódcy, Parmeniona.

- Nie jestem specjalistą w dziedzinie marynarki - zaczął stary generał - ale sądzę, że gdyby był tutaj król Filip, zaatakowałby flotę nieprzyjaciela z zaskoczenia, licząc na większą prędkość i lepszą zwrotność naszych okrętów.

Aleksander nagle stracił humor, co zdarzało się zawsze, kiedy publicznie porównywano go ze zmarłym władcą.

- Ojciec walczył tylko wtedy, kiedy miał duże szanse na zwycięstwo, w przeciwnym razie używał podstępów - oświadczył sucho.

- Według mnie podjęcie bitwy byłoby błędem - wtrącił Nearchos. - Pozostajemy w stosunku jeden do trzech, a za plecami mamy ląd, czyli niewielkie możliwości manewru.

Również pozostali dowódcy przedstawili swoje punkty widzenia, ale wkrótce wszyscy spostrzegli, że Aleksander ich nie słucha. Obserwował bowiem rybołowa, który fruwał, zakreślając szerokie kręgi nad plażą. W pewnej chwili ptak zanurkował z lotu, schwycił szponami dużą rybę, a następnie, szybko bijąc skrzydłami, wzniósł się na poprzednią wysokość i odfrunął wraz ze swym łupem.

- Widzieliście tę rybę? Zawierzywszy swej zwinności i znajomości morza, podpłynęła zbyt blisko brzegu, a wtedy rybołów wykorzystał nadarżającą się okazję. Postąpimy dokładnie tak samo.

- Co masz na myśli? - spytał Ptolemeusz. - Przecież nie mamy skrzydeł.

Aleksander uśmiechnął się.

- Mówiłeś mi już o tym, pamiętasz? Kiedy wkraczaliśmy do Tessalii, a przed nami pojawiła się góra Ossa, niezwykle trudna do przebycia.

- Rzeczywiście - przyznał Ptolemeusz.

- W porządku - oświadczył król. - Moim zdaniem, w tej sytuacji nie możemy ryzykować bitwy morskiej. Wróg ma nie tylko zdecydowaną przewagę liczebną, ale też większe i mocniejsze okręty. Jeśli nasza flota zostanie unicestwiona, mój autorytet upadnie. Grecy wywołają powstanie, a sojusz, który z takim trudem odbudowałem, rozpadnie się, co będzie miało tragiczne konsekwencje. Tak więc wydaję rozkaz następujący: wyciągnijcie na brzeg wszystkie okręty, w pierwszej kolejności te, które

przewożą rozmontowane maszyny oblężnicze. Złożymy je i przeniesiemy pod mury Miletu.

- Chcesz wyciągnąć na brzeg całą flotę? - spytał Nearchos z niedowierzaniem.

- Istotnie.

- Ależ, panie...

- Posłuchaj, Nearchosie. Czy sądzisz, że piechota, którą Persowie przewożą na pokładach okrętów, jest w stanie pokonać moją falangę stojącą w szyku na morskim brzegu?

- Myślę, że nie.

- Możesz być tego pewien - przyznał Leonnatos. - Nawet im to przez myśl nie przejdzie. A jeśli tylko spróbują, zniszczymy ich, zanim postawią stopę na lądzie.

- Słusznie - ciągnął Aleksander. - Nie zrobią więc tego.

- W każdym razie - powiedział Nearchos, który zrozumiał zamiary króla - nie pozostaną na morzu w nieskończoność... Starając się wzmocnić okręty, zwiększyli liczbę wioślarzy, przez co na pokładzie nie mają już miejsca na nic innego. Nie mogą gotować, nie mogą trzymać wystarczających zapasów wody, dlatego też są prawie zupełnie uzależnieni od zaopatrzenia na ziemi.

- Które my wstrzymamy z pomocą oddziałów jazdy - zakończył Aleksander. - Będziemy patrolować każdy zakątek na brzegu, przede wszystkim zaś ujścia wszystkich rzek i strumyków. Persowie będą na pełnym morzu, będą prażyć się w słońcu, cierpiąc głód i pragnienie, podczas gdy nam nie zabraknie niczego, co niezbędne.

Eumenes będzie nadzorował montaż maszyn oblężniczych. Perdikkas i Ptolemeusz poprowadzą atak na wschodnią stronę murów Miletu, jak tylko maszyny otworzą w nich wylom. Krateros, wspomagany przez Filotasa, poprowadzi jazdę wzdłuż wybrzeża, aby Persowie nie mogli dopłynąć do lądu. Parmenion stanie na czele ciężkiej piechoty, która będzie wspomagać inne działania, a pomoże mu w tym Klejtos. Czy tak, Klejtosie?

- Tak jest, królu! - odparł Klejtos.

- Świetnie. Nearchos i Charilaos będą nadzorować okręty stojące na brzegu, umieszczając w nich piechotę oraz uzbrojoną załogę. Jeśli zajdzie potrzeba, okopią się. Milet już wkrótce pożałuje nagłej zmiany decyzji.

14

Była pełnia wiosny, a południowe słońce świeciło wysoko na niebie. Przy tak pięknej pogodzie powierzchnia morza była gładka jak jedwab.

Aleksander, Hefajstion i Kallistenes stali na szczycie góry Latmos, skąd po prawej stronie widzieli przylądek Mykale, który przecinał morze niczym ostroga. W oddali można było dostrzec zarys dużej wyspy Samos, po lewej zaś masywny półwysep Miletu. Dwieście lat temu miasto zostało zburzone, ponieważ jego mieszkańcy ośmielili się sprzeciwić perskiej dominacji. Dzieła odbudowy grodu podjął się wybitny architekt Hippodamos, tworząc układ ulic, w którym główne, czyli „szerokie” ulice, przecinały się pod kątem prostym z „wąskimi”, występującymi w obrębie dzielnic. W najwyższym punkcie miasta Hippodamos zrekonstruował

świątynie akropolu, lśniące od wielobarwnych marmurów, ornamentów z brązu, złota i srebra oraz posągów, wznoszących się majestatycznie ponad rozległą zatoką. W centrum miasta architekt zaplanował duży plac, w którym zbiegały się wszystkie ulice i który stanowił ośrodek życia politycznego i ekonomicznego Miletu.

W niewielkiej odległości od wybrzeża położona była wysepka Lade, pełniąca jakby rolę przy wejściu do zatoki. Na północno-wschodnim krańcu zatoki, w pobliżu ujścia Meandra, widać było okręty Nearchosa, wyciągnięte na brzeg i otoczone fosą i palisadą. Konstrukcje te miały chronić okręty przed ewentualnym atakiem ze strony nieprzyjaciela.

Środek zatoki zajmowało trzysta okrętów Wielkiego Króla, które z tej odległości przypominały łódeczki, jaki mi bawią się dzieci.

- Niesamowite! - wykrzyknął Kallistenes. - Właśnie tutaj, w miejscu, które możemy objąć wzrokiem, rozstrzygnęły się losy wojen perskich. Ta wysepka opodal Miletu nazywa się Lade i właśnie tutaj Persowie unicestwili flotę powstańców greckich.

- Kallistenes zrobi nam teraz wykład z historii, jakby nie wystarczyło lekcji jego wuja Arystotelesa w Miezie - zauważył Hefajstion.

- Zamilcz! - uciszył go Aleksander. - Jeśli nie znasz przeszłości, nie zrozumiesz teraźniejszości.

- Tam, obok przylądka Mykale - ciągnął niewzruszony Kallistenes - dwadzieścia pięć lat później nasza flota pod dowództwem króla Sparty Leotychidasa wyrównała rachunki, podczas gdy flota perska stała na brzegu.

- Ciekawe - zauważył Hefajstion. - Dzisiaj role się odwróciły.

- Istotnie - przyznał Aleksander - nasi ludzie siedzą sobie wygodnie w cieniu, zajadając świeży chleb, natomiast Persowie od trzech dni smażą się w słońcu i żywią sucharami, o ile jeszcze je mają. Z pewnością ograniczyli już przydział wody do jednej lub dwu łyżek dziennie na osobę. Muszą w końcu podjąć decyzję: zaatakować czy wycofać się.

- Spójrz! - zawołał Hefajstion. - Nasze maszyny oblężnicze ruszyły. Przed wieczorem dotrą do murów miasta, a jutro uderzą na fortyfikacje.

W tej samej chwili nadjechał posłaniec z listem.

- Królu! Wiadomość od generałów Parmeniona i Klejtosa - oznajmił, wręczając Aleksandrowi tabliczkę. Władca przeczytał, co następuje:

*Parmenion i Klejtos do króla Aleksandra, bądź pozdrowiony!
Barbarzyńcy trzykrotnie już próbowali zejść na ląd w różnych punktach
wybrzeża, żeby zaopatrzyć się w wodę, ale ich odparliśmy.
Bądź dobrej myśli!*

- Wspaniale! - ucieszył się Aleksander. - Wszystko odbywa się tak, jak przewidziałem. Możemy już wracać.

Ścisnął boki Bucefała ostrogami i zaczął powoli zjeżdżać w stronę zatoki, pragnąc wyjść naprzeciw kolumnie machin oblężniczych, posuwającej się drogą do Miletu.

Eumenes wyjechał mu na spotkanie.

- Jaki widok rozciąga się z góry? - zapytał.

- Cudowny - odparł Hefajstion zamiast króla. - Widać, jak Persowie smażą się na wolnym ogniu. Wkrótce będą całkiem usmażeni.

- Zgadnijcie, kto przyjechał?

- Kto?

- Apelles. Ukończył twój portret konny, Aleksandrze, i pragnie ci go pokazać.

- Och, bogowie! Nie mam teraz czasu na dzieła malarskie, prowadzę wojnę! Podziękuj mu, zapłać i powiedz, że zobaczymy się, jak tylko będę miał trochę wolnego czasu.

- Jak sobie życzysz, ale to go rozzłości - zauważył Eumenes, po czym dodał: - O mało nie zapomniałem: brakuje wieści o Memnonie. Nic o nim nie wiadomo, jakby się rozpułnął.

- Nie wierzę - rzekł król. - Ten człowiek jest zbyt przebiegły... i niebezpieczny.

- Faktem jest, że nikt z nas nigdy go nie widział. Nie wiemy, jak wygląda. Poza tym mówią, że podczas bitwy nie używa żadnego znaku rozpoznawczego. Walczy w przyłbicy korynckiej bez ozdób, która zasłania mu całą twarz, z wyjątkiem naturalnie oczu. Trudno jest jednak rozpoznać człowieka w bitewnym zamęcie jedynie po oczach.

- Słusznie. W każdym razie nie wierzę w to zniknięcie. Odnależliście lekarza, który go leczył? Parmenion mówił, że nazywa się Arystones i pochodzi z Abydos.

- On też zniknął.

- Nadal obserwujecie jego dom w Zalei?

- Nie ma tam nikogo poza służbą.

- Nie przerywajcie poszukiwań, gdyż człowiek ten stanowi dla nas duże zagrożenie. Jest najbardziej niebezpieczny spośród wszystkich naszych przeciwników.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - odparł Eumenes, po czym dołączył do konwoju machin oblężniczych.

- Zaczekaj! - zawołał Aleksander.

- Jestem. O co chodzi?

- Powiedziałeś, że przybył Apelles?

- Tak, ale...

- Zmieniłem zdanie. Gdzie on jest?

- W obozie przy okrętach. Kazałem przygotować mu namiot i kąpiel.

- Dobrze zrobiłeś. Do zobaczenia!

- Ależ co... - Eumenes nie zdołał dokończyć zdania, gdyż Aleksander galopował już w stronę obozu.

Apelles był niezwykle poirytowany faktem, że nikt się nim nie zajmuje i że prawie żaden z tych nieokrzesanych ludzi nie rozpoznał w nim największego współczesnego malarza. Wszyscy natomiast wychwalali urodę Kampaspe, która kąpała się w morzu nago i chodziła w chitonie tak krótkim, że ledwie przykrywał jej łono.

Malarz rozchmurzył się dopiero na widok Aleksandra, który zsiadł z konia i szedł, otwierając ramiona w geście powitania.

- Mistrzu! Witaj w moim skromnym obozie! Niepotrzebnie się fatygowałeś, przyjechałbym do ciebie, kiedy tylko byłoby to możliwe.

Jestem ciekaw, jak wygląda owoc twego geniuszu.

Apelles lekko pochylił głowę w ukłonie.

- Nie było moim zamiarem przeszkadzać ci w środku tak ważnej wyprawy obłężniczej, ale nie mogłem się doczekać zaprezentowania ci mojej pracy.

- Gdzie jest obraz? - spytał Aleksander wyraźnie zaciekawiony.

- W namiocie. Wejź!

Król zauważył, że Apelles kazał sobie postawić namiot białego koloru, wewnątrz którego panowało jednolite oświetlenie, nie zniekształcające barw obrazu.

Artysta wprowadził Aleksandra do namiotu i zaczął, aż wzrok króla przyzwyczaił się do otoczenia. Portret znajdował się za zasłoną w rodzaju kurtyny, a obok niego stał sługa, który dzierżył w dłoni koniec sznurka, czekając na polecenia pana. Tymczasem nadeszła Kampaspe i zajęła miejsce u boku Aleksandra.

Apelles dał znak służącemu i ten zerwał zasłonę, ukazując obraz.

Aleksander zaniemówił z wrażenia, jakie wywarło na nim piękno emanujące z obrazu. Detale, które na etapie szkicu zachwyciły go tak bardzo, że sądził, iż dzieło można było uznać za skończone, teraz nabrały treści i siły wyrazu, połyskiwały wilgotnym blaskiem życia, wtapiały się w atmosferę, w cudownie wibrującą płaszczyznę kompozycji.

Sylwetka Bucefała przedstawiała tak dużą siłę ekspresji, że koń sprawiał wrażenie żywego, a jego rozszerzone nozdrza zdradzały wewnętrzne podniecenie. Nogi zwierzęcia zdawały się rozrywać płaszczyznę obrazu, by wskoczyć w realną przestrzeń i walczyć o nią z widzem. Jeździec był równie piękny, choć znacznie różnił się od postaci wyrzeźbionych przez Lizypa. Niezliczone tonacje barw pozwoliły artyście uzyskać niepokojący wręcz realizm postaci, który z jednej strony zapewniał większą sugestywność niż rzeźby w brązie, z drugiej zaś pozwalał ujawnić prawdziwe oblicze Aleksandra. Na twarzy króla dało się zauważyć niepokój i zapal zdobywcy, szlachetne rysy wielkiego władcy, ale także zmęczenie i pot, który skleił mu na skroniach kosmyki włosów. Władca miał szeroko otwarte oczy, zdradzające wysiłek, jaki wkładał w zapanowanie nad sytuacją, a jego czoło było zmarszczone niemal do bólu. Na szyi króla widać było naciągnięte ścięgna i żyły nabrzmiałe w bitewnym zapale. Konia dosiadał człowiek prawdziwie wielki, ale jednocześnie zmęczony i słaby, pozbawiony boskości typowej dla rzeźb Lizypa.

Apelles obserwował z niepokojem reakcje króla, obawiając się, że nagle dostanie on jednego ze swych słynnych napadów złości. Tymczasem Aleksander uściśnął malarza, mówiąc:

- Obraz jest wspaniały! Dzięki niemu mogę zobaczyć, jak wyglądałem w kluczowym momencie bitwy. Jak tego dokonałeś? Siedziałem przed tobą na drewnianym koniu, a Bucefała wyprowadzili na twoje żądanie ze stajni. Jak to możliwe?

- Rozmawiałem z twoimi ludźmi, panie, z towarzyszami, którzy walczą u twego boku, z wszystkimi, którzy cię dobrze znają. Mówiłem też z... - urwał i zmieszany, spuścił głowę - ...Kampaspe.

Aleksander zwrócił się do dziewczyny, która przyglądała mu się z

dwuznacznym uśmiechem.

- Mogłabyś zostawić nas na chwilę samych? - zapytał.

Kampaspe wyglądała na zaskoczoną, a nawet zagniewaną tym pytaniem, ale usłuchała, nie dyskutując. Kiedy tylko wyszła, Aleksander powiedział:

- Pamiętasz dzień, w którym pozowałem ci w Efezie?

- Tak - odparł Apelles, nie rozumiejąc, o co chodzi królowi.

- Kampaspe napomknęła o obrazie, do którego pozowała ci jako Afrodyta. Wykonałeś go dla... Właśnie miała powiedzieć imię tej osoby, kiedy dałeś jej znak, by zamilkła.

- Nic nie ujdzie twojej uwagi.

- Władca jest niczym artysta, ponieważ musi panować nad sytuacją i nie może sobie pozwolić na roztargnienie. Jeśli nie będzie uważał, zginie.

- To prawda - przyznał Apelles, podnosząc nieśmiało wzrok na Aleksandra i przygotowując się do trudnej chwili.

- Kto zamówił tamten obraz?

- Widzisz, panie, nie wiedziałem, że...

- Nie musisz się usprawiedliwiać. Artysta jedzie tam, gdzie go wzywają. Tak być powinno. Powiedz prawdę, nie musisz się obawiać, przysięgam.

- Memnon. To był Memnon.

- Nie wiem dlaczego, ale spodziewałem się usłyszeć to imię. Któż inny w tej okolicy mógłby sobie pozwolić na obraz pędzla słynnego Apellesa?

- Zapewniam cię jednak, że nie...

Aleksander przerwał mu w pół słowa.

- Mówiłem ci już, że nie musisz się tłumaczyć. Chciałbym tylko prosić cię o pewną przysługę.

- Wszystko, czego zechcesz, panie.

- Widziałeś jego twarz?

- Memnona? Jak najbardziej.

- Wobec tego wykonaj jego portret. Nikt z nas nie wie, jak wygląda, a musimy go rozpoznać, na wypadek gdybyśmy go spotkali, rozumiesz?

- Rozumiem, panie.

- No więc zrób to, o co prosiłem.

- Teraz?

- Teraz.

Chwyciwszy białą tabliczkę i węgiel, Apelles zabrał się do pracy.

15

Barsine z dziećmi zsiadła z konia, kierując się w stronę domu, w którym świeciło słabe światło lampy wiszącej w portyku. Weszła do atrium, gdzie czekał na nią mąż wsparty na kuli.

- Najdroższy! - wykrzyknęła i podbiegła do Memnona, obejmując go i całując. - Bardzo za tobą tęskniłam.

- Ojczy! - krzyknęli chłopcy. Memnon przycisnął ich do piersi, przymykając oczy ze wzruszenia.

- Chodźcie, chodźcie! Kazałem przygotować wieczerzę. Musimy uczcić ten dzień.

Znajdowali się w domu pośrodku posiadłości położonej między Miletem a Halikarnasem, którą udostępnił im perski satrapa Karii.

Wieczera została podana na sposób grecki, z biesiadnymi łóżkami i kraterem pełnym cypryjskiego wina. Memnon poprosił małżonkę i synów, by zajęli miejsca obok niego, po czym wyciągnął się na łożu.

- Jak się czujesz? - spytała Barsine.

- Świetnie, jestem już prawie zupełnie zdrow. Używam kuli, ponieważ lekarz zalecił mi, żebym jeszcze przez jakiś czas nie przeciążał nogi, ale czuję się dobrze i mógłbym już chodzić o własnych siłach.

- Boli cię zranione miejsce?

Nie. Dzięki cudownemu lekarstwu, które podał mi Egipcjanin, rana zagoiła się w ciągu kilku dni. Jedźcie, proszę!

Grecki kucharz roznosił świeży chleb, ser i kacze jaja na twardo, gdy tymczasem jego pomocnik nalewał do misek zupę z bobu, ciecierzycy i zielonego groszku.

- Co teraz będzie? - spytała Barsine.

- Posłałem po was, ponieważ mam wiele nowin. Król Królów osobistym dekretem mianował mnie naczelnym wodzem regionu Anatolii, co oznacza, że mogę wydawać rozkazy nawet satrapom, powoływać żołnierzy do wojska oraz dysponować dużymi sumami pieniędzy.

Synowie wpatrywali się w ojca z uwielbieniem i dumą.

- Krótko mówiąc, znowu podejmiesz działania wojenne - zauważyła Barsine bez entuzjazmu.

- Tak, już wkrótce, a w związku z tym... - ciągnął ze spuszczonej oczami tak, jakby sprawdzał barwę wina w kielichu.

- O co chodzi, Memnonie?

- Nie możecie tu zostać. Będziemy toczyć walkę na śmierć i życie, więc wszystkim nam będzie zagrażać niebezpieczeństwo... - Barsine kręciła głową z niedowierzaniem. - Musisz zrozumieć, taka jest wola Wielkiego Króla. Razem z dziećmi pojedziesz do Suzy. Zamieszkacie na dworze, otoczeni powszechnym szacunkiem.

- Król Królów chce nas trzymać jako zakładników?

- Nie, nie sądzę, chociaż nie jestem Persem, ale najemnikiem, sprzedajnym mieczem.

- Ja cię nie opuszczę.

- Ani my - dodali chłopcy.

Memnon westchnął.

- Nie mamy wyjścia. Jutro wyjedziecie. Wozem dostaniecie się do Kelajnaj, a tam będziecie już bezpieczni. Pojedziecie drogą królewską, gdzie nic wam nie będzie grozić, a pod koniec przyszłego miesiąca dotrzecie do Suzy.

Słuchając słów męża, Barsine spuściła wzrok, a z jej oczu spłynęły dwie duże łzy.

- Będę do ciebie pisał - obiecał Memnon. - Moje listy będą nadchodzić bardzo często, gdyż skorzystam z usług królewskich kurierów, do czego i ciebie namawiam. Kiedy wszystko się skończy, przyjadę do Suzy, a Wielki Król wręczy mi najwyższe odznaczenie i zapłaci za służbę.

Nareszcie będziemy mogli spokojnie żyć, gdzie tylko zechcesz, moja ukochana, tu, w Karii, lub w naszym pałacu w Zalei albo też w nadmorskiej Pamfyllii. Będziemy patrzeć, jak rosą nasze dzieci. A teraz

bądź dobrej myśli i nie czyni jeszcze trudniejszym naszego rozstania.

Barsine zaczekała, aż dzieci skończą jeść, po czym wysłała je na spoczynek. Synowie podchodzili kolejno do ojca, tuląc się do niego ze łzami w oczach.

- Nie chcę widzieć łez na twarzach moich młodych wojowników - rzekł Memnon.

Pokonawszy wzruszenie, chłopcy wypięli pierś i spoglądali na ojca, który podniósł się, by ich pożegnać.

- Dobrej nocy, moi synowie. Wyśpijcie się, bo czeka was długa podróż. Zobaczycie cudowne rzeczy, pałace lśniące tysiącami barw, bajeczne jeziora i ogrody. Będziecie jeść rzadkie owoce i dania. Będziecie żyć niczym bogowie. A teraz idźcie już spać!

Zgodnie z perskim zwyczajem chłopcy ucałowali ojca w rękę i wyszli.

Barsine kazała służącym odejść, a następnie odprowadziła Memnona do jego komnaty. Pomogła mu usiąść w fotelu i zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie czyniła z powodu silnego poczucia wstydu, które wpajano jej od dzieciństwa - rozebrała się i stanęła przed mężem nago, w czerwonym, ciepłym świetle zapalonych lamp.

Memnon patrzył na nią oczami Greka, który potrafi docenić prawdziwe piękno. Wodził wzrokiem po skórze barwy bursztynu, po delikatnym owalu twarzy, po smukłej szyi, krągłych ramionach, po silnej, prężnej piersi o ciemnych, nabrzmiałych brodawkach, po gładkim brzuchu i lśniącym wzgórku łonowym. Wyciągnął ramiona w stronę żony, lecz Barsine powstrzymała go i położyła się na łożu. Kiedy tak wpatrywał się w nią rozgorączkowanym wzrokiem, w przypiływie śmiałości rozchyliła uda, przewyciężając wstyd. Przed rozstaniem, być może na długo, pragnęła ofiarować swemu mężczyźnie najwyższe podniecenie i rozkosz, jaką była zdolna rozbudzić.

- Spójrz na mnie - powiedziała. - Zapamiętaj, jak wyglądam. Nawet jeśli weźmiesz do łóżka inne kobiety lub kiedy zaproponują ci młodych eunuchów o krągłych biodrach, pamiętaj o mnie, pamiętaj, że żadna inna kobieta nie odda ci się z taką miłością, jaką darzę cię ja i jaka plonie w moim sercu.

Mówiła cichym, a jednocześnie dźwięcznym głosem, tak ciepłym jak światło lamp, które padało na jej ciemną skórę lśniącą niczym brąz, zarysowując kształty ciała podobne do jakiegoś czarownego pejzażu.

- Barsine... - szeptał Memnon, zdejmując długą chlamidę i kładąc się nago obok żony. - Barsine...

Jego posągowe ciało, zahartowane w setkach bitew, pokrywały blizny, a długa czerwona szrama na udzie była śladem po ostatniej ranie. Ze wspaniałej muskulatury, ze zdecydowanego spojrzenia była ogromna, nieposkromiona energia i niezwykła siła życia.

Barsine pieściła męża spojrzeniem, podczas gdy zbliżał się do niej niepewnie. Kiedy wyciągnął się obok niej, delikatnie przesunęła dłońmi po jego mocnych udach, sięgając pachwiny, a pocałunkami wzbudziła żądzę w każdej części jego ciała. Następnie położyła się na nim, żeby w miłosnym porwywie nie odczuł bólu, po czym usiadła i zaczęła poruszać biodrami w sposób przypominający ów taniec, dzięki któremu zdobyła Memnona w

domu swego ojca, gdzie się poznali.

Kiedy zmęczeni leżeli znów obok siebie, pierwsze promienie słońca padały na pofałdowane sylwety wzgórz karyjskich.

16

Odgłos jednostajnych uderzeń tarana w mury Miletu odbijał się echem o górę Latmos, a od strony morza widać było kamienie, którymi miotały olbrzymie katapulty.

Perski admirał wezwał dowódców wszystkich oddziałów do kasztelu na rufie swojego okrętu, aby podyskutować o tym, co należało robić. Raporty oficerów były jednak zniechęcające, a ryzykowanie, by wygłodniali, osłabieni ludzie zeszli na ląd, było równoznaczne z samobójstwem.

- Popłynijmy na wyspę Samos - zaproponował jeden z Fenicjan z Arados.
- Zrobimy zapas wody i żywności, a później wrócimy i spróbujemy zejść na ląd, nacierając wszystkimi siłami na ich obóz. Moglibyśmy spalić okręty i zaatakować od tyłu oddziały stojące u bram Miletu, umożliwiając mieszkańcom miasta zorganizowanie wypadu. Zmusilibyśmy Macedończyków do działań na dwa fronty, na nierównym terenie, dzięki czemu mielibyśmy większe szanse.

- Jestem tego samego zdania - zgodził się jeden z dowódców cypryjskich. - Gdybyśmy zaatakowali ich od razu, zanim jeszcze okopali okręty, mielibyśmy większe szanse na zwycięstwo, ale teraz też może nam się udać.

- Zgoda - przyznał perski admirał, widząc, że wszyscy są tego samego zdania. - Popłyniemy do Samos, gdzie zdobędziemy wodę i żywność. Mój plan jest następujący: kiedy tylko załoga i żołnierze na pokładzie okrętów posilą się, wykorzystamy morską bryzę, żeby nocą wejść do obozu Macedończyków i przypuścić atak. Jeśli zdołamy ich zaskoczyć, spalimy obóz i zaatakujemy od tyłu oddziały stojące pod murami Miletu.

W chwilę później na maszcie okrętu admirała zaciągnięto sztandar, który dawał flocie znak, by opuścić wiosła i przygotować się do wypłynięcia.

Utworzono rzędy liczące po dziesięć okrętów, które na odgłos bębnow, dających sygnał do drogi, ruszyły na północ, w kierunku Samos.

Aleksander, który znajdował się właśnie pod północną stroną murów, usłyszał, jak jeden z jego ludzi woła:

- Odpływają! Flota Persów odpływa!

- Wspaniale - zauważył Seleukos, pełniący w tym momencie funkcję obozowego adiutanta króla. - Miasto będzie musiało się poddać. Teraz nie mają już żadnych szans.

- Zaczekaj! - powiedział Ptolemeusz. - Okręt admirałski nadaje jakąś wiadomość w stronę Miletu.

Istotnie, na rufie olbrzymiego okrętu, kierującego się na pełne morze, dało się zauważyć jakieś migotanie, a po chwili pojawiła się odpowiedź w postaci długiej czerwonej chorągwi, którą zatknęto na najwyższej wieży Miletu. Po niej ukazała się następna, w kolorze niebieskim, na koniec zaś chorągiew zielona.

- Potwierdzają, że otrzymali wiadomość - wyjaśnił Ptolemeusz. - Ponieważ jednak słońce znajduje się w niekorzystnej pozycji, nie mogą

zastosować sygnałów świetlnych.

- Jak myślisz, co to znaczy? - spytał Leonnatos.

- Oznacza to, że wrócą - odparł Seleukos. - Według mnie płyną do Samos po zapas wody i żywności.

- Przecież komendantem Samos jest Ateńczyk, nasz sojusznik - zauważył Leonnatos.

Seleukos wzruszył ramionami.

- Zobaczysz, że dostaną to, czego chcą. Ateńczycy boją się nas, ale i nie kochają. Wystarczy popatrzeć na ich oddziały, które mamy tutaj. Widziałeś, żeby kiedykolwiek brali udział w jakimś przyjęciu czy uroczystości wspólnie z nami? A ich oficerowie? Przyglądają ci się od góry do dołu, jakbyś był trędowaty, a na narady naczelnego dowództwa przychodzą tylko wtedy, kiedy zaproszenie nosi podpis Aleksandra, w przeciwnym razie nawet nie raczą się ruszyć. Jestem pewien, że na Samos perska flota zdobędzie wszystko, czego potrzebuje.

- Nieważne - rzekł Aleksander. - Nawet po zaspokojeniu pragnienia i głodu Persowie będą musieli zdecydować, czy wysiadać na ląd, czy nie, jako że nie mam zamiaru wysłać floty w morze. Nearchos jest tego samego zdania. Jediną rzeczą, którą należy teraz zrobić, jest patrolowanie wejścia do zatoki z szalup, by uniknąć niespodziewanego ataku w nocy lub o świcie. Powiadomcie admirała.

Było zatem jasne, że perska flota kieruje się do Samos. Aleksander powrócił pod mury miasta, aby wzmocnić oblężenie. Tymczasem Lizymach, nadzorujący maszyny oblężnicze, podejmował wysiłki, by przysunąć gigantycznych rozmiarów taran do miejsca, w którym poprzedniej nocy wykonano podkop. Spowodował on osłabienie murów, a nawet ich częściowe zawalenie.

- Chcę, żeby począwszy od tej chwili, uderzano w mury bez przerwy, w dzień i w nocy. Sprowadźcie też bęben Cheronei! Jego dźwięk musi dobiegać do miasta, wzbudzając strach mieszkańców. Bijcie w bęben tak długo, aż mury runą pod uderzeniami taranów.

Dwaj jeźdźcy natychmiast dosiedli koni i ruszyli galopem, żeby przekazać Nearchosowi rozkazy króla. Admirał wysłał w morze dziesięć szalup zaopatrzonych w dzbany z oliwą, która w razie potrzeby miała się palić przez całą noc, a także zorganizował transport wielkiego bębna pod mury Miletu.

W niedługi czas potem szalupy znalazły się daleko od brzegu, na rozległym odcinku morza, gdzie oczekiwały powrotu floty perskiej. Po chwili dał się słyszeć „łoskot Cheronei”, jak nazywali żołnierze ten pośpny, jednostajny i groźny dźwięk, który odbijał się teraz od pobliskich wzgórz, wędrując w kierunku wybrzeża. Odgłosom bębna towarzyszyły donośne uderzenia taranów, którymi setki żołnierzy starały się zburzyć mury, podczas gdy katapulty miotały kamienie w stronę tarasów, odstraszając obrońców miasta.

Kiedy jeden oddział opadał z sił, zastępował go następny, a kiedy psuła się jedna machina, natychmiast wchodziła na jej miejsce inna, sprawna. Mieszkańcy oblężonego miasta nie mieli chwili wytchnienia.

O zmierzchu perska flota, wykorzystując sprzyjającą bryzę, wpłynęła do

redy i z rozwiniętymi żaglami skierowała się ku obozowi Nearchosa. Jednak niewielkie oddziały żołnierzy na szalupach czuwały w ciemnościach. Kiedy tylko żołnierze dostrzegli zbliżające się olbrzymie sylwety perskich okrętów, otworzyli kolejno wszystkie dzbany z olejem, wylali ich zawartość do morza, tworząc w ten sposób długą smugę, którą na koniec podpalili.

Na powierzchni wody pojawił się raptem wąż płomieni, które oświetliły rozległy obszar morza, po czym trąby oddziałów na łodzi zagrały na alarm. Wkrótce wybrzeże zaroilo się od świateł i wypełniło okrzykami, a w blasku pochodni widać było żołnierzy, którzy przybiegli, by stawić czoło niebezpieczeństwu.

Perska flota nie próbowała nawet przepłynąć przez linię ognia, a dowódcy okrętów czym prędzej wydali załogom rozkaz wycofania się.

Kiedy weszło słońce, zatoka była pusta.

Nearchos pierwszy powiadomił o tym Aleksandra:

- Królu! Odpłynęli! Perskie okręty opuściły zatokę.

- Dokąd popłynęły? - spytał władca, podczas gdy adiutanci zapinali mu zbroję, a Leptine szła za nim, niosąc ulubiony kielich Nestora.

- Nie wiadomo, ale zwiadowca, który stoi na półwyspie Mykale, twierdzi, że widział ogon floty podążającej na południe. Według mnie odpłynęli i już nie wrócą.

- Oby bogowie cię wysłuchali, admirale.

W tej samej chwili nadszedł ateński dowódca Charilaos, uzbrojony od stóp do głów.

- Co o tym sądzisz? - spytał go Aleksander.

- Myślę, że mieliśmy szczęście - odparł Charilaos. - Ja w każdym razie nie zawahałbym się walczyć z nimi na otwartym morzu.

- Lepiej, że tak się to skończyło. Oszczędziliśmy ludzi i okręty.

- Co teraz? - spytał Nearchos.

- Zaczekajcie do popołudnia. Jeśli się nie pokażą, spuście okręty na wodę i bądźcie gotowi do zakotwiczenia.

Obydwaj oficerowie wyszli z namiotu i udali się do swych załóg. Aleksander wsiadł na konia i wraz z Seleukosem, Ptolemeuszem i Perdikkasem podążył w kierunku linii oblężenia. Powitał go huk tarana i „łoskot Cheronei”, a dopiero w następnej kolejności Parmenion.

Władca podniósł wzrok na mury i zauważył, że otwarto w nim wyłom, który powiększał się przy każdym uderzeniu maszyny. Zdołano również przysunąć do murów wieżę oblężniczą.

- Niebawem przypuścimy ostateczny szturm na miasto, królu! - wykrzyknął Parmenion, usiłując zagłuszyć panujący hałas.

- Przekazałeś żołnierzom moje rozkazy?

- Tak. Żadnych rzezi, gwałtów czy kradzieży. Ci, którzy nie usłuchają rozkazów, zostaną straceni na miejscu.

- Przetłumaczyliście to barbarzyńcom?

- Tak.

- Bardzo dobrze. Możesz zaczynać.

Parmenion skinął głową, a następnie dał znak jednemu ze swych ludzi,

by trzykrotnie zakołysał żółtym sztandarem. Wieża oblężnicza ponownie ruszyła, zbliżając się do murów. Jednocześnie dał się słyszeć głośny łoskot i duży fragment muru runął na ziemię pod wpływem uderzeń tarana, wzbijając tumany kurzu, w których trudno było odróżnić przyjaciół od wrogów.

W tym samym czasie z wieży oblężniczej spuszczone pomost na wierzchołek muru, dzięki czemu oddział Macedończyków przedostał się na taras, odpychając obrońców miasta, którzy trzymali pod ostrzałem wyłom w murze. Rozgorzała walka. Wielu Macedończyków spadło z bastionów lub barier kładek, ale szybko zdołali utworzyć przyczółek łączący się z tarasem i wyparli obrońców. Następnie zaczęli obrzucać gradem strzał i oszczepów tych, którzy znajdowali się po drugiej stronie wyłomu.

Zaledwie opadł kurz, przez wyrwę w murze ruszył oddział koniuszych, za którymi podążyła jednostka piechoty oblężniczej, złożona z Traków i Triballów.

Obrońcy Miletu, zniechęceni i wyczerpani nadludzkim wysiłkiem, któremu musieli sprostać, zaczęli ustępować, a oddziały Parmeniona przedostały się do miasta. Wielu milezyjskich żołnierzy o niższej pozycji społecznej poddało się, ratując życie, a greccy najemnicy i oddziały wyborowe, składające się z członków arystokracji, przewidując, jaki spotka ich los, pobiegli na drugi kraniec miasta, zdjęli zbroje i rzucili się z wież do morza. Uciekinierzy płynęli rozpaczliwie w kierunku wysepki Lade, gdzie znajdował się mały fort, który mógł posłużyć im jako ostatnia szansa obrony.

Aleksander wjechał konno do zdobytego miasta, kierując się ku zachodniemu fragmentowi murów. Można było stamtąd dostrzec uciekinierów znajdujących się pośrodku zatoki. Niektórzy z nich, zmęczeni, tonęli w morzu, inni zaś płynęli dalej, wykonując ramionami równomierne ruchy i zbliżając się do celu.

Władca pogalopował razem z Hefajstionem do obozu położonego u stóp góry Latmos, gdzie wszystkie okręty zostały już spuszczone na wodę. Wszedł na pokład okrętu admirałskiego i rozkazał wziąć kurs na Lade. Zanim dobito do brzegu, Aleksander dostrzegł, że żołnierze, którzy uratowali się z oblężenia, dotarli już do fortu. Byli uzbrojeni jedynie w miecze, a zmęczenie i przeprawa wpływ zmieniły ich nie do poznania - wyglądali jak widma. Aleksander nakazał Hefajstionowi pozostać na swoim miejscu, a sam ruszył w stronę fortu.

- Dlaczego schroniliście się właśnie tutaj?! - krzyknął.

- Ponieważ fort jest na tyle mały, że może go obronić zaledwie kilku ludzi.

- Ilu was jest?! - krzyknął ponownie Aleksander, stając pod murami fortu. Hefajstion i strażnicy otoczyli króla, chcąc chronić go tarczami, ale władca kazał im odejść.

- Wystarczająco dużo, żeby utrudnić wam zwycięstwo.

- Otwórzcie bramę, a nie stanie się wam nic złego. Potrafię docenić męstwo i odwagę.

- Kim jesteś, chłopcze? - spytał ten sam człowiek.

- Jestem królem Macedonii.

Hefajstion ponownie rozkazał strażom podejść pod mury, lecz Aleksander dał im znak, żeby się nie ruszali. Obrońcy Miletu naradzili się między sobą, po czym ten sam głos zapytał:

- Dajesz słowo króla?
- Masz moje królewskie słowo.
- Zaczekaj, zaraz zejdem.

Dał się słyszeć odgłos odsuwanych rygli, po czym drzwi fortu otworzyły się i pojawił się w nich człowiek, który rozmawiał z królem. Miał około pięćdziesięciu lat, długą, zaniedbaną brodę, włosy sklezione od słonej wody, wychudłe członki i pomarszczoną skórę. Stał przed Aleksandrem, który był zupełnie sam.

- Mogę wejść? - spytał król.

17

Żołnierze broniący Miletu, którzy dotarli wpław na wyspę Lade, poznawszy Aleksandra i zamieniwszy z nim kilka słów, przysięgli mu wierność. Większość z nich, w liczbie trzystu, wstąpiła w szeregi wojska, aby uczestniczyć wraz z nim w wyprawie.

Do zdobytego miasta odniesiono się z szacunkiem, nie pozwolono na kradzieże, a także przyjęto porządek dzienny, który przewidywał odbudowanie murów. Eumenes, z polecenia króla, powołał radę miejską, polecił przywrócić organy demokratyczne oraz zdecydował, że podatki, które dotychczas płacono Wielkiemu Królowi, będą przeznaczone dla Aleksandra. Po niedługim czasie zażądał zaliczki, co nie poprawiło już i tak krytycznej sytuacji finansowej wojska, związanej z olbrzymimi wydatkami wojennymi.

Następnego dnia, podczas narady wyższego dowództwa, sekretarz przedstawił sprawozdanie dotyczące stanu kasy, po którym wszyscy obecni poczuli się rozgoryczeni pomimo wielu odniesionych dotąd zwycięstw.

- Nie rozumiem - rzekł Leonnatos. - Wystarczy wyciągnąć rękę, by zdobyć to, czego potrzebujemy. Miasto jest bardzo bogate, a my zażądaliśmy tak małej kwoty.

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię - powiedział Ptolemeusz, uśmiechając się z pobłażaniem. - Teraz Milet jest częścią naszego królestwa, a więc gdybyśmy go ograbili, ograbilibyśmy jednocześnie jedno z miast macedońskich, takich jak Ajgaj czy Drabeskos.

- Król Filip myślał inaczej, kiedy zajął Olint i Potidaję - wtrącił Klejtos.

Na te słowa Aleksander znieruchomiał, ale się nie odezwał. Zapanowała cisza, którą przerwał Seleukos:

- To były inne czasy, Klejtosie. Król Filip musiał dać przykład, my natomiast łączymy cały świat grecki w jedną ojczyznę.

W tym momencie zabrał głos Parmenion:

- Przyjaciele, nie powinniśmy przejmować się podobnymi problemami, bo musimy wyzwolić jeszcze tylko Halikarnas. Zdobędziemy się na ten ostatni wysiłek i zakończymy nasze dzieło.

- Tak sądzisz? - spytał Aleksander, nieco urażony. - Nigdy nic takiego nie powiedziałem, nie ustaliłem granic ani końca naszej wyprawy. Ale jeśli nie czujesz się na siłach, generale, możesz zawsze zrezygnować.

Parmenion spuścił wzrok i przygryzł wargi.

- Mój ojciec nie chciał... - zaczął Filotas.

- Doskonale wiem, co chciał powiedzieć twój ojciec - wtrącił Aleksander - i nie miałem zamiaru upokarzać wspaniałego żołnierza. Generał Parmenion ma za sobą wiele bitew, oblężeń i nocnego czuwania, a nie jest już taki młody. Nikt nie będzie go potępiał, gdyby chciał powrócić do ojczyzny na jak najbardziej zasłużony odpoczynek.

Parmenion uniósł głowę i powiódł wzrokiem dookoła, jak lew otoczony szczeniętami, które stały się zbyt natrętne.

- Nie potrzebuję żadnego odpoczynku - rzekł - i czuję się na siłach, by nauczyć wszystkich tu zebranych, z wyjątkiem króla - było jednak jasne, że chciał powiedzieć „włącznie z królem” - jak posługiwać się mieczem. Jeśli więc sam mogę decydować, co mam czynić, istnieje tylko jeden sposób odesłania mnie do ojczyzny przed zakończeniem wyprawy - w urnie z prochami.

Zapanowała głęboka cisza. W końcu przerwał ją Aleksander:

- Miałem nadzieję to usłyszeć. Generał Parmenion pozostanie z nami, by wspomagać nas swą odwagą i doświadczeniem. Dziękujemy mu z całego serca. Teraz jednak - ciągnął dalej - muszę zapoznać was z poważną decyzją, którą podjąłem kilka godzin temu po głębokim namyśle. Chodzi mi o rezygnację z floty.

Słowa Aleksandra wywołały szmer w królewskim namiocie.

- Postanowiłeś zrezygnować z floty? - powtórzył z niedowierzaniem Nearchos.

- Tak - potwierdził Aleksander obojętnie. - Wydarzenia ostatnich dni wykazały, że jej nie potrzebujemy. Do transportu rozmontowanych części machin oblężniczych potrzeba nam dwudziestu okrętów. Będziemy iść naprzód drogą lądową, zdobywając wybrzeża i porty. Dzięki temu perska flota nie będzie mogła dobić do brzegu ani też uzupełnić zapasów.

- Zawsze mogą zejść na ląd w Macedonii - zauważył Nearchos.

- Wysłałem już list do Antypatra, prosząc go, żeby miał się na baczności. Sądzę jednak, że Persowie tego nie zrobią.

- Decyzja ta z pewnością pozwoli nam zaoszczędzić ponad sto pięćdziesiąt talentów dziennie, których nie mamy - wtrącił Eumenes. - Nie chciałbym jednak przeliczać jej na pieniądze.

- Poza tym - dodał władca - fakt, że nie będzie można liczyć na pomoc od strony morza, zwiększy motywację ludzi. Jutro powiadomię o mojej decyzji Charilaosa. Ty, Nearchosie, obejmiesz dowodzenie nad niewielką flotą, która nam pozostanie. Nie jest duża, ale za to ważna.

- Jak sobie życzysz, panie - zgodził się admirał. - Miejmy nadzieję, że masz rację.

- Na pewno ma rację - oznajmił Hefajstion. - Odkąd go znam, nigdy się nie pomylił. Popieram Aleksandra.

- Ja także - przyznał Ptolemeusz. - Nie potrzebujemy Ateńczyków. Jestem pewien, że niebawem przedstawią nam rachunek za współpracę i że będzie on bardzo wysoki.

- A więc wszyscy się zgadzacie? - zapytał król.

Wszyscy przytaknęli, z wyjątkiem Parmeniona i Klejtosa.

- Klejtos i ja nie zgadzamy się - rzekł Parmenion - ale to nie ma znaczenia. Król udowodnił już, że nie potrzebuje naszych rad. Wie jednak, że może liczyć na nasze oddanie i poparcie.

- Nieodzowne poparcie - przyznał Aleksander. - Gdyby nie pomoc Klejtosa, moja wyprawa do Azji dobiegłaby już końca. To on nad Granikiem odciął ramię człowieka, który chciał pozbawić mnie głowy. Nigdy o tym nie zapomnę. Ale teraz jedźmy, bo bardzo zgłodniałem! Jutro zwołam zgromadzenie wojska i o wszystkim je poinformuję.

Eumenes zamknął naradę i polecił, by przekazać zaproszenie na wieczór także oficerom ateńskim oraz Kallistenesowi, Apellesowi i Kampaspe, którzy chętnie je przyjęli. Sprowadził też wdzięczne „towarzyszki”, doświadczone w sztuce rozweselania grona młodzieńców. Wszystkie kobiety pochodziły z Miletu i były bardzo eleganckie. Olsniewały niezwykłą, tajemniczą urodą, typową dla piękności Wschodu. Ich ojcami byli ludzie przybyli drogą morską, matkami zaś kobiety, które zeszyły z rozległych wyżyn śródłądowych, wzdłuż biegu rzeki.

- Dajcie jedną z nich generałowi Parmenionowi! - wykrzyknął Leonnatos. - Przekonamy się, czy może nam dać lekcję posługiwania się włócznią, a nie tylko mieczem.

Dowcip Leonnatosa wszystkich rozśmieszył, rozładowując napięcie, jakie towarzyszyło tej trudnej chwili. Mimo iż żaden z uczestników biesiady nie odczuwał strachu, zbliżający się moment wypłynięcia floty miał charakter ostateczny, niczym przepowiednia. Żołnierze mieli opuścić ojczyznę, być może na zawsze.

Niedługo po rozpoczęciu uczty Aleksander wstał, by opuścić salę. Poczul się lekko zamroczony cypryjskim winem i zakłopotany rosnącą śmiałością Kampaspe, która mimo że nie była leworęczna, jadła i piła lewą ręką, jako że drugą trzymała w innym miejscu.

Opuściwszy biesiadę, Aleksander kazał przyprowadzić Bucefała, po czym pogalopował w stronę lądu, ponieważ zapragnął rozkoszować się zapachem wiosny i blaskiem księżyca w pełni, który właśnie wschodził.

Dziesięciu ludzi ze straży przybocznej natychmiast pojechało za królem, ale ich konie ledwo nadażały za Bucefałem, który nie zwolnił nawet na ścieżce wspinającej się na szczyt góry Latmos.

Aleksander jechał dość długo, a kiedy poczuł, że jego wierzchowiec pokrył się pianą, zwolnił i spokojnie przemierzał pofałdowany teren płaskowyżu, na którym widniały małe osady i pojedyncze domostwa wieśniaków i pasterzy. Żołnierze ze straży, znający upodobania króla, nie zbliżali się, tylko z daleka czuwali nad jego bezpieczeństwem.

Tymczasem władca co pewien czas dostrzegał patrole jazdy macedońskiej, przejeżdżające pośpiesznie pośród szczekania psów w pobliskich zagrodach i furkotu spłoszonych ptaków, którym przerwano nocny odpoczynek. Oddziały Aleksandra stopniowo wchodziły w posiadanie wewnętrznych terenów Anatolii - silnego królestwa, składającego się z antycznych wspólnot plemiennych. W pewnej chwili dostrzegł zamieszanie na drodze prowadzącej do niewielkiego miasta Alinda, wywołane przez grupę jeźdźców, którzy najeżdżali z pochodniami, wśród okrzyków i kłótni. Wyjął więc zza strzemienia

tradycyjny macedoński kapelusz z szerokim rondem, włożył go na głowę, po czym owinał się płaszczem i podjechał do żołnierzy. Jeźdźcy właśnie zatrzymali wóz eskortowany przez dwóch uzbrojonych ludzi, którzy unosili włócznie, nie chcąc dopuścić, by podróżni wysiedli. Aleksander zbliżył się do macedońskiego oficera, który dowodził chorągwią, dając mu znak, by podjechał. Oficer początkowo ociągał się, ale kiedy promień księżyca oświetlił białą strzałkę w kształcie bukranionu na czole Bucefała, rozpoznał swego króla.

- Panie, ależ co...

Aleksander dał mu znak, by mówił ciszej, i spytał:

- Co się tu dzieje?

- Moi żołnierze zatrzymali ten wóz, gdyż chcemy się dowiedzieć, kto nim jedzie i dlaczego podróżuje nocą pod eskortą. Oni jednak stawiają opór.

- Powiedz jeźdźcom, aby się oddalili, i wytłumacz ludziom z eskorty, że nie muszą się niczego obawiać i że osobom znajdującym się na wozie nie stanie się nic złego, pod warunkiem, że pokażą swe twarze.

Oficer wypełnił polecenie, lecz ludzie strzegący wozu ani drgnęli. Zza zasłony dał się jednak słyszeć kobiecy głos:

- Zaczekajcie, oni nie znają greckiego...

Po chwili z wozu wysiadła kobieta z zasłoniętą twarzą, zgrabnym ruchem stawiając nogę na stopniu. Aleksander poprosił oficera, aby oświetlił mu drogę pochodnią, i podjechał do wozu.

- Kim jesteś? Dlaczego podróżujesz nocą z uzbrojonymi ludźmi? Kto jest z tobą?

Kobieta ukazała niezwykle piękną twarz o dużych ciemnych oczach, przysłoniętych długimi rzęsami, i pełnych, ładnie wykrojonych ustach. Była dumna, pełna godności, zarazem jednak nieco zdenerwowana.

- Nazywam się... Mitrianes - odparła po namyśle. - Wasi żołnierze zajęli moją posiadłość u stóp góry Latmos, więc postanowiłam pojechać do męża, do Prusy w Bitynii.

Aleksander rzucił okiem na oficera i ten zapytał:

- Kto jest w wozie?

- Moi synowie - wyjaśniła kobieta, wzywając dzieci. Z wozu wysiedli dwaj chłopcy niezwyklej urody. Jeden z nich zdradzał duże podobieństwo do matki, drugi zaś był zupełnie inny - miał zielononiebieskie oczy i jasne włosy.

Król przyjrzał się im uważnie.

- Rozumieją język grecki?

- Nie - odparła kobieta, lecz uwagi Aleksandra nie umknęło porozumiewawcze spojrzenie, jakie rzuciła synom, jakby pragnęła powiedzieć: „Nie odzywajcie się”.

- Twój mąż chyba nie jest Persem, gdyż ten chłopiec ma niebieskie oczy i blond włosy - powiedział król, który zorientował się, że kobieta jest zdenerwowana. Zdjął kapelusz, odsłaniając twarz, i podszedł bliżej, oczarowany jej urodą i siłą arystokratycznego spojrzenia.

- Mąż jest Grekiem. Był... lekarzem satrapy Frygii. Od dłuższego czasu nie otrzymuję od niego wiadomości i obawiam się, że przydarzyło mu się

coś złego. Próbuje go odnaleźć.

- Ale nie teraz, to zbyt niebezpieczne dla kobiety z dwójką dzieci. Tej nocy będziesz moim gościem, a jutro możesz ruszyć dalej pod lepszą ochroną.

- Proszę cię, moźny panie, nie martw się o nas. Jestem pewna, że jeśli pozwolisz nam jechać, nie spotka nas nic złego. Przed nami daleka droga.

- Bądź spokojna! Nie musisz się niczego obawiać, ani ty, ani twoje dzieci. Nikt nie ośmielił się was skrzywdzić. - Następnie zwrócił się do swych żołnierzy, mówiąc: - Eskortujcie ich do obozu!

Wskoczył na konia i odjechał w towarzystwie straży przybocznej, która ani na chwilę nie spuściła go z oka. Po drodze spotkali Perdikkasa, zaniepokojonego zniknięciem króla.

- Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo i jeśli tylko powiedziałbyś mi, że chcesz udać się na przejażdżkę...

Aleksander przerwał mu:

- Nic się nie stało, przyjacielu, sam potrafię o siebie zadbać. Jak przebiega uczta?

- Jak zwykle, tylko wino jest zbyt mocne, a ludzie nie są przyzwyczajeni.

- Będą musieli przyzwyczać się jeszcze do wielu rzeczy. Chodź, wracamy!

Przybycie wozu z obcą eskortą wywołało w obozie niezwykle podniecenie i ciekawość. Peritas zaczął szczeakać, a Leptine dopytywała się:

- Kto jest w tym wozie? Gdzie ich spotkaliście?

- Przygotuj kąpiel w tamtym namiocie - rozkazał jej król - a także łóżka dla kobiety z dwójką dzieci.

- Kobieta? Panie mój, kim jest ta kobieta?

Aleksander spojrzał karcąco na Leptine, zaczęła więc czym prędzej wypełniać polecenie. Po chwili dodał:

- Kiedy się rozgości, powiedz jej, że czekam na nią w swym namiocie.

Z pobliskiego pawilonu rady wojennej dochodziły nieprzyzwoite okrzyki ludzi upojonych winem, fałszywe dźwięki piszczałek i fletów, piski kobiet, a przede wszystkim głos Leonnatosa, który brzmiał najgłośniejszym ze wszystkich.

Aleksander kazał przynieść trochę jedzenia, świeże figi, miód i mleko, po czym wziął do ręki portret Memnona, który Apelles zostawił na stole. Wielkie wrażenie wywarł na nim sposób, w jaki malarz oddał wyraz zagadkowej melancholii na twarzy postaci. Po chwili położył ponownie obraz na stole i zaczął czytać korespondencję z ostatnich dni. Był wśród niej list Antypatra. Pisał w nim, że w pałacu panuje względny spokój, przerywany interwencjami królowej, pragnącej zajmować się sprawami państwa, które nie leżą w jej kompetencjach. Kolejny list pochodził od Olimpias. Skarżyła się na regenta, że pozbawił ją wszelkiej swobody i możliwości działania w sposób godny jej randze i roli. Ani słowem nie wspomniała o okazałych prezentach, które Aleksander wysłał jej po zwycięstwie nad Granikiem. Być może jeszcze ich nie dostała.

Kiedy podniósł wzrok znad korespondencji, stała naprzeciw niego. Miała odsłoniętą twarz, a jej oczy były delikatnie podkreślone czarną kreską, na sposób egipski. Ciało kobiety spowijała szata z zielonego lnu, tkanego w orientalne wzory, a jej kruczoczarne włosy zaczesane były do góry i przewiązane srebrną wstążką, jak to czyniły Greczynki. Aleksandrowi wydawało się, że cudzoziemka promieniuje jeszcze blaskiem księżyca, w którym ujrzał ją po raz pierwszy. Podeszedł do niej, a ona przyklękła, aby ucałować jego rękę.

- Panie, wybacz mi, nie wiedziałam.

Aleksander wziął ją za ręce i pomógł wstać. Ich spojrzenia spotkały się w tak bliskiej odległości, że król poczuł fiołkowy zapach jej włosów. Był oszołomiony. Nigdy dotąd tak gorąco nie pragnął wziąć kobiety w ramiona. Zauważyła to, ale jednocześnie dostrzegła w jego spojrzeniu siłę, której nie potrafiła się oprzeć i która przyciągała ją tak, jak światło lampy przyciąga nocnego motyla.

Spuściła wzrok, mówiąc:

- Przeprowadziłam synów, żeby ci oddali cześć.

Cofnęła się do wyjścia i wpuściła ich do namiotu. Aleksander podeszedł do tacy z jedzeniem.

- Proszę, jedzcie, nie krępujcie się.

Kiedy odwracał się w stronę chłopców, uchwycił jeszcze wzrokiem scenę, która błyskawicznie rozegrała się za jego plecami. Jeden z chłopców bardzo zdziwił się na widok leżącego na stole portretu Memnona, ale matka popatrzyła na niego surowo i ścisnęła za ramię.

Król udał, że niczego nie widział, i spytał:

- Nic nie będziecie jedli? Nie jesteście głodni?

- Dziękuję ci, panie - odparła kobieta - ale jesteśmy bardzo zmęczeni i chcemy udać się na spoczynek, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście. Idźcie, proszę. Leptine zanieś posiłek do waszego namiotu. Jeśli w nocy poczujecie pragnienie lub głód, będziecie mogli się napić i coś zjeść.

Wezwał dziewczynę i polecił jej odprowadzić gości. Następnie wrócił do stołu, usiadł i ponownie zaczął oglądać portret swego wroga, jakby chciał wyczytać w spojrzeniu Memnona tajemnicę jego niezwykłej energii.

O północy w obozie panowała kompletna cisza. Żołnierz pełniący nocną wartę wykonał obchód, a dyżurny oficer sprawdził, czy przy bramach czuwają strażę. Kiedy ucichły nawoływania i wymiana haseł, z namiotu dla gości ostrożnie wysunęła się postać okryta płaszczem i skierowała się do namiotu króla.

Peritas spał na legowisku, a wiatr od morza niósł woń słonej wody, spychając wszelkie inne zapachy w stronę lądu. Dwaj strażnicy, pełniący wartę przy królewskiej kwaterze, wspierali się na włóczniach, stojąc po obu stronach wejścia.

Postać w płaszczu, dzierząca tacę, zatrzymała się, by na nich spojrzeć, po czym zdecydowanym krokiem podeszła do wartowników.

- To Leptine - rzekł jeden z żołnierzy.

- Witaj, Leptine. Może później przyjdiesz dotrzymać nam towarzystwa? Jesteśmy zmęczeni i czujemy się bardzo samotni.

Kobieta potrząsnęła głową tak, jakby była przyzwyczajona do tego typu żartów, poczęstowała żołnierzy słodyczami z tacy i weszła do namiotu.

Stojąc w świetle dwóch lamp, zsunęła płaszcz, odkrywając dumną twarz cudzoziemki. Skierowała wzrok na portret Memnona, który nadal leżał na stole, i dotknęła go czubkami palców. Po chwili wyjęła z włosów długą szpilkę z bursztynową końcówką i cicho podeszła do zasłony oddzielającej sypialnię króla od reszty namiotu. Po drugiej stronie świeciło się słabe światło trzeciej lampy. Odsunęła zasłonę i weszła. Aleksander spał, leżąc na wznak w wojskowej chlamidzie, a obok jego posłania stał wieszak ze zbroją, którą wyniósł ze świątyni Ateny Trojańskiej.

Tymczasem w odległej Pelli królowa Olimpias odwróciła się na swym łożu męczona sennym koszmarem i nagle usiadła przerażona, wznosząc głośny, mrozący krew w żyłach okrzyk, który rozniósł się echem po wypełnionych ciszą komnatach królewskiego pałacu.

Kobieta w lewej dłoni trzymała szpilkę skierowaną w serce Aleksandra, prawą rękę zaś uniosła do góry, chcąc pchnąć nią bursztynowe zakończenie, ale w tej samej chwili król obudził się i spiorunował ją wzrokiem. Prawdopodobnie wskutek cienia, który padał ukośnie od lampy, jego lewe oko, czarne niczym węgiel, wydawało się okiem jakiejś nadprzyrodzonej istoty, tytana, niemal mitycznego monstrum. Uniesiona ręka kobiety zawisała w powietrzu, niezdolna zadać śmiertelnego ciosu.

Aleksander powoli wstał, wypinając pierś w kierunku brązowego ostrza, na którym pojawiła się kropla krwi. Wpatrywał się w kobietę bez zmrużenia powiek.

- Kim jesteś? - zapytał, stając przed nią. - Dlaczego chcesz mnie zabić?

19

Kobieta wypuściła z dłoni szpilkę i wybuchnęła płaczem, ukrywając twarz w dłoniach.

- Powiedz mi, kim jesteś - nalegał Aleksander. - Nie zrobię ci nic złego. Zauważyłem reakcję twego syna na widok portretu Memnona. To twój mąż, prawda? Czy to prawda? - powtórzył głośniejszym głosem, ściskając ją za przeguby dłoni.

- Nazywam się Barsine - odparła kobieta słabym głosem, nie podnosząc wzroku - i jestem żoną Memnona. Proszę cię, nie rób krzywdy moim dzieciom, a jeśli obawiasz się zemsty bogów, nie okrywaj mnie hańbą. Mój mąż zapłaci wysoki okup, każdą cenę, byleby tylko odzyskać rodzinę.

Aleksander uniósł twarz Barsine i spojrzał jej prosto w oczy, czując, że pała do niej miłością. Zrozumiał, że gdyby tylko zatrzymał przy sobie tę kobietę, sprawiłaby, że zgodziłby się na wszystko. W jej spojrzeniu dostrzegał dziwny lęk, różniący się od strachu matki i obawy kobiety uwięzionej. Widział oznaki głęboko skrywanego wzruszenia, nad którym starała się panować całym wysiłkiem lekko już osłabionej woli.

- Gdzie jest Leptine? - spytał ją.

- W moim namiocie, pod nadzorem chłopców.

- Włożyłaś jej płaszcz...

- Tak.

- Mam nadzieję, że nic jej nie zrobiliście.

- Nie.

- Pozwolę ci odejść, a to, co się stało, będzie naszym sekretem. Nie potrzebuję okupu, bo nie prowadzę wojny z kobietami i dziećmi. Kiedy spotkam twego męża, będę się z nim bił osobiście. Zwycięzę, jeśli się upewnię, że w nagrodę będę mógł położyć się obok ciebie. A teraz idź już i przyślij mi Leptine. Jutro każę cię eskortować, dokąd zechcesz.

Barsine ucałowała dłoń Aleksandra, cicho szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa w ojczystym języku, a następnie skierowała się do wyjścia. Aleksander jednak zawołał:

- Zaczekaj!

Podszedł do Barsine, która patrzyła na niego błyszczącymi oczami, objął jej twarz dłońmi i pocałował w usta.

- Żegnaj! Nie zapomnij o mnie!

Wyprowadził kobietę z namiotu i spoglądał, jak się oddala, podczas gdy dwaj pezetajrowie, stojący na straży, na widok króla wyprostowali się niczym włócznie, które dzierżyli w dłoniach.

Niebawem powróciła Leptine. Była zagniewana i zdenerwowana faktem, że przetrzymywali ją dwaj chłopcy, lecz Aleksander uspokajał:

- Nie denerwuj się, Leptine. Ta kobieta bała się, że padnie ofiarą przemocy, ale uspokoiłem ją. Teraz udaj się na spoczynek, bo chyba jesteś bardzo zmęczona.

Pocałował ją i poszedł spać.

Następnego dnia Aleksander polecił eskortować Barsine do brzegów Meandra, wręczając jej królewski glejt, a przez około dziesięciu stadionów osobiście towarzyszył niewielkiemu konwojowi.

Kiedy Barsine zobaczyła, że król zatrzymuje się, odwróciła się w geście pożegnania.

- Kto to jest? - spytał młodszy syn, Phraates. - Dlaczego na jego stole leżał portret ojca?

- To wielki wojownik i sprawiedliwy człowiek - odparła Barsine. - Nie wiem, z jakiego powodu przechowuje portret waszego ojca. Być może dlatego, że Memnon jest jedynym człowiekiem na świecie, którego można z nim porównać.

Odwróciwszy się ponownie, zobaczyła, że Aleksander, siedzący na grzbiecie Bucefała, nadal znajduje się w tym samym miejscu, na szczycie wzgórza smaganego wiatrem. Właśnie taki wizerunek króla miała zachować w pamięci.

Przez dziesięć dni Memnon przebywał na wzgórzach wznoszących się wokół Halikarnasu, czekając, aż wszyscy jego ludzie, którzy przeżyli bitwę nad Granikiem, w liczbie tysiąca, dotrą do niego. W jakiś czas potem, nocą, wjechał konno do miasta, zupełnie sam, mając na sobie płaszcz i perski turban, który zakrywał mu prawie całą twarz. Jechał w kierunku domu rady.

Aula zgromadzeń znajdowała się w pobliżu olbrzymiego Mauzoleum, będącego monumentalnym grobowcem Mauzolososa, dynastycznego władcy

Karii, który uczynił miasto stolicą swego królestwa. Świecący wysoko na niebie księżyc rozjaśniał budowlę w kształcie kamiennego sześcianu, zwieńczonego jońskim perypterem, na szczycie którego wznosiła się piramida schodkowa, podtrzymująca potężną kwadrygę z brązu, z postacią zmarłego. Dekoracja rzeźbiarska Mauzoleum, dłuta najwybitniejszych artystów starszego pokolenia, takich jak Skopas, Bryaksis i Leochares, przedstawiała sceny z mitologii greckiej. Od dłuższego już czasu była częścią miejscowej kultury. Popularne stały się zwłaszcza opowieści z akcją rozgrywającą się tradycyjnie w Azji, jak na przykład walka Greków z Amazonkami.

Memnon zatrzymał się na chwilę przed płaskorzeźbą przedstawiającą greckiego wojownika, który trzymał Amazonkę za włosy, a nogą przyciskał jej ciało do ziemi. Dowódca najemników zawsze się zastanawiał, dlaczego szlachetna sztuka grecka zawiera tak wiele scen przemocy w stosunku do kobiet. Doszedł do wniosku, że u źródła tego zjawiska leżał strach, ten sam strach, z powodu którego Grecy zamykali żony w gineceach, a podczas uczt korzystali z obecności „towarzyszek”. Pomyślał o Barsine, która z pewnością przemierzała już bezpiecznie trakt królewski ze złotymi barierami, i nagle poczuł olbrzymią tęsknotę. Wspomnił jej nogi jak gazeli, ciemną cerę, fiołkowy zapach włosów, zmysłowy głos, arystokratyczną dumę.

Uderzył ostrogami boki konia i pojechał dalej, próbując zwalczyć melancholię, jednak nadzwyczajne pełnomocnictwa, jakie przekazał mu osobiście Król Królów, niewiele mu w tym pomogły.

Przejechał obok brązowego pomnika najwybitniejszego obywatela Halikarnasu i autora *Dziejów*, szlachetnego Herodota, który pierwszy opowiedział o krwawych bitwach Greków z barbarzyńcami w czasach wojen perskich i chyba jako jedyny pojął ich głęboki sens. Oceniał je bowiem z pozycji osoby, której ojcem był Grek, matką zaś Azjatka.

Dotarłszy do budynku rady, Memnon zsiadł z konia, wszedł po schodach oświetlonych dwoma rzędami lamp w kształcie olbrzymich trójnogów, kilkakrotnie zapukał do drzwi, a kiedy mu otworzono, powiedział, odsłaniając twarz:

- Nazywam się Memnon. Przed chwilą przyjechałem.

Wprowadzono go do sali, w której zebrali się już przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych miasta: perscy komendanci garnizonu, ateńscy generałowie Efiates i Trazybulos, dowodzący oddziałami najemników, oraz satrapa Karii Orontobates, tęgi Pers, który wyróżniał się jaskrawym ubraniem, kolczykami, drogocennym pierścieniem i wspaniałym akinakesem z litego złota, wiszącym u boku. Obecny był także miejscowy dynasta, król Karii Piksodaros, w wieku około czterdziestu lat. Miał czarną brodę i włosy przyprószone siwizną na skroniach. Przed dwoma laty chciał wydać córkę za jednego z książąt Macedonii, lecz do ślubu nie doszło i musiał zadowolić się perskim satrapą Karii Orontobatesem, który obecnie był jego zięciem.

Dla przewodniczących zgromadzenia przygotowano trzy fotele, z których dwa zajmowali już Piksodaros i Orontobates, trzeci zaś, po prawej stronie satrapy, przeznaczony był dla Memnona. Wszyscy najwyraźniej

czekali na jego przemówienie.

- Mężowie z Halikarnasu i Karii! - zaczął Memnon. - Król Królów powierzył mi odpowiedzialne zadanie powstrzymania inwazji władcy Macedonii, a ja mam zamiar wykonać je za wszelką cenę.

Jako jedyny spośród zgromadzonych widziałem Aleksandra z bliska. Tylko ja walczyłem z jego wojskiem włócznią i mieczem, dlatego zapewniam was, że nasz nieprzyjaciel jest niezwykle groźny. Jest nie tylko odważny, a nawet zuchwały na polu bitwy, ale także zręczny i nieodgadniony. Ze sposobu, w jaki zajął Milet, możemy wnioskować, do czego jest zdolny, nawet w warunkach naszej przewagi na morzu.

Nie mam jednak zamiaru dać się zaskoczyć. Halikarnas nie padnie. Sprawimy, że pod murami miasta wojsko Aleksandra straci wszystkie siły i się wykrwawi. Zapasy będą do nas napływać drogą morską, dzięki czemu wytrwamy do końca. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, dokonamy wypadu i zmiażdżymy jego wyczerpanych żołnierzy.

Mój plan jest następujący: rzeczą najważniejszą jest nie dopuścić, żeby Aleksander sprowadził pod miasto maszyny oblężnicze niezwyklej mocy i skuteczności, zaprojektowane przez najlepszych greckich inżynierów specjalnie dla króla Filipa. Będziemy z nim walczyć jego własną bronią i podobnie jak Macedończyk nie pozwolił naszej flocie zaopatrywać się w wodę i żywność, kontrolując nabrzeże, my również nie dopuścimy do wyładunku maszyn ze statków znajdujących się w pobliżu Halikarnasu. Wyślemy jazdę i oddziały szturmowe w każdy zakątek położony w odległości nie większej niż trzydzieści stadionów od miasta.

To nie wszystko. Jedynym miejscem, z którego mógłby nas zaatakować, jest północno-wschodni sektor murów obronnych. Właśnie tam polecimy wykonać okop wielkości czterdziestu stóp na osiemnaście, tak że jeśli nawet zdoła wyładować na brzeg swoje maszyny, nie uda mu się przysunąć ich do murów.

Na razie to wszystko, co miałem do powiedzenia. Zadbajcie o to, by prace rozpoczęły się jutro skoro świt i trwały nieprzerwanie w dzień i w nocy.

Wszyscy zgromadzeni zaaprobowali plan Memnona, który wydawał się bez zarzutu, i stopniowo opuszczali salę, znikając w ulicach miasta, rozjaśnionych światłem księżyca w pełni. Pozostali tylko dwaj Ateńczycy, Trazybulos i Efiates.

- Macie mi coś do powiedzenia? – spytał Memnon.

- Tak - odparł Trazybulos. - Efiates i ja chcielibyśmy wiedzieć, do jakiego stopnia możemy liczyć na ciebie i na twoich ludzi.

- Mógłbym zadać wam to samo pytanie - zauważył Memnon.

- Pragniemy powiedzieć - wtrącił Efiates, silny mężczyzna, który miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i atletyczną budowę ciała - że żyjemy głęboką nienawiścią do Macedończyków, którzy upokorzyli naszą ojczyznę, zmuszając ją do przyjęcia haniebnych warunków pokoju. Zostaliśmy najemnikami, ponieważ był to jedyny sposób walki z nieprzyjacielem bez wyrządzania szkody miastu. A ty? Jakie pobudki tobą kierują? Kto nam zagwarantuje, że pozostaniesz wierny sprawie, nawet wtedy, kiedy już ci się to nie opłaci? Prawdę mówiąc, jesteś...

- Zawodowym najemnikiem? - przerwał mu Memnon. - Tak, to prawda. Podobnie jak wasi ludzie, wszyscy bez wyjątku. Na dzisiejszych rynkach panuje duża obfitość najemnych mieczy. Twierdzicie, że nienawiść jest waszą gwarancją. Dlaczego miałbym wam uwierzyć? Przekonałem się, że w wielu sytuacjach strach przeważa nad nienawiścią, co może się przytrafić również wam.

Moją jedyną ojczyzną jest honor i dane słowo, któremu musicie zaufać. Nic poza tym i rodziną nie ma dla mnie znaczenia.

- Czy to prawda, że Król Królów zaprosił do Suzy twoją żonę z synami? A skoro tak było, czy nie oznacza to, że również on nie darzy cię zaufaniem i chciał mieć zakładników?

Memnon skierował na niego lodowate spojrzenie.

- Aby pokonać Aleksandra, będę potrzebował waszej lojalności i ślepego posłuszeństwa. Jeśli wątpicie w moje słowo, nie potrzebuję was. Odejdźcie, zwalniam was z zadania. Odejdźcie, dopóki jeszcze nie jest za późno.

Dwaj ateńscy generałowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym Efiates rzekł:

- Chcieliśmy się przekonać, czy to, co o tobie mówią, jest prawdą. Teraz już wiemy. Koniec końców, możesz na nas liczyć.

Wyszli, a Memnon pozostał sam w ogromnej pustej sali.

20

Po rozmowie z oficerami Aleksander opuścił obóz położony pod murami Miletu, gdy tymczasem ludzie Nearchosa rozpoczęli demontaż machin oblężniczych. Ładowali je następnie na okręty i barki transportowe zakotwiczone niedaleko wybrzeża. Umówiono się, że natychmiast po zakończeniu operacji admirał opłynie przylądek Miletu, aby następnie poszukać miejsca, w którym mógłby przybić do brzegu, możliwie jak najbliżej Halikarnasu. Pozostali z nim dwaj ateńscy kapitanowie, dowodzący dwiema niewielkimi eskadrami trier.

Wybrzeże roiło się od żołnierzy, rozbrzmiewając nawoływaniem, uderzeniami młotków, rytmicznymi okrzykami załóg barek, które wciągały na pokład olbrzymie belki z rozmontowanych machin.

Król po raz ostatni spojrział na okręty pochodzące z floty greckich sojuszników i na spokojne miasto położone na przylądku, po czym dał znak do wymarszu. Przed nim rozciągała się dolina, którą od strony północnej zamykały stoki góry Latmos, porośnięte oliwnymi gajami, od południa zaś wzgórze Grios. W oddali widać było pokrytą kurzem drogę wiodącą do miasta Mylasa.

Dzień był ciepły i pogodny, na wzgórzach lśniły srebrne drzewa oliwne, a wśród pól pokrytych kwitnącymi makami przechadzały się śnieżnobiałe żurawie, polujące na żaby i młode ryby w strumykach. Na widok maszerujących oddziałów wojska podnosiły w zaciekawieniu głowę i długi dziób, po czym spokojnie powracały do swego zajęcia.

- Wierzysz w opowieść o żurawiach i Pigmejach? - spytał Leonnatos Kallistenesa, który jechał konno obok niego.

- Pisał o nich Homer, a wielu ludzi twierdzi, że można mu ufać - odparł Kallistenes bez zbytniego przekonania.

- Być może... Pamiętam lekcje starego Leonidasas, kiedy mówił o ciągłych walkach z żurawiami, które porwały dzieci Pigmejów, a ci z kolei niszczyli ptasie jaja. Według mnie to zwykła bajka, ale jeśli Aleksander ma naprawdę zamiar dotrzeć do najdalszych zakątków imperium perskiego, to możliwe, że zobaczymy też ziemię Pigmejów.

- Może - rzekł Kallistenes, wzruszając ramionami - ale na twoim miejscu nie liczyłbym na to. Są to zwykłe legendy. Słyszałem, że posuwając się w górę Nilu, można naprawdę spotkać ciemnoskórych karłów, wątpię jednak, żeby byli wysokości pięści, jak wskazuje nazwa „pigmej”, albo że ścinają pszeniczne kłosa z użyciem topora. Wraz z upływem czasu i wskutek przechodzenia z ust do ust opowieści ulegają zniekształceniu. Gdybym na przykład zaczął opowiadać, że żurawie porwają dzieci Pigmejów i zanoszą je potem bezdzietnym parom, dodałbym zmyślony szczegół do fantastycznej opowieści, nie pozbawiając jej jednak cech prawdopodobieństwa. Rozumiesz?

Leonnatos był nieco zakłopotany. Odwrócił się, by spojrzeć na muły dźwigające ciężkie worki.

- Co jest w tych workach? - spytał Kallistenes.

- Piasek.

- Piasek?

- Tak.

- Po co ci piasek?

- Używam go do ćwiczenia się w walce. Być może dalej będzie teren skalisty i nie będę mógł trenować, dlatego właśnie wiozę piasek.

Kallistenes pokręcił głową, uderzając ostrogami boki swej klaczy. W chwilę później wyprzedził go Seleukos, pędzący galopem w stronę czoła kolumny. Zatrzymał się obok Aleksandra i wskazał na wierzchołek góry Latmos.

- Widziałeś?

Władca spojrział we wskazanym kierunku.

- Co tam jest?

- Wysłałem dwóch zwiadowców, żeby to sprawdzili. Jakaś starsza niewiasta ze świtą jedzie za nami od dzisiejszego ranka.

- Na Zeusa! Na tej ziemi mogłem się spodziewać wszystkiego, ale nie tego, żeby śledziła mnie jakaś starsza kobieta.

- Może chce coś złowić? - zażartował Lizymach, który jechał nieco dalej i wszystko słyszał.

- Nie pleć głupstw! - odparł Seleukos. - Co proponujesz, Aleksandrze?

- Z pewnością nie jest groźna. Jeśli będzie nas potrzebować, sama podjedzie. Nie sądzę, żebyśmy musieli się nią przejmować.

Spokojnie posuwali się dalej, pod ochroną zwiadowców, którzy jechali na koniach na czele kolumny. Po pewnym czasie znaleźli się na rozległej równinie, w miejscu gdzie dolina rozszerzała się lekko w kierunku miasta. Wydano rozkaz postoju, a koniuszowie ustawili płócienne osłony - w cieniu ich schronili się króli dowódcy. Aleksander oparł się o pień wiązu i wypił kilka łyków wody. Panował prawdziwy upał.

- Mamy gości - rzekł Seleukos.

Odwróciwszy się w stronę wzgórza, król dostrzegł człowieka

prowadzącego za uzdę białą mulicę, na grzbiecie której siedziała bogato ubrana kobieta w podeszłym wieku. Drugi sługa trzymał nad nią parasol, trzeci zaś odpędzał muchy wachlarzem z końskiego włosia. Za nimi podążała niewielka grupa uzbrojonych, lecz niegroźnie wyglądających ludzi, a na końcu jechała mała świta z wozami i jucznymi zwierzętami.

Kiedy karawana znalazła się w odległości połowy stadionu, zatrzymała się. Jeden z członków eskorty podszedł do miejsca, gdzie w cieniu wiązu odpoczywał Aleksander, i poprosił o zaprowadzenie go przed oblicze króla.

- Wielki królu, moja pani, królowa Karii Ada, pragnie się z tobą widzieć.

Aleksander dał znak Leptine, żeby poprawiła mu płaszcz i włosy oraz założyła diadem, po czym odparł:

- Twoja pani jest mile widziana w każdej chwili.

- O której godzinie? - spytał cudzoziemiec po grecku, z silnym, wschodnim akcentem.

- Nawet teraz. Nie mamy wiele do zaoferowania, ale będziemy zaszczytzeni, jeśli twoja pani zechce zasiąść z nami do stołu.

Pojawszy w lot sytuację, Eumenes polecił ustawić dach królewskiego namiotu, żeby goście mogli usiąść w cieniu, a także stoły i krzesła. Polecenie wykonano niezwykle szybko, a kiedy nadjechała królowa, wszystko było już gotowe.

Jeden z chłopców stajennych stanął na czworakach, a królowa zsiadła z mulicy, stawiając stopę na jego plecach niczym na stołku. Podeszła następnie do Aleksandra i ten przyjął ją w postawie pełnej szacunku.

- Witaj, dostojna pani - powiedział staranną greką. - Czy mówisz w moim języku?

- Jak najbardziej - odparła dama. Przyniesiono jej niewielki rzeźbiony tron z drzewa, zdjęty przed chwilą z jednego z wozów. - Mogę usiąść?

- Proszę - rzekł króli także usiadł, w otoczeniu swych towarzyszy. - Oto moi przyjaciele i członkowie straży osobistej, którzy są dla mnie więcej niż braćmi: Hefajstion, Seleukos, Ptolemeusz, Perdikkas, Krateros, Leonnatos, Lizymach, Filotas. Ten zaś, który siedzi obok mnie i ma najbardziej waleczny wygląd - tu Aleksander lekko się uśmiechnął - to mój osobisty sekretarz, Eumenes z Karii.

- Witaj, panie sekretarzu - powitała go dama, wdzięcznie skłaniając głowę.

Aleksander spojrzał na swego gościa. Mogła mieć więcej niż pięćdziesiąt, raczej sześćdziesiąt lat. Nie farbowała włosów, nie starała się ukryć siwych skroni, widać było jednak, że w młodości musiała być piękną kobietą. Miała na sobie wełnianą suknię karyjską w kwadraty, na których wyhaftowano sceny z mitologii. Suknia, przewiązana w szczególny sposób, podkreślała kształty, które zdradzały, że jeszcze kilka lat temu królowa była niezwykle atrakcyjna. Błyszczące, pogodne, lekko podmalowane oczy miały kolor bursztynu. Prosty nos i wydatne kości policzkowe nadawały jej wyraz dostojności. Włosy upięte w kok zwieńczał niewielki złoty diadem, wysadzany lazurytami i turkusami. Zarówno ubiór królowej, jak i jej postawa były nieco melancholijne, staroświeckie, jakby życie straciło dla niej sens.

Uprzejmości i prezentacje zajęły trochę czasu. Aleksander zauważył, że

Eumenes napisał coś pośpiesznie na tabliczce, po czym położył ją przed nim na stole. Kątem oka przeczytał:

Osoba, którą tu widzisz, to Ada, królowa Karyjczyków. Była żoną dwóch swoich braci, z których jeden był od niej młodszy o dwadzieścia lat. Obaj już nie żyją. Najmłodszym jej bratem jest Piksodaros, który mógłby zostać twoim teściem i który pozbawił ją władzy. Wasze spotkanie może się okazać bardzo ciekawe. Skorzystaj z okazji.

Zaledwie Aleksander skończył czytać, siedząca naprzeciw niego dama powiedziała:

- Nazywam się Ada, jestem królową Karyjczyków i żyję w odosobnieniu. Mieszkam w twierdzy w Alindzie. Jestem pewna, że brat, jeśli tylko czułby się na siłach, wypędziłby mnie nawet stamtąd. Ponieważ życie i los nie dały mi synów, zmierzam ku starości ze smutkiem w sercu. Najbardziej jednak cierpię z powodu sposobu, w jaki traktuje mnie najmłodszy i najbardziej nieszczęsny z moich braci, Piksodaros.

- Skąd wiedziałeś? - wyszeptał Aleksander do Eumenesa.

- To moja praca - szepnął sekretarz. - Zapomniałeś, że już raz wybawiłem cię z kłopotów związanych z tą rodziną?

Aleksander przypomniał sobie złość ojca w dniu, kiedy uniemożliwił małżeństwo swego przybranego brata Arridajosa z córką Piksodarosa, i uśmiechnął się na myśl o niespodziankach, jakie sprawia ludziom los. Ta zupełnie mu nie znana kobieta, o oryginalnym wyglądzie i sposobie zachowania, mogłaby się stać jego krewną.

- Czy mogę cię zaprosić do mego skromnego stołu? - spytał.

Dama z wdziękiem skinęła głową.

- Dziękuję za zaproszenie. Znając jednak żołnierską kuchnię, pozwoliłam sobie przywieźć z domu coś, co - mam nadzieję - będzie ci smakować.

Klasnęła w dłonie, a służby przynieśli z wozów bochenki świeżego chleba, obwarzanki z rodzynkami, kruche ciasto, ciastka z miodem, bułeczki faszerowane ubitym jajkiem, mąką i gotowanym moszczem oraz wiele innych przysmaków.

Na widok tylu smakołyków Hefajstion ze zdumienia otworzył usta, aż ślina kapnęła mu na zbroję, Leonnatos wyciągnął dłonie, a Eumenes nie pozostał w tyle.

- Bardzo proszę - zapraszała dama - częstujcie się, wystarczy dla wszystkich.

Wszyscy rzucili się na jedzenie, które przypomniało im dania z dzieciństwa, przygotowywane wprawnymi rękami matek i piastunek. Aleksander zjadł tylko jeden biszkopt, a następnie podszedł do królowej i usiadł na stołku.

- Pani, czy mógłbym wiedzieć, dlaczego złożyłaś mi wizytę?

- Jak już mówiłam, jestem królową Karii, córką Mauzolososa, pochowanego w wielkim grobowcu w Halikarnasie. Mój brat Piksodaros uzurpował sobie prawo do tronu i obecnie zajmuje miasto, spokrewniwszy się z perskim satrapą Orontobatesem, któremu oddał rękę córki. Pozbawił

mnie nie tylko władzy, ale także moich dochodów, zaopatrzenia i przeważającej części nieruchomości.

Wyrządził mi wielką krzywdę i musi zostać ukarany. Przybyłam więc do ciebie, młody królu Macedończyków, aby przekazać ci twierdzą w Alindzie wraz z miastem, co pozwoli ci sprawować kontrolę nad wewnętrzną częścią państwa, bez której Halikarnas nie może istnieć.

Królowa Ada wygłosiła to przemówienie w sposób zupełnie naturalny, jakby chodziło o jakąś grę towarzyską. Aleksander przyglądał się jej w osłupieniu, nie wierząc własnym uszom.

Władczyni dała znak służącemu, aby przyniósł tacę ze słodyczami i poczęstował króla.

- Może jeszcze jedno ciasteczko, mój chłopcze?

21

Aleksander szepnął Eumenesowi, że chciałby pozostać sam na sam z gościem, po czym wszyscy towarzysze kolejno pożegnali się, usprawiedliwiając się różnymi zajęciami. Pojawił się natomiast Peritas, zwabiony zapachami przysmaków, na które był bardzo łasy.

- Pani - zaczął Aleksander - nie wiem, czy dobrze zrozumiałem: chcesz oddać mi twierdzą i miasto Alindę, nie żądając niczego w zamian?

- Niezupełnie - odparła królowa. - Istnieje coś, czego bardzo pragnę.

- Mów, a jeśli będzie się to mieścić w granicach moich możliwości, spełnię twoje życzenie. Czego pragniesz?

- Syna - odpowiedziała Ada otwarcie.

Aleksander zbladł i zamarł w bezruchu, dzierżąc w dłoni ciastko i patrząc na królową z otwartymi ustami. Peritas zaczął szczeleć, jakby chciał przypomnieć, że czekał właśnie na ten biszkopt, który jego pan trzymał zawieszony w powietrzu.

- Pani, nie sądzę, żebym mógł...

Ada uśmiechnęła się.

- Chyba źle mnie zrozumiałeś, mój chłopcze. - Fakt, że nazywała Aleksandra „swoim chłopcem”, w niedługi czas po zawarciu znajomości, był dość osobliwy. - Widzisz, niestety nigdy nie mogłam mieć syna, chociaż może to i lepiej, zważywszy na to, że zgodnie z wymogami natury dynastycznej, kazano mi poślubić własnych braci, jednego po drugim. Kiedy owdowiałam, moje cierpienie stało się jeszcze większe.

Gdyby jednak los dał mi normalnego męża i własnego syna, chciałabym, żeby ten syn był taki jak ty - piękny, uprzejmy, szlachetnego wyglądu, o subtelnych manierach, a jednocześnie zdecydowany, odważny, śmiały, życzliwy i uczuciowy. Mówiono mi, że taki właśnie jesteś, a poznawszy cię, podzielałam tę opinię. Innymi słowy, proszę cię, żebyś został moim synem.

Aleksander nie był zdolny wymówić słowa, tymczasem królowa patrzyła na niego swymi łagodnymi, smutnymi oczami w kolorze bursztynu.

- No, i co mi odpowiesz, mój chłopcze?

- Nie wiem... nie sądzę, żeby to było możliwe...

- Ależ jak najbardziej, przez adopcję.

- A w jaki sposób miałyby zostać przeprowadzona ta adopcja?

- Jestem królową, więc jeśli się zgadzasz, wystarczy, że wypowiem odpowiednią formułę, a staniesz się moim synem.

Aleksander wpatrywał się w królową coraz bardziej zmieszany.

- Czy żądam zbyt wiele? - spytała Ada wyraźnie zaniepokojona.

- Nie, tylko...

- Co?

- Nie byłem przygotowany na taką prośbę. Bardzo mi jednak pochlebiasz, dlatego też... - Ada wysunęła się lekko do przodu, nadstawiając ucha, jakby chciała mieć pewność, że usłyszy słowa, których oczekiwała. - Jest dla mnie szczęściem i zaszczytem przyjąć twoją propozycję.

Królowa wzruszyła się do łez.

- Naprawdę się zgadzasz?

- Tak.

- Uprzedzam cię, że będziesz musiał nazywać mnie matką.

- Dobrze... matko!

Otarłszy łzy wyszywaną chusteczką, Ada uniosła głowę, wyprostowała się i uroczystym głosem oznajmiła:

- Ja, Ada, córka Mauzolosy, królowa Karyjczyków, adoptuję cię, Aleksandrze, królu Macedonii, i uznaję za syna, czyniąc cię jedynym spadkobiercą wszystkich moich dóbr. - Podała mu rękę, a Aleksander ją ucałował. - Oczekuję cię jutro w Alindzie, mój synu. A teraz, mój drogi, ucałuj mnie.

Aleksander wstał i pocałował ją w obydwie policzki, rozkoszując się zapachem wschodnich perfum z drzewa sandałowego i dzikiej róży. W tej samej chwili zbliżył się do nich Peritas, merdając ogonem i poszczekując w nadziei, że ta przyjemnie pachnąca pani podaruje mu ciasteczko.

Królowa pogłaskała psa.

- Sympatyczny piesek, chociaż odrobinę... natrętny.

Powiedziawszy to, oddaliła się wraz ze swoją świtą, zostawiając mnóstwo łakoci synowi i jego przyjaciółom - młodzieńcom, którym dopisywał świetny apetyt. Aleksander przyglądał się władczyni, kiedy wsiadała na swoją białą mulicę, podczas gdy jeden służący osłaniał ją dużym, wyszywanym parasolem, a drugi odganiał muchy. Kiedy się odwrócił, napotkał wzrok Eumenesa, który nie wiedział, czy śmiać się, czy przyjąć postawę pełną powagi.

- Biada ci, jeśli będziesz szpiegować na polecenie mojej matki - zagroził mu. - Nie zawahałaby się mnie otruć. - Następnie spojrział na psa, który szczekał jak szalony, nie otrzymawszy tego, o co prosił. - Leżeć! - wykrzyknął Aleksander.

Następnego dnia rano Aleksander polecił Parmenionowi, aby poprowadził wojsko w kierunku Mylasy i aby w jego imieniu przyjął akt poddania się wszystkich miast - małych i dużych - które napotka po drodze. Sam natomiast, z Hefajstionem i strażą przyboczną, pogalopował do Alindy.

Jeźdźcy przemierzali rozległe winnice, wydzielające intensywną woń, typową dla pory kwitnienia, zielone pola porośnięte zbożem, pastwiska

usiane nieskończoną różnorodnością barwnych kwiatów, wśród których dominowały duże szkarłatne plamy maków.

W upalne południe na szczycie jednego ze wzgórz dostrzegli Alinę, wokół której wznosiły się potężne mury obronne, wykonane z ogromnych kwadratowych bloków szarego kamienia. Ponad miastem górowała sylweta olbrzymiej, nieprzystępnej twierdzy z wieżami, na których zatknięto niebieskie sztandary królestwa Karii. Na tarasach można było dostrzec żołnierzy stojących w szeregu i uzbrojonych w długie włócznie oraz łuki z kołczanami. U wrót miasta stały dwa rzędy jeźdźców w odświętnych zbrojach, którzy dosiadali wspaniałych koni.

Kiedy Aleksander dotarł na miejsce, otwarto bramę, której pojawiła się królowa Ada. Władczyni siedziała w lektyce z baldachimem, niesionej przez szesnastu półnagich niewolników. Orszak poprzedzały karyjskie dziewczęta w greckich peplosach, rozrzucające płatki róż.

Aleksander zsiadł z konia i razem z Hefajstionem podszedł do lektyki. Królowa dała znak, by postawiono ją na ziemi, po czym wyszła na spotkanie adoptowanego syna, całując go w policzki i w głowę.

- Jak się miewasz, matko?

- Kiedy cię widzę, mam się dobrze - odparła królowa. Następnie kazała zabrać lektykę i wzięwszy Aleksandra pod ramię, udała się z nim w kierunku miasta, w którym zgromadził się już tłum wiwatujących mieszkańców, pragnących ujrzeć syna Ady.

Z okien domów rzucano kwiaty oraz płatki róż i maków, które wirowały w powietrzu, poruszone wiosenną bryzą o woni skoszonej trawy i świeżego siana. Przemarszowi królowej i jej syna towarzyszyły dźwięki muzyki granej na fletach i harfie. Słyszając tę przyjemną, nieco dziecinną melodię, Aleksander przypomniał sobie piosenki, które śpiewała mu niegdyś piastunka. Idąc pod ramię z tą łagodną, wrażliwą i jednocześnie nieznaną matką, znalazłszy się wśród rozradowanych ludzi, wśród tylu barw i zapachów, Aleksander doznał głębokiego wzruszenia. Czuł, że ta ziemia, gdzie za każdym wzgórzem mogła się kryć tajemnica, śmiertelna zasadzka czy też jakieś magiczne miejsce, pociągała go coraz bardziej, zachęcała, by iść dalej i odkrywać nowe wspaniałości. Co też kryło się za górami wieńczącymi wieże Alindy?

Tymczasem stanęli przed portalem twierdzy, który zdobiły sceny z życia bogów i herosów tego pradawnego miasta. Przed nimi stali w szeregu dostojnicy w bogatych szatach, przeplatanych złotymi i srebrnymi nićmi. U szczytu schodów prowadzących do wnętrza twierdzy postawiono dwa trony. Tron wyższy stał pośrodku, a po prawej stronie - tron niższy, skromniejszy. Ada wskazała Aleksandrowi ten wyższy, sama zaś usiadła na niższym. Na plac znajdujący się na wprost twierdzy wciąż napływali ludzie różnego stanu i pochodzenia, a kiedy tłum wypełnił już całą jego przestrzeń, herold nakazał milczenie. Następnie uroczystym głosem wyrecytował akt adopcji w języku karyjskim i greckim. Wszyscy zgromadzeni zaczęli bić burzliwe brawa, na które królowa odpowiedziała lekkim skinieniem dłoni, Aleksander zaś podniesieniem obydwu ramion, jak to miał zwyczaj czynić, gdy stawał przed swym wojskiem. Po chwili brama, przed którą stali, otworzyła się i para władców - matka i syn, weszli

do środka.

22

Aleksander i Hefajstion chcieli wyjechać jeszcze tego samego dnia, ale było to zupełnie niemożliwe. Ada bowiem kazała wydać wystawną wieczerzę, na którą zaprosiła wszystkich miejskich dostojników. Wielu z nich zapłaciło ogromną kwotę, żeby móc w niej uczestniczyć. Przynieśli też drogocenne prezenty dla królowej, tak jakby chodziło o młodą matkę, która wydała na świat pierworodnego syna.

Następnego dnia goście zostali oprowadzeni po twierdzy i po mieście, a mimo że nalegali, nie pozwolono im wyjechać przed południem. Aleksander zadał sobie wiele trudu, chcąc przekonać swoją nową matkę, aby pozwoliła mu wyjechać, i musiał cierpliwie jej tłumaczyć, że przecież toczył wojnę, a wojsko oczekiwało jego powrotu na drodze do Halikarnasu.

- Niestety - westchnęła Ada w chwili pożegnania - nie mogę dać ci żołnierzy. Mam ich tak niewiele, że zaledwie wystarczą do ochrony twierdzy. Dam ci jednak kogoś, kto jest chyba cenniejszy od żołnierzy...

Klasnęła w dłonie i natychmiast pojawiło się dwunastu ludzi z jucznymi zwierzętami i wozami pełnymi worków koszy.

- Kim oni są? - spytał Aleksander. - To kucharze, mój synu, najlepsi kucharze, piekarze i cukiernicy, jakich można znaleźć na wschód od cieśnin. Przy tych wszystkich problemach, z którymi się borykasz, z wojną i bitwami, musisz dobrze się odżywiać... Nietrudno wyobrazić sobie jakoś twojego wiktu. Nie sądzę, żeby macedońscy kucharze słynęli ze smaku i zalet swych dań. Jestem przekonana, że podają ci niestrawne solone mięso i niewyrośnięty chleb, dlatego też pomyślałam, że...

Aleksander przerwał jej uprzejmym gestem.

- To miło z twojej strony, matko, ale szczerze mówiąc, nie tego potrzebuję. Szybki nocny marsz wystarczy, by z apetytem zjeść śniadanie, a po całym dniu jazdy na koniu wieczerza smakuje zawsze, bez względu na to, co podadzą na stół. A kiedy mam pragnienie, woda gasi je lepiej niż najlepsze wino. Uwierz mi, twoi kucharze tylko by mi przeszkadzali. W każdym razie dziękuję, założmy, że ich przyjąłem.

Ada spuściła głowę.

- Chciałam tylko sprawić ci przyjemność, zatroszczyć się o ciebie.

- Wiem - odparł Aleksander, biorąc ją za rękę. - Wiem i jestem ci za to wdzięczny. Pozwól jednak, żebym żył w sposób, do jakiego przywykłem. Zawsze jednak będę o tobie pamiętał.

Pocałował ją, a następnie wsiadł na konia i szybko odjechał, na oczach kucharzy, którym nie uśmiechała się perspektywa życia żołnierskiego.

Ada patrzyła za nim, aż razem z przyjacielem zniknął za wzgórzem, po czym odwróciła się do kucharzy, mówiąc:

- Co tak stoicie z założonymi rękami? No, już, weźcie się do pracy! Jutro, przed wschodem słońca, macie przyrządzić najlepsze potrawy, żebym mogła je posłać temu chłopcu i jego przyjacielom, bez względu na to, gdzie będą. W przeciwnym razie cóż byłaby ze mnie za matka?

Kucharze wrócili zatem do swych obowiązków, do rozczywania, ugniatania, pieczenia i gotowania smakołyków dla syna królowej. Przez

następne dwa dni, przebudziwszy się rano, Aleksander widział, jak chorągiew karyjskiej jazdy składa przed jego namiotem świeżo upieczone chleby, chrupiące ciasteczka i delikatne ciasta nadziewane. Było to dość krępujące, tym bardziej że zarówno jego towarzysze, jak i żołnierze zaczęli się już wyśmiewać. Aleksander zdecydował więc rozwiązać ten problem raz na zawsze, choć z pewnym żalem. Trzeciego dnia, kiedy byli już blisko Halikarnasu, odesłał żołnierzy Ady z nietkniętą żywnością, którą zaopatrzył we własnoręcznie napisany list:

Aleksander do ukochanej matki Ady, bądź pozdrowiona!

Jestem Ci bardzo wdzięczny za smaczne rzeczy, które przysyłasz mi każdego ranka, ale muszę Cię prosić, nie bez żalu, o wstrzymanie tych dostaw. Nie jestem przyzwyczajony do tak wykwinnych smakołyków, ale raczej do potraw prostych, posilnych. Przede wszystkim zaś nie chcę korzystać z przywilejów, które są niedostępne dla moich żołnierzy. Muszą oni bowiem wiedzieć, że ich król jada takie same potrawy i dzieli te same niebezpieczeństwa.

Dbaj o siebie!

Od tej chwili skończyły się przejawy nadopiekuńczości Ady. Podjęto teraz zdecydowane działania wojenne. Opuściwszy Mylasę, Aleksander skierował się na południe, ponownie docierając do pagórkowatego wybrzeża, które składało się z wielu zatok, półwyspów i przylądków różnej wielkości. Niektóre odcinki żołnierze pokonywali jednocześnie z flotą, która wykorzystując dużą głębokość wody, płynęła tak blisko brzegu, że niekiedy można było porozmawiać na odległość.

Na trzeci dzień od wyruszenia z Mylasy, w chwili gdy wojsko zabierało się do rozbijania obozu, nadjechał jakiś człowiek i poprosił wartowników, żeby zaprowadzili go do króla. Aleksander siedział na kamieniu na brzegu morza, w otoczeniu Hefajstiona i pozostałych towarzyszy.

- Czego sobie życzysz? - zapytał władca.

- Nazywam się Eufranor i przybywam z Myndos. Mieszkańcy miasta wysłali mnie, żebym ci powiedział, że Myndos gotowe jest cię przyjąć i że twoja flota będzie mogła zakotwiczyć w naszym bezpiecznym porcie.

- Szczęście nam dopisuje - stwierdził Ptolemeusz. - Odpowiedni port to właśnie to, czego nam trzeba, by rozładować okręty i zmontować maszyny oblężnicze.

Aleksander zwrócił się do Perdikkasa:

- Razem ze swoimi ludźmi udaj się do Myndos i przygotuj wszystko, co potrzeba do przyjęcia floty. Później przyślij kogoś z wiadomością, a ja uprzedzę dowódców okrętów.

- Ależ, królu - zaprotestował przybysz z Myndos - mieszkańcy miasta chcieli ujrzeć cię osobiście i godnie powitać...

- Nie teraz, przyjacielu. Muszę poprowadzić wojsko możliwie jak najbliżej murów Halikarnasu i nadzorować działania wojenne. Tymczasem podziękuj wszystkim współmieszkańcom za szacunek, jakim mnie darzą.

Po odjeździe wysłannika Aleksander odbył naradę wojenną.

- Według mnie nie powinieneś być odsyłać smakołyków królowej Ady -

zażartował Lizymach. - Dzięki nim wzmocnilibyśmy się przed podjęciem wojennych zmagañ.

- Przestañ! - uciszał go Ptolemeusz. - Jeśli dobrze zrozumiałem, to Aleksander chce zrobić coś, co sprawi, że przejdzie ci ochota na żarty.

- Też tak sãdżę - przyznał Aleksander. Wyjął miecz z pochwy i zaczął kreślić nim jakieś znaki na piasku. - Tu jest Halikarnas. Rozciąga się wokół tej zatoki i ma dwie twierdze - jedną po prawej, a drugą po lewej stronie portu. Oznacza to, że od strony morza jest zupełnie nie do pokonania. Co więcej, może nieprzerwanie otrzymywać posiłki. Wobec tego nie możemy podjąć oblężenia.

- To prawda, nie możemy - zgodził się Ptolemeusz.

- Co proponujesz, Parmenionie? - spytał król.

- W tej sytuacji nie mamy wyboru i musimy zaatakować od strony lądu, zrobić wyłom w murach obronnych i wtargnąć do miasta, a następnie zająć port. W tym momencie perska flota zostanie wyłączona z całego obszaru Morza Egejskiego.

- Tak właśnie musimy postąpić. Perdikkasie, jutro rano pojedziesz do Myndos i zajmiesz miasto. Następnie wpuścisz do portu flotę, wyładujesz części machin oblężniczych, zmontujesz je i zaczniesz się posuwać w stronę Halikarnasu od zachodu. Będziemy tam na ciebie czekać, przygotowując place pod maszyny i tarany.

- Tak jest - przytaknął Perdikkas. - Jeśli nie masz innych rozkazów, pójdę wydać dyspozycje ludziom.

- Idź, ale przed udaniem się na spoczynek wstąp do mnie. Co do was - rzekł, zwracając się do pozostałych towarzyszy - to każdemu z was wyznaczę pozycję, kiedy będziemy w pobliżu murów miasta, czyli jutro wieczorem. A teraz wracajcie do swych oddziałów. Idźcie spać zaraz po kolacji, jeśli to będzie możliwe. Czekają nas ciężkie dni.

Po rozwiązaniu rady Aleksander udał się na spacer brzegiem morza, obserwując zachodzące słońce, które barwiło na czerwono fale, podczas gdy liczne wyspy z wolna pogrążały się w ciemnościach. Tego wieczoru, stając przed tak ciężką próbą, poczuł nagły przyptyw melancholii i wspomniãł lata dzieciñstwa, kiedy wszystko było snem, bajką, a przyszłość wydawała się rodzajem długiej przejażdżki na grzbiecie uskrzydłonego rumaka. Pomyślał o swej siostrze Kleopatrze, która być może przebywała teraz sama w pałacu w Buthroton, położonym na urwisku skalnym nad brzegiem morza. Przypomniãł sobie, że obiecał siostrze pomyśleć o niej każdego wieczoru, zanim zapadnie zmierzch. Miał nadzieję, że go usłyszy, a letnia bryza dotknie jej policzków, niczym delikatny pocałunek. Kleopatra...

Kiedy wrócił do namiotu, paliły się w nim lampy, a Leptine nakrywała do stołu.

- Nie wiedziałam, czy zaprosiłeś kogoś na wieczerzę, więc nakryłam tylko dla ciebie.

- Dobrze zrobiłaś. Nie mam zbytniego apetytu.

Usiadł przy stole, po czym podano mu posiłek. Peritas położył się pod stołem, czekając na resztki jedzenia. W całym obozie dał się słyszeć gwar, który zwykle towarzyszy spożywaniu wieczerzy, a poprzedza ciszę i wartę

nocną.

W pewnej chwili do namiotu wszedł Eumenes z listem w dłoni.

- Nadeszła wiadomość od twojej siostry Kleopatry, królowej Epiru - oznajmił, wręczając Aleksandrowi list.

- Dziwne, właśnie przed chwilą o niej myślałem, spacerując brzegiem morza.

- Tęsknisz za nią? - spytał Eumenes.

- Bardzo. Brak mi jej uśmiechu, jej błyszczących oczu, głosu, ciepła siostrzanej miłości.

- Perdikkas tęskni za nią jeszcze bardziej. Dałby sobie obciąć ramię, żeby tylko mógł objąć ją drugą ręką... Pójdę już.

- Zostań chwilę. Napij się wina.

Eumenes nalał sobie trochę wina i usiadł na stołku, podczas gdy Aleksander zabrał się do czytania listu:

Kleopatra do ukochanego Aleksandra, bądź pozdrowiony!

Nie mam pojęcia, gdzie zastanie Cię ten list - na polu walki, podczas przerwy na odpoczynek czy też w czasie oblężenia jakiejś twierdzy. Proszę Cię, najdroższy bracie, nie wystawiaj się bez potrzeby na niebezpieczeństwo.

Dotarły do nas wieści o twych wyczynach i jesteśmy z Ciebie dumni. Mój mąż jest nawet trochę zazdrosny. Niecierpliwi się, by wyruszyć i dorównać Ci w chwale, a natomiast wolałabym, żeby nigdzie nie wyjeżdżał, ponieważ boję się samotności i lubię mieć go przy sobie w naszym pałacu położonym nad morzem. Gdy zachodzi słońce, wchodzimy na najwyższą wieżę i patrzymy, jak ono schodzi nisko nad wodę, aż wszystko pogrąża się w ciemnościach, a na niebie pojawia się wieczorna gwiazda.

Bardzo chciałabym pisać wiersze, ale kiedy czytam utwory Safony i Noksydy, otrzymane przed wyjazdem w podarunku od mamy, czuję, że zupełnie się do tego nie nadaję. Uprawiam jednak śpiew i muzykę. Aleksander podarował mi służebnicę, która cudownie gra na flecie i na cytrze i uczy mnie z oddaniem oraz dużą cierpliwością. Codziennie składam bogom ofiary, żeby Cię strzegli.

Kiedy Cię zobaczę? Bądź dobrej myśli.

Aleksander odłożył list i spuścił głowę.

- Złe wieści? - spytał Eumenes.

- Na szczęście nie. Chodzi o to, że moja siostra jest jak ptak, który zbyt wcześnie wyfrunął z gniazda. Czasem przypomina sobie, że jest jeszcze bardzo młoda, i tęskni za domem i rodzicami.

W tej samej chwili Peritas zaczął się łąsić i ocierać o nogę Aleksandra, prosząc, żeby go pogłaskał.

- Perdikkas już wyruszył - mówił dalej sekretarz. - Jutro rano dotrze do Myndos i przygotuje port dla floty. Pozostali towarzysze są ze swymi oddziałami, z wyjątkiem Leonnatosy, który wziął do łóżka dwie dziewczyny. Kallistenes zamknął się w namiocie i pisze. Zresztą nie on jeden.

- Nie?

- Nie. Również Ptolemeusz prowadzi dziennik, a słyszałem, że robi to też Nearchos. Nie wiem, jak mu się to udaje na statku, który bez przerwy się kołysze. Ja na przykład zwymiotowałem dwa razy, kiedy przepływaliliśmy cieśniny.

- Pewnie jest przyzwyczajony.

- Chyba tak. Czy Kallistenes dał ci coś do przeczytania?

- Nie, nic. Jest bardzo zazdrosny o swoją pracę. Powiedział, że będę mógł przeczytać dopiero wtedy, kiedy skończy pisać wersję ostateczną.

- Mówią, że potrwa to całe lata...

- Obawiam się, że tak.

- Będzie to trudne...

- Co takiego?

- Zdobycie Halikarnasu.

Aleksander skinął głową i podrapał Peritasa za uszami, mierzwiąc mu sierść.

- Obawiam się, że tak.

23

Aleksandra zbudziło ciche warczenie Peritasa. Władca zrozumiał, że psa zaalarmował odgłos galopującej chorągwi jeźdźców, a następnie rozmowa wzburzonych ludzi przed namiotem. Narzucił na ramiona chlamidę i wybiegł na zewnątrz. Było jeszcze ciemno, a księżyc świecił nisko nad linią wzgórz, na ciemnym niebie, zaciągniętym chmurami.

Jeden z zadyszanych żołnierzy chorągwi podszedł do króla.

- Królu! Podstęp! Zasadzka!

- Co mówisz? - spytał Aleksander, chwytając go za tunikę.

- To była pułapka. Kiedy podeszliśmy do bram Myndos, zewsząd nas zaatakowano. Posypał się na nas grad strzał i oszczepów, od strony wzgórz spadały całe oddziały jazdy lekkiej. Nieprzyjaciele strzelali do nas i szybko znikali, a później przybywali następni... Walczyliśmy, królu, broniliśmy się ze wszystkich sił. Jeśli flota wpłynęłaby do portu, zostałaby zniszczona, wszędzie bowiem stały katapulty ze strzałami zapalnymi.

- Gdzie jest Perdikkas?

- Został tam. Znalazł bezpieczne miejsce, w którym ukrył się razem z ludźmi. Prosi o natychmiastową pomoc.

Aleksander pozwolił mu odejść, ale kiedy cofnął ręce, zobaczył, że są zakrwawione.

- Ten człowiek jest ranny! Prędko, wezwijcie chirurga!

Lekarz Filip, którego namiot stał niedaleko, przybiegł bezzwłocznie razem ze swym asystentem i zajął się żołnierzem.

- Powiadom pozostałych lekarzy o sytuacji - polecił mu król. - Każ przygotować stoły, gorącą wodę, bandaże, ocet, wszystko, co potrzeba.

Tymczasem przybyli Hefajstion, Eumenes, Ptolemeusz, Krateros, Klejtos, Lizymach i inni. Wszyscy byli już ubrani i uzbrojeni.

- Kraterosie! - wykrzyknął władca, kiedy tylko go zobaczył.

- Na twoje rozkazy, królu!

- Zwołaj natychmiast dwa szwadrony kawalerii i jedź do Perdikkasa, bo ma kłopoty. Nie podejmujcie bitwy. Zbierzcie zabitych i rannych i

wracajcie. - Następnie zawołał: - Ptolemeuszu!

- Na twoje rozkazy, królu!

- Weź chorągiew zwiadowców i jeden oddział jazdy lekkiej, złożony z Traków i Triballów. Pojedziecie wzdłuż wybrzeża i poszukacie jakiegoś miejsca, do którego będą mogły przybić okręty. Jak tylko je znajdziecie, zawiadomcie flotę i pomóżcie jej przy wyładunku machin.

- Wedle rozkazu!

- Klejtosie!

- Na twoje rozkazy, królu!

- Sprowadź wszystkie nasze lekkie katapulty i postaw je przy wejściu do portu w Myndos. Nie przepuszczajcie nikogo, nawet rybaków. Kiedy już znajdziesz odpowiednie miejsce, rzuć na miasto możliwie jak najwięcej zapalnych strzał. Jeśli zdołasz, spal miasto, aż do ostatniego domu.

Aleksander był wzburzony, a jego złość się nasilała.

- Memnon! - zagrzmał.

- Co powiedziałaś? - zapytał Eumenes.

- Memnon. To sprawka Memnona. Oddaje mi cios za cios. Odciałem dostęp do brzegu flocie perskiej, a teraz on odcina moją flotę, nie dopuszczając do wyładunku. Jestem pewien, że to jego dzieło. Hefajstionie!

- Na twoje rozkazy, królu!

- Weź jazdę tessalską i jeden szwadron hetajrów. Jedź do Halikarnasu i znajdź odpowiednie miejsce na rozbicie obozu, po wschodniej lub północnej stronie murów obronnych. Następnie poszukaj miejsca dla machin wojennych i każ wyrównać teren. Szybko!

W obozie nikt już nie spał. Zewsząd nadjeżdżały oddziały jazdy, dały się słyszeć suche rozkazy, okrzyki, nawoływania, rzenie koni. Przybył też generał Parmenion, w pełnym rynsztunku i w towarzystwie dwóch ordynansów.

- Co rozkażesz, królu?

- Zostaliśmy oszukani, generale. Perdikkas wpadł w zasadzkę w Myndos. Nie wiemy jeszcze, co się stało. Wiem jednak, co musimy zrobić. Każ podać śniadanie, a następnie ustaw piechotę i jazdę w szyku marszowym. O świcie mają już maszerować. Zaatakujemy Halikarnas!

Parmenion skinął głową, po czym zwrócił się do ordynansów:

- Słyszeliście, co powiedział król? No, ruszajcie się!

- Generale...

- Coś jeszcze, panie?

- Poślij Filotasa z zastępem jazdy do Myndos. Muszę jak najprędzej zorientować się w sytuacji.

- O, jest tam - odparł Parmenion, wskazując syna, który biegł w ich kierunku. - Każę mu natychmiast jechać.

Tymczasem Hefajstion ze swymi szwadronami opuszczał obóz, pędząc galopem w kierunku Halikarnasu i wzniesając tumany kurzu na drodze. O świcie dotarli pod mury miasta. Wokół było zupełnie pusto. Hefajstion rozejrzał się, po czym skierował konia ku równinie, która wydała mu się odpowiednia do rozbicia obozu. Teren dzielący żołnierzy od Halikarnasu był lekko pofałdowany i nie można było dostrzec, co działo się pod

murami. Dlatego też jeźdźcy zwolnili i poruszali się bardzo ostrożnie. O tak wczesnej porze panowała głęboka cisza, gdy raptem Hefajstion usłyszał dziwny dźwięk, suchy i rytmiczny, jakby jakieś metalowe przedmioty sypały się na ziemię lub uderzały o skały. Kiedy wszedł na wierzchołek niewielkiego pagórka, jego oczom ukazał się niezwykle widok. W dole znajdował się olbrzymi wykop, wysoki na trzydzieści pięć stóp i szeroki na osiemnaście, a w nim uwijało się około stu mężczyzn, którzy wynosili ziemię, budując z niej ogromny nasyp.

- Do licha! - wykrzyknął Hefajstion. - Zbyt długo czekaliśmy. Ty! - zwrócił się do jednego z żołnierzy. - Wracaj natychmiast i powiadom Aleksandra.

- Już jadę - odparł człowiek, ściskając boki konia i kierując go w stronę obozu. W tej samej chwili jedna z bram Halikarnasu otworzyła się i z miasta wyjechał szwadron kawalerii, który rzucił się w stronę jedyne przejezdne miejsce między rowem a murami.

- Jadą prosto na nas! - krzyknął dowódca Tessalów. - Tędy, tędy!

Hefajstion rozkazał żołnierzom zawrócić, a następnie rzucił się w stronę wrogów, którzy jechali wąskim przejściem, żeby jak najszybciej dotrzeć do otwartego terenu. Rozwinął szyki na długość dwustu stóp, tworząc cztery szeregi i przypuszczając atak na czoło kolumny nieprzyjaciół, którzy zaczęli jechać wzdłuż nasypu, chcąc ustawić się w długim rzędzie, umożliwiającym odparowanie uderzenia. Do starcia doszło w niewielkiej odległości od wału. Hefajstion powstrzymał wrogów, po czym zaczął ich spychać z powrotem. Tymczasem robotnicy pracujący na dnie rowu, przerażeni odgłosami walki, rzucali narzędzia, pośpiesznie wdrapywali się po wewnętrznym stoku nasypu i biegli do bramy, którą obrońcy miasta wcześniej zamknęli. Wykorzystał to zastęp Tessalów. Popędzili oni w stronę przejścia między rowem a murami i zaczęli obrzucać robotników gradem oszczepów, trafiając wielu z nich. Jednak w chwilę potem, przez drzwi ukryte w murze wyjechał drugi oddział jazdy i uderzył na Tessalów z boku, zmuszając ich do przyjęcia zwartego szyku i podjęcia walki. Żołnierze walczyli już jakiś czas, to atakując, to znów kontratakując, kiedy wreszcie Hefajstion zdobył przewagę i włączył do bitwy hetajrów, ustawiając ich przed szeregiem wyczerpanych Tessalów. Ponownie odepchnął nieprzyjaciół do bramy miasta, którą na chwilę otworzono, żeby ich wpuścić. Macedoński dowódca zdecydował się jednak wstrzymać pościg, kiedy zobaczył, że na basztach po obu stronach bramy stoją łucznicy i oszczepnicy. Zadowolony się zdobyciem pola walki i polecił kopać rów po stronie przejścia, w oczekiwaniu na robotników mających równać teren pod maszyny. Wysłał też kilku jeźdźców, żeby poszukali źródeł wody, którą trzeba było zapewnić ludziom i koniom w chwili przybycia reszty wojska.

W pewnej chwili jeden z hetajrów zwrócił się do Hefajstiona, wskazując na mury.

- Proszę spojrzeć - rzekł, wyciągając rękę w kierunku najwyższej wieży.

Hefajstion odwrócił się i zobaczył wojownika w błyszczącej żelaznej zbroi, w korynckim hełmie z przyłbicą zakrywającą twarz i długą włócznią w dłoni.

Nagle ktoś wykrzyknął:

- Panie komendancie, król!

Na czele ili jechał Aleksander na Bucefale. Po krótkiej chwili stał obok przyjaciela, podnosząc wzrok na wieżę, gdzie w słońcu lśniła zbroja wojownika o zakrytym obliczu. Przyglądał mu się w milczeniu, czując, że sam jest obserwowany.

- To on, na pewno on, czuję to - powiedział.

Tymczasem w bardzo odległym miejscu, za miastem Kelajnaj położonym przy drodze królewskiej, Barsine z dziećmi zatrzymała się na posiłek w gospodzie. Chcąc otrzeć pot chusteczką, włożyła rękę do torby podróżnej i wyczuła jakiś nieznaną przedmiot. Kiedy go wyjęła, okazało się, że był to futerałik zawierający niewielki papirus, na którym Apelles naszkicował portret jej męża, Memnona. Połykając łzy, przeczytała kilka słów napisanych pośpiesznie i niewyraźnie u dołu strony:

Z taką samą siłą twoje oblicze odcisnęło się w pamięci Aleksandra.

24

Ze szczytu wzgórza widać było całe miasto. Zsiadłszy z koni, Aleksander i jego towarzysze podziwiali rozciągający się przed nimi widok. Rozległa kotlina, zieleniejąca od gajów oliwnych i pokryta gdzieniegdzie czarnymi plamami cyprysów, opadała łagodnie w dół, niczym widownia teatru, sięgając potężnych murów obronnych, które zamykały miasto od strony północnej i wschodniej. W odległości dwustu stóp od podstawy pas murów przesłonięty był olbrzymim czerwonym okopem, wykonanym na rozkaz Memnona. Po lewej stronie widniał akropol wypełniony świątyniami i posągami. Pogodne niebo zasnuwał dym unoszący się z ołtarza ofiarnego, który był wyrazem wznoszonych do bogów próśb o pomoc w zwycięstwie nad wrogiem.

- Nasi kapłani też złożyli ofiarę - zauważył Krateros. - Zastanawiam się, kogo posłuchają bogowie.

Aleksander zwrócił się do niego, mówiąc:

- Silniejszego.

- Nie zdołamy ustawić machin oblężniczych przed tym rowem - wtrącił Ptolemeusz. - A z tej odległości nie uda nam się zburzyć murów.

- Słusznie - przyznał natychmiast Aleksander. - Oczywiście, w związku z tym najpierw będziemy musieli zasypać rów.

- Zasypać rów? - powtórzył Hefajstion. - Czy zdajesz sobie sprawę, ile...

- Proponuję bezzwłocznie podjąć prace - ciągnął dalej Aleksander bez zmruczenia powiek. - Weź tylu ludzi, ilu ci potrzeba, i zasyp fosę. Będziemy was kryć, miotając strzałami z katapult rozmieszczonych na stokach. Zajmie się tym Krateros. Są jakieś wieści o naszych machinach wojennych?

- Wyładowano je w niewielkiej zatoce, która znajduje się w odległości piętnastu stadionów od naszego obozu. Kończą je montować, a niektóre z nich transportuje już Perdikkas.

Słońce przesunęło się ponad linią horyzontu w kierunku morza. Znajdowało się teraz między dwiema basztami strzegącymi wjazdu do

portu, a jego promienie padały na monumentalne, kapiące od złota Mauzoleum, które wznosiło się pośrodku miasta. Kwadryga z brązu, umieszczona na wierzchołku piramidy, zdawała się przygotowywać do skoku, aby następnie pogalopować wśród purpurowych chmur zachodzącego słońca. Do portu wpływały łodzie rybackie z rozwiniętymi żaglami, podobne do stada owiec powracających o zmierzchu do owczarni. Już za chwilę świeże ryby zostaną przełożone do koszy, by trafić na stoły rodzin, które szykowały się do wieczerzy. Morska bryza wiała pośród wiekowych drzew oliwnych i wzdłuż rozwidlających się górskich ścieżek. Pasterze i wieśniacy powracali powoli do domów, a ptaki do gniazd. Cały świat zdawał się zatapiać w wieczornym spokoju.

- Hefajstionie - powiedział król.

- Słucham, panie.

- Wyznacz nocną zmianę dla robotników równających teren. Będziecie pracowali cały czas, podobnie jak postąpiliśmy wtedy, gdy wykuwaliśmy schody we wzgórzu Ossy. Nie przerywajcie robót, nawet gdyby spadł deszcz czy grad. Postawcie wiaty, pod którymi będą mogli się schronić robotnicy. Zadbaj o to, żeby kowale wykonali potrzebne narzędzia, ponieważ maszyny muszą stanąć za cztery doby.

- Czy nie byłoby lepiej rozpocząć roboty jutro?

- Nie. Teraz. Kiedy się ściemni, będziecie pracować przy światłach pochodni albo rozpalicie ogniska. Precyzja nie jest tu potrzebna, chodzi tylko o zasypanie rowu. Na wieczerzę udamy się dopiero po ustawieniu katapult i rozpoczęciu prac.

Hefajstion skinął głową i pogalopował do obozu. Po chwili pojawił się długi sznur ludzi z rydlami, łopatami i kilofami, zmierzający w stronę okopu. Za nimi jechały wozy zaprzężone w woły. Po bokach przesuwali się balisty ciągnięte przez muły. Były to olbrzymie łuki wykonane z płyt dębowych i jesionowych, zdolne miotać żelaznymi harpunami na odległość pięciuset stóp. Krateros kazał je ustawić na pozycjach, a kiedy tylko nieprzyjacielscy łucznicy zaczęli wypuszczać strzały z wierzchołka murów, wydał rozkaz, by im odpowiedziano, po czym grad ciężkich strzał posypał się na mury, siejąc spustoszenie wśród wrogów.

- Możecie rozpocząć prace! - wykrzyknął, podczas gdy jego ludzie pośpiesznie ładowali balisty.

Robotnicy wskoczyli do rowu, wdrapali się po tylnej ścianie wału i zaczęli sypać ziemię do okopu, który znajdował się pod nimi. W tej fazie prac wał odgrywał też rolę ochronną, dlatego nie trzeba było ustawiać wiat. Kiedy Krateros przekonał się, że robotnicy są bezpieczni, kazał ustawić balisty naprzeciw bramy zwanej mylasową oraz naprzeciw furtki po stronie wschodniej na wypadek, gdyby oblężeni próbowali dokonać wypadu.

Hefajstion rozkazał kilku innym oddziałom wejść na wzgórze z piłami i siekierami po drzewo, gdyż w nocy trzeba było oświetlić teren robót. Rozpoczęło się zakrojone na wielką skalę przedsięwzięcie.

Tymczasem Aleksander pojechał do obozu i zaprosił swych towarzyszy na wieczerzę. Wydał jednak polecenie, by co godzina informowano go o postępie prac i rozwoju sytuacji.

Noc upłynęła spokojnie. Roboty przebiegały zgodnie z rozkazami

władcy, bez przeszkód ze strony nieprzyjaciela.

Na czwarty dzień obszerne odcinki okopu zostały zasypane i wyrównane, dzięki czemu można było podprowadzić maszyny oblężnicze tuż pod mury. Tych samych maszyn użył Filip przy zdobywaniu Perinthos. Były to wysokie na osiemdziesiąt stóp wieże, w których na kilku poziomach zamocowano wysuwane tarany, wsparte na pomostach i obsługiwane przez setki ukrytych wewnątrz ludzi. Wkrótce olbrzymia kotlina rozbrzmiewała miarowymi uderzeniami żelaznych głowic, uderzających nieprzerwanie w pas murów obronnych, podczas gdy robotnicy zasypywali pozostałe części okopu.

Obrońcy miasta nie przewidzieli, że w tak krótkim czasie okop zostanie zasypany, dlatego też nie zdołali powstrzymać niszczącego działania maszyn. Po siedmiu dniach pojawił się wyłom w murze, a większość baszt flankujących bramę Mylasy uległa zniszczeniu. Aleksander wysłał oddziały szturmowe na stos gruzów, aby utorowały drogę do miasta. Jednak Memnon ustawił w szyku obrońców i bez większych trudności zdołał odeprzeć atak.

Tarany uderzały w mury jeszcze przez kilka dni, żeby powiększyć wyłom. Przybliżono też balisty i katapulty, które trzymały obrońców pod ciągłym ostrzałem. Ponieważ zwycięstwo wydawało się bliskie, Aleksander wezwał do swego namiotu naczelne dowództwo, aby omówić natarcie ostateczne.

Pod murami pozostały jedynie oddziały obsługujące maszyny oraz wartownicy ustawieni w regularnych odstępach wzdłuż wału ochronnego.

Księżyc był w nowiu. Żołnierze pełniący wartę nawoływali się w ciemnościach. Memnon, owinięty płaszczem, stał nieruchomo na tarasie, patrząc w dół i nasłuchując.

Przed kilkoma dniami przybyło do Halikarnasu kilku szlachetnie urodzonych Macedończyków, przyjaciół Attalosa i zmarłej królowej Eurydyki, by zaproponować swą pomoc w walce z Aleksandrem. Przypomniawszy sobie o nich, Memnon rozkazał swemu adiutantowi, czekającemu w ciemnościach, żeby natychmiast po nich posłał. Wieczór był spokojny. Łagodna bryza chłodziła powietrze, które rozgrzało się w ciągu długiego późnowiosennego dnia. Co pewien czas dowódca spoglądał na olbrzymie, usiane gwiazdami sklepienie nieba, które załamywało się za odległym horyzontem. Myślał o Barsine i o dniu rozstania, kiedy leżała naga na łóżku, otwierając ramiona i wpatrując się w niego płomiennym wzrokiem. Poczuł nagłą, głęboką, bolesną tęsknotę.

Chciał pojedyńkować się z Aleksandrem. Był pewien, że to pragnienie nada jego ciosom niezwykłą, niszczącą siłę. Głos adiutanta wyrwał Memnona z zadumy.

- Panie komendancie, przybyli ludzie, po których posłałeś.

Odwróciwszy się, Memnon ujrzał uzbrojonych Macedończyków. Dał im znak, żeby się przybliżyli.

- Jesteśmy gotowi, Memnonie - powiedział jeden z nich. - Możesz nami dowodzić.

- Słyszycie te nawoływania?

Macedończycy zaczęli nasłuchiwać.

- Oczywiście. To warty Aleksandra.

- W porządku. Teraz zdejmijcie broje, zatrzymując jedynie miecze i sztylety, żebyście mogli się poruszać swobodnie i bezszelestnie. Oto mój plan: wyjdziecie bocznymi drzwiami i każdy z was zlokalizuje jednego z wartowników. Podczołgacie się, zabijecie go i staniecie na jego miejscu, odpowiadając na nawoływania. Macie taki sam akcent i wymowę, więc nikt niczego nie zauważy. Jak tylko przejmiecie kontrolę nad określonym odcinkiem linii straży, dacie nam znak naśladujący głos puchacza, a wtedy my wyślemy oddział szturmowy z pochodniami i strzałami zapalającymi, który podpali maszyny oblężnicze. Zrozumieliście?

- Tak jest. Zaufaj nam.

Macedończycy odeszli, a w chwilę później, zdjęwszy broje, zeszli po schodach do przejścia, które prowadziło do bocznych drzwi. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, rozdzielili się i przeczolągali w kierunku żołnierzy stojących na warcie.

Memnon w milczeniu czekał na tarasie, spoglądając w stronę wysokich wież oblężniczych, które wznosiły się w ciemnościach niczym giganty. W pewnej chwili usłyszał znajomy głos jednego z wartowników i pomyślał, że pierwsza część misji została wypełniona. Upłynęło jeszcze trochę czasu, po czym dał się słyszeć głos puchacza, początkowo cichy, a później coraz głośniejszy, wyraźniejszy. Pochodził on z miejsca leżącego w równej odległości od dwóch wież oblężniczych.

Memnon zszedł w pośpiechu po schodach, docierając do oddziału, który szykował się do ataku.

- Uważajcie - ostrzegł - bo jeśli wyjdziecie z zapalonymi pochodniami, od razu was zobaczą i stracimy przewagę. Mój plan jest następujący: po cichu podejdziecie między wieże oblężnicze, gdzie nasi ludzie zajęli miejsce wartowników macedońskich. Pozostaniecie w ukryciu do momentu, aż następny oddział przyniesie kocioł z rozżarzoną węglą i dzbany wypełnione smołą. Wtedy z całych sił zadmiecie w trąby i przypuścicie szturm na macedoński garnizon, podczas gdy inni podpalą wieże. Macedończycy sądzą, że odnieśli zwycięstwo, i w tej chwili nie spodziewają się ataku. Nasz wypad na pewno się powiedzie. A teraz ruszajcie!

Żołnierze skierowali się do wyjścia. Kolejno wyszli poza mury, a za nimi podążył oddział niosący kocioł z rozpaloną węglą i dzbany ze smołą. Memnon przyglądał się im do momentu, kiedy za ostatnim z żołnierzy zamknęły się żelazne drzwi, a później udał się pieszo do domu. Czynił tak każdego wieczoru, aby przejść niepostrzeżenie wśród ludzi, posłuchać ich rozmów i poznać nastroje mieszkańców. Dom, w którym mieszkał, wznosił się na stoku akropolu, dlatego też Memnon musiał najpierw wejść po schodach, a następnie przemierzyć wąską, stromą ulicę. Cekał na niego sługa z zapaloną lampą. Otworzywszy drzwi wychodzące na podwórze, odprowadził pana do wejściowego portyku. Memnon poszedł do sypialni na piętrze, gdzie przygotowano już gorącą kąpiel. Otworzył okno i zaczął nasłuchiwać. Ciszę nocną przerwał nagle dźwięk trąby, dochodzący z północno-wschodniej strony murów obronnych. Zaczęło się

natarcie.

Jedna ze służebnic podeszła do Memnona mówiąc:

- Panie, zechcesz wziąć kąpiel?

Memnon nie odpowiedział. Po chwili ujrzał czerwoną lunę, a po niej rozkołysany słup dymu, wznoszący się do nieba. Dopiero wtedy odwrócił się, odwiązał zbroję i powiedział:

- Tak.

25

Zadyszany żołnierz wbiegł do namiotu, wołając:

- Panie! Zrobili wypad i podpalili wieże oblężnicze!

Skoczywszy na równe nogi, Aleksander chwycił go za ramiona.

- Co mówisz?! Oszalałeś?!

- Zaskoczyli nas, królu! Zabili wartowników i zdołali przejść. Mieli dzbany ze smołą i nie możemy ugasić ognia.

Aleksander odepchnął żołnierza na bok i wybiegł na zewnątrz.

- Prędko! Ogłoście alarm, zbierzcie wszystkich ludzi! Kraterosie, zbierz jazdę! Hefajstionie, Perdikkasie, Leonnatosie, zwołajcie Traków i Agrian!

Wskoczył na pierwszego konia, który mu się nadarzył, i popędził w stronę murów obronnych. Pożar był już wyraźnie widoczny i można było dostrzec dwa słupy ognia i dymu, którego czarne kłęby wznosiły się do nieba. Kiedy znalazł się w pobliżu okopu, usłyszał odgłosy walk, które rozgorzały wokół pięciu wież oblężniczych. Po krótkiej chwili nadjechała ciężka jazda pod wodzą Kraterosa i lekka jazda Traków i Agrian, rzucając się z impetem w wir walki z napastnikami, którzy zmuszeni byli wycofać się i ratować ucieczką w stronę bocznych drzwi do miasta. Mimo to dwie wieże zostały zniszczone. Kiedy strawił je ogień, jedna po drugiej przewróciły się z trzaskiem, wzniesając iskry i płomień, w których spaliły się do reszty.

Zsiadłszy z konia, Aleksander podszedł do olbrzymiego stosu. Poległo wielu z jego żołnierzy, których najwyraźniej zaskoczono we śnie, gdyż nie mieli na sobie zbroi. Po chwili nadszedł Hefajstion, mówiąc:

- Odparliśmy ich. Co teraz?

- Zbierzcie ciała poległych - odparł król z zachmurzoną twarzą - i natychmiast odbudujcie zniszczone maszyny. Jutro podejmiemy atak z trzema pozostałymi wieżami.

Na miejsce przybył też przygnębiony dowódca oddziałów obsługujących maszyny. Spuściwszy głowę, powiedział:

- To moja wina. Ukarz mnie, jeśli chcesz, ale oszczędź moich ludzi, gdyż zrobili wszystko, co było w ich mocy.

- Straty, jakie poniosłeś, są wystarczającą karą dla dowódcy - odparł Aleksander. - Musimy się jednak zastanowić nad naszymi zaniedbaniami. Czyżby nie dopilnowano, żeby wartownicy mieli się na baczności?

- To raczej niemożliwe, królu. Na krótko przed atakiem dokonałem inspekcji i nasłuchiwałem nawoływań wartowników. Dałem rozkaz, by używano czystego dialektu macedońskiego, żeby uniknąć niespodzianek...

- I co?

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale na własne uszy słyszałem nawoływania w

czystym dialekcie macedońskim.

Aleksander przejechał ręką po czole.

- Wierzę ci, ale od tej chwili musimy pamiętać, że mamy przed sobą nieprzyjaciela tak przebiegłego i groźnego, jakiego nigdy dotąd nie spotkaliśmy. Od jutra każ podwoić warty i zmieniaj hasło przy każdej zmianie straży. Teraz zbierz poległych i przenieś rannych do obozu, gdzie Filip i jego chirurdzy o nich zadbają.

- Zrobię dokładnie co rozkazałeś. Przysięgam, że to się już nigdy nie powtórzy, choćbym miał osobiście stanąć na warcie.

- Nieważne - odparł Aleksander. - Zadbaj raczej o to, żeby ktoś z floty nauczył cię, jak nocą uzyskać oświetlenie za pomocą wypolerowanej tarczy.

Dowódca przytaknął, lecz w tej samej chwili jego uwagę przyciągnęła postać, która krążyła wokół stosów popiołu ze spalonych wież, pochylając się co pewien czas nad ziemią, jakby się czemuś przyglądała.

- Kto to jest? - spytał.

Aleksander spojrzał we wskazanym kierunku, rozpoznając człowieka, w chwili gdy oświetlił go odblask płomieni.

- Nie obawiaj się, to Kallistenes. - Spiął konia i odwracając się w stronę Kallistenesa, rzucił do dowódcy: - Uważaj, żeby to się nie powtórzyło, bo w przeciwnym razie zapłacisz za to!

Podjechał do Kallistenesa, który właśnie pochylił się nad jednym z zabitych. Był to zapewne wartownik, ponieważ miał na sobie zbroję.

- Czemu się tak przyglądasz? - spytał władca, zeskakując na ziemię.

- Sztylet - odparł Kallistenes. - To jest rana od sztyletu. Nagły cios w kark. Tam jest drugi człowiek z taką samą raną.

- A więc ci, którzy dokonali wypadu, byli Macedończykami.

- Co to ma wspólnego ze sztyletem?

- Dowódca straży mówił, że w nocy wszyscy wartownicy odpowiadali na nawoływania w dialekcie macedońskim.

- Dziwi cię to? W ojczyźnie masz z pewnością wielu wrogów, którzy ucieszyliby się na widok twojej porażki i poniżenia. Któryś z nich musiał dotrzeć do Halikarnasu. Z Terme nie jest daleko.

- Skąd się tu wziąłeś o tej porze?

- Jestem historykiem. Dla tego, kto chce być wiarygodnym świadkiem wydarzeń, autopsja jest podstawą.

- Twoim ideałem jest więc Tukidydes? Nigdy bym cię o to nie posądzał. Nie pasuje do ciebie tak surowa dyscyplina, zważywszy, że bardzo lubisz przyjemności życia.

- To, czego potrzebuję, zdobywam, gdzie mogę. Muszę wiedzieć wszystko, co należy wiedzieć, a dopiero później zdecyduję o tym, co przemilczeć, a o czym opowiedzieć i w jaki sposób. Taki jest przywilej historyka.

- Mimo to właśnie w tym momencie zachodzą pewne wydarzenia, o których nie masz pojęcia, ja natomiast je znam.

- Co to za wydarzenia, jeśli można spytać?

- Plany Memnona. Podejrzewam, że wie o wszystkim, czego dokonałem i czego dokonał mój ojciec, Filip. Pozwala mu to uprzedzać nasze kroki.

- A o czym myśli teraz według ciebie?

- O oblężeniu Perinthos.

Kallistenes chciał zadać jeszcze kilka pytań, lecz Aleksander, pozostawiając go w towarzystwie nieboszczyka spoczywającego u jego stóp, wskoczył na konia i odjechał. W tej samej chwili runęły resztki spalonych wież, wznecając ogień i smugę dymu, która rozplynęła się na wietrze.

Machiny odbudowano z ogromnym wysiłkiem, używając w tym celu sękatych, twardych pni drzew oliwnych. Działania wojenne zostały wstrzymane. Memnon, który regularnie otrzymywał zaopatrzenie drogą morską, nie śpieszył się z kolejnym wypadem, Aleksander zaś nie chciał korzystać z pozostałych machin bez uprzedniego ich sprawdzenia, jako że również one uległy niewielkim uszkodzeniom wskutek pożaru. Najbardziej niepokoiły go odgłosy dochodzące spoza murów miasta. Były one bowiem charakterystyczne, podobne do tych, jakie towarzyszyły robotom ciesielskim przy odbudowie machin wojennych.

Kiedy wreszcie postawiono nowe wieże, a tarany powiększyły wyłom, Aleksander ujrzał to, czego się obawiał: półkolisty bastion, łączący nie naruszone jeszcze fragmenty murów.

- Podobna rzecz wydarzyła się w Perinthos - przypomniał Parmenion, kiedy zobaczył wykonaną naprędce fortyfikację, która wznosiła się za wyrwą w murze, jakby drwiąc sobie z patrzących.

- Na tym nie koniec - wtrącił Krateros. - Chodźcie, coś wam pokażę...

Weszli na wieżę, najdalej wysuniętą na wschód, skąd mogli dostrzec to, nad czym pracowali mieszkańcy oblężonego miasta - olbrzymią, czworokątną strukturę z drzewa, wykonaną z długich desek, ustawionych pod kątem prostym i połączonych we wszystkich kierunkach.

- Nie ma kół - powiedział Krateros. - Stoi jeszcze na ziemi.

- Nie potrzebują kół - wyjaśnił Aleksander. - Chcą trzymać pod ostrzałem wyłom w murze. Kiedy spróbujemy wejść do środka, zasypią nas gradem strzał, zmiażdżą nas.

- Memnon to twardy orzech do zgryzienia - zauważył Parmenion. - Uprzedzałem cię o tym, panie.

Aleksander zwrócił się do niego, niewzruszony:

- Zmiotę mury, bastion, a nawet tę przeklętą drewnianą wieżę, generale, czy Memnon chce tego, czy nie. - Następnie rzekł do Kraterosa: - Obserwuj cały czas wieżę i informuj mnie o wszystkim, co robią. - Zszedł w pośpiechu na dół, wsiadł na konia i pojechał do obozu.

Powiększono wyłom w murze, ale na każdy atak Macedończyków Memnon odpowiadał kontratakami, a ponadto na nowym bastionie ustawił szeregi łuczników, którzy strzelali do żołnierzy Aleksandra. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Poza tym z każdym dniem stawało się coraz cieplej, a zapasy Aleksandra topniały.

Pewnej nocy straż przy wyłomie miał pełnić Perdikkas ze swymi oficerami. Tego wieczoru przybyło wino z Efezu, jako dar od zarządców miasta dla Aleksandra. Pewną jego ilość król przeznaczył dla oficerów, którzy już od dawna nie pili tak dobrego trunku. Perdikkas i jego ludzie przebrali miarę, a około północy byli już lekko pijani. Jeden z nich

wychwalał urodę mieszkanek Halikarnasu, o której słyszał od obozowego kupca, w wyniku czego pozostali ożywili się i zaczęli się przechwalać, że potrafią zakończyć oblężenie raz na zawsze, za pomocą fortelu.

Perdikkas wyszedł z namiotu, żeby popatrzeć na niebezpieczny otwór w murze, przy którym zginęło już wielu odważnych żołnierzy macedońskich. W tej samej chwili powiew morskiej bryzy zamącił mu umysł: wydawało mu się, że razem ze swymi ludźmi znajduje się pod murami Teb i nagłym wtargnięciem przez bramę miasta kończy oblężenie. Pomyślał o Kleopatrze i gorącej, wonnej nocy, podczas której przyjęła go do swego łóżka. Była to noc podobna do tej. Wydawało mu się, że zwycięstwo jest możliwe wtedy, gdy determinacja staje się silniejsza od przeciwności. Jak wszyscy nietrzeźwi ludzie, poczuł się niepokonany, zdolny wprowadzić w życie marzenia. A w marzeniach Perdikkasa Aleksander polecił, by wojsko ustawiło się w szyku na jego cześć i by heroldowie wygłosili uroczystą pochwałę zdobywcy Halikarnasu.

Z rozmarzonym spojrzeniem wrócił do namiotu i powiedział głosem tak cichym, że słowa można było usłyszeć tylko z bliskiej odległości:

- Zbierzcie ludzi, przypuszczamy atak na bastion.

26

- Nie przesłyszałem się? Powiedziałeś, że atakujemy bastion? - spytał jeden z oficerów.

- Nie przesłyszałeś się - odparł Perdikkas. - Jeszcze tej nocy wszyscy się przekonają, czy rzeczywiście jesteś tak odważny, jak mówisz.

Wszyscy zaczęli chichotać.

- No, to co? Idziemy?! - wykrzyknął inny oficer.

Pomimo upojenia Perdikkas był niezwykle poważny.

- Udajcie się do swoich oddziałów, macie niewiele czasu. Sygnałem będzie lampa zawieszona na moim namiocie. Weźcie drabiny, haki i sznury. Zaatakujemy po staremu, po cichu, bez wież oblężniczych i katapult. Ruszajcie się!

Towarzysze spojrzeli na niego ze zdziwieniem i niedowierzaniem, ale usłuchali Perdikkasa, gdyż mówił tonem nie znoszącym sprzeciwu i w podobny sposób spoglądał. W chwilę później, gdy na maszcie jego namiotu pojawiła się lampa, wszyscy udali się w zwartych szeregach, bezszelestnie, do miejsca, w którym przez wyrwę w murze widać było bastion umacniający, podobny do klamry.

- Schrońcie się pod murami i zaczekajcie - rozkazał Perdikkas. - Na mój znak ruszycie do ataku. Musimy zaskoczyć żołnierzy z nocnego patrolu, zanim nadejdą oddziały szturmowe. Jak tylko zdobędziemy taras, zadmiemy w trąby na alarm, a wtedy przybędzie król i pozostali dowódcy. A teraz naprzód!

Oficerowie przekazali rozkaz swym żołnierzom i ci w ciemnościach dotarli pod wyłom, ustawiając się po jego bokach, a następnie podbiegli do podstawy bastionu wznoszącego się w odległości może stu kroków. Podczas gdy szykowali się do wspinaczki, opierając drabiny i wymachując hakami na linach, ciszę nocy rozdarły nagle wysokie dźwięki trąb, nawoływania i szczęk broni. Taras wypełnił się żołnierzami, a sznury

uzbrojonych ludzi, niczym wezbrane potoki, wydostały się przez boczne drzwi i przez bramę Mylasy, zachodząc od tyłu zastępy Perdikkasa i spychając je w stronę bastionu, z którego posypał się gęsty grad strzał.

- O, bogowie! - wykrzyknął jeden z oficerów. - Wpadliśmy w pułapkę. Perdikkasie, każ dać w trąby na alarm! Wezwij pomocy króla!

- Nie! - zawołał Perdikkas. - Jeszcze nie wszystko stracone. Odeprzycie atak z tej strony, my tymczasem wespnijemy się na mury.

- Oszalałeś! - krzyknął głośno oficer. - Siedzą nam już na karku. Każ dać na alarm albo ja to zrobię, do diaska!

Perdikkas rozejrzał się wokół przestraszony, lecz instynkt zachowawczy obudził w nim energię. Odzyskawszy nagle przytomność umysłu, musiał stawić czoło nadchodzącemu niebezpieczeństwu.

- Wszyscy za mną! - rozkazał. - Wszyscy za mną! Utorujemy sobie drogę do obozu. Trąba! Alarm!

Odgłos trąby przeciął stojące powietrze letniej nocy, następnie odbił się echem po rozległej kotlinie, docierając do obozu Aleksandra niczym przeciągły płacz.

- Królu, słyhać trąby grające na alarm! - zawołał jeden ze strażników, wpadłszy do królewskiego namiotu. - Od strony bastionu.

Wyskoczywszy z łóżka, Aleksander pochwycił miecz.

- To Perdikkas... Ten bałwan wpakował się w kłopoty. Powinienem był to przewidzieć!

Wybiegł z namiotu wołając:

- Na koń! Na koń! Perdikkas w niebezpieczeństwie!

I pogalopował, a za nim straż królewska, jak zwykle w rynsztunku bojowym, z którym nie rozstawała się ani w dzień, ani w nocy.

Tymczasem Perdikkas stanął na czele swych ludzi i posuwał się naprzód, walcząc zawzięcie, by przedostać się na otwartą przestrzeń. Oddziały nieprzyjacielskie zajęły jednak dogodniejsze pozycje nad wyłomem i zdobyły przewagę, podczas gdy Macedończycy musieli wspinać się wśród kamieni i gruzu. Cały czas słyhać było przenikliwy, niepokojący odgłos trąby. Perdikkas, z krwawiącymi rękami i kolanami, torował sobie drogę wśród szeregów wroga, walcząc odważnie i z determinacją. Kiedy dało się słyszeć galopującą jazdę Aleksandra, zdołał już zrobić przejście i przeciągał swych ludzi na drugą stronę wyłomu, kierując się w dół, ku obozowi.

Oddziały Memnona zwały szeregi i zaczęły się wycofywać, odwrócone tyłem do bastionu. Miejsce walki zasłane było ciałami poległych Macedończyków, których dowódca, w lekkomyślnym porywie, poprowadził do samobójczego ataku. Aleksander stanął przed Perdikkasem tak niespodziewanie, jakby wyrósł spod ziemi. Jego twarz jaśniała krwawym odbłaskiem zapalonych pochodni, a włosy opadały na boki niczym lwia grzywa.

- Co ty najlepszego zrobiłeś, Perdikkasie?! Poprowadziłeś swych żołnierzy na rzeź!

Perdikkas, wyczerpany i zrozpaczony, padł na kolana. Jazda Aleksandra zajęła pozycje, by odeprzeć ewentualny atak nieprzyjaciela. Tymczasem weterani Memnona stanęli na wierzchołku wyrwy, w zwartym szyku, by

oczekiwać ruchu przeciwnika.

- Poczekamy do świtu - zdecydował Aleksander. - Teraz jest zbyt niebezpiecznie.

- Aleksandrze! Daj mi kilka oddziałów i pozwól mi walczyć, pozwól wziąć odwet! - wołał wzburzony Perdikkas.

- Nie - odparł król stanowczym tonem. - Nie mnożmy błędów. Będiesz miał czas, żeby się zemścić.

Pozostała część upłynęła w spokoju. Co pewien czas ciemności nocy rozświetlała płonąca strzała, którą wystrzelili nieprzyjaciele, żeby oświetlić przestrzeń przed wyrwą w murze. Płomień przecinał niebo jak meteor, po czym strzała z sykiem spadała na ziemię.

O świcie władca polecił Perdikkasowi zwołać apel, żeby sprawdzić, ilu żołnierzy poległo lub zaginęło. Z dwóch tysięcy ludzi, którzy wzięli udział w ataku, odpowiedziało zaledwie tysiąc siedemset. Pozostali zginęli w zasadzce, a ich ciała leżały teraz nie pochowane, między wyłomem a bastionem.

Król postanowił wysłać do Memnona herolda z prośbą o rozmowę.

- Muszę pertraktować w sprawie zwrotu ciał poległych - wyjaśnił posłańcowi.

Herold wysłuchał warunków proponowanych przez króla, po czym wziął białą flagę, wsiadł na konia i pojechał w kierunku linii nieprzyjaciela. Jego przyjazd obwieściły trzy odgłosy trąby, oznaczające prośbę o zawieszenie broni, na które odpowiedziały kolejne trzy dźwięki trąby, dobiegające od strony wyłomu. Posłaniec Aleksandra zbliżył się powoli do zniszczonego fragmentu murów, a po chwili drugi herold zszedł z wierzchołka wyrwy. Był to Grek z kolonii, prawdopodobnie z Rodos, który mówił z silnym akcentem doryckim.

- Król Aleksander pragnie podjąć pertraktacje o zwrot ciał poległych żołnierzy - powiedział herold macedoński. - Chciałby poznać warunki, jakie stawia wasz dowódca.

- Nie jestem uprawniony do rozmowy o tych warunkach - odparł rozmówca - ale dowódca Memnon gotowy jest spotkać się z twoim królem osobiście, zaraz po zachodzie słońca.

- Gdzie?

- Tam. - Grek wskazał dziki figowiec rosnący w pobliżu monumentalnego grobowca, przy drodze, która wiła się od bramy miasta w kierunku Mylasy. - Będziecie jednak musieli cofnąć wasze oddziały o jeden stadion, ponieważ spotkanie ma się odbyć dokładnie w połowie drogi między obydwojema ugrupowaniami. Dowódca Memnon przybędzie bez eskorty i tego samego oczekujemy od króla Aleksandra.

- Przekażę to, co mi powiedziałeś - odparł herold macedoński - a jeśli za chwilę nie wrócę, będzie to oznaczać, że król zgodził się na wasze warunki.

Wsiadł na konia i odjechał. Grek zaczekał chwilę, po czym wszedł na stos ruin i zniknął w szeregach weteranów.

Aleksander rozkazał cofnąć wojsko na wymaganą odległość, a następnie wrócił do obozu i zamknął się w swym namiocie, czekając na zachód słońca. Przez resztę dnia nie tknął jedzenia ani wina. Porażkę Perdikkasa odczuwał tak, jakby poniósł ją osobiście, natomiast talent Memnona do

odpowiedzi ciosem na cios upokarzał go i sprawił, że po raz pierwszy odnosił przynębiające wrażenie niemocy i głębokiej samotności. Chwile triumfów, które mu dotąd towarzyszyły, wydawały się tak odległe, że niemal o nich zapomniał. Memnon z Rodos był skałą opóźniającą jego marsz, przeszkodą, która z biegiem czasu wydała mu się nie do pokonania.

Wartownikom wydał rozkaz, by nikogo nie wpuszczali do namiotu, dlatego też nie odwiedziła go również Leptine. Nauczyła się już czytać w oczach Aleksandra, dostrzegać w nich błyski radości i cienie, niczym na niebie podczas burzy.

Na krótko przed zachodem słońca, kiedy Aleksander przygotowywał się do spotkania z wrogiem, przed namiotem dały się słyszeć odgłosy sprzeczki i po chwili do środka wtargnął Perdikkas, którego osobista ochrona króla nie zdołała zatrzymać. Na znak dany przez Aleksandra strażnicy wyszli.

- Zasługuję na śmierć! - wykrzyknął zrozpaczony Perdikkas. - Z mojej winy zginęło tylu odważnych żołnierzy, okryłem hańbą własne wojsko i zmusiłem cię do poniżających pertraktacji. Zabij mnie! - wołał, podając królowi miecz.

Jego szeroko otwarte oczy były zaczerwienione i podkrążone. Aleksander nie widział Perdikkasa w podobnym stanie od oblężenia Teb. Spoglądał na niego, nie mrugnawszy powieką. Wskazując krzesło, powiedział:

- Usiądź.

Perdikkas nadal trzymał miecz w drżących rękach.

- Powiedziałem ci, żebyś usiadł! - rozkazał Aleksander głośno i stanowczo.

Przyjaciel usiadł, wypuszczając miecz z dłoni.

- Dlaczego przypuściłeś atak? - spytał Aleksander.

- Dużo wypilem, wszyscy piliśmy... Sądziłem, a nawet byłem przekonany, że szturm się powiedzie.

- Ponieważ byłeś pijany. Każdy człowiek zdrowy na umyśle uznałby, że nocny atak na takim terenie to samobójstwo.

- Na murach nikogo nie było, nawet wartowników. Panowała głucha cisza.

- Dałeś się nabrać. Memnon jest najbardziej niebezpiecznym przeciwnikiem, jaki kiedykolwiek stanął nam na drodze. Zrozumiałeś?! - wykrzyknął król.

Perdikkas przytaknął skinieniem głowy.

- Memnon jest nie tylko walecznym żołnierzem, ale także człowiekiem niezwykle przebiegłym i inteligentnym, który obserwuje nas dniem i nocą, śledząc każdy nasz błąd, każdy fałszywy krok czy lekkomyślny ruch, a następnie uderza z porażającą siłą.

Tym razem nie walczymy na polu bitwy, gdzie jazda może rozwinąć szyki, a falanga użyć całej swojej siły. Mamy do czynienia z bogatym, potężnym miastem i dobrze przeszkolonym wojskiem, które znajduje się w lepszej pozycji i nie odczuwa niedogodności wynikających ze stanu oblężenia. Jediną naszą możliwością jest wykonanie wystarczająco szerokiego przejścia w murze obronnym i wciągnięcie do walki weteranów Memnona.

Możemy dokonać tego jedynie w ciągu dnia, przy dobrym oświetleniu.

Musimy przeciwstawić nasze siły, inteligencję i rozwagę siłom, inteligencji i rozwadze wroga. Nic więcej. Wiesz, co teraz zrobimy? Usuniemy gruz i kamienie spod wyłomu, żeby oczyścić teren. Następnie postawimy maszyny naprzeciw bastionu i zburzymy go. Jeśli zbudują kolejny bastion, to także go zburzymy, aż w końcu zepchniemy ich do morza. Rozumiesz, Perdikkasie?

Do tego momentu będziesz posłuszny wyłącznie moim rozkazom. Strata żołnierzy jest dla ciebie wystarczającą karą. Wkrótce przyniosę ci ich ciała. Ty i twój oddział pochowacie ich z wszelkimi honorami, a przez złożenie ofiar uspokoicie ich umęczone dusze. Nadejdzie dzień, w którym będziesz mógł spłacić swój dług. Teraz rozkazuję ci żyć.

Podniósł z ziemi miecz i zwrócił go Perdikkasowi. Ten włożył go do pochwy i wstał, kierując się do wyjścia. Czy miał pełne łez.

27

Mężczyzna, który stał naprzeciw Aleksandra, skrywał twarz pod hełmem korynckim i miał na sobie zbroję z brązowej blachy, zdobioną srebrem. U pasa jego kolczugi zawieszony był miecz. Na plecach miał błękitny, lniany płaszcz, który powiewał na wietrze niczym żagiel.

Aleksander natomiast nie miał na głowie hełmu, a na spotkanie przybył pieszo, prowadząc Bucefała za uzdę.

- Jestem Aleksander, król Macedończyków - powiedział. - Przybyłem, żeby podjąć pertraktacje o wykupienie moich poległych żołnierzy.

Pod przyłbicą zabłysło spojrzenie, w którym Aleksander rozpoznał z łatwością błysk oczu utrwalony na portrecie Apellesa. Spod hełmu dał się słyszeć metaliczny głos:

- Jestem komendant Memnon.

- Czego żądasz w zamian za zwrócenie ciał mych wojowników?

- Odpowiedzi na jedno tylko pytanie.

Aleksander spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Jakie pytanie?

Memnon zawahał się, Aleksander zaś poczuł, że pragnie zapytać go o Barsine, ponieważ człowiek z jego pozycją, który miał wszędzie informatorów, musiał wiedzieć z całą pewnością o wszystkim, co się wydarzyło, a teraz dręczyły go wątpliwości. Jednak zapytał o coś innego:

- Dlaczego przyniosłeś wojnę w te strony?

- Persowie pierwsi zajęli Grecję, ja zaś przybywam, żeby pomścić zniszczone świątynie, miasta i młodzieńców, którzy zginęli pod Maratonem, Termopilami, Platejami.

- Kłamiesz - odparł Memnon. - Grecy nic cię nie obchodzą, podobnie jak ty ich. Powiedz mi prawdę. Nikomu jej nie zdradzę.

Wiatr przybrał na sile, pokrywając obydwu wojowników chmurą czerwonego pyłu.

- Przybyłem, żeby zbudować największe królestwo na ziemi. Nie spoczne, póki nie dotrę do brzegów najdalszego oceanu.

- Tego się obawiałem - przyznał Memnon.

- A ty? Dlaczego jesteś taki uparty? Przecież nie jesteś ani królem, ani

nawet Persem.

- Dlatego, że nienawidzę wojny i szalonych, lekkomyślnych młodzieńców, podobnych do ciebie, którzy pragną zdobyć sławę, nurzając świat we krwi. Sprawię, że będziesz gryźć ziemię, Aleksandrze! Zmuszę cię, byś powrócił do Macedonii i zginął od sztyletu jak twój ojciec.

Władca nie dał się sprowokować.

- Nie będzie pokoju, dopóki będą istnieć granice, bariery, różne języki i obyczaje, odmienni bogowie i wierzenia. Powinieneś przyłączyć się do mnie.

- To niemożliwe. Mam tylko jedno słowo i przekonania.

- A więc zwycięży silniejszy.

- Nie wiadomo, gdyż los jest ślepy.

- Zwrócisz mi poległych?

- Możesz ich zabrać.

- Jak długo będzie trwać rozejm?

- Do końca pierwszej zmiany straży.

- Będę miał dość czasu. Dziękuję ci.

Nieprzyjacielski dowódca skinął głową na znak zgody.

- Żegnaj, komendancie Memnonie!

- Żegnaj, królu Aleksandrze!

Odwróciwszy się, Memnon skierował się ku północnej stronie murów, gdzie otworzono boczne wejście, a jego błękitny płaszcz zniknął w ciemnościach. Po chwili ciężkie żelazne drzwi zamknęły się za nim z głośnym skrzypieniem.

Aleksander wrócił do obozu i wydał Perdikkasowi polecenie, by zebrał ciała zabitych. Przekazano je następnie kapłanom i ich akolitom, którzy mieli je przygotować do pogrzebu. Potem wzniesiono piętnaście olbrzymich stosów, a na każdym z nich umieszczono ciała poległych żołnierzy w zbrojach. Uprzednio umyto ich, uczesano i namaszczone pachnącymi olejkami. Oddziały Perdikkasa pełniły straż honorową, a w odpowiedzi na kolejne zawołania dowódcy głośno wykrzykiwały imiona poległych. Po spaleniu ciał zebrano prochy do urn, gdzie znalazły się też miecze zabitych, które wcześniej rozgrzano w ogniu i zgięto zgodnie z rytuałem. Na koniec urny zapieczętowano, opatrując je inskrypcją z imieniem, nazwiskiem rodu i miejscem urodzenia zmarłego. Następnego dnia urny załadowano na okręt, który zawiózł je do Macedonii. Tam spoczęły na zawsze w ziemi przodków.

Tymczasem saperzy, pod osłoną kul, którymi miotały balisty, rozpoczęli uprzątanie gruzu wokół wyłomu, w celu ustawienia machin jak najbliżej bastionu. Aleksander, obserwujący prace ze szczytu wzgórze, zauważył, że w tym samym czasie wznoszono w mieście ogromną drewnianą wieżę, którą kazał postawić Memnon.

Do władcy podszedł Eumenes, ubrany jak zwykle w zbroję, choć nigdy dotąd nie uczestniczył w bitwie.

- Kiedy postawią tę wieżę, trudno będzie zbliżyć się do bastionu.

- Masz rację - przyznał Aleksander. - Memnon zainstaluje na jej wierzchołku katapulty i balisty, trzymając nas pod ostrzałem z niewielkiej odległości.

- Wystarczy, że wyceluje w ludzi, a dokona masakry.
 - Właśnie dlatego chcę zrobić wyrwę w tym przeklętym bastionie, zanim Memnon skończy stawiać wieżę.
 - Nie dasz rady.
 - Dlaczego?
 - Zmierzyłem czas, w jakim postępują prace. Chyba widziałeś zegar, który poleciłem zbudować na wzgórzu?
 - Tak, widziałem go.
 - No więc wznoszą, w przybliżeniu, trzy łokcie wieży w ciągu dnia. Zauważyłeś to urządzenie, które umieściłem obok zegara?
 - Oczywiście - odparł Aleksander z lekkim zniecierpliwieniem.
 - Jeśli to cię nie interesuje, zamilknę - powiedział urażony Eumenes.
 - Nie bądź niemądry! Co to za urządzenie?
 - Zabawka, którą sam wynalazłem: celownik na obrotowej podstawie, który można skierować na obserwowany obiekt. Dzięki prostemu obliczeniu geometrycznemu potrafię ustalić, jaki odcinek konstrukcji powstaje w ciągu jednego dnia.
 - A zatem?
 - A zatem kiedy my usuniemy mniej niż połowę gruzów, oni zakończą prace lub, jeśli kto woli, zasypią nas gradem kul. Obliczyłem, że będą mogli ustawić dwanaście katapult na trzech poziomach, umieszczonych jeden nad drugim.
- Aleksander spuścił głowę. Po chwili spytał:
- Co proponujesz?
 - Chcesz znać moje zdanie? Osobiście dałbym sobie spokój z usuwaniem gruzu i zająłbym się naszymi machinami w sektorze północno-wschodnim, gdzie mur wydaje się cieńszy. Jeśli zechciałbyś rzucić okiem przez moje urządzenie...
- Aleksander dał się namówić i spojrzał przez celownik.
- Musisz popatrzeć najpierw na krawędź zewnętrzną, a później wewnętrzną muru, na lewo od wylomu. Widzisz? Teraz spójrz w prawo, o tak.
 - Rzeczywiście - przyznał Aleksander, prostując się. - Po drugiej stronie mur jest cieńszy.
 - No, właśnie. Jeśli każesz umieścić wszystkie wieże w tamtym miejscu, to jeszcze dzisiaj mógłbyś otworzyć szeroki wylom, który pozwoli ci obejść okrągły bastion i zdobyć go od flanki. Agrianie znakomicie potrafią się wspinać, więc jeśli ich tam wyślesz, utworzą drogę żołnierzom, którzy będą mogli przedostać się do miasta i zaatakować obrońców od tyłu.
- Aleksander oparł dłonie na ramionach Eumenesa, mówiąc:
- A ja powierzyłem ci rolę sekretarza! Jeśli zwyciężymy, będziesz brać udział we wszystkich naradach naczelnego dowództwa, z przywilejem wyrażania własnej opinii. Każmy teraz przesunąć wieże i niech zaczną burzyć mur. Niech pracują nieprzerwanie, w dzień i w nocy. Nie damy spać mieszkańcom Halikarnasu.

Rozkazy króla zostały bezzwłocznie wykonane. Po kilku dniach zakończono trudne dzieło przesunięcia siedmiu wież oblężniczych pod

północno-wschodni sektor murów; uczestniczyły w tym setki ludzi i zwierząt pociągowych. Następnie rozpoczęły pracę tarany. Uderzały w mur nieprzerwanie, uporczywie, a ich ogłuszający odgłos powodował drgania całego pasa murów obronnych i leżącej pod nimi ziemi. Na polecenie Aleksandra Eumenes dokonał przeglądu każdej wieży z osobna. Towarzyszyła mu grupa inżynierów. Sprawdzali stan równowagi machin i kontrolowali pomosty, aby zwiększyć skuteczność taranów. Warunki panujące wewnątrz wież były przerażające: upał, kurz, ciasnota. Olbrzymi wysiłek, jakiego wymagało uderzenie olbrzymimi belkami, okutymi żelazem, w kamienną powierzchnię, po którym następował groźny odskok kłody, a także straszliwy hałas, wystawiały na ciężką próbę żołnierzy obsługujących maszynę. Po schodach wież nieprzerwanie wchodził i schodził ludźmi niosący wodę do picia dla mozolnie pracujących wojowników. Wszyscy wiedzieli, że obserwuje ich król, który obiecał wysoką nagrodę dla tego, kto pierwszy dokona wyłomu w obronie nieprzyjacielskiej.

Aleksander przeczuwał jednak, że o powodzeniu przedsięwzięcia nie będą decydować wyłącznie maszyny oblężnicze, ale także Memnon, który szykował już odpowiedź. Wezwał więc na wzgórze Parmeniona, Klejtosa oraz swych towarzyszy: Hefajstiona, Perdikkasa, Leonnatosa, Ptolemeusza, Lizymacha, Kraterosa, Filotasa, Seleukosa, jak również Eumenesa. Sekretarz był brudny od kurzu i ogłuszony hałasem, dlatego też należało mówić do niego bardzo głośno. Za nimi stały szeregi wojska w pogotowiu. Pierwszą linię tworzyli koniuszowie, wyposażeni w lekką broń, których zadaniem było podejmowanie ataku, oraz grupy szturmowe Traków i Agrian. Dalej, pośrodku i na lewym skrzydle, stała ciężka piechota liniowa Macedończyków, a po prawej stronie - greccy hoplici. Na flankach kolumny znajdowała się jazda. Końcowe szeregi zajmowali rezerwowi weterani Filipa, którymi dowodził Parmenion. Byli to żołnierze bardzo doświadczeni i wytrwali w walce. Wszyscy czekali w milczeniu, z bronią przy nodze, w cieniu drzew oliwnych.

Tymczasem z rozkazu Perdikkasa ustawiono na jednym ze wzniesień rząd balist wycelowanych w bramę Mylasy, aby uniemożliwić nieprzyjacielowi dokonanie wypadu.

- Eumenes ma nam coś do powiedzenia - oznajmił Aleksander.

Sekretarz spojrział na zegar słoneczny, wpatrując się w cień, jaki tworzył palik umieszczony pośrodku drewnianej tarczy.

- Najdalej za godzinę runie mur od strony północno-wschodniej. Górne warstwy kamiennych ciosów już ustępują, a w dolne uderzają ciężkie tarany z niższych pomostów wież. Mury powinny runąć jednocześnie na odcinku co najmniej stu pięćdziesięciu stóp.

Aleksander rozejrzał się wokół: jego generałowie i towarzysze mieli wygląd ludzi zmęczonych walkami, nocnym czuwaniem, ciągłymi kontratakami, zasadzkami i niewygodami długich miesięcy oblężenia.

- Dzisiaj podejmujemy największe ryzyko - oznajmił. - Jeśli zwyciężymy, wieść o naszej sile otworzy bramy wszystkich miast, stąd aż po pasmo górskie Amanos. Jeśli zdołają nas odeprzeć, stracimy wszystko, co zdobyliśmy. Zapamiętajcie jedną rzecz: nasz przeciwnik szykuje się do

decydującego ruchu, ale nikt z nas nie potrafi przewidzieć, jaki to będzie ruch. Spójrzcie na tę wieżę - to mówiąc, wskazał ręką olbrzymią drewnianą konstrukcję najeżoną balistami i katapultami, która wznosiła się na wysokość stu stóp - a przekonacie się, jak bardzo jest groźny. A teraz ustawcie oddziały przy wieżach, gdyż musimy być gotowi ruszyć do przodu, kiedy tylko powstanie otwór w murze. Ruszajcie!

Gdy skończył mówić, o głos poprosił Perdikkas:

- Aleksandrze, proszę cię o zaszczyt przeprowadzenia pierwszego ataku. Przydziel mi koniuszych i oddziały szturmowe, a klę się na bogów, że jutro rano wydasz ucztę w pałacu satrapy Halikarnasu.

- Weź ludzi, których potrzebujesz, Perdikkasie, i zrób to, co do ciebie należy.

Wszyscy dowódcy udali się do swych oddziałów, a na dźwięk trąby wojsko ruszyło w kierunku siedmiu wież. W cieniu oliwek pozostali jedynie niewzruszeni weterani pod czujnym okiem generała Parmeniona.

28

Aleksander kazał przyprowadzić Bucefała, czując, że w tej ważnej chwili będzie mógł polegać tylko na nim. Pogłaskał konia po pysku i szyi, a następnie ruszył z wolna w stronę murów, w towarzystwie Hefajstiona i Seleukosa, których chciał mieć przy sobie. Usłyszawszy głośny świst, odwrócił się i zobaczył, że olbrzymia wieża, stojąca za okrągłym bastionem, została uruchomiona i wyrzucała w kierunku prawego skrzydła wojska grad strzał o żelaznych grotach.

- Kryć się! - wykrzyknął Klejtos. - Uciekajcie stamtąd, bo nafaszerują was strzałami! Usuniecie się, powiedziałem!

Prawe skrzydło zmieniło kierunek marszu, przesunęło się za środek kolumny, a Klejtos rozkazał swym żołnierzom, by schronili się pod murami, gdzie nie sięgały strzały balist. Tymczasem Lizymach, który dowodził baterią machin miotających na wzniesieniu, odpowiedział gęstym ostrzałem w kierunku wieży nieprzyjaciół, trafiając wielu z nich. Ranni, krzycząc z bólu, spadli w dół i rozbili się o ziemię.

W tej samej chwili dał się słyszeć łoskot walących się murów po stronie wschodniej, w które nieprzerwanie uderzały tarany. Na to tylko czekał Perdikkas, który podjechał tam natychmiast z koniuszymi i Agrianami, krzycząc jak szalony i wyciągając przed siebie włócznię. Zarazem jednak dało się słyszeć odgłos trąb, po którym nastąpiło ich kolejne, przeciągłe i rozdzierające brzmienie. Do Aleksandra podjechał galopem posłaniec, wołając:

- Królu! Królu! Alarm na wschodniej flance.

Słyszając to, Hefajstion zwrócił się do Aleksandra:

- To niemożliwe. Po wschodniej stronie nie ma bram.

- Właśnie, że są - oznajmił Seleukos. - Bliżej wybrzeża.

- Przecież zauważylibyśmy je z tej odległości - ciągnął Hefajstion.

Tymczasem nadjechał drugi posłaniec.

- Królu! Zsunęli się po murach! Są ich tysiące! Zeszli po sznurowych drabinach i sieciach rybackich! Siedzą nam na karku!

- Do galopu! - rozkazał Aleksander. - Prędko! Prędko!

Spiąwszy Bucefała, pojechał na tyły wojska, skąd dostrzegł tysiące żołnierzy perskich, którzy atakowali od prawej, zasypując Macedończyków gradem strzał i oszczepów. Ponownie zadęto w trąby, tym razem po lewej stronie.

- Brama Mylasy! - wykrzyknął Seleukos. - Aleksandrze, spójrz! Kolejny wypad!

- Uważajcie na drzwi w murze! - wołał Klejtos. - Uwaga, do diaska! Leonnatosie! Z tej strony! Uważaj na flankę!

Leonnatos ze swymi pezetajami odwrócił się i zobaczył przed sobą piechotę najemników pod wodzą gigantycznego Efiatesa, który osłaniał się brązową tarczą z podobizną gorgony o błyszczących oczach i głowie w koronie z węży. Olbrzym wołał:

- Naprzód! Naprzód! Czekaliśmy na tę chwilę! Zabijmy ich wszystkich!

Król utorował sobie drogę aż do pierwszej linii, gdzie perskie oddziały szturmowe, połączone z greckimi najemnikami Efiatesa, przypuściły gwałtowny atak, podczas gdy na wieży bastionu weszły do akcji katapulty miotające pociski po linii parabolicznej.

W wyniku nieustającego gradu pocisków szyki Macedończyków rozpadły się, a najemnicy greccy zaczęli posuwać się naprzód, spychając ich tarczami do tyłu. Aleksander, który znajdował się w tej chwili na lewym skrzydle, skierował Bucefała w tłum walczących. Dzierżył w dłoni obosieczny topór i głośno krzyczał, pragnąc dodać odwagi swym ludziom. Niedaleko od niego upadł duży kamienny pocisk, przygniatając jednego z żołnierzy. Jego krew trysnęła na bok Bucefała, który stanął dęba, rżąc i wierzgając. Król bezskutecznie starał się przedostać w środek walki, gdzie jego żołnierze byli najbardziej narażeni na ciosy wroga. Ścisk, jaki panował przed nim, oraz grad kamieni wyrzucanych z katapult uniemożliwiały jakikolwiek ruch, a poza tym musiał skierować wszystkie siły na odparcie fali nieprzyjaciół, która wydostawała się z bramy Mylasy.

Tymczasem Klejtos dostrzegł Efiatesa, który ze swymi ludźmi parł do przodu jak burza, wbijając się klinem w środek wycofujących się oddziałów macedońskich. Młodzi pezetajrowie ustępowali wobec gwałtownego natarcia groźnych najemników. Opór stawiał jedynie Perdikkas, walczący na końcu lewego skrzydła. Z każdą chwilą jednak sytuacja się pogarszała. Katapulty umieszczone na wieży bastionu wyrzuciły dziwne pociski - amfory wypełnione bitumem i smołą, które rozbiły się u stóp macedońskich wież oblężniczych, a ich zawartość rozlała się po ziemi. Zaraz potem na murach pojawili się perscy łucznicy i wystrzelili mnóstwo strzał zapalających. Buchnął ogień, który pochłoniął maszyny, zmieniając je w gigantyczne pochodnie. Na ten widok Perdikkas przekazał dowództwo swemu zastępcy i pośród płomieni wspiał się na pierwszy pomost, gdzie przerażeni ludzie odstępili od tarana, który zawisł nieruchomo na wspornikach.

- Wracajcie na pozycje! - zawołał. - Wracajcie na pozycje! Mur zaraz runie. Uderzcie jeszcze raz!

Rzuciwszy na ziemię swoją tarczę, sam chwycił za taran, podczas gdy języki ognia wślizgiwały się złowieszczo przez szpary w podłodze. Żołnierze, zaskoczeni tak wielką odwagą, spojrzeli na Perdikkasa, po czym

kolejno wrócili na swoje miejsca i zaczęli popychać taran, pokrzykując, żeby zapanować nad strachem i łatwiej znieść straszliwe gorąco płomieni. Olbrzymia belka o żelaznym zakończeniu, którą popychało tysiąc ramion, nabrała rozpędu i uderzyła z hukiem w powierzchnię muru. Olbrzymie kamienne klince, już nieco naruszone, zakołysały się, a następnie kilka z nich runęło, wzniecając chmurę pyłu zmieszanego z dymem. Kolejne uderzenia otworzyły wyrwę w murze i spowodowały, że zawalił się z łoskotem, tłumiąc częściowo ogień.

Tymczasem silny atak Efiatesa na środek macedońskich szyków zmusił pezetajrow do odwrotu, który teraz zamieniał się w rozsypkę. Widząc, co się dzieje, Klejtos wykrzyknął:

- Leonnatosie, powstrzymaj go!

Usłyszawszy wołanie towarzysza, Leonnatos toporem utorował sobie drogę wśród nieprzyjaciół, by stanąć naprzeciw olbrzymiej sylwetki Efiatesa. Dwaj siłacze zatrzymali się, dysząc ze zmęczenia. Ich liczne rany krwawiły, a ciała błyszczały od potu, niczym posągi od deszczu.

Aleksander spojrzął za siebie i popatrzył na weteranów ojca, którzy stali nieruchomo w cieniu oliwek, pod niewzruszonym okiem Parmeniona. Rzucił rozkaz:

- Trąby, wezwijcie rezerwy!

Była to ostatnia możliwość, jako że jazda nie mogła wziąć udziału w walce ze względu na nierówny, usiany kamieniami, gdzieśgdzie skalisty teren.

Kiedy Parmenion usłyszał niepokojący, przeciągły dźwięk trąby, wzywający go do podjęcia działań, powiedział do swych oddziałów:

- Weterani, za króla Filipa, za króla Aleksandra! Ruszamy!

Po tych słowach groźną ciszę przeszył odgłos Cheronei. Olbrzymi bęben, ukryty wśród drzew oliwnych, odezwał się i potężna falanga ruszyła, unosząc włócznie, podobna do ogromnego, straszliwego jeża. Żołnierze szli rytmicznie, wołając co krok: *Alalalài! Alalalài!*

Aleksander z dużym trudem przedostał się niemal w sam środek ugrupowania, po czym polecił pezetajrom Leonnatosowi, żeby odsunęli się na boki i przepuścili weteranów, którzy po chwili spadli lawiną na wyczerpanych najemników Memnona. Leonnatos tymczasem walczył jak lew ze swym gigantycznym przeciwnikiem, a po równinie niesło się echo ogłuszającego łoskotu jego ciosów, zadawanych w tym pojedynku tytanów. W pewnej chwili doświadczony w walce wojownik zamierzył się na Efiatesa, aż ten zachwiał się i upadł na kolano. Wykorzystując to, Macedończyk wyprostował się i zadał silny cios toporem w plecy nieprzyjaciela, który z hukiem padł na ziemię.

Mrok wieczoru z wolna spowijał walczących, pochłoniętych zajadłą bitwą. Po śmierci dowódcy żołnierze greccy, zdziśnięci i wycieńczeni, spychani przez niepokonanych weteranów Parmeniona, zaczęli się wycofywać, aż w końcu rzucili się do ucieczki. Biegli w kierunku bramy Mylasy i drzwi w sektorze północnym, blisko wybrzeża. Obrońców miasta ogarnęło jednak tak silne przerażenie, że zamknęli wrota bram, dlatego też zginęło wielu uciekających, których przeszyły sarisy weteranów Parmeniona.

Kiedy Aleksander polecił zadać w trąby na znak zakończenia bitwy, Perdikkas trwał już na pozycji przy wyłomie w sektorze wschodnim, oddział Agrian zajął okrągły bastion, z którego wyparł obrońców, a inni żołnierze zdobyli drewnianą wieżę, odwracając balisty i katapulty w stronę miasta. Wszędzie płonęły pochodnie i ogniska, które miały ułatwić zapobieżenie ewentualnym nocnym kontratakom wroga.

Halikarnas znalazł się na łasce zdobywcy.

29

Tej nocy Aleksander nie spał. Nie mógł zmrużyć oka na myśl o tym, że losy pojedynku z Memnonem ważyły się do ostatniej chwili i że wielokrotnie groziła mu porażka i upokorzenie. Żołnierze rozpalili na tarasie ognisko, a król niecierpliwie oczekiwał świtu. Całe miasto pogrążone było w ciemnościach i ciszy. Pochodnie paliły się jedynie na rozległym obszarze wokół wyłomu, na bastionie zajęтым przez Agrian oraz u stóp olbrzymiej drewnianej wieży. Aleksander był więc widoczny, natomiast wrogowie pozostali w ukryciu. Ilu ich jeszcze było? Ilu uzbrojonych ludzi kryło się w ciemnościach? Być może szykowali zasadzkę, a może Memnon czekał na wsparcie od strony morza?

W chwili gdy triumf był na wyciągnięcie ręki, król czuł, że los ponownie mógł z niego zakpić, a nieprzyjacielski dowódca potrafił wymyślić nowy podstęp. Memnon był starszy od Aleksandra, bardziej doświadczony, dlatego zawsze potrafił stawić mu czoło, odeprzeć cios, a nawet przewidzieć jego ruch.

Tego wieczoru Aleksander wydał rozkaz, że każdy, kto wypije choćby łyk wina, bez względu na to, czy będzie to zwykły żołnierz, czy generał, zostanie stracony. Wszyscy mieli też pozostać w rynsztunku bojowym. Patrole z płonącymi pochodniami krążyły między bramami miasta, nawołując się, by nie tracić kontaktu. Najbardziej czujnym dowódcą był Perdikkas. Nie spoczął ani na chwilę po dniu wypełnionym wyczerpującą walką, kiedy to wśród płomieni zadał taranem ostateczny cios murom Halikarnasu. Nadzorował strażę, budził śpiących ludzi, namawiał młodych żołnierzy, żeby postarali się odzyskać dobre imię, które utracili podczas walki wręcz, jako że weterani, pomimo późnego wieku, okazali się od nich silniejsi i zdołali odmienić losy bitwy.

Aleksander przyglądał się Perdikkasowi, olbrzymiemu Leonnatosowi, wspartemu na włóczni, Ptolemeuszowi przemierzającemu konno równinę z żołnierzami ochrony osobistej, żeby zapobiec atakom z zewnątrz, a także Lizymachowi, który stał przy katapultach i co pewien czas sprawdzał ich siłę. Nieco dalej, obok biwaku, król dostrzegł Parmeniona o szpakowatych włosach, który zwykle trzymał się na uboczu niczym stary lew. Generał oszczędzał siły własne i swoich ludzi, czekając na okazję, by zadać druzgocący cios przeciwnikowi.

Czasami, pragnąc uspokoić nerwy, Aleksander starał się nie myśleć o wojnie ani o trudach bitwy. Wspominał Mieżę i jelenie pasące się na porośniętych kwiatami brzegach rzeki albo nagiego Diogenesa, który w tej chwili na pewno spał sobie spokojnie w beczie, dzieląc postanie i pożywienie ze swym psem. Do snu kołysał go odgłos morskich fal głaszczących

nadbrzeżne kamienie. O czym mógł teraz śnić stary mędrzec? Jakie miał wizje?

Myślał też o matce, a kiedy wyobraził ją sobie czytającą w samotności wiersze Safony, poczuł, że kryje się w nim dziecko, które odruchowo drży, słysząc niespodziany odgłos nocnego ptaka, niesiony echem w stronę opustoszałego nieba.

Aleksander rozmyślał tak przez chwilę, która wydawała się nigdy nie kończyć. Otrząsnął się, kiedy czyjaś ręka niespodziewanie spoczęła na jego ramieniu.

- To ty, Hefajstionie?

Przyjaciół podał Aleksandrowi miszkę z gorącą zupą.

- Zjedz coś. Leptine ugotowała ją specjalnie dla ciebie i przysłała przez posłańca.

- Co to jest?

- Zupa z bobu. Smaczna. Sam próbowałem.

Aleksander zaczął jeść.

- Niezła. Zostawić ci trochę?

Hefajstion przytaknął.

- Jak dawniej, kiedy byliśmy na zesłaniu w górach.

- Tylko że wtedy nawet nam się nie śniło, by zjeść gorącą zupę.

- To prawda.

- Tęsknisz za tamtymi czasami?

- Nie, wcale, ale chętnie je wspominam. Byliśmy tylko my dwaj przeciw całemu światu. - Położył dłoń na głowie Hefajstiona, targając mu włosy. - Dzisiaj jest inaczej. Czasami zastanawiam się, czy to się jeszcze powtórzy.

- Co takiego?

- Wspólna podróż.

- Któż to wie, mój przyjacielu?

Hefajstion pochylił się, żeby podsycić ogień końcem miecza i Aleksander dostrzegł mały błyszczący przedmiot, zawieszony na jego szyi. Był to młoty zęb, mały siekacz oprawiony w złoto, który Aleksander podarował Hefajstionowi w dzieciństwie, jako dowód wiecznej przyjaźni. „Aż do śmierci?” - spytał wówczas Hefajstion. „Aż do śmierci” - odpowiedział.

Nagle dało się słyszeć nawoływanie wartownika, który porozumiewał się ze swymi towarzyszami z lewej i z prawej strony. Hefajstion oddalił się, aby kontynuować inspekcję żołnierzy. Aleksander patrzył, jak przyjaciel znika w ciemnościach, i przeczuwał dość wyraźnie, że jeśli w przyszłości czekała ich wspólna podróż, to na pewno do nieznannej krainy, spowitej tajemnicą.

Po jakimś czasie dały się słyszeć nawoływania drugiej zmiany straży. Była prawie północ. Na odgłos kroków Aleksander otrząsnął się i przetarł zmęczone oczy. Był to Eumenes.

Sekretarz usiadł obok króla i zdawał się wpatrywać w ogień.

- Na co patrzysz? - spytał władca.

- Na ogień - odparł Eumenes. - Nie podoba mi się.

Król spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co ci się nie podoba w tym ogniu?

- Płomienie zwracają się w naszą stronę, wiatr zmienił kierunek i teraz wieje od morza.

- Jak każdej nocy o tej porze, o ile się nie mylę.

- No tak, ale tej nocy jest inaczej.

Aleksander spojrział na Eumenesa i jednocześnie zaświtała mu w głowie przerażająca myśl. Niemal natychmiast wołanie na alarm, dobiegające z prawej strony, potwierdziło jego obawy: u stóp olbrzymiej drewnianej wieży wybuchł pożar.

- Tam widać następny! - wykrzyknął Eumenes, wskazując palcem w stronę domu, który znajdował się dokładnie naprzeciw nich, w odległości około stu stóp.

Z lewej strony dobiegło wołanie Perdikkasa:

- Alarm! Alarm! Pali się!

Następnie przybiegł Lizymach.

- Chcą nas usmażyć! - zawołał, dysząc. - Podpalają wszystkie domy pod wyłomem i pod murem z cegieł. Spójrz! Drewniana wieża płonie jak pochodnia!

Aleksander skoczył na równe nogi, zrozumiał bowiem, że Memnon użył swej ostatniej karty, wykorzystując sprzyjający wiatr.

- Prędko! Musimy im przeszkodzić przy wzniecaniu kolejnych pożarów. Wyślijcie grupy szturmowe, koniuszych, Traków i Agrian. Zabijajcie wszystkich, których przyłapiecie na podkładaniu ognia.

Tymczasem nadbiegli towarzysze po rozkazy. Przybyli także Seleukos, Filotas, Leonnatos i Ptolemeusz.

- Posłuchajcie! - zawołał głośno Aleksander, starając się przekrzyczeć huk strzelających w górę płomieni, które wiatr zawracał w ich kierunku. - Seleukosie! Leonnatosie! Weźcie połowę pezetajrów, przedostańcie się na drugą stronę płonącej dzielnicy i ustawcie szyki. Musimy zabezpieczyć się przed kontratakami. Widać wyraźnie, że chcą odzyskać kontrolę nad wyłomem.

Ptolemeuszu! Filotasie! Ustawcie pozostałe oddziały za wyłomem i pilnujcie wszystkich bram! Nie chcę żadnych niespodzianek za plecami! Lizymachu! Każ cofnąć balisty i katapulty, bo inaczej zniszczy je padająca wieża! Ruszajcie!

Płomienie ogarnęły całą wieżę, a wzmagający się wiatr rozniecił języki ognia, które sięgnęły wschodniego sektora wyłomu. Było bardzo gorąco. Blask ogromnej pochodni oświetlał rozległy obszar wokół murów, dzięki czemu agriańscy łucznicy mogli łatwo dostrzec podpalaczy i przeszyć ich strzałami. Kiedy ogień strawił belki znajdujące się u podstawy wieży, ogromna machina runęła z łoskotem, wzniecając słup dymu o wysokości trzystu stóp. Był on wyższy od wież i budowli w całym mieście.

Z powodu nieznośnego gorąca Aleksander musiał opuścić punkt obserwacyjny i przenieść się na wieżę w pobliżu furtki w murze, skąd mógł panować nad sytuacją. Stamtąd też wysyłał posłańców z rozkazami do poszczególnych sektorów i tam otrzymywał wieści o aktualnych poczynaniach oddziałów. Chcąc zapanować nad pożarem, polecił Lizymachowi, by z użyciem katapult zburzył pobliskie budowle stojące w płomieniach. Po chwili posypał się grad olbrzymich kamieni, które miotano

z machin wojennych, potęgując łoskot i zamęt, jakie panowały tej nocy, podobnej do piekła.

Kroki podjęte przez Aleksandra okazały się słuszne. W wyniku działań oddziałów szturmowych i Agrian przerwano podkładanie ognia, natomiast piechota ciężka, której szeregi stanęły za spaloną dzielnicą, zniechęciła oddziały perskie i najemników Memnona do jakiegokolwiek próby zaskoczenia wojska Macedończyków, oszołomionego morzem płomieni.

Eumenes sprowadził z obozu saperów i innych żołnierzy, zlecając im, by zasypali piaskiem i tłuczniem ogniska, które jeszcze się tliły. Stopniowo pożary zostały opanowane lub poskromione. Drewniana wieża, której wzniesienie kosztowało wiele wysiłku, zmieniła się w stos popiołów i zgliszczy, spod którego wystawały tu i ówdzie grube, zwęglone, dymiące belki.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca padły na złotą kwadrygę na szczycie Mauzoleum, podczas gdy pozostała część miasta pogrążona była w cieniu. W miarę jak krąg słoneczny wynurzał się spoza gór, snop światła rozjaśnił ogromną schodkową piramidę, wielobarwny fryz dłuta Skopasa i Bryaksisa, okazałe korynckie kolumny, ich złożone woluty i żłobkowane trzony, zdobione złotem i purpurą.

Temu morzu kolorów i jasnego światła, w którym zatopiony był Halikarnas, towarzyszyła martwa cisza, przyprawiająca o dreszcze. Czy to możliwe, żeby nawet matki nie oplakiwały synów poległych w bitwie?

- Czy to możliwe? - spytał Aleksander Eumenesa, który właśnie nadszedł.

- Tak - odparł sekretarz. - Nikt nie oplakuje najemnika, gdyż nie ma on ojca ani matki, ani przyjaciół. Ma jedynie włócznie, którą zarabia na chleb, twardy i gorzki.

30

Po chwili przybiegł Ptolemeusz.

- Aleksandrze - powiedział - oczekujemy twoich rozkazów.

- Weź ze sobą Perdikkasa i Lizymacha! Podzielcie między siebie grupy szturmowe i koniuszych, a następnie przeszukajcie dokładnie całe miasto. Za wami pójdą greccy hoplici oraz rezerwowe oddziały pezetajrów. Musicie wypłoszyć z kryjówek wszystkich pozostałych ludzi pod bronią, przede wszystkim zaś odnaleźć Memnona. Nie życzę sobie, żeby coś mu się stało. Kiedy go znajdziecie, przyprowadźcie go do mnie.

- Postąpimy, jak powiedziałeś - zgodził się Ptolemeusz, po czym odszedł, by przekazać rozkazy innym towarzyszom.

Król wraz z Eumenesem czekał pod jedną z wiat pod murami, skąd miał dość dobry widok na Halikarnas. Nie upłynęło wiele czasu, kiedy pojawił się posłaniec Ptolemeusza z wiadomością.

Satrapa Orontobates, tyran Piksodaros oraz perski garnizon zabarykadowali się w dwóch portowych twierdzach, które są nie do zdobycia, ponieważ nie ma miejsca na ustawienie przy nich machin oblężniczych. Na razie żadnych śladów Memnona. Oczekuję rozkazów.

Aleksander kazał przyprowadzić Bucefała, po czym zapuścił się konno w głąb pustych ulic miasta. Zobaczył pozamykane okna i zaryglowane drzwi domów, w których schronili się wystraszeni mieszkańcy. Kiedy dotarł do miejsca, skąd widać było obydwie twierdze, wyszedł mu na spotkanie Perdikkas.

- Co mamy robić, Aleksandrze?

Zmierzywszy wzrokiem fortyfikacje, król odwrócił się, by popatrzeć na mury obronne.

- Macie zburzyć wszystkie domy po lewej stronie drogi, która tu prowadzi, a następnie te, które znajdują się w porcie. Dzięki temu będziemy mogli sprowadzić maszyny i ustawić je pod twierdzami. Persowie muszą zrozumieć, że w całym tym regionie nie ma muru czy bastionu, który mógłby ich ochronić. Muszą zrozumieć, że mają stąd odejść i nigdy nie wracać.

Perdikkas skinął głową, wskoczył na konia i pojechał do spalonej dzielnicy miasta po zastępy saperów i ludzi równających teren. Wybrał żołnierzy, którzy mieli jeszcze dość sił, by pracować. Musiał obudzić ich dźwiękiem trąb, ponieważ zasnęli na swoich stanowiskach, wyczerpani całonocnym wysiłkiem.

Naczelnym inżynierem, Tessalczycem o imieniu Diades, kazał zdemontować dwa najwyższe pomosty jednej z wież oblężniczych, żeby użyć ich jako podpór taranu, przeznaczonego do burzenia domów. Tymczasem Eumenes wysłał heroldów, by ogłosili mieszkańcom, że mają opuścić domy, które zostaną zburzone.

Widząc, że Macedończycy nie dokonują rzezi, gwałtów ani kradzieży, ludzie zaczęli wychodzić na zewnątrz. Najpierw pojawiły się dzieci, zaciekawione tym, co działo się w mieście, następnie kobiety, na koniec mężczyźni.

Zniszczenia okazały się jednak większe, niż planowano, ponieważ domy tworzyły zwartą zabudowę i jeden zburzony mur powodował ruiny następnych. Z tej właśnie przyczyny ktoś powiedział, że Aleksander zrównał z ziemią Halikarnas.

Po czterech dniach oczyszczono pas terenu na tyle szeroki, że mogły przezeń przejechać maszyny oblężnicze. Przysunięto je do portowych twierdz, po czym rozpoczęto burzenie murów. W nocy jednak Memnon, Orontobates, Piksodaros i kilku żołnierzy wsiedli na okręty, wypłynęli na otwarte morze i dołączyli do perskiej eskadry, która znajdowała się bardziej na północ, na wodach u wybrzeży Chios.

Najemnicy greccy, którzy przeżyli bitwę, schronili się na akropolu, ten bowiem dzięki swej pozycji był praktycznie nie do zdobycia. Aleksander nie chciał tracić czasu, by ich stamtąd usunąć, gdyż i tak nie mieli wyboru, jako że byli otoczeni przez oddziały macedońskie. Kazał wykonać okop wokół cytadeli, zlecając kilku niższym rangą oficerom, by czekali, aż najemnicy się poddadzą.

Tego samego wieczoru, w miejskiej sali zgromadzeń, król zwołał naradę naczelnego dowództwa. Zaproszono na nią również Kallistenesa, spełniając tym samym jego prośbę o uczestnictwo w spotkaniu. Podczas gdy zebrani przygotowywali się do dyskusji o tym, co należało zrobić, zapowiedziano

wizytę miejskich dostojników, którzy pragnęli widzieć się z królem.

- Nie chcę ich widzieć - zaprotestował Aleksander. - Nie ufam im.

- Musisz jednak zdecydować o ustroju politycznym liczącego się miasta - zauważył Parmenion.

- Mógłbyś wprowadzić system demokratyczny, podobnie jak w Efezie - wtrącił Kallistenes.

- Słusznie - zadrwił Ptolemeusz. - Dzięki temu wuj Arystoteles będzie zadowolony.

- I co z tego? - odparł rozgniewany Kallistenes. - Demokracja jest systemem najbardziej sprawiedliwym i wyważonym, dającym najwięcej gwarancji...

Ptolemeusz przerwał mu, mówiąc:

- Nasi wrogowie jednak nieźle dali nam w kość. Straciliśmy więcej ludzi niż w bitwie nad Granikiem. Gdyby to zależało ode mnie...

- Ptolemeusz ma rację! - wykrzyknął Leonnatos. - Najwyższy czas, żeby zrozumieli, kto teraz dowodzi. Powinni zapłacić za wyrządzone nam szkody.

Spór zakończyłby się zapewne bójką, ale w tej samej chwili Eumenes usłyszał, że za drzwiami zapanowało zamieszanie, więc wyszedł, by zobaczyć, co się dzieje. Kiedy zorientował się w sytuacji, wrócił i powiedział coś na ucho Aleksandrowi. Król uśmiechnął się i wstał.

- Czy ktoś ma ochotę na ciasteczka? - zapytał głośno. Usłyszawszy tę propozycję, wszyscy zamilkli, spoglądając po sobie.

- Chyba żartujesz? - powiedział Leonnatos, przerywając ciszę, która nagle zapanowała. - Zjadłbym raczej ćwiartkę wołu zamiast ciasteczek. Zastanawiam się, kto wpadł na tak dziwaczny pomysł, żeby o tej porze częstować nas ciasteczkami...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do sali weszła królowa Ada, adopcyjna matka Aleksandra, ubrana w odświętny strój. Za nią kroczył orszak kucharzy niosących duże tace wypełnione chrupiącymi ciasteczkami. Leonnatos ze zdumienia otworzył usta, a Eumenes włożył mu do nich ciasteczko.

- Jedz i bądź cicho!

- Jak się miewasz, matko? - spytał Aleksander, wstając i wychodząc Adzie na spotkanie. - Przynieście krzesło dla królowej! Co za niespodzianka! - rzekł po chwili. - Nigdy bym się nie spodziewał ujrzeć cię tutaj.

- Pomyślałam, że po tych straszliwych trudach chętnie zjadłbyś trochę moich ciasteczek - odparła Ada pół żartem, pół serio. - Poza tym chciałam się upewnić, czy aby źle nie traktujesz mojego miasta.

Władca wziął ciasteczko i zaczął je chrupać.

- Są wyśmienite, matko. Żałuję, że poprzednim razem z nich zrezygnowałem. Jeśli zaś chodzi o twoje miasto, to właśnie zastanawialiśmy się, co z nim zrobić, ale teraz, kiedy jesteś tu obecna, wymyśliłem właściwe rozwiązanie.

- To znaczy? - spytała Ada.

Kallistenes chciał zadać to samo pytanie, ale zdążył jedynie otworzyć usta, nie wydając żadnego dźwięku.

- To znaczy, że mianuję cię satrapą Karii w miejsce Orontobatesa, powierzając ci też władzę nad Halikarnasem z przyległymi do niego ziemiami. Moi generałowie zadbają o to, żeby ci były posłuszne.

Kallistenes pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „głupoty”. Królowa natomiast, słysząc te słowa, wzruszyła się.

- Ależ, mój synu, nie wiem, czy...

- Ale ja wiem - przerwał jej Aleksander. - Jestem przekonany, że będziesz doskonałą władczynią i że będę mógł ci bezgranicznie zaufać.

Poprosił Adę, by usiadła na jego krzesło, po czym zwrócił się do Eumenesa:

- Teraz możesz wprowadzić delegację mieszkańców. Powinni poznać osobę, która od jutra będzie pełniła władzę w mieście.

Trwało jeszcze przeczesywanie terenu, kiedy oznajmiono przybycie Apellesa. Wybitny artysta pośpieszył oddać cześć młodemu królowi i jednocześnie złożył mu propozycję:

Panie, sądzę, że nadeszła chwila, by sportretować cię zgodnie z twymi zasługami, to znaczy wyposażając cię w boskie atrybuty.

Aleksander z trudem powstrzymał śmiech.

- Tak sądzisz?

- Jak najbardziej. Co więcej, mając pewność, że zwyciężysz, wykonałem już szkic, który ośmielam się zaprezentować. Oczywiście ostateczne wymiary obrazu będą wynosić dziesięć na dwadzieścia stóp.

- Dziesięć stóp na dwadzieścia? - powtórzył Leonnatos, który sądził, że marnotrawstwem byłoby użyć tak dużą ilość drewna i farb na sportretowanie niewysokiego chłopca, jakim był Aleksander.

Apelles rzucił mu pogardliwe spojrzenie. Według malarza Leonnatos był jedynie barbarzyńcą, pozbawionym kultury, a w dodatku rudowłosym i piegowatym. Następnie zwrócił się ponownie do Aleksandra:

- Panie, moja propozycja nie jest z pewnością bezsensowna, ponieważ twoi azjatyccy poddani przyzwyczajeni są do tego, że rządzą nimi istoty wyższe, władcy podobni do bogów, którzy każą się przedstawiać jako bogowie. Dlatego też postanowiłem namalować cię z atrybutami Zeusa, takimi jak orzeł u twych stóp i błyskawica w prawej dłoni.

- Apelles ma rację - zauważył Eumenes, który wszedł razem z Leonnatosem, a teraz z zainteresowaniem oglądał szkic artysty. - Azjaci mają zwyczaj uważać swych władców za istoty nadludzkie. Słuszne jest więc, żeby widzieli cię w ten sposób.

- Ile miałaby mnie kosztować ta deifikacja? - spytał Aleksander.

Malarz wzruszył ramionami.

- Myślę, że jakieś dwa talenty...

- Dwa talenty? Mój przyjacielu, dwa talenty wystarczą na chleb, oliwki i solone ryby dla moich chłopców na prawie cały miesiąc.

- Panie, sądzę, że tego typu sprawy nie powinny zaprzętać uwagi wielkiego króla.

- Wielkiego króla nie - przerwał mu Eumenes - ale jego sekretarza tak. Jeśli jedzenie jest niesmaczne, żołnierze czepiają się właśnie mnie.

Aleksander popatrzył na Apellesa, później na Eumenesa, następnie na szkic i ponownie na malarza.

- Z pewnością...

- Czyż nie jest piękny? - dowodził Apelles. - Wyobraź sobie ten obraz w naturalnej wielkości, pomalowany lśniącymi barwami, z oślepiającą błyskawicą, którą dzierzysz w dłoni. Któż by się ośmielił wyzwąć do walki tego młodego boga?

W tej samej chwili weszła Kampaspe. Zbliżywszy się do Aleksandra, objęła go i pocałowała w usta.

- Panie mój - powiedziała, patrząc mu w oczy i stając tak blisko, że czuł, jak jej jędrne piersi napierają na jego pierś, niczym głowice taranów na mury obleżonego miasta. Spojrzenie natomiast zdradzało bezgraniczne oddanie i brak jakiegokolwiek wahania.

- Moja słodka przyjaciółko... - odparł krótko Aleksander. - Twój widok jest dla mnie przyjemnością.

- Przyjemnością, której możesz doznać, kiedy tylko zechcesz - wyszeptała Kampaspe, muskając jego ucho końcem języka.

Pragnąc zakończyć kłopotliwą scenę, król zwrócił się ponownie do Apellesa:

- Muszę się jeszcze zastanowić, ponieważ w grę wchodzi duży wydatek. W każdym razie oczekuję was na wieczerzy.

Apelles i Kampaspe skierowali się do wyjścia i tu minęli się z Ptolemeuszem, Filotasem, Perdikkasem oraz Seleukosem, którzy przybyli, by poznać zamiary Aleksandra. Król zaprosił ich, by usiedli przy stole, na którym rozłożył mapę.

- Mój plan jest następujący: maszyny zostaną rozmontowane i przetransportowane wozami do Tralles, ponieważ Parmenion, który podąży w głąb kraju, by zająć ziemie wzdłuż Meandra i Hermosu, może ich potrzebować, na wypadek gdyby któreś z miast stawiało opór.

- A my? - spytał Ptolemeusz.

- Wy pójdziecie ze mną. Ruszymy wzdłuż wybrzeża, przez Licję i dotrzemy do Pamfylii. - Mówiąc te słowa, wskazywał pałeczką trasę, którą zamierzał przejść.

Eumenes spojrział na Aleksandra, a następnie na towarzyszy i zrozumiał, że nie uświadamiali sobie, co ich czekało.

- Chcesz iść tamtędy? - spytał.

- Tak - odparł Aleksander.

- Tamtędy nie da się przejść. Żadne wojsko nie odważyło się jeszcze zapuścić pomiędzy te skalne urwiska, w dodatku jesienią albo w zimie.

- Wiem - padła odpowiedź.

31

Apellesowi zlecono w końcu wykonanie portretu Aleksandra za połowę sumy, jakiej żądał. Udało się to dzięki twardym pertraktacjom prowadzonym przez Eumenesa - chciał, by artyście zapłacono jeszcze mniej. Malarz natychmiast przystąpił do dzieła w pracowni, którą królowa Ada poleciła urządzić w pobliżu agory. Aleksander nie miał jednak czasu na pozowanie, dlatego też Apelles musiał zadowolić się cyklem rysunków wykonanych węglem podczas wieczerzy i spektaklu, który po niej wystawiono i w którym wystąpił ulubiony aktor Aleksandra, Tessalos, oraz

kilku muzyków. Artysta zawiesił rysunki na ścianach pracowni, ubrał modela w strój króla i zaczął malować portret.

Aleksander nie mógł podziwiać skończonego dzieła, ponieważ był już daleko, kiedy Apelles wykonywał ostatnie pociągnięcia pędzlem. Każdy, kto widział obraz, twierdził, że jest bardzo piękny, mimo że na portrecie Aleksander miał nieco ciemniejszą karnację niż w rzeczywistości. Wydaje się jednak, że artysta świadomie użył tej ciemnej tonacji, by podkreślić oślepiający blask pioruna.

Przed wyjazdem władca odbył z Parmenionem prywatną rozmowę w cztery oczy w jednej z komnat pałacu królowej Ady. Poczestował go winem i poprosił, by usiadł. Ucałowawszy Aleksandra w policzki, Parmenion zajął wskazane mu miejsce.

- Jak się miewasz, generale? - spytał król.

- Dziękuję, dobrze, a ty?

- Po zdobyciu Halikarnasu mam się o wiele lepiej. Jest to w dużej mierze twoja zasługa i twoich weteranów. Wasz udział przesądził o zwycięstwie.

- Przecenisz mnie. Wykonałem tylko twój rozkaz.

- Teraz proszę cię o wykonanie następnego.

- Wszystko, co rozkażesz.

Weź jazdę tessalską pod dowództwem Amyntasa, jeden szwadron hetajrów, ciężkozbrojną piechotę grecką i zawróć w stronę Sardes.

Parmenion rozpogodził się.

- Wracamy, panie?

Aleksander, rozczarowany reakcją generała, pokręcił przecząco głową, a Parmenion posmutniał, ponieważ niewłaściwie zrozumiał słowa króla.

- Nie, Parmenionie, nie wracamy, tylko umacniamy nasze podboje przed wyruszeniem dalej. Podejdź tu i spójrz na tę mapę: przemierzysz dolinę Hermosu i zajmiesz całą Frygię. Weźmiesz ze sobą maszyny wojenne na wypadek, gdyby któreś miasto stawiało opór. Ja natomiast przejdę wzdłuż wybrzeża do Termessos. Tym sposobem usunę perską flotę ze wszystkich portów Morza Egejskiego.

- Tak sądzisz? - Głos generała zdradzał lekkie zdenerwowanie. - Otrzymałem informacje, według których Memnon powołał do wojska kolejnych mieszkańców Chios i szykuje się do zajęcia Eubei, Attyki i Grecji centralnej, żeby później podburzyć je przeciw nam.

- Wiem o tym.

- Nie uważasz więc, że powinniśmy wrócić, by stawić czoło zagrożeniu? Poza tym zbliża się zima...

- Antypater potrafi sprostać sytuacji. Jest mądrym władcą i wybitnym generałem.

- Z pewnością. Jak zatem rozumiałem, mam zająć całą Frygię.

- Tak jest.

- A potem?

- Jak ci już mówiłem, w tym samym czasie ja, idąc wzdłuż wybrzeża, dotrę do Termessos, a następnie skieruję się na północ, w stronę Ankyry, gdzie się spotkamy.

- Chcesz iść wybrzeżem do Termessos? Czy wiesz, że droga na długości wielu stadionów jest bardzo wąska i niebezpieczna? Jeszcze żadne wojsko

nie odważyło się tamtędy przechodzić.

Aleksander nalał sobie trochę wina i wypił kilka łyków.

- Wiem. Mówiono mi o tym.

- Poza tym Ankyra znajduje się w górach, w samym sercu płaskowyżu, więc kiedy tam dotrzemy, będzie środek zimy.

- Zgadza się.

Parmenion westchnął:

- No, jeśli sprawy tak się mają... Zatem idę się przygotować do wymarszu, bo, jak sędzę, nie mam zbyt wiele czasu?

- Raczej nie - odparł Aleksander.

Parmenion opróżnił kielich, po czym wstał, pożegnał się lekkim skinieniem głowy i skierował do wyjścia.

- Generale.

Parmenion odwrócił się, mówiąc:

- Tak, panie?

- Uważaj na siebie.

- Spróbuję.

- Będzie mi brakować twych rad i doświadczenia.

- Mnie również będzie ciebie brak, panie.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Aleksander wrócił do swej mapy, żeby przestudiować trasę, którą miał przemierzyć, ale po chwili usłyszał jakieś wzburzone głosy i słowa wypowiedziane przez wartownika:

- Nie będę przeszkadzał królowi z powodu takich głupstw.

Aleksander wyjrzał na zewnątrz.

- O co chodzi?

Przed drzwiami jego komnaty stał młodzieniec z piechoty pezetajrów, a brak dystynkcji wskazywał, że był to zwykły żołnierz.

- Czego chcesz? - spytał przybysza.

- Królu! - wtrącił wartownik. - Nie trać czasu dla niego. Chodzi o to, że przyszła mu chętka przelecieć żoneczkę i umiera z pragnienia, żeby to zrobić.

- Sędzę, że jest to zupełnie normalne - zauważył Aleksander z uśmiechem. - Jak się nazywasz? - zwrócił się do żołnierza.

- Na imię mi Eudemos, królu. Pochodzę z Drabeskos.

- Jesteś żonaty?

- Panie, ożeniłem się przed wyruszeniem na wojnę. Spędziłem z żoną dwa tygodnie i od tamtej pory jej nie widziałem. Słyszałem, że nie wracamy do Macedonii, ale idziemy dalej na wschód. Czy to prawda?

Aleksander pomyślał, że system informacji w oddziale jest niezwykle sprawny, ale nie zdziwiło go to.

- Tak, to prawda - potwierdził.

Młody żołnierz spuścił głowę z rezygnacją.

- Nie wydajesz się zachwycony myślą, by podążyć za królem i jego towarzyszami.

- Nie o to chodzi, panie...

- Masz ochotę przespać się z żoną.

- Prawdę mówiąc, tak. Wielu innych żołnierzy jest w podobnej sytuacji.

Ponieważ wyruszyliśmy na wojnę, nasze rodziny chciały, żebyśmy się pożenili i zostawili potomka na wypadek, gdybyśmy... Nigdy nic nie wiadomo.

Aleksander uśmiechnął się.

- Nie musisz mi tłumaczyć. Moja rodzina również chciała, żebym się ożenił, ale jedną z zalet królowania jest to, że mogę się ożenić wtedy, kiedy sam tego zechcę. Ilu was jest?

- Sześciuset dziewięćdziesięciu trzech.

- Och, bogowie! Miałeś już gotowy rachunek! - wykrzyknął król.

- No, więc... Pomyśleliśmy, że ponieważ zbliża się zima i może nie będziemy musieli się bić, chcieliśmy cię prosić o...

- Pozwolenie powrotu do żon.

- Tak jest, królu - przyznał żołnierz, któremu pozytywne nastawienie Aleksandra dodało otuchy.

- Twoi towarzysze poprosili cię, żebyś ich reprezentował?

- Tak.

- Dlaczego?

- Dlatego, że...

- Mów śmiało!

- Ponieważ pierwszy stanąłem na wyłomie, gdy runął mur, i zeskoczyłem z płonącej wieży dopiero wtedy, gdy taran zburzył mur.

- Perdikkas opowiadał mi o żołnierzu, który dokonał tych czynów, ale nie wyjawiał mi jego imienia. Jestem dumny, że mogę poznać cię osobiście, Eudemosie. Z radością też spełnię wasze wspólne życzenie. Otrzymacie po sto staterów i przepustkę na dwa miesiące.

W oczach żołnierza pojawiły się łzy wzruszenia.

- Królu... ja... - bełkotał z przejęcia.

- Pod jednym warunkiem.

- Co tylko sobie zażyczysz, panie.

- Kiedy wrócicie, każdy z was przyprowadzi mi stu żołnierzy piechoty lub jazdy, wszystko jedno.

- Masz moje słowo, panie. Możesz ich już włączyć do szeregów.

- A teraz, idź już!

Żołnierz nie wiedział, jak dziękować królowi, i stał, jakby go zamurowało.

- No, i co? Czy nie umierałeś z chęci powrotu do żony?

- Tak, ale chciałem powiedzieć... chciałem powiedzieć, że...

Aleksander uśmiechnął się i dał mu znak, by zaczekał. Podeszedł do jednej ze szkatuł i wyjąwszy z niej złoty naszyjnik z niewielką kameą przedstawiającą Artemidę, wręczył go żołnierzowi.

- Bogini ta jest patronką żon i matek. Podaruj ją żonie w moim imieniu.

Eudemos pragnął podziękować, ale nie mógł wykrztusić słowa; czuł, że coś ściska go za gardło. W końcu zdołał wyszeptać drżącym głosem:

- Dziękuję, królu.

Młodzieńcy, którzy pragnęli odwiedzić swoje żony w Macedonii, wyjechali na początku jesieni, a niedługo potem wyruszył Parmenion z

częścią wojska i jazdą tessalską. Po skonsultowaniu się ze starym generałem król powierzył dowództwo kuzynowi Amyntasowi, który zawsze wykazywał wielkie męstwo i lojalność. Dołączyli do nich Klejtos, Filotas i Krateros.

Aleksander odbył więc naradę w ścisłym gronie - zaprosił na wieczerzę jedynie Seleukosa, Ptolemeusza i Eumenesa. Aby nie wzbudzać zazdrości Hefajstiona i pozostałych towarzyszy, wysłał ich w teren, stwarzając jednocześnie wrażenie, że trzech goście, których zaprosił na posiłek, pozostali w obozie przez przypadek. Jednak problem, który Aleksander chciał przedyskutować, utwierdził ich w przekonaniu, że król pragnął odwołać się raczej do ich inteligencji, a nie do zbrojnego ramienia. Nie wpuszczono nawet służby i Leptine zmuszona była sama podać posiłek biesiadnikom siedzącym przy stole, podobnie jak niegdyś w Miezie, kiedy słuchali nauk Arystotelesa.

- Nasi informatorzy powiedzieli mi, że na życzenie Memnona Król Królów wysłał mu drogą morską olbrzymią sumę pieniędzy, nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwa. Dzięki tej kwocie Memnon pragnie stworzyć armię liczącą ponad sto tysięcy żołnierzy i zająć Grecję. O ile mi wiadomo, zaczął już wysyłać kosztowne prezenty do wielu wpływowych ludzi w różnych miastach greckich. Parmenion wyraził już swoją opinię na ten temat...

- Żeby wrócić do domu? - zgadywał Seleukos.

- Tak - potwierdził Aleksander.

Leptine zaczęła podawać wieczerzę, na którą przygotowano smażoną rybę, jarzyny i wino rozcieńczone z wodą. Ten lekki posiłek oznaczał, że król chciał, by wszyscy zachowali nie zmacony umysł.

- Co zamierzasz uczynić? - spytał Ptolemeusz.

- Podjąłem już decyzję, ale chcę poznać wasze zdanie. Seleukosie?

- Według mnie należy iść dalej. Nawet jeśli Memnon podburzy Grecję, co przez to osiągnie? Nigdy nie zdoła postawić nogi w Macedonii, bo Antypater mu na to nie pozwoli. A jeśli w dalszym ciągu będziemy zajmować porty Azji, Król Królów nie będzie mógł skontaktować się z Memnonem i w końcu się podda.

- Ptolemeuszu?

- Zgadza się z Seleukosem: powinniśmy iść naprzód. Byłoby jednak lepiej zabić Memnona, bo zaoszczędziłoby to nam wielu zmartwień i pozbawilibyśmy Wielkiego Króla jego prawej ręki.

Aleksander wydał się poruszony i zdziwiony tą propozycją, ale nie przerywał konsultacji.

- Eumenesie?

- Ptolemeusz ma rację. Idźmy dalej, ale postarajmy się, w miarę możliwości, pozbyć Memnona. Jest zbyt niebezpieczny i przebiegły. Trudno przewidzieć jego kroki.

Aleksander zamyślił się, żując bez przekonania rybę, po czym wypił łyk wina.

- Zatem idziemy naprzód. Prosiłem już Hefajstiona, by udał się na zwiad na granicę Licji z Pamfilią. Granica ta uważana jest za niebezpieczną. Za kilka dni dowiemy się, czy rzeczywiście tak jest. Parmenion przemierzy

dolinę Hermosu, by następnie dotrzeć do centralnego płaskowyżu, gdzie na wiosnę spotkamy się z nim, idąc drogą łączącą wybrzeże z Anatolią.

To mówiąc, wstał i podszedł do mapy opartej na sztalugach.

- Spotkamy się tutaj, w Gordion.

Gordion? Wiesz, co jest w Gordion? - spytał Ptolemeusz.

- Wie, wie - wtrącił Eumenes. - Jest tam wóz króla Midasa, w którym jarzmo przywiązane jest do dyszla ogromnym węzłem, nie do rozplątania. Dawna wyrocznia Matki Bogów mówi, że ten, kto rozwiąże węzeł, zostanie panem Azji.

- To dlatego idziemy do Gordion? - spytał podejrzliwie Seleukos.

- Nie odbiegajmy od tematu - uciął krótko Aleksander. - Nie jesteśmy tu po to, by mówić o wyroczniach, ale by opracować plan działania na najbliższe miesiące. Cieszy mnie, że wszyscy jesteście zgodni co do faktu, iż musimy iść dalej. Nie będziemy przerywać marszu ani jesienią, ani zimą. Nasi ludzie przyzwyczajeni są do zimna, gdyż pochodzą z gór, nie mówiąc już o Trakach i Agrianach, którzy są jeszcze bardziej zahartowani. Parmenion wie, że nie powinien się zatrzymywać, dopóki nie dotrze do celu.

- A Memnon? - spytał Eumenes, wracając do drażliwego tematu.

- Nikt mnie nie nakłoni, żeby go skrycie zabić - odparł król zdecydowanym tonem. - Memnon jest mężnym człowiekiem i zasługuje na śmierć z mieczem w dłoni, a nie w łóżku wskutek otrucia czy też od ciosu sztyletem w plecy, zadanego w ciemnościach.

- Posłuchaj, Aleksandrze - starał się przekonać go Ptolemeusz. - Minęły już czasy Homera, a zbroja, którą trzymasz przy łóżku, nigdy nie należała do Achillesa. Ma najwyżej dwieście albo trzysta lat, dobrze o tym wiesz. Pomyśl o swoich żołnierzach: Memnon może spowodować śmierć tysięcy z nich. Czy właśnie tego chcesz? Tylko dlatego, żeby dochować wierności ideałom bohaterstwa?

Władca zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie mówiąc o tym - wtrącił Eumenes - że Memnon mógłby planować taką samą rzecz względem ciebie, czyli najać człowieka, który by cię zabił, lub też przekupić lekarza, żeby cię otruli... Zastanawiałeś się nad tym? Memnon dysponuje ogromną ilością pieniędzy.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy - zauważył Seleukos - że może popierać twego kuzyna, Amyntasa, któremu w dodatku powierzyłeś dowództwo jazdy tessalskiej?

Król ponownie potrząsnął głową.

- Amyntas to dobry chłopak i zawsze okazywał mi lojalność. Nie mam powodu, żeby w niego wątpić.

- Ja pozostaję przy stanowisku, że zbyt dużo ryzykujemy - skomentował Seleukos.

- Ja także - stwierdził Eumenes.

Aleksander zawahał się przez chwilę, wyobrażając sobie, jak Memnon stoi naprzeciw niego pod murami Halikarnasu, z twarzą ukrytą pod wypolerowaną przyłbicą, na której można było dostrzec srebrną różę Rodos, i zdawało mu się ponownie słyszeć słowa: „Nazywam się Memnon, jestem dowódcą”.

Po raz trzeci potrząsnął głową, z jeszcze większym zdecydowaniem.

- Nie, nigdy nie wydam podobnego rozkazu. Człowiek pozostaje człowiekiem również w czasie wojny, a mój ojciec zwykł mówić, że synem lwa jest lew. - Po chwili dodał: - A nie jadowity wąż.

- Nie ma sensu nalegać - ustąpił Seleukos. - Jeśli król tak zdecydował, to znaczy, że tak ma być.

Ptolemeusz i Eumenes zgodzili się, ale bez większego przekonania.

- Cieszy mnie, że wszyscy się zgadzacie - powiedział Aleksander. - Podejźmy teraz do mapy i spróbujmy ustalić przebieg marszu wzdłuż wybrzeża.

Rozmawiali dość długo, aż wszyscy poczuli się zmęczeni. Eumenes wyszedł pierwszy, a po nim Ptolemeusz i Seleukos. Kiedy jednak wszyscy znaleźli się na zewnątrz, sekretarz dał im znak, by zgromadzili się w jego namiocie. Poprosił ich o zajęcie miejsc, po czym wysłał sługę, by obudził Kallistenesa, który o tej porze z pewnością spał w drugiej części obozu.

- Co wy na to? - zagał Eumenes.

- Na co? - spytał Ptolemeusz.

- Przecież to jasne: na to, że król nie zgodził się usunąć Memnona - odparł Seleukos.

- Rozumiem Aleksandra - ciągnął sekretarz - i z pewnością wy też go rozumiecie. Właściwie wszyscy powinniśmy poważać naszego przeciwnika, ponieważ jest człowiekiem wyjątkowym, zręcznym w myśleniu i w posługiwaniu się mieczem. Właśnie dlatego stanowi śmiertelne zagrożenie. Wyobraźcie sobie, co będzie, kiedy podburzy Greków i kiedy Ateny, Sparta i Korynt przejdą na jego stronę. Wojska sojuszników ruszą na północ, żeby zająć Macedonię, a perska flota otoczy ją od morza... Czy mamy całkowitą pewność, że Antypater dałby sobie radę? A gdyby musiał się poddać? Albo gdyby Memnon rozbudził ambicje któregoś z potomków ocalałej gałęzi rodu Linkestydów, na przykład naszego dowódcy jazdy tessalskiej, rozpętując jednocześnie wojnę domową lub dokonując przewrotu wojskowego? Jaki los czekałby wtedy nasz kraj i nasze wojsko? Gdyby Memnon zwyciężył, mógłby zablokować cieśniny i na zawsze uniemożliwić nam odwrót. Czy warto ponosić takie ryzyko?

- Nie możemy jednak postępować wbrew woli Aleksandra - zaproponował Seleukos.

- Według mnie możemy, pod warunkiem, że się o tym nie dowie. Nie chcę jednak sam ponosić odpowiedzialności, więc jeśli się zgadzacie, zaczniemy działać. W przeciwnym razie nie podejmiemy żadnych kroków i stawimy czoło niebezpieczeństwu.

- Założmy, że się zgadzamy - odparł Ptolemeusz. - Jaki masz plan?

- I dlaczego posłałeś po Kallistenesa? - spytał z kolei Seleukos.

Eumenes wyrzwał z namiotu, żeby zobaczyć, czy nadchodzi osoba, o której wspomniano. Nikogo jednak nie dostrzegł.

- Posłuchajcie. O ile mi wiadomo, Memnon powinien znajdować się teraz na wyspie Chios, gotowy do wypłynięcia na północ, prawdopodobnie w kierunku Lesbos. Tam poczeka na sprzyjający wiatr, który zawiedzie go do Grecji. Będzie musiał jednak zabawić na Lesbos przez dłuższy czas,

żeby uzupełnić zapasy i zgromadzić wszystko, co jest potrzebne do wyprawy. Właśnie wtedy powinniśmy wkroczyć do akcji i pozbyć się go raz na zawsze.

- Ale w jaki sposób? - spytał Ptolemeusz. - Najemny morderca czy trucizna?

- Ani jedno, ani drugie. Płatnemu mordercy nie uda się do niego zbliżyć, bo chroni go czterech ludzi, którzy są mu ślepo oddani i w mgnieniu oka zabiją każdego, kto przekroczy dozwoloną odległość. Co do trucizny, to sądzę, że każde komuś próbować jedzenie i napoje, ponieważ od wielu lat przebywa wśród Persów i z pewnością się tego nauczył.

- Istnieją trucizny, które działają z opóźnieniem - zauważył Ptolemeusz.

- To prawda, ale są to zawsze trucizny, których skutki i objawy są znane. Jeśli wyjdzie na jaw, że Memnona otruto, podejrzenie padnie na Aleksandra, a na to nie możemy pozwolić.

- Co więc proponujesz? - spytał Seleukos.

- Istnieje trzecia możliwość. - Mówiąc te słowa, sekretarz spuścił wzrok, jakby wstydził się własnych myśli.

- Jaka?

- Nieuleczalna choroba.

- Przecież to niemożliwe! - wykrzyknął Seleukos. - Choroby same przychodzą i same mijają!

- Nie zawsze - zaproponował Eumenes. - Zdaje się, że pewne choroby powodują małe stworzenia, niezauważalne dla ludzkiego oka, które przechodzą z jednego ciała na drugie. Pamiętam, że Arystoteles, przed wyjazdem do Aten, przeprowadzał ściśle tajne doświadczenia, biorąc za punkt wyjścia swoje studia nad samoródtwem.

- To znaczy?

- Zdaje się, że odkrył, iż w pewnych sytuacjach stworzenia te wcale nie są samorodne, ale podlegają... rozprzestrzenieniu. W każdym razie Kallistenes wie wszystko o tych doświadczeniach i mógłby napisać do wuja. Na początku nic by się nie działo, dlatego też nie wzbudziłby podejrzeń ani kucharz, ani lekarz, Memnon zaś działałby i poruszał się normalnie. Pierwsze skutki dałyby się zauważyć dopiero po wielu dniach. - Kiedy Eumenes skończył mówić, wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni i zakłopotani.

- Sądzę, że ten plan bardzo trudni zrealizować, ponieważ wymaga serii zbiegów okoliczności - zauważył Ptolemeusz.

- Masz rację, ale według mnie jest to jedyne możliwe wyjście. Na naszą korzyść przemawia fakt, że lekarz Memnona pochodzi ze szkoły Teofrasta.

Seleukos spojrział na Eumenesa ze zdziwieniem.

- Nie wiedziałem, że zajmujesz się też szpiegostwem.

- Oznacza to, że dobrze wykonuję swoją pracę, jako że są to tajne informacje. W każdym razie jeszcze król Filip skontaktował mnie ze wszystkimi swoimi informatorami wśród Greków i barbarzyńców.

W tym momencie do namiotu zajrzał zaspany Kallistenes.

- Wzywaliście mnie? - spytał.

Aleksander też nie mógł spać. Trapiła go myśl, że Memnon szykuje się

do ataku na Grecję, a być może też na Macedonię. Czy stary Antypater stanie na wysokości zadania? Czy nie byłoby lepiej odesłać Parmeniona do ojczyzny?

Podczas gdy Leptine sprzątała ze stołu, wyszedł z namiotu i zaczął iść brzegiem morza. Noc była spokojna i ciepła, a jego krokom wtórował jednostajny odgłos fal rozbijających się o kamienie. Niewiele brakowało do pełni księżyca, którego przejrzyste promienie oświetlały wyspy porozrzucane na powierzchni morza i białe domy, stłoczone wokół zatoczek i niewielkich portów. Plaża urywała się nagle w miejscu, gdzie wznosił się skalisty cypel, lecz Aleksander nie zawrócił, tylko wspiał się na sam szczyt, by stamtąd rozkoszować się widokiem jeszcze piękniejszym niż ten, który wcześniej roztaczał się przed jego oczami. Kiedy wchodził po stromiznie, do wysiłku fizycznego dołączyło zmęczenie umysłowe, które narastało w nim już od jakiegoś czasu. Nagle, pozornie bez żadnej przyczyny, poczuł się śmiertelnie wyczerpany i spragniony pomocy. W tej samej chwili pomyślał o ojcu i wydało mu się, że widzi jego postać stojącą na skałach. Zaprzagnął, żeby tak było naprawdę i żeby mógł podbiec do ojca, jak niegdyś w Miezie, i zawołać: „Tato!” Pragnął usiąść obok niego i spytać o radę. Aleksander był głęboko zatopiony w rozmyślaniach, a kiedy dotarł na szczyt skały, ujrzał dalszy odcinek wybrzeża, który niezwykle go zaciekał. Po drugiej stronie cypla znajdował się rodzaj nekropolii, na którą składały się dziesiątki grobowców wykutych w skale lub wznoszących się samotnie, niczym zjawy, i rozjaśnionych białym światłem księżyca. Rozmieszczone były wzdłuż brzegu albo częściowo zatopione w morzu.

Stał tam jakiś człowiek pogrążony w milczeniu, z lampą, zawieszoną na kiju wbitym w nabrzeżny piasek. Odwrócony tyłem do Aleksandra, budową ciała przypominał Filipa i podobnie jak on, owinięty był białym płaszczem ze złotym brzegiem, jak w dniu, kiedy został zamordowany. Zatrzymawszy się, Aleksander przyglądał mu się zdumiony, nie wierząc własnym oczom i niemal czekając, aż postać za chwilę odwróci się i przemówi głosem ojca. Człowiek jednak trwał w bezruchu i tylko jego śnieżno-biały płaszcz szeleścił na wietrze, niczym skrzydła ptaka.

Zbliżając się do nieznanego, król dostrzegł, że z jednej ze skał bije źródło, w którego krystalicznej wodzie odbija się światło lampy. Niewielki strumyk płynął przez nadmorski piasek, by na koniec połączyć się ze słonymi falami. Człowiek, który musiał usłyszeć Aleksandra, nie odwrócił się i wydawało się, że wpatruje się w coś w strumieniu. Aleksander podszedł jeszcze bliżej, a poruszając się w ciemnościach, uderzył pochwą miecza o kamień. Na ten dźwięk mężczyzna nagle się odwrócił, a jego oczy zabłyśły w świetle lampy. Były to oczy Filipa!

Aleksander zadrżał i poczuł, że dreszcz przebiega po całym jego ciele. Chciał zawołać: „Ojcze!” Po krótkiej chwili jednak dostrzegł inne rysy twarzy i ciemniejszą brodę. Stał przed nim nieznanomy człowiek, którego nigdy dotąd nie widział.

- Kim jesteś? - spytał Aleksander. - Co tu robisz?

Mężczyzna spojrzał na niego z dziwnym wyrazem twarzy, a król ponownie dostrzegł w nim coś znajomego. Poczuł, że w tych gorących

oczach kryło się spojrzenie ojca.

- Patrząc na to źródło - odparł człowiek.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jestem wróżbitą.

- Co widzisz? Jest ciemno, a światło w twojej lampie jest bardzo słabe.

- Po raz pierwszy, odkąd sięga ludzka pamięć, powierzchnia wody obniżyła się o łokieć i wyjawiała tajemnicę.

- O czym mówisz?

Nieznajomy przybliżył lampę do skalnej ściany, z której było źródło, a w jej świetle ukazał się napis wyryty nieznanym pismem.

- Mówię o tym - wyjaśnił, wskazując litery.

- Potrafisz to przeczytać?

Wróżbita zaczął czytać dziwnym głosem, tak jakby ktoś inny używał jego krtani:

Nadchodzi pan Azji, ten, który ma w oczach dzień i noc.

Następnie, uniósłszy lampę, oświetlił twarz Aleksandra.

- Twoje lewe oko jest niebieskie jak pogodne niebo, a prawe ciemne niczym noc. Jak długo mnie obserwowałeś?

- Niedługo. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie: kim jesteś?

- Nazywam się Arystandros. A ty, w którego oczach jest światło i ciemność, kim jesteś?

- Nie znasz mnie?

- Niewystarczająco.

- Jestem królem Macedończyków.

Mężczyzna przyjrzał się Aleksandrowi uważnie, oświetlając lampą jego twarz.

- Będziesz królować w Azji.

- A ty pójdziesz za mną, jeśli nie przeraża cię nieznanne.

Człowiek spuścił głowę.

- Boję się tylko jednej rzeczy, wizji, która od dawna mnie prześladowe i której znaczenia nie mogę pojąć: nagi człowiek palony żywcem na pogrzebowym stosie.

Aleksander milczał i wydawało się, że słucha odgłosu fal uderzających miarowo o brzeg. Odwróciwszy się w stronę cypla, zobaczył żołnierzy ze straży osobistej, którzy czuwali nad tym przypadkowym spotkaniem. Pożegnał się z wróżbitą, mówiąc:

- Czeka mnie ciężki dzień, muszę wracać. Mam nadzieję, że zobaczę cię jutro w obozie.

- Ja również mam taką nadzieję - odparł człowiek, udając się w przeciwnym kierunku.

33

Do okrętu admiralicji, kołyszącego się na falach portu w Chios, wolno podpłynęła szalupa. W powiewach nocnej bryzy poruszała się królewska chorągiew z podobizną Ahura Mazdy, a z kasztelu na rufie padało słabe światło lampy.

Wokół znajdowała się perska flota, złożona z ponad trzystu długich okrętów - trój- i pięciowiosłowców wojennych, przycumowanych grubymi linami do pomostów.

Kiedy szalupa zbliżyła się do okrętu, jeden z marynarzy uderzył wiosłem o burzę.

- Wiadomość dla dowódcy Memnona.

- Zaczekaj - odparł dyżurny oficer. - Spuszczę ci drabinę.

Po chwili spuszczone sznurową drabinę i kiedy człowiek wspiął się na pokład, poprosił o zaprowadzenie go do naczelnego dowódcy. Oficer pełniący straż przeszukał go, a następnie wprowadził do kasztelu, gdzie Memnon zajęty był pisaniem listów i czytaniem raportów, które nadeszły od gubernatorów i dowódców perskich garnizonów, wiernych Królowi Królów, a także od informatorów z różnych stron Grecji.

- Przybywam z wiadomością - oznajmił gość, wręczając Memnonowi zwój papirusu. Wziąwszy go do ręki, Memnon dostrzegł na nim pieczęć żony - był to jej pierwszy list od momentu rozstania.

- Coś jeszcze? - spytał.

- Nie, ale jeśli chcesz posiać odpowiedź, zaczekam.

- Zaczekaj więc. Idź do bosmana, a jeśli jesteś głodny, poproś o coś do zjedzenia i picia. Zawołam cię, kiedy skończę pisać.

Kiedy został sam, drżącymi rękami otworzył list.

Barsine do Memnona, ukochanego męża, bądź pozdrowiony!

Mój najdroższy! Po długiej podróży cali i zdrowi dotarliśmy do Suzy, gdzie król Dariusz przyjął mnie i twoich synów z najwyższymi honorami. Przydzielono nam jedno skrzydło pałacu ze służbą oraz przepiękny ogród - pairidaeę, z wielobarwnymi kwiatami, wonnymi różami i cyklamenami. Są też w nim zbiorniki wodne i fontanny z czerwonymi i niebieskimi rybkami, ptaki ze wszystkich stron świata, pawie i bażanty z Indii i Kaukazu, a także obłaskawione gepardy z dalekiej Etiopii.

Można by nam pozazdrościć tych wspaniałych warunków życia, gdybyś nie był tak daleko. Moje łóżko jest teraz puste, duże i zimne.

Zeszłej nocy wzięłam do ręki tragedie Eurypidesa, które mi podarowałeś, i ze łzami w oczach czytałam „Alkestis”. Płakałam, mój małżonku, rozmyślając o heroicznej miłości, tak wspaniale opisanej przez poetę. Największe wrażenie wywarł na mnie fragment, w którym ona idzie na śmierć, a mąż obiecuje jej, że żadna inna kobieta nigdy nie zajmie jej miejsca i że poleci wybitnemu rzeźbiarzowi wykonać jej posąg, który położy u swego boku.

Ach! Gdybym mogła, postąpiłabym tak samo! ja też wezwałabym wielkiego artystę, jednego z wybitnych mistrzów yauna, takich jak Lizyp czy Apelles, i kazałabym wyrzeźbić Twój wizerunek lub namalować przepiękny portret, który umieściłabym w mych komnatach, w najsłynniejszych zakamarkach mego łóżka.

Dopiero teraz, mój ukochany małżonku, kiedy jesteś tak daleko, rozumiem waszą sztukę, niepokojącą moc, z którą wy, yauna, przedstawiacie nagość bogów i herosów.

Chciałabym kontemplować Twoje nagie ciało, nawet w formie posągu

czy portretu, a później przymknąć oczy i wyobrazić sobie, że z woli boga wstąpiło weń życie, a Twoja postać opuszcza ramy obrazu lub schodzi z piedestału, by połączyć się ze mną, jak owego dnia, kiedy po raz ostatni odczuwaliśmy rozkosz, a ty obejmowałeś mnie i całowałeś.

Niestety, jesteś daleko z powodu wojny, która niesie ze sobą jedynie żalobę, płacz i zniszczenie. Wróc do mnie, Memnonie, pozwól, by ktoś inny poprowadził wojska Dariusza! Nikt by Cię za to nie potępił, gdyż wiele już dokonałeś i wszędzie słychać opowieści o Twych czynach w obronie Halikarnasu. Wróc do mnie, słodki małżonku, jasny herosie! Wróc do mnie, ponieważ jednej, krótkiej chwili w Twych ramionach nie zastąpią żadne bogactwa świata.

Odłożywszy list, Memnon wstał i wyjrzał przez okno. Światła miasta drżały delikatnie pośród spokojnego wieczoru, a z ciemnych ulic i placów dobiegały krzyki dzieci, które bawiły się w chowanego, korzystając z ostatnich, ciepłych chwil jesieni. W oddali dało się słyszeć serenadę, którą jakiś młodzieniec śpiewał dla ukochanej, słuchającej go być może w ukryciu, z wypiekami na twarzy.

Memnon poczuł, że ogarnia go bezkresny smutek, połączony ze śmiertelnym zmęczeniem. Jednocześnie świadomość, że ciążyły na nim losy olbrzymiego imperium, nadzieje wielkiego władcy oraz szacunek wielu żołnierzy, nie pozwalała mu poddać się temu uczuciu.

Dowiedział się, że ostatni z jego niepokonanych wojowników, którzy schronili się na halikarnaskim akropolu, nie poddawali się, cierpiąc głód i pragnienie. Nie mógł pogodzić się z myślą, że nie potrafił im pomóc. Och, gdyby tak naprawdę istniał wielki Dedal, ojciec Ikara, mistrz zdolny przypiąć człowiekowi skrzydła! Nocą pofrunąłby do Barsine, żeby ją uszczęśliwić, a przed świtem powróciłby do swych obowiązków.

Inne jednak były rozkazy Króla Królów i Memnon musiał przybić do brzegów Lesbos, skąd miał następnie popłynąć na Eubeję. Persowie znaleźliby się tam po raz pierwszy od ponad stu pięćdziesięciu lat. Niedawno otrzymał list od Spartan, którzy gotowi byli sprzymierzyć się z królem Dariuszem i stanąć na czele greckiego powstania przeciw Macedonii.

Zatopiony w rozmyślaniach, ponownie siadł przy stoliku i zaczął pisać list.

Memnon do Barsine, najśłodszej małżonki, bądź pozdrowiona!

Twój list rozbudził we mnie wspomnienia najwspanialszych chwil, które spędziliśmy razem w naszym domu w Zalei, tuż przed rozstaniem. Nie wiesz nawet, jak bardzo za Tobą tęsknię. Każdej nocy widzę w snach Twoją piękną postać. Nie pragnę żadnej innej kobiety i marzę o chwili, kiedy będę Cię znowu tulić w ramionach.

Czeka mnie jeszcze jeden wysiłek - decydująca bitwa, po której będę mógł przebywać z Tobą i synami dopóty, dopóki bogowie pozwolą mi żyć i oddychać.

Ucałuj ode mnie dzieci i uważaj na siebie.

Zamknawszy list, pomyślał, że tę nieruchomą materię dotykać będą palce Barsine, delikatne i pachnące niczym płatki kwiatów. Westchnął i wezwał posłańca, a wręczając mu pismo, spytał:

- Kiedy go otrzyma?

- Niedługo, mniej więcej za dwadzieścia dni.

- To dobrze. Życzę ci szczęśliwej podróży i niech bogowie mają cię w opiece.

- Ciebie również, Memnonie.

Dowódca patrzył, jak posłaniec odpływa w swej szalupie. Powróciwszy do kasztelu, wezwał kapitana okrętu.

- Podnosimy kotwicę, kapitanie. Dajcie sygnał świetlny pozostałym okrętom.

- Teraz? Nie byłoby lepiej poczekać do świtu? Będzie lepsza widoczność i...

- Nie, ponieważ nie chcę, żeby widziano nasze ruchy. Musimy wykonać zadanie najwyższej wagi. Daj też sygnał, żeby wszyscy dowódcy okrętów wojennych przybyli tutaj, na statek admiralski.

Kapitan, który był Grekiem z Patary, pokłonił się i przystąpił do wykonania otrzymanych rozkazów. Po chwili kilka szalup podплыło do okrętu Memnona, a zajmujący je ludzie weszli na pokład. Kolejno przywitali się z dowódcą i usiedli na ławkach znajdujących się po bokach kasztelu. Memnon usiadł w głębi, na krześle admirała. Miał na sobie niebieski płaszcz i zbroję. Na stołku leżał jego koryncki hełm z wypolerowaną przyłbicą, na której widniała srebrna róża z Rodos.

- Dowódcy! Los ofiarował nam ostatnią możliwość odzyskania honoru żołnierzy i otrzymania zapłaty, którą przeznaczył nam Król Królów. Za nami nie ma już portów, w których moglibyśmy się schronić, z wyjątkiem przystani Cylicji i Fenicji, odległych o wiele dni żeglugi. Nie mamy więc wyboru i musimy płynąć dalej, żeby wyplenić siłę, z której czerpie nasz przeciwnik.

Otrzymałem tajną wiadomość od Spartan w postaci listu owiniętego wokół *skytale*. Jeśli wysiadziemy na ląd na kontynencie, gotowi są do nas dołączyć ze swym wojskiem. Zdecydowałem więc, że weźmiemy kurs na Lesbos, skąd popłyniemy na Skyros i Eubeję, gdzie oczekiwać nas będą ateńscy patrioci, zdecydowani udzielić nam wsparcia. Kazałem powiadomić Demostenesa i mam nadzieję otrzymać od niego pozytywną odpowiedź. Na razie to wszystko. Wróćcie teraz na wasze okręty i przygotujcie się do wykonania manewru.

Okręt admiralski, z zapalonymi światłami na rufie, opuścił port, a za nim wypływały pozostałe statki. Noc była pogodna i gwiazdzista, więc sternik Memnona pewnie trzymał ster. Następnego dnia pogoda nagle się zmieniła. Morze było wzburzone wskutek silnego wiatru o nazwie Notos. Uszkodzeniu uległo kilka okrętów i flota musiała płynąć siłą wiosł przez niemal dwa dni. Piątego dnia okręty dotarły do celu, wpływając na rozległą redę po zachodniej stronie portu i oczekując poprawy pogody. Memnon polecił naprawę uszkodzonych okrętów i wysłał oficerów, by dokonali rekrutacji najemników. Sam tymczasem zwiedził piękną wyspę, zwłaszcza zaś domy Safony i Alkajosa, pary poetów urodzonych na Lesbos.

Przed domem, gdzie - jak mówiono - mieszkała niegdyś Safona, siedzieli wędrowni pisarze, którzy na zamówienie pisali liryki poetki na tabliczkach lub na kosztownych zwojach papirusu.

- Potrafiłbyś napisać jeden z jej wierszy po persku? - zapytał Memnon człowieka o wschodnim typie urody.

- Tak, moźny panie.

- Napisz więc ten, który zaczyna się słowami:

*Szczęśliwy mi się zdaje jak bogowie
Ten, co siedzi naprzeciw ciebie teraz
I tak bardzo blisko twójego słuca
Błogiego głosu
I słodkiego śmiechu¹.*

- Znam ten wiersz, panie - powiedział pisarz, zanurzając trzcinę w kałamarzu. - To pieśń o zazdrości.

- Tak, to prawda - przyznał Memnon z pozorną obojętnością, po czym usiadł na murku, by poczekać, aż pisarz skończy tłumaczenie. Doniesiono mu, że Barsine dostała się w ręce Aleksandra, i myśląc o tym, odczuwał chwilami silny lęk.

34

Opuściwszy Halikarnas, Aleksander wyruszył z wojskiem na wschód, posuwając się wzdłuż wybrzeża, mimo że wszyscy starali się odwieść go od tego zamiaru. W Licji bowiem znajdowało się przejście, które uważano za niemożliwe do przebycia zimową porą. Była to właściwie ścieżka między pionową skalną ścianą a morzem, z którego wynurzały się pojedyncze głazy, a zachodni wiatr burzył jego wody. Fale, rozbiwszy się o brzeg, strzelały w górę kłębami piany, tworząc wzburzoną morską kipieli, która uderzała o skały, a następnie cofała się, by ponownie, z impetem rzucić się na opustoszały cypel, nekany wiatrem.

Na Hefajstionie, który tam dotarł, widok ten wywarł silne wrażenie.

- To przerażające - opowiadał Aleksandrowi. - Wyobraź sobie górę wyższą od szczytu Athos lub Pangajon, która pionowo opada do morza, jest gładka i czarna jak polerowane żelazo. Szczyt, ukryty w chmurach, rozbrzmiewa odgłosem piorunów. Uderzają w niego błyskawice, które chwilami spadają do morza z oślepiającym błyskiem. Ścieżkę dawno temu wykuli w skale Licyjczycy, ale teraz stała się bardzo śliska z powodu obmywających ją fal i mnóstwa alg, które rozmnażają się tu jesienią i w zimie. Jeśli ktoś spadnie do morza, jest stracony, gdyż fale roztrzaskają go o ostre skały znajdujące się wokół urwiska.

- Przechodziłeś tamtędy?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Skorzystałem z pomocy Agrian. Do skalnych szczelin wbili oni pale i przywiązali do nich liny, których mogliśmy się przytrzymać, kiedy nadchodziły wysokie fale.

¹ Safona, *Do dziewczyny*.

- Bardzo dobry pomysł - powiedział król. - My też przejdziemy w ten sposób.

- Ale nas było tylko pięćdziesięciu - zauważył Hefajstion - tymczasem ty chcesz, by przepравиło się dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy i pięć tysięcy koni. Co zrobisz z końmi?

Aleksander zamilkł na chwilę, by zebrać myśli, po czym rzekł:

- Nie mamy wyboru. Musimy tamtędy przejść i zająć wszystkie porty Licji, dzięki czemu uniemożliwimy flocie Króla Królów dostęp do naszego morza. Jeśli zajdzie potrzeba, ruszę dalej tylko z piechotą, ale wyruszę.

- Jak sobie życzysz. My nie boimy się niczego, chciałem tylko uświadomić ci, jak ryzykowne jest to przedsięwzięcie.

Wyruszone następnego dnia. Wojsko dotarło najpierw do Ksantos, miasta położonego na skalnym urwisku nad rzeką o tej samej nazwie. Wokół znajdowały się dziesiątki wykutych w skale grobowców, o monumentalnych fasadach, w kształcie pałaców i świątyń ozdobionych kolumnami. Opowiadano, że w jednej z nich przechowywane jest ciało Sarpedona, licyjskiego bohatera, który zginął z ręki Patroklesa podczas wojny trojańskiej.

Aleksander chciał, by zaprowadzono go do świątyni, po czym stanął w zamyśleniu przed otoczonym czcią grobem, zniszczonym przez czas i słoty, na którym z trudem można było dostrzec stary, zupełnie już nieczytelny napis. Stojący obok Kallistenes usłyszał, jak Aleksander szepcze wersy Homera, będące przestrożą, z którą licyjski heros zwrócił się do swych wojowników przed ostatnią bitwą, kiedy to miał zginąć.

*Gdybym wiedział, że jeśli strzec będziem się broni,
Starość nas nie nachyli, śmierć nas nie dogoni,
Ani sam do szlachetnej śpieszyłbym kurzawy,
Ani ciebie do pięknej zachęcałbym sławy.
Ale gdy nad człowiekiem wisi wyrok srogi
I tysiączne do śmierci prowadzą nas drogi,
Pójdźmy walczyć..²*

Następnie król zwrócił się do Kallistenesa, pytając:

- Sądzisz, że powtórzyłby te słowa, gdyby miał możliwość jeszcze raz przemówić? - W głosie Aleksandra dało się wyczuć głęboki smutek.

- Któż to wie? Jeszcze nikomu nie udało się powrócić z Hadesu.

Zbliżywszy się do grobowca, Aleksander oparł na nim dłonie i czoło, jakby próbował usłyszeć cichy głos sprzed wieków. Po chwili odwrócił się i ruszył w drogę na czele wojska.

Oddziały dotarły do ujścia rzeki, gdzie znajdował się największy port Licji - Patara. W mieście wznosiły się budowle w stylu greckim. Jego mieszkańcy ubierali się wprawdzie na sposób grecki, ale mówili bardzo starym językiem, którego nie można było zrozumieć bez pomocy tłumacza. Po zakwaterowaniu wojska król nakazał kilka dni postoju, ponieważ czekał na wieści od Parmeniona, który w tym czasie był prawdopodobnie na środkowym płaskowyżu. Jednak wiadomości o generale nie nadchodziły.

² Homer, *Iliada*, Księga XII 175-183, przeł. F.K. Dmochowski

Przypłynął natomiast okręt z Macedonii, ostatni tej jesieni. Jego dowódca obrał bardzo trudny i mało uczęszczany kurs, żeby nie natknąć się na flotę Memnona. Przywiózł raport Antypatra na temat sytuacji w ojczyźnie i ostrych konfliktów, jakie panowały między nim a królową matką Olimpias. Aleksander był tym wyraźnie zasmucony, ale rozpogodził się, gdy na innym zwoju dostrzegł królewską pieczęć Molossów i pismo swej siostry Kleopatry. Z lekkim niepokojem otworzył list i zaczął czytać:

Kleopatra, królowa Molossów, do swego brata Aleksandra, króla Macedończyków, bądź pozdrowiony!

Mój najdroższy Bracie! Minął już rok, odkąd ucałowałam Cię na pożegnanie, i nie ma dnia, żebym o Tobie nie myślała i nie płakała z tęsknoty.

Echo Twoich czynów dotarło do mego pałacu w Buthroton, napętlając mnie dumą, która jednak nie wynagrodzi mi Twojej nieobecności.

Mój mąż, a Twój szwagier, Aleksander, król Molossów, szykuje się, by wyruszyć do Italii. Zebrał olbrzymie wojsko, liczące blisko dwadzieścia tysięcy żołnierzy, którzy są bardzo dzielni i wyszkoleni zgodnie z techniką macedońską i szkołą naszego ojca Filipa. Marzy o tym, by zdobyć olbrzymie imperium na zachodzie i uwolnić wszystkich Greków od groźby barbarzyńców na tych ziemiach, takich jak Kartagińczycy czy mieszkańcy Bruttium lub Lukanii. Zostanę więc sama.

Nasza matka dziwaczeje i staje się coraz bardziej drażliwa i kapryśna, więc staram się jej nie odwiedzać. Mówią, że myśli o Tobie dniem i nocą i składa ofiary bogom, żeby Fortuna Ci sprzyjała. Nie pozostaje mi nic innego, jak przeklinać tę wojnę, bo oddaliła ode mnie wszystkich, których kocham najmocniej na świecie.

Dbaj o siebie.

A więc rozpoczynała się też wyprawa na zachód. Inny Aleksander, niemal lustrzane odbicie króla i złączony z nim więzami krwi oraz głęboką przyjaźnią, przygotowywał się do marszu w kierunku słupów Heraklesa, aby zająć wszystkie ziemie po rzekę Ocean. Pewnego dnia spotkają się, być może, w Grecji albo w Egipcie czy Italii... Tego dnia na świecie nastąpi nowa era.

Skorzystał z kilkudniowego postoju, zlecając Eumenesowi, by przeczytał mu „dziennik”, który sekretarz prowadził systematycznie, opisując codziennie najważniejsze wydarzenia, przemierzone przez wojsko odległości, złożone wizyty, przybyłych gości, protokoły z narad naczelnego dowództwa, a także stan kasy.

- Całkiem nieźle - przyznał, wysłuchawszy lektury kilku stron dziennika.
- Fragmenty opisowe mają niemałe zalety literackie, a po dopracowaniu mogłyby stanowić prawdziwe dzieje wyprawy.

- Być może kiedyś to zrobię, ale na razie ograniczam się do rejestrowania faktów, w zależności od tego, ile czasu mam do dyspozycji. Dziejami wyprawy zajmuje się Kallistenes.

- Rzeczywiście.

- Ale nie tylko on. Ptolemeusz też pisze sprawozdanie z wyprawy.

Pokazywał ci je?

- Jeszcze nie, ale chciałbym się z nim zapoznać.

- Poza tym pisze również Nearchos, twój admirał.

- Zdaje się, że wszyscy piszą o wyprawie. Zastanawiam się, kto jest najbardziej wiarygodny. W każdym razie cały czas zazdroszczę Achillesowi, że jego czyny opiewał Homer.

- To były inne czasy, mój przyjacielu. W zamian za to Nearchos wykonuje wspaniałą pracę układania dobrych stosunków z różnymi wspólnotami, które zamieszkują te ziemie. Ma dużo znajomości i jest powszechnie szanowany. Ostatnio wyjaśniał mi swój punkt widzenia jako marynarza.

- To znaczy?

- Przekonany jest, że nie możesz pozostać bez floty i powinieneś wybudować następną. To zbyt niebezpieczne oddać Memnonowi pełną władzę na morzu.

- A jakie jest twoje zdanie? O ile się nie mylę, jest to kwestia pieniędzy.

- Teraz możemy sobie na to pozwolić, dzięki pieniądзом, które zdobyliśmy w Sardes i w Halikarnasie.

- A zatem zajmij się tą sprawą. Uzgodnij wszystko z Nearchosem, pertraktuj z Ateńczykami, odbuduj stocznie w portach, które zdobyliśmy. Możemy zaryzykować.

- Spotkam się z Nearchosem i dokonamy wstępnych wyliczeń. Nie mam bladego pojęcia, ile może kosztować okręt wojenny i ile ich potrzebujemy, żeby utrudnić życie temu przekłętemu Memnonowi. Muszę jednak wiedzieć jakie masz plany na zimę.

Aleksander wyjrzał przez okno domu, w którym się za trzymał, i spojrzał na ośnieżone szczyty gór.

- Pójdziemy naprzód, aż znajdziemy drogę, która prowadzi w głąb kraju. Muszę jak najszybciej spotkać się z Parmenionem i połączyć nasze siły. Martwię się, Eumenesie, bo jeśli jeden z naszych dwóch kontyngentów zostanie rozbity, dla drugiego nie będzie żadnej nadziei.

Sekretarz skinął głową, zebrał swoje papiery i wyszedł Tymczasem Aleksander usiadł przy stole, wziął kartkę zanurzył pióro w atramencie i zaczął pisać.

Aleksander do ukochanej siostry Kleopatry, bądź pozdrowiona!

Kochana siostrze, nie bądź smutna z powodu wyjazdu męża, należy on bowiem do ludzi, których los jest przesądzony. Zawarliśmy pewien układ i Aleksander opuszcza swoją ziemię, dom i małżonkę, żeby dochować mi wierności. Nie sądzę, żebyś chciała być żoną człowieka nijakiego, pozbawionego nadziei i aspiracji, bo wtedy Twoje życie stałoby się nie do zniesienia. Jestem pewien, że jako córka Olimpias i Filipa potrafisz to zrozumieć. Twoja radość będzie tym większa, kiedy rozłąka się skończy, a mąż sprowadzi Cię do siebie, by pokazać Ci zachód słońca nad pięknymi, tajemniczymi wodami dalekiego Oceanu, przez którego wody nie przepłynął jeszcze żaden okręt.

Arystoteles powiedział, że Grecy i ich miasta wychodzą nad to morze jak żaby na brzeg stawu, i ma rację. Ale my urodziliśmy się po to, by poznawać

inne ziemie i morza, by przekraczać granice, których nikt nie ośmielił się przejść. Nie zatrzymamy się, dopóki nie zobaczymy ostatniej granicy, którą bogowie wyznaczyli rodzajowi ludzkiemu.

To niestety nie wystarczy, by zmniejszyć ból rozłąki z Tobą. Oddałbym wszystko, aby usiąść teraz u Twoich stóp i oprzeć głowę na Twych kolanach, wsłuchując się w Twój słodki śpiew.

Wspomnij o mnie, zgodnie z naszą umową, za każdym razem, kiedy ujrzysz słońce chowające się za góry lub kiedy wiatr przyniesie Ci dalekie głosy.

35

Po upływie dziesięciu dni od zakwaterowania Aleksandra w mieście Patara zapowiedziano mu wizytę niejakiego Eumolposa z Soloj.

- Wiesz, kto to jest? - spytał Aleksander Eumenesa.

- Oczywiście. To twój najlepszy informator na wschód od łańcucha gór Tauros.

- Jeśli jest moim najlepszym informatorem, dlaczego go nie znam?

- Ponieważ zawsze rozmawiał z twym ojcem i... ze mną.

- Nie obrazisz się chyba, jeśli tym razem porozmawiam z nim osobiście - zauważył Aleksander z ironią.

- Wcale - pośpiesznie odparł Eumenes. - Staralem się tylko zaoszczędzić ci nudnych obowiązków. Co więcej, jeśli wolisz, żebym odszedł...

- Nie pleć głupstw i każ go wprowadzić.

Eumolpos niewiele się zmienił od ostatniego razu, kiedy sekretarz widział się z nim w Pelli, ale cały czas był nieodporny na zimno, a ponieważ droga morska była niedostępna, musiał przemierzyć ośnieżone góry na grzbiecie muła. Peritas zaczął warczeć, zaledwie ujrzał przybysza z lisią czapą na głowie.

- Jaki ładny piesek - zauważył Eumolpos, nieco zaniepokojony. - Gryzie?

- Nie, jeśli zdejmiesz z głowy tego lisa - odparł Eumenes.

Informator położył czapkę na stołku, a Peritas od razu zatopił w niej zęby i zaczął żuć, plując później lisim włosiem przez cały czas trwania rozmowy.

- Jakie wieści mi przynosisz? - spytał Aleksander.

Eumolpos najpierw wygłosił serię formułek grzecznościowych i komplementów na temat wybitnych dokonań młodego króla, potem przeszedł do sedna sprawy.

- Panie, twoje czyny wywołały panikę na dworze w Suzie. Wróżbici mówią, że jesteś wcieleniem Arymana.

- To ich bóg zła - wyjaśnił Eumenes z pewnym zakłopotaniem. - Przypomina naszego władcę piekieł Hadesa.

- Ten ich bóg ma postać lwa, a ponieważ nosisz hełm w kształcie lwiej głowy, skojarzenie nasuwa się samo przez się.

- Co poza tym? - spytał Aleksander.

- Król Królów darzy Memnona dużym zaufaniem i zdaje się, że wysłał mu dwa tysiące talentów.

- To olbrzymia kwota.

- Właśnie.

- Wiesz, na co ją przeznaczył?

- Sądzę, że na wszystko: utworzenie nowych oddziałów, przekupstwo, finansowanie ewentualnych sojuszników. Słyszałem też o kolejnych dwóch tysiącach talentów, które wysłano drogą lądową do Anatolii.

- Czemu miałyby służyć?

Eumolpos potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Czy w tamtym rejonie jest jakiś twój generał? Może on zdobędzie dokładniejsze informacje...

Aleksandrowi nasunęła się niepokojąca myśl: a jeśli Król Królów będzie próbował przekupić Parmeniona? Prędko jednak odpędził to podejrzenie, które wydało mu się niegodne.

- Czy nie sądzisz, że Memnon ma absolutne poparcie Wielkiego Króla?

- Z całą pewnością. Mimo to jednak na dworze jest wielu szlachetnie urodzonych, którzy spoglądają na tego cudzoziemca z ogromną zawiścią. Memnon jest bowiem Grekiem, któremu władca powierzył naczelne dowództwo oddziałów, dając mu też władzę nad wszystkimi perskimi namiestnikami. Po królu Dariuszu Memnon jest najpotężniejszym człowiekiem w perskim imperium. W każdym razie jeśli pytasz mnie, czy istnieją lub mogą się zawiązywać przeciw niemu spiski...

- Nie pytam cię o nic takiego - uciał Aleksander.

- Przebacz mi, królu - powiedział informator. - Nie chciałem cię obrazić. Aha, jest jeszcze coś.

- Mów.

- Na dwór w Suzie przybyła żona Memnona, Barsine, kobieta niezwyklej urody.

Słyszając te słowa, Aleksander lekko drgnął, a jego reakcja nie uszła uwagi Eumolposa.

- Znasz ją?

Król nie odpowiedział. Sekretarz dał Eumolposowi znak, by nie nalegał, więc informator nawiązał do tego, co mówił wcześniej.

- Jak już mówiłem, jest to wyjątkowo piękna kobieta, o nogach jak u gazeli, piersiach bogini i ciemnych oczach. Nie śmiem wyobrazić sobie tej róży, jaką kryje między udami... - Eumenes ponownie dał mu znak, by pominął dalsze szczegóły. - Przyjechała razem z dziećmi, dwoma ładnymi chłopcami, z których ten o greckim imieniu podobny jest do matki, a drugi, noszący imię perskie - do ojca. Czy to nie nadzwyczajne? Niektórzy na dworze myślą, że Król Królów trzyma ich jako zakładników, bo nie ufa Memnonowi.

- Sądzisz, że to prawda? - spytał Aleksander.

- Mam powiedzieć, co naprawdę o tym myślę?

- Pytanie retoryczne - zauważył Eumenes.

- Słusznie. Myślę, że tak nie jest. Król Dariusz ślepo ufa Memnonowi, właśnie dlatego, że jest on wodzem najemnym. Memnon nigdy nie podpisał żadnego kontraktu, ale nigdy też nie złamał danego słowa. To człowiek z żelaza.

- Wiem - rzekł Aleksander.

- Jest jeszcze coś, co powinieneś mieć na uwadze.

- Co takiego?

- Memnon ma przewagę na morzu.

- Do czasu.

- No, tak. Jak ci jednak wiadomo, zboże z Pontu dociera do Aten przez cieśniny, więc jeśli Memnon zablokowałby wymianę handlową, miasto cierpiałoby głód. Wtedy Memnon mógłby zmusić Ateny, żeby przeszły na jego stronę z całą flotą, dzięki czemu powstałaby najpotężniejsza flota wojenna wszech czasów.

Aleksander spuścił głowę.

- Wiem.

- Nie przeraża cię to?

- Nigdy nie przeraża mnie coś, co jeszcze się nie zdarzyło.

Eumolpos zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej:

- Jesteś niewątpliwie synem swego ojca. Jak na razie Król Królów postanowił nie podejmować żadnych kroków i dać Memnonowi całkowitą swobodę działania. Pojedynkę prowadzicie wy dwaj, ale jeśli Memnon ulegnie, Wielki Król wkroczy do akcji, a z nim cała Azja.

Słowa te wypowiedział uroczystym tonem, który zdziwił rozmówców.

- Dziękuję ci - powiedział Aleksander. - Mój sekretarz zajmie się zapłatą za twe usługi.

Eumolpos wykrzywił usta w uśmiechu.

- Jeśli o to chodzi, królu, właśnie chciałem prosić cię o drobną podwyżkę kwoty, którą płacił mi twój ojciec - oby jego chwała żyła wiecznie! Ze względu na okoliczności moja praca staje się coraz trudniejsza i niebezpieczna, a myśl o tym, że mógłbym skończyć wbity na pal, prześladowuje mnie w snach, które dawniej były bardzo spokojne.

Aleksander przytaknął skinieniem głowy, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z Eumenesem.

- Zajmę się tym - zapewnił sekretarz i odprowadził Eumolposa do wyjścia. Spojrzawszy smutno na to, co pozostało z ciepłej futrzanej czapki, informator skłonił się królowi i wyszedł.

Aleksander patrzył, jak obaj oddalają się długim korytarzem, i słyszał słowa, które wypowiadał Eumolpos:

- Jeśli rzeczywiście miałby mnie wbić na pal, to przyznaję, że wolałbym ptaszka jakiegoś ładnego młodzieńca od spiczastej żerdzi tych barbarzyńców.

Eumenes odparł:

- Tutaj masz ich, ile dusza zapagnie - dwadzieścia pięć tysięcy....

Król pokręcił głową i zamknął drzwi.

Następnego dnia, wobec braku wiadomości od Parmeniona, postanowił wyruszyć, podejmując ryzyko przejścia nad brzegiem morza w miejscu, które Hefajstion opisał mu z tak przerażającą dokładnością.

Wysłał przodem Agrian, żeby zamocowali haki i liny, których żołnierze mogliby się przytrzymać, ale te skomplikowane zabiegi okazały się zbędne, ponieważ nagle wypogodziło się, ustał zachodni wiatr, a powierzchnia morza stała się gładka jak stół.

Hefajstion, towarzyszący Agrianom i Trakom, zawrócił, by oznajmić, że słońce osuszyło przejście i niebezpieczeństwo minęło.

- Zdaje się, że bogowie ci sprzyjają.

- Chyba tak - odparł Aleksander. - Potraktujmy to jako dobrą wróżbę.

Ptolemeusz, który jechał tuż za nim, na czele straży osobistej, zwrócił się do Perdikkasa, mówiąc:

- Wyobrażam sobie, co napisze Kallistenes.

- Nigdy nie myślałem o tym przejściu z punktu widzenia kronikarza wyprawy.

- Napisze, że morze cofnęło się przed Aleksandrem, uznając jego królewski majestat i niemal boską władzę.

- A ty co napiszesz?

Ptolemeusz pokręcił głową.

- Daj spokój! Zajmijmy się raczej jazdą, bo czeka nas jeszcze długa droga.

Pokonawszy przejście, Aleksander poprowadził wojsko ku ziemiom wewnętrznym, wspinając się po stromych ścieżkach coraz wyżej, aż po szczyty gór pokryte śniegiem. Wioski pozostawiano na ogół w spokoju, z wyjątkiem tych, których mieszkańcy napadali na oddziały

Aleksandra lub odmawiali im dostarczenia żywności. Następnie, za pierwszym masywem, wojsko zeszło w dolinę Eurymedontu, która prowadziła na płaskowyż i do wewnętrznych terenów kontynentu.

Dolina była raczej wąska, o stromych zboczach z czerwonych skał, które wyraźnie odróżniały się od ciemno-niebieskiej barwy rzeki. Na brzegach rzeki i na niewielkich obszarach równinnych po obu jej stronach rozposcierały się żółte ścierniska.

Oddziały Aleksandra maszerowały cały dzień, a przed zachodem słońca dotarły do przesmyku, którego strzegły dwie bliźniacze twierdze, wznoszące się na skalnych występach. Za nimi można było dostrzec obwarowane miasto, położone na wzgórzu.

- Termessos - oznajmił Ptolemeusz, podjeżdżając na koniu do Aleksandra i wskazując warowne miasto, czerwieniejące w promieniach zachodzącego słońca.

Z drugiej strony podjechał do króla Perdikkas.

- Nie będzie łatwo zdobyć to orle gniazdo - zauważył, zmartwiony. - Odległość od dna doliny po wierzchołek murów liczy co najmniej czterysta stóp. Nawet jeśli ustawimy wszystkie maszyny oblężnicze jedna na drugiej, nie zdołamy dotrzeć na tę wysokość.

W tym momencie nadjechał Seleukos z dwoma oficerami jazdy hetajrów.

- Proponuję rozbić obóz. Jeśli pójdziemy dalej, mogą nas zaatakować, a nie jesteśmy przygotowani, by się obronić przed ich pociskami.

- Zgoda, Seleukosie - rzekł król. - Jutro, w świetle dziennym, zobaczymy, co da się zrobić. Jestem pewien, że jest gdzieś jakieś przejście. Musimy je odszukać.

W tej samej chwili rozległ się z tyłu czyjś głos:

- To moje miasto, miasto wróżbitów i jasnowidzów. Pozwólcie, że ja tam pójde.

Odwróciwszy się, król zobaczył Arystandrosa, którego spotkał przy nadmorskim źródle, gdzie odczytywał antyczny napis.

- Witaj, wróżbito - powiedział. - Zbliż się i powiedz, co masz zamiar zrobić.

- To moje miasto - powtórzył Arystandros. - Magiczne miasto, które wznosi się w magicznym miejscu. W tym mieście nawet dzieci potrafią objaśniać znaki na niebie i czytać z wnętrzości ofiar. Pozwól, że tam pójdę, zanim wyruszy wojsko.

- W porządku, możesz iść. Zaczekamy na twój powrót.

Skinąwszy głową na pożegnanie, Arystandros ruszył pieszo stromą ścieżką, biegnącą między bliźniaczymi twierdzami. W chwilę później, kiedy zapadły ciemności, można było dostrzec jego biały płaszcz, upodabniający Arystandrosa do samotnej zjawy wspinającej się po skalnym urwisku, na którym wznosiło się miasto Termessos.

36

Arystandros stał przed nim niczym upiór, a światło padające z jedynej lampy w namiocie nadawało jego twarzy jeszcze straszniejszy wygląd. Aleksander podskoczył na łóżku, jakby go ukąsił skorpion.

- Kiedy wszedłeś? - spytał. - Kto cię wpuścił?

- Mówiłem ci już, że znam wiele magicznych sztuczek i potrafię poruszać się w nocy, jak zechcę.

Aleksander wstał i rzucił okiem na psa, który spał spokojnie, jakby w namiocie nie było nikogo prócz jego pana.

- Jak to zrobiłeś? - spytał król ponownie.

- To nie ma znaczenia.

- A co ma znaczenie?

- To, co zamierzam ci powiedzieć. Mieszkańcy miasta rozstawili wartowników na skałach strzegących przejścia, a sami zamknęli się w Termessos. Zaskocz strażników i przeprowadź wojsko. Zaraz potem, po lewej stronie zbrocza, zobaczysz ścieżkę, która prowadzi do bram miasta, a jutro twoje trąby obudzą mieszkańców.

Wyszedszy z namiotu, Aleksander zauważył, że w obozie panowała kompletna cisza. Wszyscy spokojnie spali, a strażnicy ogrzewali się przy ogniskach. Odwrócił się do wróżbity, który wskazał na niebo, mówiąc:

- Spójrz, orzeł zatacza szerokie kręgi nad murami miasta. Oznacza to, że po nocnym ataku je zdobędziesz. W nocy orły nie fruwały, więc jest to z pewnością znak od bogów.

Aleksander rozkazał, by wszystkich obudzić bez użycia trąb, a następnie wezwał Lizymacha i dowódcę Agrian.

- Oto zadanie dla was. Dowiedziałem się, że na skałach są tylko wartownicy - musicie więc ich zaskoczyć i po cichu usunąć, po czym przeprowadzimy wojsko przez przesmyk. Jeśli misja się powiedzie, dajcie znak, zrzucając w dół kilka kamieni.

Agrianom powiedziano w ich języku, co mają robić, a Aleksander obiecał im nagrodę, jeśli zdołają wykonać zadanie. Żołnierze chętnie się zgodzili, przewiesili przez plecy konopne liny i torby z hakami, po czym zatknęli za pas sztylety. Kiedy księżyc wyjrzał na chwilę zza chmur, Aleksander dostrzegł ich, kiedy wspinali się na skały z niezwykłą zwinnością ruchów, typową dla ludzi z gór. Najwięksi śmiałkowie wspinali

się bez żadnej pomocy, dokąd mogli, po czym przywiązywali linę do jakiegoś występu lub haka umocowanego w szczelinie i zrzucali linę w dół, tak aby ułatwić wspinaczkę pozostałym towarzyszom.

Po chwili księżyc przesłoniły chmury, a Agrianie uczepieni skał zniknęli. Aleksander z Ptolemeuszem i strażą osobistą podjechał do przesmyku, po czym wszyscy zaczęli oczekiwać w ukryciu.

W niedługi czas potem dał się słyszeć głuchy odgłos, a później kilka następnych - to Agrianie zrzucali z góry ciała wartowników.

- Zrobione - zauważył Ptolemeusz, zerkając na roztrzaskane ciała. - Możesz przeprowadzić wojsko.

Aleksander jednak dał znak, by jeszcze chwilę poczekać, po czym rozległy identyczne odgłosy, a na koniec posypały się kamienie, z łoskotem odbijając się od skalnych ścian.

- A nie mówiłem? - powtórzył Ptolemeusz. - Wszystko już zrobione. Ci ludzie działają bardzo szybko, a w takich sytuacjach nikt im nie dorówna.

Aleksander polecił mu, by powiadomił oddziały, że mają po cichu przechodzić przez przesmyk. Długa kolumna ruszyła, gdy tymczasem Agrianie, po wykonaniu zadania, opuszczali się w dół, zwijając stopniowo liny, po których wcześniej się wspinali.

Przewodnicy i zwiadowcy dokonujący rozpoznania po lewej stronie wąwozu szybko odnaleźli ścieżkę wiodącą na płaskowyż. Przed świtem wojsko stanęło w szyku pod murami miasta, ale na terenie tak nierównym, że nie można by na nim rozbić obozu. Kiedy tylko ustawiono namiot króla na jednym z nielicznych płaskich miejsc wśród skał, Aleksander kazał powiadomić towarzyszy, by stawili się na naradę. Podczas gdy herold starał się ich odszukać, Hefajstion zapowiedział wizytę Egipcjanina o imieniu Sizyn, który pragnął możliwie jak najszybciej widzieć się z królem.

- Egipcjanin? - zdziwił się Aleksander. - Któż to taki? Widziałeś go kiedy?

Hefajstion zaprzeczył ruchem głowy.

- Szczerze mówiąc, nie, ale on twierdzi, że zna nas obu i że kiedyś pracował dla króla Filipa i widział, jak biegaliśmy jako dzieci po pałacowym dziedzińcu w Pelli. Jego wygląd świadczy, że przybywa z bardzo daleka.

- Czego chce?

- Powiedział, że pragnie z tobą mówić w cztery oczy.

Tymczasem nadszedł herold.

- Królu, dowódcy oczekują na zewnątrz.

- Niech wejdą - rozkazał Aleksander, a następnie powiedział do Hefajstiona: - Zadbaj, by dano mu coś do zjedzenia i picia. Znajdź mu jakieś schronienie, dopóki nie postawią namiotu, a później wróć tu, bo chcę, żebyś był obecny podczas narady.

Kiedy odszedł Hefajstion, przybyli przyjaciele króla: Eumenes, Seleukos, Ptolemeusz, Perdikkas, Lizymach i Leonnatos. Filotas był z ojcem we Frygii, podobnie jak Krateros i Klejtos. Ucałowawszy Aleksandra na powitanie, dowódcy usiedli.

- Widzieliście miasto - zaczął Aleksander. - Zauważyliście też, że teren

jest nierówny, skalisty. Nawet jeśli zbudujemy wieże obłężnicze z leśnego drzewa, nie zdołamy ich przesunąć na pozycje, a gdybyśmy chcieli wykonać podkop, musielibyśmy kuć skałę maczugami i siekierami. To zupełnie niemożliwe! Jedynym wyjściem jest zastosowanie blokady Termessos, nie wiemy jednak, kiedy miasto padnie. Może to być kwestia dni lub miesięcy...

- W Halikarnasie nie mieliśmy podobnych wątpliwości - zauważył Perdikkas. - Zajęło nam to tyle czasu, ile było konieczne.

- Moglibyśmy zrobić olbrzymi drewniany stos pod murami, zapalić go i usmażyć mieszkańców - zaproponował Leonnatos.

Aleksander zaprzeczył ruchem głowy.

- Widziałeś, jak daleko są lasy? Stracilibyśmy wielu ludzi, gdyby żołnierze musieli przynosić drzewo pod mury, pozbawieni wiat ochronnych i ognia zaporowego. Nie wysyłam ludzi na śmierć, o ile nie dzielę tych samych niebezpieczeństw, i wy także. Poza tym czas nagli, gdyż musimy koniecznie połączyć się z korpusem Parmeniona.

- Mam pewien pomysł - wtrącił Eumenes. - Barbarzyńcy są tacy sami jak Grecy i bez przerwy zabijają się nawzajem. Mieszkańcy Termessos z pewnością mają wrogów, więc wystarczy porozumieć się z nimi, po czym będziemy mogli kontynuować marsz na północ.

- To niezła myśl - zauważył Seleukos.

- Zgadzam się - przyznał Ptolemeusz. - Pod warunkiem, że zdołamy odnaleźć tych wrogów.

- Zajmiesz się tym? - spytał Aleksander sekretarza.

Eumenes wzruszył ramionami.

- Siłą rzeczy, skoro nie chce tego zrobić nikt inny.

- A więc zgoda. Tymczasem jednak, dopóki tu jesteśmy, zablokujmy miasto i nie pozwólmy nikomu wchodzić ani wychodzić. Możecie odejść i zająć się waszymi ludźmi.

Towarzysze kolejno opuścili namiot. Niedługo potem przybył Hefajstion.

- Jak widzę, narada już się skończyła. Co postanowiliście?

- Że nie mamy czasu zdobywać miasta. Postaramy się znaleźć kogoś, kto zrobi to za nas. Gdzie jest nasz gość?

- Czeka na zewnątrz.

- Wprowadź go.

Po wyjściu Hefajstiona w namiocie pojawił się starszy człowiek, w wieku około sześćdziesięciu lat. Miał szpakowate włosy i brodę, a ubrany był jak tubylec z płaskowyżu.

- Wejdz, proszę - powiedział Aleksander. - Chciałeś ze mną mówić. Kim jesteś?

- Nazywam się Sizyn i przysłał mnie generał Parmenion.

Aleksander spojrzał w jego ciemne, rozbiegane oczy.

- Nigdy przedtem cię nie widziałem - oznajmił. - Jeśli przysłała cię Parmenion, masz z pewnością jakiś list z jego pieczęcią.

- Nie mam żadnego listu. Byłoby to zbyt niebezpieczne, gdyby mnie złapano. Mam rozkaz przekazać ci ustnie to, co mi powiedziano.

- Mów zatem.

- Z Parmenionem jest twój krewny, który dowodzi jazdą.
 - Mój kuzyn Amyntas z Linkestis. Jest wyśmienitym dowódcą i dlatego powierzyłem mu jazdę tessalską.
 - Ufasz mu?
 - Kiedy zamordowano mojego ojca, przeszedł na moją stronę i pozostał mi wierny.
 - Jesteś go całkowicie pewien? - nalegał człowiek.
- Aleksander zaczął tracić cierpliwość.
- Jeśli masz coś do powiedzenia, to mów zamiast stawiać mi pytania.
 - Parmenion przechwycił perskiego kuriera z listem od Króla Królów do twego kuzyna.
 - Mogę zobaczyć list? - spytał Aleksander, wyciągając rękę.
- Sizyn pokręcił przecząco głową, uśmiechając się.
- Chodzi o ważny dokument, którego utraty nie mogliśmy ryzykować, gdyby mnie schwytano. Generał Parmenion upoważnił mnie jednak, żebym przekazał ci jego treść.
- Aleksander dał Egipcjaninowi znak, by kontynuował.
- Król Królów proponuje twemu kuzynowi tron Macedonii i dwa tysiące złotych talentów, jeśli cię zabije.
- Król milczał. Myślał o tym, co powiedział mu Eumolpos z Soloj na temat dużej sumy pieniędzy, którą pozostawił dwór w Suzie, kierując się do Anatolii. Rozmyślał też o dowodach męstwa i lojalności, jakie okazał mu do tej pory kuzyn. Poczul się schwytany w sieci spisku, wobec którego dzielność, siła i odwaga nie miały żadnego znaczenia. W podobnej sytuacji o wiele lepiej potrafiłaby się poruszać jego matka. Należało jednak bezzwłocznie rozwiązać ten problem.
- Jeśli to nieprawda, każę cię pociąć na kawałki i rzucić twój szkielet psom - zagroził.
- Peritas, który drzemał w kącie namiotu, uniósł łeb i oblizał się czerwonym językiem, jakby zaciekawił go nagły zwrot w rozmowie. Sizyn jednak wcale nie wydawał się zmieszany.
- Jeśli kłamię - rzekł - odkryjesz to z łatwością podczas spotkania z Parmenionem.
 - Jakie macie dowody, że mój kuzyn ma zamiar przyjąć propozycję i pieniądze Wielkiego Króla?
 - Właściwie żadnych. Pomyśl jednak, panie: czy król Dariusz uczyniłby podobną propozycję i zaryzykował tak dużą sumę pieniędzy, gdyby sądził, że jego plan się nie powiedzie? Czy znasz człowieka, który potrafiłby się oprzeć pokusom władzy i bogactwa? Gdybym był na twoim miejscu, nie ryzykowałbym. Za tę kwotę Amyntas mógłby nająć tysiąc morderców, zwerbować całe wojsko.
 - Czyżbyś sugerował mi, co mam robić?
 - Nie śmiałybym tego czynić. Jestem tylko wiernym sługą, który spełnił obowiązek, przemierzywszy zaśnieżone góry, cierpiąc głód i zimno, wielokrotnie ryzykując życie na ziemiach, które są w rękach żołnierzy i szpiegów Króla Królów.
- Aleksander nie odezwał się, ale zrozumiał, że nie ma wyjścia i musi podjąć jakąś decyzję. Sizyn zinterpretował milczenie króla w sposób

najbardziej logiczny.

- Generał Parmenion nakazał mi, żebym jak najszybciej powrócił z odpowiedzią, która nie może być jednak przekazana w formie listu. Mam ją zreferować ustnie. Generał darzy mnie pełnym zaufaniem.

Aleksander odwrócił się do posłańca plecami, ponieważ nie chciał, żeby odgadł jego myśli. Rozważywszy wszystko, zwrócił się do Egipcjanina, mówiąc:

- Powiesz Parmenionowi, co następuje:

Otrzymałem twoją wiadomość i dziękuję ci za udaremnienie spisku, który mógłby poważnie zaszkodzić naszej wyprawie lub sprowadzić na mnie śmierć.

Z tego, co mi doniesiono, wynika jednak, że nie mamy żadnego dowodu, iż mój kuzyn ma zamiar przyjąć pieniądze i tę propozycję.

Proszę cię więc, żebyś go aresztował i zatrzymał do mojego przybycia, kiedy to przesłucham go osobiście. Pragnę jednak, żeby traktowano Amyntasa stosownie do jego stanu i stopnia. Mam nadzieję, że miewasz się dobrze. Uważaj na siebie.

- A teraz powtórz - rozkazał Aleksander.

Sizyn spojrzał mu prosto w oczy i powtórzył wszystko słowo w słowo, płynnie, bez zająknięcia.

- Wspaniale - powiedział król, kryjąc zdziwienie. - Idź się posilić. Wskaż ci miejsce noclegu. Kiedy poczujesz się wypoczęty, wyruszysz w drogę powrotną.

- Poproszę o torbę z jedzeniem i bukłak wody i wyruszę natychmiast.

- Zaczekaj.

Sizyn, który pochylił się w chwili pożegnania, wyprostował się i rzekł:

- Co rozkażesz?

- Ile dni zajęła ci podróż?

- Jedenaście dni jazdy na grzbiecie muła.

- Przekaż Parmenionowi, że wyruszę za pięć dni i dołączę do niego w Gordion po upływie tylu dni, ile tobie zajęła podróż do mnie.

- Mam powtórzyć również tę wiadomość?

Aleksander zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie musisz. Dziękuję ci za informacje. Powiem Eumenesowi, żeby cię wynagrodził.

Sizyn się wzbraniał:

- Nagrodą dla mnie jest udział w uratowaniu twojej osoby, panie. To mi wystarczy.

Rzuciwszy królowi jeszcze jedno znaczące spojrzenie pokłonił się z szacunkiem i wyszedł. Aleksander usiadł na stołku, zakrywając twarz rękami. Przez dłuższy czas nie poruszał się, zatopiony we wspomnieniach dni spędzonych w Pelli, kiedy jako dziecko grał w piłkę z towarzyszami i kuzynami lub bawił się z nimi w chowanego. Miał ochotę głośno krzyknąć i płakać.

Leptine zbliżyła się do króla niepostrzeżenie i położyła dłonie na jego ramionach.

- Jakieś niedobre wieści, panie mój? - spytała cichym głosem.

- Tak - odparł Aleksander, nie odwracając się. Leptine przytuliła policzek do jego ramienia.

- Udało mi się znaleźć drwa na opał i podgrzać wodę. Nie miałbyś ochoty na kąpiel?

Władca skinął głową, po czym udał się za dziewczyną do prywatnej części namiotu, gdzie stała wanna z gorącą wodą, i pozwolił się rozebrać. W pomieszczeniu paliła się lampa, gdyż jakiś czas temu zapadł wieczór.

37

Z pomocą Arystandrosa Eumenes w krótkim czasie spisał umowę z pobliskim ludem Selgijczyków, którzy byli zaciekłymi wrogami mieszkańców Termessos, mimo że mówili tym samym językiem i czcili te same bóstwa. Zostawiwszy im pieniądze, w imieniu Aleksandra nadał wodzowi ludu górnołotny tytuł „najwyższego dynasty i samowładcy Pizydii”. Selgijczycy natychmiast zajęli pozycje wokół miasta, przygotowując się do oblężenia.

- Mówiłem ci, że Termessos padnie - przypomniał Arystandros władcy, interpretując na swój sposób sytuację.

Król zapewnił sobie zwierzchnictwo nad kilkoma miastami wybrzeża, takimi jak Side i Aspendos, które były niezwykle piękne i utrzymane częściowo w stylu greckim, z placami, kolumnadami i świątyniami ozdobionymi posągami. Mieszkańcy miast mieli przekazywać Aleksandrowi podatki, które dotychczas płacili Persom. Pod murami Termessos król pozostawił kilku oficerów hetajrów i oddział szturmowy z korpusu koniuszych wraz ze sprzymierzonymi barbarzyńcami, po czym wyruszył na północ.

Góry Tauros pokrywała warstwa śniegu, ale pogoda dopisywała. Niebo było niebieskie i przejrzyste. W okolicy rosły zaś gdzieniegdzie kępy buków i dębów, które miały jeszcze liście w kolorze ochry i czerwieni, odznaczające się wyraźnie na tle oślepiającej bieli, niczym drogocenne kamienie na srebrnej tacy. W miarę jak wojsko postępowało naprzód, wysyłano na zwiad Traków i Agrian pod wodzą Lizymacha, którzy zajmowali przełęcze, by zapobiec niespodziewanym atakom. Marsz przebiegał więc w miarę spokojnie.

Eumenes zlecił zakup żywności w pobliskich wioskach, żeby nie drażnić miejscowej ludności i zapewnić możliwie jak najbardziej bezpieczny przemarsz wojska przez trudno dostępne szczyty górskiego łańcucha. Aleksander jechał samotnie przodem, na grzbiecie Bucefała, i nietrudno było odgadnąć, że trapiły go smutne myśli. Na głowie miał macedoński kapelusz z szerokim rondem, a na ramionach chlamidę z surowej wełny. Peritas biegł truchtem niemal między kopytami wierzchowca. Od dawna już łączyła zwierzęta nić przyjaźni i porozumienia, tak więc kiedy pies nie spał przy łóżku Aleksandra, kładł się na słomie w pobliżu Bucefała.

Po trzech dniach marszu przez góry wojsko dotarło do płaskowyżu, który stanowił rozległy, spalony słońcem obszar, smagany zimnym wiatrem. W oddali błyszczała przezroczysta tafla wody, otoczona pasem oślepiającej bieli.

- Znowu śnieg - narzekał Eumenes, który odczuwając dojmujący chłód, zastąpił krótki chiton parą wygodniejszych spodni frygijskich.

- Nie, to sól - sprostował Arystandros jadący obok niego. - To jezioro Askanios, którego woda jest bardziej słona od wody morskiej. Latem jego powierzchnia maleje, tworząc rozległy obszar wypełniony solą. Okoliczni mieszkańcy sprzedają sól w całej dolinie.

Kiedy wojsko przemierzyło śnieżnobiałą przestrzeń, słońce zaczęło chować się za wzgórza, a promienie światła, przechodzące przez miliony kryształków soli, tworzyły fantasmagoryczną wizję. Żołnierze w milczeniu patrzyli na ten cudowny spektakl, nie mogąc oderwać wzroku od zmieniających się barw i promieni świetlnych, które załamywały się, przechodząc przez niezliczone, fasetowane bryłki i tworząc roziskrzone wachlarze, mieniające się kolorami tęczy.

- Bogowie Olimpu...! - wyszeptał Seleukos. - Jakie to piękne! Można teraz z całą pewnością stwierdzić, że jesteśmy bardzo daleko od domu.

- To prawda - przyznał Ptolemeusz. - Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem.

- Na tym nie koniec - ciągnął Arystandros. - Trochę dalej znajduje się wzgórze, które bucha ogniem i płomieniami, zakrywając popiołem olbrzymie obszary. Mówią, że pod jego gigantyczną bryłą został uwięziony demon Tyfon.

Ptolemeusz dał znak Seleukosowi, by podążył za nim, i ścisnął boki konia, jakby chciał dokonać przeglądu kolumny. Przejechawszy pół stadionu, zwolnił i zwrócił się do Seleukosa:

- Co dolega Aleksandrowi?

Seleukos podjechał nieco bliżej.

- Nie wiem. To przez tego Egipcjanina.

- Nie podobają mi się Egipcjanie - zawyrokował Ptolemeusz. - Ciekawe, co też mu naopowiadał. Jakby nie dość było tego wróżbity, Arystandrosa.

- Myślę, że Hefajstion coś wie, ale nie chce powiedzieć.

- Też tak sądzę. Jest ślepo posłuszny Aleksandrowi.

- O co tu może chodzić? Z pewnością jakaś zła wiadomość... I cały ten pośpiech, żeby wyruszyć... Czyżby coś przytrafiło się Parmenionowi?

Ptolemeusz spojrział na Aleksandra, który jechał przed nimi w niewielkiej odległości.

- Powiedziałyby nam o tym, a poza tym z Parmenionem są Klejtos, Filotas, Krateros, a także kuzyn Amyntas, który dowodzi jazdą tessalską. To chyba niemożliwe, żeby żaden z nich nie przeżył.

- Któż to wie? A jeśli wpadli w zasadzkę? A może myśli o Memnonie? Po tym człowieku można się wszystkiego spodziewać. Podczas gdy my tu rozmawiamy, on być może dotarł już do Macedonii albo do Pireusu.

- Co zrobimy? Porozmawiamy z nim podczas wieczerzy?

- To zależy, w jakim będzie humorze. Może lepiej byłoby zasięgnąć rady Hefajstiona?

- Tak, to najlepsze rozwiązanie.

Tymczasem słońce schowało się za horyzont, a dwaj przyjaciele rozmyślali o swych dziewczynach, które pozostawili we łzach w Pierii i Eordai i które być może teraz ich wspominały.

- Myślałeś kiedyś, żeby się ożenić? - spytał nagle Ptolemeusz.
- Nie. A ty?
- Też nie, ale podoba mi się Kleopatra.
- Mnie też.
- I Perdikkasowi.
- Tak, Perdikkasowi też.

Z początku kolumny dobiegł okrzyk zwiadowców, którzy powracali galopem z rozpoznania, chcąc zdążyć przed zachodem słońca:

- Kelajnaj! Kelajnaj!
- Gdzie? - spytał Eumenes, podjeżdżając do nich.

- Pięć stadionów stąd, w tamtym kierunku - odparł jeden ze zwiadowców, wskazując odległe wzgórze, jarzące się od mnóstwa świateł. Był to wspaniały widok, przypominający olbrzymie mrowisko, na którym wznosiły się tysiące świetlików.

Otrząsnąwszy się z przygnębienia, Aleksander uniósł ramię, by zatrzymać kolumnę.

- Rozbijemy tu obóz - powiedział. - Jutro przypuścimy szturm na miasto. Jest ono stolicą Frygii, a jednocześnie siedzibą perskiego satrapy prowincji. Jeśli nie zdobył go Parmenion, my tego dokonamy. W tej twierdzy musi być dużo pieniędzy.

- Zdaje się, że Aleksander ma lepszy nastrój - zauważył Ptolemeusz.

- Chyba tak - przyznał Seleukos. - Pewnie przypomniał sobie słowa Arystotelesa: „Albo problem można rozwiązać, więc nie warto się martwić, albo problemu nie można rozwiązać, więc nie warto się martwić”. Może nawet zaprosi nas na wieczerzę?

38

Arystoteles przybył do Methone na pokładzie jednego z ostatnich statków, które wypływały jeszcze z Pireusu i przemierzały morski szlak późną jesienią. Kapitan statku postanowił wykorzystać silny południowy wiatr i przewieźć partię oliwy z oliwek, wina i pszczelego wosku, które w przeciwnym razie musiałyby pozostać w magazynach aż do wiosny, wskutek czego spadłyby ich ceny.

Wysiadłszy na ląd, Arystoteles wynajął wóz zaprzęgnięty w parę mułów i kazał się zawieźć do Miezy. Miał klucze do wszystkich budynków i możliwość użycia ich w każdej chwili. Co więcej, wiedział, że w tych dniach zastanie tam osobę, z którą pragnął porozmawiać, by dowiedzieć się czegoś o Aleksandrze. Tą osobą był Lizyp. Zastał go w odlewni, gdzie artysta wykonywał gliniany projekt monumentalnej rzeźby, przedstawiającej oddział Aleksandra nad Granikiem. Brązowy odlew miał mieć wielkość typową dla pomnika. Ponieważ zbliżał się wieczór, w pracowni, jadalni i niektórych komnatach dla gości paliły się już światła.

- Witaj, Arystotelesie! - powitał go Lizyp. - Przepraszam, ale nie mogę podać ci ręki, bo jest pobrudzona gliną. Za chwilę będę do twojej dyspozycji.

Arystoteles podszedł do projektu, który przedstawiał dwadzieścia sześć postaci, rozmieszczonych na podstawie o długości ośmiu, może dziesięciu stóp. Zdumiewające! Można było dostrzec wzburzone wody rzeki i niemal

usłyszeć galop jeźdźców, którzy ruszyli do natarcia. Postać Aleksandra wyróżniała się na tle pozostałych żołnierzy. Król przedstawiony był w zbroi, z rozwianymi włosami, na grzbiecie rozjuszona Bucefała.

Lizyp opłukał ręce w misce z wodą i podszedł do gościa.

- Co o tym sądzisz?

- Wspaniale. Twoje rzeźby wyróżniają się niezwykłą energią, jakby żyły naprawdę.

- Pomnik ukaże się oczom widza nagle - wyjaśnił Lizyp z natchnionym wyrazem twarzy, unosząc olbrzymie dłonie, którymi starał się pokazać scenę - jakby wyrastał spoza niewielkiego wzniesienia. Osoba patrząca będzie miała wrażenie, że postacie żołnierzy na nią napierają. Aleksander poprosił mnie, żebym uwiecznił poległych w walce, więc staram się spełnić jego życzenie i chociażby częściowo wynagrodzić ich rodzicom stratę synów.

- I jednocześnie tworzysz legendę Aleksandra - powiedział Arystoteles.

- I tak by powstała, nie sądzisz?

Lizyp zdjął fartuch i powiesił go na gwoździu.

- Za chwilę będzie wieczerza, zjesz z nami?

- Z przyjemnością - odparł Arystoteles. - Kto jeszcze będzie?

- Mój pomocnik Chares - odparł artysta, wskazując szczupłego chłopca o rzadkich włosach, który w kącie pracowni rzeźbił dłutem drewniany model i teraz pozdrawiał Arystotelesa pełnym szacunku skinieniem głowy. - Będzie też wysłannik z miasta Tarent, Euhemeros z Kallipolis, zacny człowiek, który być może przekaże nam jakieś wieści o Aleksandrze, królu Epiru.

Po wyjściu z odlewni przeszli przez wewnętrzny portyk i udali się do jadalni. Arystoteles myślał ze smutkiem o ostatniej wieczerzy, którą jadł tam z królem Filipem.

- Na długo przyjechałeś? - spytał Lizyp.

- Raczej nie. W ostatnim liście poleciłem Kallistenesowi, żeby pisał do mnie tutaj, do Miezy, i czekam na wieści od niego. Później jadę do Ajgaj.

- Udajesz się do starego pałacu?

- Złożę ofiarę na grobie króla i spotkam się z kilkoma osobami.

Lizyp milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Słyszałem, że prowadzisz śledztwo w sprawie zabójstwa Filipa, ale może to tylko plotki...

- Nie, to nie są plotki - przyznał Arystoteles z pozorną obojętnością.

- Aleksander wie o tym?

- Sądzę, że tak, mimo że na początku powierzył to zadanie Kallistenesowi.

- A królowa matka?

- Nic jej o tym nie mówiłem, ale Olimpias jest dobrze poinformowana. Niewykluczone zatem, że wie o moim dochodzeniu.

- Nie boisz się?

- Myślę, że regent Antypater dba o to, żeby nie spotkało mnie nic złego. Widzisz tego woźnicę? - rzekł wskazując człowieka, który przywiózł go do Miezy, a teraz doglądał mułów przed stajnią. - W sakwie ma miecz macedoński, jaki nosi zwykle straż pałacowa.

Lizyp spojrział w kierunku mężczyzny, który wyglądał jak góra mięśni poruszająca się ze zwinnością kota. Z daleka było widać, że to zwiadowca ze straży królewskiej.

- Na bogów! Mógłby pozować do posagu Heraklesa!

Usiedli przy stole.

- Nie ma tu łoży biesiadnych - zauważył rzeźbiarz. - Jadamy, siedząc, jak za dawnych czasów.

- Tym lepiej - podchwycił filozof. - Odzwyczailem się już jadać w pozycji półleżącej. Masz jakieś wieści od Aleksandra?

- Kallistenes zapewne o wszystkim cię informuje?

- Jak najbardziej, ale pragnę poznać twoją opinię. Jak się miewa?

- Czyni wszystko, żeby zrealizować swoje marzenia, i dopóki nie osiągnie celu, nic go nie powstrzyma.

- Jaki to cel według ciebie?

Lizyp zamilkł i sprawiał wrażenie, jakby przyglądał się słudze, który podsyczał ogień w palenisku. Po chwili, nie odwracając spojrzenia, powiedział:

- Zmienić świat.

Arystoteles westchnął.

- Myślę, że masz rację. Pozostaje pytanie, czy zmieni go na lepszy, czy na gorszy.

Tymczasem do jadalni wszedł zagraniczny gość, Euhemeros z Kallipolis, i przywitał się z biesiadnikami, w chwili gdy podawano wieczerzę: rosół z kury z jarzynami, chleb, sery, jaja na twardo z oliwą i solą oraz wino z Tazos.

- Jakie wieści nam przynosisz od Aleksandra, króla Epiru? - spytał Lizyp.

- Ważne wieści - odparł gość. - Władca stoi na czele swojego i naszego wojska, odnosząc jedno zwycięstwo za drugim. Pokonał Messapiów i Tarent, i obecnie należy do niego cała Apulia, region wielkości jego królestwa.

- Gdzie jest teraz? - spytał Arystoteles.

- Prawdopodobnie w swych kwaterach zimowych, oczekując wiosny i przygotowując się do walki z Samnitami, barbarzyńcami z północy, stacjonującymi w górach. Sprzymierzył się z innymi barbarzyńcami, zwanymi Rzymianami, którzy zaatakują z północy, podczas gdy on wyruszy na południe.

- Jak go traktują w Tarencie?

- Nie znam się na polityce, ale z tego, co widziałem, wynika, że raczej dobrze... przynajmniej na razie.

- Co masz na myśli?

- Moi ziomkowie są dziwnymi ludźmi. Ich głównymi pasjami są handel i używanie życia, dlatego też niezbyt lubią walczyć. Kiedy mają kłopoty, zwykle wzywają kogoś, by im pomógł. Tak właśnie postąpili z królem Aleksandrem z Epiru. Jestem jednak przekonany, że wiele osób sądzi teraz, że król Epiru za bardzo im pomaga.

Arystoteles uśmiechnął się sarkastycznie.

- Myślę, że opuścił swe ziemie i młodą małżonkę, narażał się na

niebezpieczeństwa, niewygody, nieprzespane noce, wyczerpujące marsze i krwawe walki tylko po to, żeby umożliwić mieszkańcom Tarentu prowadzenie handlu i wesołego życia?

Euhemeros z Kallipolis wzruszył ramionami.

- Wiele osób sądzi, że wszystko im się należy, ale prędzej czy później nadchodzi chwila, w której muszą stawić czoło rzeczywistości. Pozwólcie jednak, że przedstawię wam powód mojej wizyty. Miałem zamiar spotkać się z Lizypem, ale błogosławię boginię Fortunę, że dała mi okazję poznać wielkiego Arystotelesa, najwspanialszy umysł Grecji i całego świata.

Górnolotny komplement nie wywarł większego wrażenia na Arystotelesie. Filozof pozwolił, by gość mówił dalej.

Euhemeros kontynuował:

- Kilku zamożnych mieszkańców Tarentu postanowiło zebrać pieniądze na posąg, który rozślawiłby miasto na całym świecie.

Lizyp, który skończył już jeść, przepłukał usta czerwonym winem i usiadł wygodnie na krześle.

- Mów dalej - rzekł.

- Chcieliby wznieść olbrzymi posąg Zeusa, ale nie w świątyni czy sanktuarium, lecz w świetle dziennym, pod gołym niebem, pośrodku agory.

Słyszając te słowa, młody Chares otworzył szeroko oczy, ponieważ niejednokrotnie przedstawiał swojemu mistrzowi podobne pomysły.

Lizyp uśmiechnął się, odgadując myśli pomocnika, po czym spytał:

- Jak duży ma być ten posąg?

Po krótkim milczeniu Euhemeros wyrzucił jednym tchem:

- Powiedzmy, że czterdzieści łokci.

Chares podskoczył z wrażenia, a Lizyp ścisnął boczne oparcia krzesła i wyprostował się.

- Czterdzieści łokci? Bogowie w niebiosach! Czy zdajesz sobie sprawę, że mówisz o posągu wysokości ateńskiego Partenonu?

- No, właśnie. My, Grecy z kolonii, działamy z rozmachem.

Rzeźbiarz zwrócił się do swego asystenta:

- Co o tym sądzisz, Charesie? Czterdzieści łokci to piękna wysokość, prawda? Niestety, nikt na świecie nie byłby w stanie wznieść takiego olbrzyma.

- Zapłata będzie bardzo hojna - nalegał Euhemeros.

- Nie chodzi o zapłatę - odparł Lizyp. - Dzisiejsza technika nie pozwala utrzymać płynnego brązu na tak długim odcinku. Nie można też nadmiernie zwiększać temperatury na zewnątrz odlewu, gdyż grozi to wybuchem ogniotrwałej pokrywy. Nie oznacza to, że jest to w ogóle niewykonalne, i może mógłbyś zwrócić się do innych artystów... na przykład do Charesa - zaproponował, wicherząc rzadkie włosy nieśmiałego ucznia. - Mówi, że któregoś dnia wykona rzeźbę większą niż świat.

Euhemeros pokręcił głową.

- Jeśli wielki Lizyp nie czuje się na siłach wykonać posągu, to któż inny ośmieliłby się to uczynić?

Lizyp uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu asystenta.

- Może jednak Chares?

Arystotelesa uderzyło spojrzenie młodzieńca, zdradzające wielką

wyobraźnię.

- Skąd pochodzisz, chłopcze?

Z Lindos, na wyspie Rodos.

- Jesteś z Rodos... - powtórzył filozof, jakby ta nazwa przypomniała mu o czymś, i wrócił do tematu: - W twoich stronach posągi nazywa się kolosami, prawda?

W tej samej chwili służący zaczął sprzątać ze stołu i podał jeszcze trochę wina. Lizyp napił się, po czym ciągnął dalej:

- Podoba mi się twój pomysł, Euhemerosie, mimo że wydaje się niemożliwy do wykonania. W każdym razie przez kilka najbliższych lat będę bardzo zajęty i nie będę miał czasu zajmować się posągiem. Powiedz jednak mieszkańcom Tarentu, że Lizyp zaczął zastanawiać się nad postacią Zeusa i któregoś dnia, być może, wykona tę rzeźbę... za rok, za dziesięć lub za dwadzieścia lat, kto wie?

Euhemeros wstał.

- Żegnaj zatem. Jeśli zmienisz zamiar, wiedz, że zawsze będziemy gotowi cię u nas gościć.

- Żegnaj, Euhemerosie. Muszę wracać do pracowni, gdzie czeka na mnie oddział kamiennych żołnierzy Aleksandra, którzy pragną, bym odlał ich w brązie.

39

Wszedłszy do mieszkania, Arystoteles zapalił lampy i otworzył skrzynkę na listy. Znajdował się w niej zwój papirusu od Kallistenesa, zapieczętowany i przewiązany skórzanym rzemykiem. Treść pisma podana była specjalnym tajnym kodem, który potrafili odczytywać tylko on, Kallistenes i Teofrast. Filozof przyłożył do niego szablon, pozwalający wyłowić właściwe słowa z pozornie przypadkowej sekwencji znaków, i zaczął odczytywać wiadomość. Kiedy skończył, zbliżył kartkę do płomienia lampy i patrzył, jak zwija się w błękitnych języczkach ognia, żeby na koniec rozpaść się na kawałeczki, razem z tajemnicą, którą zawierała. Arystoteles udał się następnie do stajni i zbudził woźnicę, który go woził do Miezy. Wręczył mu zalakowaną paczuszkę i list, prosząc, by ich strzegł, po czym powiedział:

- Weź najszybszego konia i jedź natychmiast do Methone. Dowódca statku, na którym przypląnałem z Pireusu, powinien jeszcze tam być. Powiedz mu, żeby przekazał paczuszkę osobie, której adres znajduje się na liście.

- Obawiam się, że nie wypłynie, bo psuje się pogoda.

Arystoteles wyciągnął spod płaszcza sakiewkę z pieniędzmi.

- To go powinno przekonać. A teraz ruszaj w drogę, prędko!

Mężczyzna wyprowadził ze stajni konia, wyjął z torby miecz i włożył na jego miejsce paczuszkę od filozofa, przytwierdził torbę do pasa i ruszył galopem w drogę.

Tymczasem Lizyp, pomimo późnej pory, jeszcze pracował. Usłyszawszy hałas, podszedł do okna, ale zobaczył tylko, jak Arystoteles przechodzi w pośpiechu przez portyk wewnętrznego dziedzińca. Nazajutrz, kiedy golił się przed lustrem, ponownie zobaczył filozofa, ubranego w podróżny strój,

z torbą przewieszoną przez ramię. Szedł w stronę stajni, a po chwili kazał zaprzęgać muły. Lizyp wytarł twarz, żeby zejść na dół i pożegnać się z Arystotelesem, ale w tym samym momencie usłyszał pukanie do drzwi. Za drzwiami stał służący z wiadomością od Arystotelesa, następującej treści:

Arystoteles do Lizypa, bądź pozdrowiony!

Muszę natychmiast wyjechać w bardzo ważnej sprawie. Mam nadzieję, że niebawem się zobaczymy. Życzę ci pomyślności w pracy. Dbaj o siebie.

Arystoteles odjechał drogą prowadzącą na północ. Ranek był zimny i pochmurny, co oznaczało, że w każdej chwili mógł spaść śnieg. Rzeźbiarz zamknął okno i skończył się golić, po czym udał się na śniadanie.

Filozof podróżował cały dzień, zatrzymując się w połowie drogi na posiłek w gospodzie w Kition. O zmroku dotarł do Ajgaj, kierując się do grobowca króla Filipa, gdzie po obu stronach ołtarza paliły się lampy. Włał do nich fiolkę szlachetnych wschodnich wonności i pogрузzył się w medytacji przed kamiennym portalem, zwieńczonym architravem, który zdobiła przepiękna scena polowania. Miał wrażenie, że widzi władcę, kiedy zsiada z konia na dziedzińcu w Miezie, przeklinając swoją chromą nogę i wołając: „Gdzie jest Aleksander?!”

Arystoteles powtórzył półgłosem:

- Gdzie jest Aleksander? - Następnie odwrócił się i odszedł.

Zatrzymał się w niewielkim domu na peryferiach miasta, będącym jego własnością. Przebywał w nim przez cały następny dzień, spędzając czas na czytaniu i porządkowaniu notatek. Pogoda się pogarszała, a ciemne chmury gromadziły się nad ośnieżonymi szczytami łańcucha Bermion. Zaczekał, aż się ściemni, włożył płaszcz, nakrył głowę kapturem i skierował się ku opustoszałym ulicom.

Minął teatr, przed którym król Filip, u szczytu sławy, upadł na ziemię zmieszaną z własną krwią. Następnie Arystoteles poszedł ścieżką prowadzącą w pola. Szukał samotnego grobu. Po pewnym czasie dotarł do polany, pośrodku której wznosiła się grupa stuletnich dębów. Filozof zniknął między pomarszczonymi pniami, rozplywając się wśród wieczornych cieni. Opodał wznosił się niewielki tumulus, zwieńczony kamieniem w formie emblematu. Arystoteles zatrzymał się w zamyśleniu, jakby na kogoś czekając. Co pewien czas unosił wzrok na ołowiane niebo, otulając się płaszczem, by osłonić się przed zimnym wiatrem, który wraz z zapadnięciem zmroku zaczynał wiać od gór.

W pewnej chwili usłyszał cichy szelest kroków na ścieżce, dobiegający z lewej strony. Odwrócił się więc w tamtym kierunku i ujrzał drobną kobiecą postać, która szybko przeszła obok niego, po czym zatrzymała się przed kopcem. Widział, jak ukłękła, położyła coś na grobie, a następnie oparła dłonie i głowę o kamień, zakrywając go swym płaszczem, jakby pragnęła go ogrzać. W ciemnościach zaczęły się pojawiać białe kryształki śniegu.

Arystoteles próbował jeszcze szczelniej owinąć się płaszczem, gdy nagle zakasłał pod wpływem lodowatego wiatru. Kobieta szybko wstała i odwróciła się w stronę dębów.

- Kto tu jest? - spytała drżącym głosem.

- Ktoś, kto poszukuje prawdy.

- Pokaż się więc - odparła kobieta.

Arystoteles wyszedł z kryjówki i podszedł do kobiety.

- Jestem Arystoteles ze Stagejry.

- Wielki mędrzec - dodała kobieta. - Co cię przywiodło w to smutne miejsce?

- Już ci mówiłem: szukam prawdy.

- Jakiej prawdy?

- Prawdy o śmierci króla Filipa.

Kobieta, młoda dziewczyna o dużych ciemnych oczach spuściła głowę i przygarbiła się, jakby przygnieciona olbrzymim ciężarem.

- Nie sądzę, żebym mogła ci pomóc - rzekła.

- Dlaczego przychodzisz o zmroku i składasz hołd temu tumulusowi? Tutaj spoczywa Pauzaniasz, zabójca króla Filipa.

- Ponieważ był moim mężczyzną i kochałam go. Podarował mi już ślubne dary, mieliśmy się pobrać.

- Słyszałem o tym, dlatego też przybyłem w te strony. Czy prawdą jest, że był kochankiem Filipa?

Kobieta pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Mówią, że kiedy Filip poślubił swoją ostatnią żonę, młodą Eurydykę, Pauzaniasz urządził mu scenę zazdrości, co doprowadziło do szału ojca panny młodej, szlachetnego Attalosa. - Arystoteles obserwował wyraz twarzy dziewczyny, a kiedy wspominał tę haniebną historię, zdawało mu się, że dostrzegł łzy płynące po jej pobladłych policzkach. - Wieść niesie też, że Attalos zaprosił Pauzaniusza do swej myśliwskiej rezydencji, wydając go następnie na pastwę swym łowczym, którzy gwałcili go przez całą noc.

Dziewczyna nie mogła powstrzymać się od płaczu, ale jej łzy nie wzbudziły współczucia filozofa. Mówił dalej:

- Pauzaniasz poprosił więc Filipa, by pomścił tę zniewagę, a ponieważ król nie zgodził się, Pauzaniasz go zabił. Czy tak właśnie było?

Dziewczyna starała się wytrzeć łzy skrajem płaszcza.

- Czy to prawda?

- Niezupełnie tak było - odparła.

- Moi informatorzy potwierdzili, że epizod w domu myśliwskim Attalosa zdarzył się naprawdę. Nie wiem tylko, z jakiej przyczyny. Czy chodziło wyłącznie o podejrzaną historię miłości między mężczyznami?

Kobieta odwróciła się, by odejść, jakby chciała uciąć rozmowę. Chusta, którą miała na głowie, zaczynała pokrywać się białymi płatkami śniegu, a na ziemi leżała już cienka warstwa białego puchu. Arystoteles wziął dziewczynę za ramię.

- Co mi odpowiesz? - nalegał, wpatrując się w nią małymi szarymi oczami, podobnymi do oczu drapieżnego ptaka.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Chodź ze mną - powiedział filozof łagodniejszym tonem. - Mieszkam niedaleko stąd, a ogień w palenisku chyba jeszcze nie wygasł.

Kobieta nie sprzeciwiła się, więc Arystoteles zaprowadził ją do domu,

poprosił, by usiadła przy kominku, po czym podsycił ogień.

- Mogę poczęstować cię jedynie ciepłym naparem z ziół. Nie mam nic innego, bo jestem tu tylko przejazdem.

Zdjawszy z ognia dzbanek, wlał jego zawartość do dwóch glinianych filiżanek.

- Co możesz dodać do tego, o czym mówiłem?

- Pauzaniasz nigdy nie był kochankiem króla i nigdy nie miał romansów z mężczyznami. Był prostym chłopcem z biednej rodziny i podobały mu się kobiety. Co do króla Filipa, to wiele plotkowano o jego historiach z mężczyznami, ale nikt niczego nie widział.

- Widzę, że jesteś dobrze poinformowana.

- Zajmuję się wypiekiem chleba w pałacu.

- Z tego, co mówisz, nie wynika, że taki epizod się nie wydarzył.

- Wątpię, żeby coś takiego mogło się zdarzyć.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Pauzaniasz mówił mi, iż przypadkiem zaskoczył Attalosa w trakcie poufnej rozmowy.

- Może podsłuchiwał?

- Nie można tego wykluczyć.

- Powiedział ci, o co chodziło?

- Nie. Według mnie to, co go później spotkało, miało zastraszyć, zniszczyć Pauzaniusza, ale pozostawić go jednak przy życiu. Zabójstwo żołnierza ze straży osobistej króla mogłoby wzbudzić podejrzenia.

- Przyjmijmy więc następującą hipotezę: Pauzaniasz podsłuchiwał Attalosa, kiedy ten prowadził jakąś podejrzaną rozmowę; krótko mówiąc, odkrył spisek i zagroził, że wszystko wyjawia. Attalos zaprosił go więc w odludne miejsce, udając, że gotowy jest pertraktować, a później, chcąc dać Pauzaniaszowi nauczkę, wydał go na pastwę łowczych. Ale dlaczego Pauzaniasz miałby potem zabić Filipa? To nie ma sensu.

- A czy może mieć sens pogłoska, że Pauzaniasz zamordował króla, ponieważ nie zgodził się on pomścić zniewagi, jaka spotkała żołnierza? Pauzaniasz należał do straży osobistej króla, był mocny i świetnie władał bronią, więc sam mógł się zemścić.

- To prawda - przyznał Arystoteles, myśląc o wspaniałej budowie ciała swego woźnicy. - Jakie jest zatem twoje zdanie? Jeśli Pauzaniasz był lojalny, jak twierdzisz, to dlaczego miałby zabić swego króla?

- Nie wiem, ale czy nie sądzisz, że jeśli naprawdę pragnął to zrobić, to miał ku temu o wiele lepsze okazje? Mógłby, na przykład, zamordować króla w łóżku podczas snu.

- Też tak myślę. Sądzę, że nie zdołamy odpowiedzieć na to pytanie. Może znasz kogoś, kto mógłby nam pomóc? Mówią, że miał współników, a w każdym razie kogoś, kto go krył. W pobliżu lasu, w którym się spotkaliśmy, podobno czekali na niego jacyś ludzie na koniach.

- Zdaje się, że jednego z nich rozpoznano - oznajmiła dziewczyna, patrząc Arystotelesowi prosto w oczy.

- Gdzie go można znaleźć?

- W gospodzie w Beroi, nad rzeką Haliakmon. Przedstawia się jako Nikandros, ale jest to z pewnością fałszywe imię.

- A jak się on właściwie nazywa? - spytał Arystoteles.

- Nie wiem. Gdybym to wiedziała, może udałoby mi się poznać prawdę i znaleźć przyczynę cierpienia Puzaniasza.

Arystoteles ponownie zdjął z ognia imbryk, chcąc nalać jeszcze trochę naparu do filiżanki dziewczyny, ale ona zatrzymała go ruchem ręki i wstała.

- Muszę już iść, bo będą mnie szukać.

- Nie wiem, jak ci dziękować za wszystko, co... - zaczął Arystoteles, ale dziewczyna przerwała mu w pół słowa.

- Znajdź prawdziwego winowajcę - rzekła - i powiadom mnie o tym.

Otworzyła drzwi i szybkim krokiem oddaliła się pustą ulicą. Arystoteles zawołał:

- Zaczekaj, nawet nie wiem, jak się nazywasz!

Ale dziewczyna już zniknęła w śnieżnej zamieci, pośród cichych zaułków śpiącego miasta.

40

Regent Antypater przyjął go w starej sali tronowej, otulony w płaszcz z surowej wełny i ubrany w filcowe spodnie. Pośrodku sali palił się ogień, ale przez otwór w suficie wraz z dymem uchodziła też większość ciepła.

- Jak się miewasz, generale? - spytał Arystoteles.

- Dobrze, odkąd wyjechałem z Pelli. Sam widok królowej przyprowadził mnie o ból głowy. A ty jak się masz, mistrzu?

- Raczej dobrze, ale zaczynam już odczuwać swoje lata. Poza tym źle znoszę zimno.

- Co cię sprowadza w te strony?

- Przed powrotem do Aten chciałem złożyć ofiarę nad grobem króla.

- Rzecz godna pochwały, ale zarazem bardzo niebezpieczna. Jak mam cię chronić, skoro starasz się zgubić straż, którą za tobą wysłałem? Uważaj, Arystotelesie, królowa jest naprawdę groźna.

- Zawsze żyłem w zgodzie z Olimpias.

- To nie wystarczy - zauważył Antypater, wstając i podchodząc do ognia, by ogrzać dłonie. - Zapewniam cię, że to nie wystarczy. - Sięgnął po srebrny dzban stojący przy palenisku i dwa kielichy z attyckiej ceramiki.

- Trochę grzanego wina?

Arystoteles przytaknął.

- Masz wieści o Aleksandrze?

- Zgodnie z ostatnimi doniesieniami od Parmeniona przemierza Licję.

- Wszystko więc idzie dobrze.

- Niestety, nie wszystko.

- Ma jakieś trudności?

- Aleksander czeka na posiłki, a młodzi żołnierze, którzy wracają z urlopu wraz z nowymi rekrutami, są już przy cieśninach, ale nie mogą się przedostać, gdyż blokuje ich flota Memnona. Według moich obliczeń Aleksander powinien znajdować się teraz we Frygii Większej, w pobliżu Sagalassos lub Kelajnaj, i z pewnością martwi się, że nikt nie przybywa.

- Nic nie da się zrobić?

- Memnon ma całkowitą przewagę na morzu. Gdybym nawet wysłał

własną flotę, zatopiłby ją, zanim jeszcze nabrałaby wiatru w żagle. Mamy poważne kłopoty, Arystotelesie. Jedyne nadzieje w tym, że Memnon będzie próbował zejść na ląd na terenach macedońskich, a wówczas mógłbym go zablokować. Jest on jednak bardzo sprytny i raczej nie popełnia błędów.

- Co masz więc zamiar uczynić?

- Na razie nic. Zaczekam, aż wykona jakiś ruch, bo przecież nie będzie stale kołysał się na kotwicy. A ty, mistrzu? Czy prawdziwym celem twojej podróży była ofiara na ołtarzu króla Filipa? Jeśli nie zdradzisz mi tego, co zamierzasz, trudno mi będzie cię chronić.

- Musiałem zobaczyć się z pewną osobą.

- Czy to ma związek ze śmiercią króla?

- Tak.

Antypater pokiwał głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Na długo przyjechałeś?

- Jutro wyjeżdżam. Wracam do Aten, o ile znajdę jakiś statek, który wypływa z Methone. W przeciwnym razie pojedę drogą lądową.

- A jak wygląda sytuacja w Atenach?

- Dobrze, póki Aleksander zwycięża.

- No, właśnie - westchnął Antypater.

- Właśnie - powtórzył Arystoteles.

Aleksander zakwaterował się w Kelajnaj, siedzibie satrapy Frygii Większej, położonej niedaleko źródeł Meandra. Nie napotkał żadnych trudności, gdyż perscy żołnierze schronili się w twierdzy w najwyższym punkcie miasta, na skalnym urwisku, które schodziło pionowo do małego jeziora o przezroczystych wodach, utworzonego z dopływu Meandra - Marsyas. Żołnierzy musiało być niewielu, bo w przeciwnym razie staraliby się walczyć na murach obronnych, mimo że w niektórych miejscach były one w opłakanym stanie.

Dokonawszy rozpoznania wokół twierdzy, Lizymach wpadł w zły humor.

- Jest nie do zdobycia - oznajmił. - Można się tam dostać jedynie przez niewielką bramę w połowie nabrzeża, od strony wschodniej, ale prowadzące do niej schodki są wąskie i pozwalają przechodzić tylko pojedynczo. Przejścia strzegą dwa bliźniacze bastiony. Będziemy musieli oblegać twierdzę z nadzieją, że zgromadzone przez nich zapasy żywności niedługo się skończą. Co do wody, to jej w tej okolicy nie brakuje i z pewnością mają jakąś studnię połączoną z jeziorem.

- Może spytalibyśmy ich, jakie mają zamiary? - zaproponował Leonnatos.

- Nie czas na żarty - odparł Lizymach. - Nie wiemy, gdzie jest teraz Parmenion ani w jakim stanie jest jego kontyngent. Jeśli stracimy zbyt wiele czasu na oblężenie, możemy się nigdy nie spotkać.

Aleksander spojrzął na perskich żołnierzy na stokach twierdzy i zauważył, że nie mieli wojowniczego wyglądu i wydawali się bardziej zaciekawieni niż zaniepokojeni sytuacją. Stali na tarasie twierdzy, opierając się łokciami o mur, i spoglądali w dół.

- Pomysł Leonnatososa nie jest chyba taki zły - skomentował, po czym zwrócił się do Eumenesa: - Przygotuj poselstwo z tłumaczem i podejdź jak najbliżej bramy. Persowie nie znają naszych zamiarów, ale z pewnością wiedzą, że nic nie jest w stanie nas powstrzymać. Nie wiadomo, czy rzeczywiście chcą podjąć walkę.

- To prawda - przyznał Leonnatos, dumny z faktu, że król wziął pod uwagę jego propozycję. - Gdyby chcieli nas zatrzymać, mogliby zaatakować już sto razy, odkąd wyruszyliśmy z Termessos.

- Nie warto gubić się w domysłach - uciał Aleksander. - Zaczekamy na powrót Eumenesa i wszystkiego się dowiemy.

- Ja tymczasem zwiedziłbym miasto, gdyby ktoś zechciał mi towarzyszyć - wtrącił Kallistenes. - Słyszałem, że po drugiej stronie jeziora znajduje się grotta, gdzie sylen Marsjasz został obdarty ze skóry przez Apollona za to, że wyzwał boga na muzyczny pojedynek, w którym, ma się rozumieć, przegrał.

Lizymach wyznaczył dziesięciu koniuszych do ochrony Kallistenesa na czas przejazdu po Kelajnaj, było bowiem konieczne, żeby historyk wyprawy zobaczył miejsca, które miał opisać.

Tymczasem Eumenes zebrał poselstwo. W towarzystwie herolda i tłumacza podszedł do bramy, prosząc o rozmowę z dowódcą garnizonu. Po krótkiej chwili drzwi się otworzyły, skrzypiąc, i ukazał się w nich dowódca z kilkoma uzbrojonymi ludźmi. Eumenes od razu zauważył, że nie był to Pers, tylko Frygijczyk, wyglądający na tutejszego. Oznaczało to, że perski satrapa wyjechał jakiś czas temu.

Eumenes przywitał się z dowódcą, po czym powiedział za pośrednictwem tłumacza:

- Król Aleksander przysłał nas, byśmy ci powiedzieli, że jeśli się poddasz, nic złego nie spotka ani ciebie, ani twoich ludzi, przede wszystkim zaś oszczędzimy miasto. Jeśli natomiast będziesz się opierał, rozpoczniemy oblężenie twierdzy i nikt żywy z niej nie wyjdzie. Jaką odpowiedź mam przekazać?

Wyglądało na to, że dowódca twierdzy dawno już podjął decyzję, ponieważ odpowiedział bez wahania:

- Możesz przekazać swojemu królowi, że na razie nie mamy zamiaru się poddawać. Zaczekamy dwa dni, a jeśli nasz namiestnik nie przyśle posiłków, poddamy się.

Niezwykła szczerłość dowódcy zaskoczyła Eumenesa. Sekretarz pożegnał się i udał w drogę powrotną.

- To absurd! - wykrzyknął Lizymach. - Gdyby opowiedział mi to ktoś inny, nie uwierzyłbym.

- Dlaczego? - zdziwił się Eumenes. - Według mnie to bardzo rozsądna decyzja. Ten człowiek wszystko dokładnie przemyślał: gdyby perski namiestnik przystąpił do kontraktu i pokonał nas, wtedy on musiałby się tłumaczyć z faktu, że poddał się bez walki i pewnie skończyłby na palu. Jeśli natomiast w ciągu dwóch dni namiestnik się nie odezwie, będzie to oznaczać, że już nie przyjedzie i najlepiej będzie poddać się, by uniknąć kłopotów.

- Tym lepiej dla nas - oznajmił Aleksander. - Przez ten czas nasi

dowódcy zakwaterują się w mieście, a oficerowie niższej rangi pozostaną z oddziałami w obozie. Każcie rozstawić batalion pezetajrów wokół cytadeli, a wartowników u stóp urwiska. Nikt nie może dostać się do twierdzy ani z niej wyjść. Na drogach prowadzących do miasta mają być ustawione szwadrony lekkiej jazdy trackiej i tessalskiej, żeby nie spotkały nas żadne niespodzianki. Przekonamy się, czy mówili prawdę, prosząc o dwa dni zwłoki, czy też chcieli sobie z nas zakpić. Oczekuję was na wieczery w pałacu namiestnika, gdzie się zatrzymałem. Jest to piękna i okazała rezydencja, mam więc nadzieję, że spędzimy miły wieczór.

O wyznaczonej porze w pałacu zjawił się też Kallistenes, który właśnie zakończył zwiedzanie miasta. Służący przyniósł mu miskę z wodą, żeby mógł się umyć, po czym wskazał Kallistenesowi jedną z sof tryklinium, ustawionego wokół sofy Aleksandra. Tego wieczoru król zaprosił także swego ulubionego aktora Thessalosa, wróżbitę Arystandrosa oraz osobistego lekarza, Filipa.

- Opowiedz nam swoje wrażenia - powiedział król, zwracając się do Kallistenesa, podczas gdy kucharze zaczęli podawać wieczerzę.

- Prawdą jest to, o czym wam wspominałem - odparł Kallistenes. - W grocie u źródeł Marsyas można zobaczyć skórę, o której mówią, że należała do sylena pokonanego przez Apollona. Na pewno znacie tę opowieść, w której sylen Marsjasz wyzwał Apollona na muzyczny pojedynek. On miał grać na aulosie, natomiast Apollon na lirze. Bóg przyjął wyzwanie pod warunkiem, że jeśli Marsjasz przegra, zostanie obdarty ze skóry. Tak też się stało, również dlatego, że pojedynekowi sędziowało dziewięć muz, które nie śmiały sprzeciwić się Apollonowi.

Ptolemeusz uśmiechnął się.

- Trudno uwierzyć, że w grocie znajduje się skóra sylena.

- Zdaje się jednak, że tak jest naprawdę - odparł Kallistenes. - Wierzchnia część podobna jest do zabalsamowanej skóry ludzkiej, natomiast część spodnia przypomina skórę kozła.

- Nietrudno coś takiego zrobić - zauważył lekarz Filip. - Zdolny chirurg może wyciąć i zszyć, co zechce. Niektórzy balsamiści potrafią stworzyć najdziwniejsze stworzenia. Arystoteles opowiadał mi, że widział kiedyś centaury, którego zabalsamowano w jednej ze świątyń na górze Pelion, w Tessalii, ale zapewnił mnie, że był to tułów człowieka z ręcznie połączony z ciałem zrebienia.

Na te słowa król zwrócił się do Arystandrosa:

- Co ty na to? Kallistenes widział skórę sylena czy też zręczną sztuczkę kapłanów, którzy pragną przyciągnąć pielgrzymów i zebrać hojne ofiary dla świątyni?

Biesiadnicy roześmieli się, ale kiedy wróżbita zmierzył wszystkich przenikliwym wzrokiem, śmiech zamarł na ustach nawet najbardziej pewnych siebie osób.

- Łatwo jest śmiać się z tych sztuczek - powiedział - ale zastanawiam się, czy rozbawiłoby was ich głębsze znaczenie. Czy ktoś spośród was, mężczyźni wojownicy, rozmyślał kiedyś o obszarach, które wykraczają poza naszą percepcję? Czy ktoś miałby odwagę wyruszyć ze mną w podróż do cieniejszej krainy nocy? Potraficie zmierzyć się ze śmiercią na polu walki, ale

czy umielibyście walczyć z nieznanym? Z nieuchwytnymi, niematerialnymi potworami, które ludzka natura ukrywa nawet przed naszą świadomością?

Czy pragnęliście kiedyś zamordować własnego ojca albo spać z własną matką lub siostrą? Co widzicie w swoim wnętrzu, kiedy jesteście odurzeni winem lub kiedy dokonujecie gwałtu na niewinnej dziewczynie, rozkoszując się w dwójnasób jej cierpieniem? Natura satyra czy centaury jest właśnie taką atawistyczną bestią z pazurami i ogonem, która żyje w nas i potrafi zmienić nas nagle w zwierzęta! ŚmieJCie się z niej, jeśli potraficie!

- Żaden z nas nie miał zamiaru wyśmiewać się z religii i bogów, Arystandrosie - uspokajał król - ale raczej z małostkowości niektórych oszustów wykorzystujących ludzką naiwność. A teraz wypijmy, weselmy się! Czeką nas jeszcze wiele trudów, zanim odgadniemy nasze przeznaczenie.

Powrócono do uczty i wkrótce rozmowa ponownie się ożywiła, ale od tego dnia wszyscy pamiętali spojrzenie i słowa Arystandrosa. Władca rozmyślał o swoim pierwszym spotkaniu z wróżbitą, kiedy ten opowiadał o swym nocnym koszmarze - człowieku, który płonął żywcem na stosie pogrzebowym. W biesiadnym zamieszaniu Aleksander starał się odszukać spojrzenie Arystandrosa, by wyczytać w nim prawdziwy powód, dla którego wróżbita podążał z nim do centrum Azji, lecz dostrzegł jedynie mętny, nieobecny wzrok. Arystandros był gdzie indziej.

41

Zgodnie z ustaleniami po dwóch dniach dowódca garnizonu w Kelajnaj poddał się, a znaczna część skarbu namiestnika znalazła się w skrzyniach Macedończyków. Aleksander pozostawił dowódcę na stanowisku, dodając mu kilku własnych oficerów i niewielki oddział żołnierzy, którzy mieli strzec fortecy. Następnie ponownie ruszył na północ. Po pięciu dniach marszu przez ośnieżony płaskowyż dotarł do Gordion, gdzie oczekiwał go Parmenion. Generał rozstawił wcześniej strażę na wzgórzach wokół starego frygijskiego miasta, dlatego też powiadomiono go o przybyciu Aleksandra, kiedy tylko czerwona chorągiew ze złotą gwiazdą Argeadów pojawiła się na osłepiająco białej równinie.

Parmenion, wraz ze strażą honorową pod dowództwem Filotasa, wyjechał na powitanie Aleksandra. Kiedy był już w niewielkiej odległości od króla, kazał stanąć żołnierzom w szyku, a sam poszedł naprzód pieszo, trzymając konia za uzdę. Aleksander także zsiadł z konia i wyszedł generałowi na spotkanie, podczas gdy wojsko wznosiło gromkie okrzyki na znak radości z powodu szczęśliwego spotkania.

Parmenion objął króla i ucałował go w obydwie policzki.

- Panie, nawet nie wiesz, jak się cieszę na twój widok. Bardzo się martwiłem, gdyż nie potrafię zrozumieć perskich posunięć.

- Ja również bardzo się cieszę, że cię widzę, generale. Jak się miewa twój syn Filotas i twoi ludzie?

- Wszyscy mają się dobrze. Przygotowaliśmy przyjęcie na twoją cześć. Napijemy się wina i zabawimy się.

Rozmawiając, szli obok siebie, a Bucefał co jakiś czas popychał pyskiem

Aleksandra, by zwrócić na siebie uwagę. Za nimi postępowało całe wojsko, a dzięki temu, że równina była niezwykle rozległa, jazda posuwała się naprzód szerokim frontem, ustawivszy się w trzy rzędy. Widok był naprawdę imponujący, kiedy tak dwaj ludzie szli sobie spokojnie pośród bezkresnego płaskowyzu, a za nimi posuwała się w szyku ogromna armia, której towarzyszył łoskot tysięcy końskich kopyt.

- Dotarły już posiłki? - spytał król.
- Niestety, nie.
- Wiesz przynajmniej, czy nadchodzą?
- Jeszcze nie.

Aleksander szedł przez chwilę w milczeniu, ponieważ ciężko mu było zadać kolejne pytanie. Parmenion milczał, żeby go nie peszyć.

- Gdzie on teraz jest? - spytał nagle Aleksander, jakby chciał poinformować się w sprawie małej wagi.

- Sizyn przekazał mi ustnie twoje rozkazy, a ja wykonałem je, aresztując Amyntasa i powierzając Filotasowi tymczasowe dowództwo nad jazdą tessalską.

- Jak to przyjął?

- Źle, ale to było do przewidzenia.

- Nie mogę w to uwierzyć. Był mi zawsze wierny i wielokrotnie widziałem, jak narażał życie.

Parmenion pokręcił głową.

- Władza psuje wielu ludzi - zauważył, myśląc w duchu, że dotyczy to wszystkich. - Nie mamy jednak żadnych dowodów, że przyjął propozycje Persów.

- Co się stało z perskim posłańcem?

- Jest moim więźniem. Mogę pokazać ci list, który miał przy sobie.

- Po grecku czy po persku?

- Po grecku, ale to nic nadzwyczajnego. Na dworze Króla Królów przebywa wielu Greków, zwłaszcza Ateńczyków, łatwo więc napisać taki list.

- A obiecane pieniądze?

- Żadnych śladów. Przynajmniej na razie.

Zbliżali się do obozu Parmeniona. Składał się on w większości z namiotów, ale były tam też niewielkie konstrukcje drewniane, co oznaczało, że wojsko znajdowało się tu od dłuższego czasu. W pewnej chwili odezwały się trąby i wszyscy stanęli w szyku bojowym, by oddać cześć powracającemu królowi. Wsiadłszy na konie, Aleksander i Parmenion dokonali przeglądu oddziałów. Żołnierze głośno uderzali mieczami o tarcze, wznosząc jednostajny okrzyk: *Aleksander! Aleksander! Aleksander!*

Wzruszony władca pozdrowił ich ruchem ręki i spojrzeniem.

- Władamy niemal połową Anatolii - powiedział Parmenion. - Żaden Grek nigdy nie zdobył tak dużego terytorium, nawet Agamemnon. Bierność Persów wydaje mi się jednak podejrzana. Nad Granikiem namiestnicy Frygii i Bitynii podjęli z nami walkę z własnej inicjatywy, ponieważ mieli zbyt mało czasu, by skonsultować się z Wielkim Królem. Teraz jednak Dariusz na pewno podjął już decyzję i nie rozumiem tego

spokoju. Nie atakują, nie urządzają zasadzek, nie proponują negocjacji...

- Tym lepiej - odparł Aleksander - gdyż nie mam zamiaru podejmować rokowań.

Parmenion milczał, ponieważ dobrze znał charakter króla. Aleksander považał tylko jednego wroga - Memnona, lecz od jakiegoś czasu nie było o nim wieści. Jedyne opóźnienie posiłków, które miały nadejść z Macedonii, pozwalało przypuszczać, że groźny przeciwnik nie pozostawał bierny.

Rozmowę kontynuowano w kwaterze generała, gdzie dołączyli też Klejtos, Filotas i Krateros. Ponieważ jednak wszyscy woleli raczej zabawić się i pożartować, dyskusja na tematy wojskowe przyjęła niebawem inny obrót - zastąpiły ją takie przyjemności jak wino i piękne dziewczyny. A tych ostatnich w obozie nie brakowało. Niektóre miały opiekunów, inne dołączyły do oddziałów z własnej woli, zachęczone upominkami i obietnicami, jeszcze inne zostały zakupione jako niewolnice od jednego z handlarzy, którzy trzymają się wojska jak pchły psa.

Aleksander pozostał na wieczerzy, ale kiedy tylko zaczęła się zabawa, a kilka nagich dziewcząt i chłopców zaczęło tańczyć między stołami, podniósł się z sofy i wyszedł. W ten pogodny, chłodny wieczór na niebie widać było księżyc. Król podszedł do jednego z oficerów Parmeniona, który dokonywał przeglądu straży, i zapytał:

- Gdzie uwięziliście księcia Amyntasa?

Rozpoznawszy króla, który przechadzał się samotnie po obozie o tak późnej porze, zaskoczony oficer znieruchomiał, po czym osobiście zaprowadził Aleksandra do jednego z drewnianych domów. Strażnicy odsunęli zasuwę i wpuścili króla do środka.

W pustym pomieszczeniu, wykonanym z surowego drzewa, paliła się lampa. Amyntas siedział przy prowizorycznym stoliku, czytając zwój papirusu, który przytrzymały dwa kamienie, podniesione prawdopodobnie z ziemi. Na widok postaci stojącej w drzwiach podniósł wzrok, przecierając powieki, żeby lepiej widzieć. Kiedy uświadomił sobie, kto przed nim stoi, podniósł się i cofnął pod ścianę. Na jego twarzy malowało się bolesne przygnębienie.

- Czy to ty kazałeś mnie uwięzić? - spytał.

Aleksander potwierdził:

- Tak.

- Dlaczego?

- Parmenion ci nie powiedział?

- Nie. Aresztował mnie w biały dzień, na oczach moich ludzi, po czym zamknął mnie w tej norze.

- Musiał źle zrozumieć moje rozkazy i przesadził ze środkami ostrożności.

- Jakie były twoje rozkazy?

- Zatrzymać cię w areszcie do mojego przyjazdu, a nie znieważać cię na oczach twoich żołnierzy.

- Jaki jest powód tego zatrzymania? - nalegał Amyntas. Wygląd jego był przerażający. Najwidoczniej od dawna nie czesał się, nie golił ani nie zmieniał odzieży.

- Schwytano posłańca Wielkiego Króla, wiozącego list do ciebie, w

którym Persowie obiecują ci dwa tysiące talentów w złocie i tron Macedonii, jeśli mnie zamordujesz.

- Nie widziałem tego listu, a jeśli chciałbym cię zabić, to od dnia, w którym zginął twój ojciec, mogłem to zrobić już sto razy.

- Nie mogłem ryzykować.

Amyntas pokręcił głową.

- Kto ci doradził, żeby tak postąpić?

- Nikt. Sam podjąłem decyzję.

Amyntas spuścił głowę, opierając się o drewnianą ścianę. Światło lampy padało na dolną część jego twarzy, pozostawiając oczy w cieniu. Myślał o dniu, w którym zamordowano Filipa, a on zdecydował się poprzeć Aleksandra, żeby zapobiec wojnie dynastycznej. Był jednym z uzbrojonych ludzi, którzy odprowadzili go do pałacu, a później zawsze walczył u jego boku.

- Kazałeś mnie uwięzić, nie zapoznawszy się nawet z dowodami przemawiającymi na moją korzyść... - wyszeptał drżącym głosem. - A ja w tyłu walkach ryzykowałem dla ciebie życie...

- Król nie ma wyboru - odparł Aleksander. - Zwłaszcza w takich sytuacjach. - Przypomnił mu się ojciec, kiedy śmiertelnie blady upadł na kolana, w kałuży krwi. - Może masz rację i cała ta sprawa nie ma sensu. Nie mogę jednak udawać, że nic się nie stało. Gdybyś był na moim miejscu, postąpiłbyś tak samo. Postaram się skrócić twoje upokorzenie, ale najpierw muszę poznać prawdę. Przyślę sługę, żeby ci przygotował kąpiel, i cyrulika, który umyje ci włosy i ogoli. Wyglądasz okropnie.

Wydał rozkazy wartownikom, by sprowadzili ludzi, którzy mieli zadbać o osobę księcia, po czym udał się do namiotu Parmeniona, gdzie trwała uczta. Dobiegały z niego krzyki, odgłosy naczyń, jęki, chrząkanie, a także dźwięki fletów i innych barbarzyńskich instrumentów, których nie potrafił rozpoznać.

Wszedł do środka, a przemierzając namiot, musiał kilkakrotnie omijać gmatwaninę nagich, spoconych ciał, które złączone były na wszystkie możliwe sposoby na matach leżących na ziemi. Usiadłszy na sofie obok Hefajstiona, zaczął pić. Pił przez całą noc aż do utraty przytomności.

42

Około południa do namiotu Aleksandra wszedł Kallistenes w towarzystwie jednego z żołnierzy ze straży przybocznej. Król siedział przy stole do pracy, a chociaż jego twarz nosiła oznaki orgii, w której uczestniczył minionej nocy, był zupełnie trzeźwy. Na stole rozłożył papierus, a w dłoni dzierżył puchar z gorącym naparem, zaleconym mu prawdopodobnie przez medyka Filipa w celu złagodzenia skutków pijaństwa.

- Podejdź bliżej! - zaprosił Kallistenesa. - Chciałbym, żebyś rzucił okiem na ten dokument.

- Co to takiego? - spytał Kallistenes, podchodząc do stołu.

- List, który miał przy sobie wysłannik Króla Królów, zaadresowany do mojego kuzyna Amyntasa. Proszę cię, żebyś go przeczytał i powiedział mi, co o tym sądzisz.

Kallistenes przebiegł wzrokiem pismo, nie okazując zdziwienia, po czym spytał:

- Co chcesz wiedzieć?

- Nie wiem... na przykład, kto mógł napisać ten list?

Kallistenes ponownie przeczytał list, tym razem jednak uważniej.

- Charakter pisma wskazuje na osobę wykształconą i subtelną. Poza tym papirus i atrament są wysokiej jakości.

Aleksander patrzył z lekkim zdziwieniem, jak rozmówca, pośliniwszy palec, dotknął nim liter, po czym podniósł go do ust.

- Tego typu atrament wytwarza się w Grecji z soku z czarnego bzu z dodatkiem sadzy...

- W Grecji? - wtrącił Aleksander.

- Tak, ale to nie ma większego znaczenia, gdyż ludzie na ogół zabierają ze sobą atrament, kiedy udają się w podróż. Ja też go używam, jak również twoi towarzysze...

- Potrafisz dowiedzieć się czegoś więcej z tego listu?

Kallistenes zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie sędzę.

- Jeśli przyjdzie ci coś do głowy, powiadom mnie o tym niezwłocznie - powiedział Aleksander, a następnie podziękował Kallistenesowi i pożegnał się z nim.

Po wyjściu gościa król posłał po Eumenesa. Czekać na sekretarza, wziął do ręki buteleczkę z atramentem, umoczył w nim czubek palca i spróbował. Następnie postąpił dokładnie tak samo jak historyk i stwierdził, że obydwaj atramenty mają ten sam smak.

Po chwili nadszedł Eumenes.

- Wzywałeś mnie?

- Widziałeś w obozie Egipcjanina? - spytał Aleksander.

- Parmenion mówił, że po przekazaniu twojej odpowiedzi od razu wyjechał.

- To dziwne... postaraj się dowiedzieć czegoś więcej.

- Zrobię, co będę mógł - odparł Eumenes. - Są jakieś wieści o naszych posiłkach? - spytał, szykując się do wyjścia.

Aleksander pokręcił głową.

- Niestety nie.

Kiedy sekretarz wychodził, silny podmuch zimnego wiatru wtargnął do namiotu, strącając ze stołu papiery. Leptine dorzuciła węgla do pieca, który zbyt słabo ogrzewał pomieszczenie, natomiast Aleksander wziął kartkę i zaczął pisać.

Aleksander, król Macedończyków, do Antypatra, regenta i opiekuna domu królewskiego, bądź pozdrowiony!

Gratuluję Ci mądrości, z jaką sprawujesz rządy w ojczyźnie, podczas gdy my w dalekich stronach walczymy z barbarzyńcami.

Ostatnio Parmenion schwytał wysłannika Króla Królów z listem do mego kuzyna Amyntasa, w którym obiecywana mu tron Macedonii i dwa tysiące złotych talentów, o ile mnie zgładzi.

Sprawa wyszła na jaw dzięki Egipcjaninowi o imieniu Sizyn, który

twierdzi, że był przyjacielem mojego ojca Filipa. Sizyn jednak zniknął. Jest to mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat, tysiejący, z orlim nosem, ciemnymi, rozbieganymi oczami i pieprzykiem poniżej lewej skroni. Pragnę, żebyś się o nim wszystkiego dowiedział i poinformował mnie, jeśli pojawi się w mieście lub w pałacu.

Bądź zdrów!

Aleksander zapieczętował list i wysłał go bezzwłocznie przez osobistego kuriera, po czym udał się do namiotu Parmeniona. Generał leżał na polowej sofie, a służący masował mu lewe ramię olejem z oliwek i sokiem z pokrzywy. Przy złej pogodzie Parmenion odczuwał silne bóle w ramieniu z powodu dawnej rany, jaką odniósł w młodości, walcząc w Tracji. Na widok króla wstał, wkładając ubiór domowy.

- Panie, nie spodziewałem się twojej wizyty. Czego się napijesz? Może grzanego wina?

- Generale, chciałbym przesłuchać perskiego więźnia. Mógłbyś sprowadzić tłumacza?

- Oczywiście. Teraz?

- Tak, kiedy tylko będziesz gotów.

Parmenion ubrał się w pośpiechu i polecił słuzącemu, by odszukał tłumacza. Następnie zaprowadził Aleksandra do pomieszczenia, w którym perski posłaniec przebywał pod ścisłym nadzorem.

- Przesłuchiwałeś go już, jak sądzę - zauważył król, idąc obok generała.

- Tak - odparł Parmenion.

- Co ci powiedział?

- To, o czym już wiemy. Powiedział, że Król Królów powierzył mu osobisty list do *yauna* o imieniu Amyntas.

- Nic więcej?

- Nic. Zastanawiałem się, czy nie poddać go torturom, ale zrezygnowałem, gdyż z pewnością nikt nie wtajemniczyłby zwykłego posłańca w informacje o charakterze poufnych.

- Jak udało ci się go schwytać?

- To zasługa Sizyna.

- Egipcjanina?

- Tak. Pewnego dnia przyjechał do mnie i oznajmił, że widział podejrzanego osobnika w obozie handlarzy i kobiet.

- Znałeś go wcześniej?

- Oczywiście. Pracował dla nas jako informator, kiedy po raz pierwszy przybiłem do brzegów Azji z rozkazu twojego ojca, ale od tamtej pory go nie widziałem.

- I nie wydało ci się to podejrzanym?

- Nie, ponieważ okazał się informatorem godnym zaufania i był zawsze dobrze opłacany, również tym razem.

- Powinieneś był go zatrzymać - oświadczył Aleksander wyraźnie rozgniewany. - Przynajmniej do mojego przybycia.

- Przykro mi - rzekł Parmenion, spuszczając głowę. - Nie sądziłem, że to konieczne. Poza tym dał mi do zrozumienia, że jest na tropie kolejnego szpiega Persów... Jeśli postąpiłem niewłaściwie, proszę cię o wybaczenie,

panie...

- Nic nie szkodzi. Uczyniłeś, co uważałeś za słuszne. A teraz porozmawiamy z więźniem.

Kiedy dotarli do baraku, w którym przetrzymywano perskiego wysłannika, Parmenion rozkazał strażnikowi, by odsunął zasuwę. Żołnierz otworzył drzwi, po czym wszedł do środka pierwszy, chcąc się upewnić, czy wszystko w porządku. Po chwili wrócił wyraźnie zdenerwowany.

- O co chodzi? - zapytał generał.

- Nie... żyje - wybełkotał żołnierz, wskazując na wnętrze baraku.

Aleksander wszedł do środka i przyklęknął obok ciała.

- Sprowadźcie czym prędzej mojego lekarza - rozkazał, a następnie zwrócił się do Parmeniona, mówiąc: - Ten człowiek najwyraźniej coś wiedział, bo inaczej nie zabiliby go.

- Przykro mi, panie... - odparł zmieszany generał. - Jako żołnierz potrafię opracować plan bitwy, uczestniczyć w najcięższych walkach, ale nie umiem poruszać się wśród tego typu intryg. Przepraszam...

- Nie szkodzi - powiedział król. - Zobaczymy, co powie nam Filip.

Gdy tylko wszedł lekarz, zaczął oglądać ciało posłańca.

- Są jakieś ślady? - spytał Aleksander po chwili.

- Wszystko wskazuje, że został otruty, najprawdopodobniej wczoraj wieczorem.

- Czy potrafisz powiedzieć, jakiej użyto trucizny?

Podniósłszy się, Filip poprosił, by przyniesiono mu wody do umycia rąk.

- Sądzę, że tak, ale najpierw muszę zbadać ciało...

- Zrób, co konieczne - rozkazał król - a kiedy skończysz, zadbaj o to, by oddano cześć zmarłemu zgodnie z perskim obyczajem.

Filip rozejrzał się wokół.

- Nie widzę tu stosów pogrzebowych.

- Każcie więc usypać taki stos - polecił król, zwracając się do Parmeniona. - Kamieni nam nie brakuje, ludzi też nie.

- Zgoda, panie - przytaknął generał. - Co jeszcze rozkażesz?

Aleksander zastanowił się chwilę, po czym powiedział:

- Uwolnij Amyntasa i przywróć go do dawnego stopnia. Zachowaj jednak... ostrożność!

- Tak jest, panie.

- W porządku. Wracaj teraz do masażu, Parmenionie. Zadbaj o swoje ramię, bo pogoda zaczyna się zmieniać - dodał, patrząc w niebo - ale nie na lepsze.

43

Pewnego wieczoru, mniej więcej w połowie zimy, dowódca Memnon źle się poczuł. Nękały go mdłości, bolały stawy i nerki i nagle dostał wysokiej gorączki. Zamknął się w kasztelu na dziobie okrętu, drząc i szcękając zębami. Nie chciał też niczego jeść. Co pewien czas pił tylko odrobinę rosołu, ale często go zwracał. Lekarz zalecił mu brać leki na uśmierzanie bólu, a także dużo pić, żeby wyrównać poziom płynów w organizmie, które tracił przez nadmierne pocenie się. Nie znalazł jednak kuracji, która pomogłaby uleczyć Memnona.

Choroba dowódcy bardzo wszystkich zmartwiła, ale wielu żołnierzy dostrzegło też chłodną obojętność nowego zastępcy, Persa o imieniu Tigranes, który do tej pory dowodził flotą na Morzu Czerwonym. Był to człowiek ambitny, a także intrygant. Podczas pobytu na dworze Dariusza nigdy nie ukrywał swej dezaprobaty dla decyzji króla, który powierzył naczelne dowództwo najemnikowi *yauna*.

To właśnie Tigranes zajął miejsce Memnona, kiedy stało się jasne, że Grek nie będzie mógł nadal pełnić swoich obowiązków. Pierwszym rozkazem, jaki wydał, było podniesienie kotwicy, przyjęcie kursu na południe i opuszczenie cieśnin. Memnon poprosił więc, by natychmiast wysadzono go na ląd, czemu Tigranes się nie sprzeciwił. Grek poprosił również, by pozwolono mu zabrać jego czterech najwierniejszych żołnierzy, którzy mieli mu pomóc w planowanej podróży. Nowy dowódca patrzył na Memnona z odrobiną współczucia, ponieważ był pewien, że chory daleko nie zajędzie w tym stanie. Życzył jednak Grekowi wszystkiego najlepszego, po persku, po czym go pożegnał. Tak więc w środku nocy spuszczone z okrętu szalupę z pięcioma ludźmi na pokładzie. Szybkie ruchy wiosła pchały ją do małej zatoczki po wschodniej stronie Hellespontu. Wyruszyli w podróż jeszcze tej samej nocy, ponieważ Memnon pragnął być z żoną i dziećmi.

- Chcę zobaczyć ich przed śmiercią - powiedział, stanąwszy stopą na lądzie.

- Nie umrzesz, Memnonie - odparł jeden z najemników. - Bywałeś w gorszym stanie. Wystarczy, że nam rozkażesz, a zaniemiemy cię, dokąd zechcesz, choćby na koniec świata albo nawet do piekła. Jeśli trzeba będzie, zaniemiemy cię na plecach.

Memnon zaakceptował to z bolesnym uśmiechem, ale myśl o rodzinie zdawała się dodawać mu jakiejś niezwyklej energii, niespodziewanych sił. Jeden z żołnierzy udał się na poszukiwanie środka transportu, gdyż chory dowódca był zbyt słaby, by jechać konno. Wrócił następnego dnia z wozem zaprzężonym w parę mułów i czterema końmi, które kupił w jakiejś zagrodzie.

Podczas podróży najemnicy naradzili się i zdecydowali, że jeden z nich pojedzie przodem, aby odszukać królewski trakt; stamtąd wyślą wiadomość do Barsine, dzięki czemu będzie mogła wyjechać im na spotkanie. Nie było bowiem nadziei na to, żeby dowódca dotarł żywy do Suzy, odległej o miesiąc drogi.

Bywały takie dni, kiedy choroba zdawała się ustępować i Memnon mógł nawet coś zjeść, ale pod wieczór gorączka się podnosiła, rozpalając skronie i mózg. Zaczynał wtedy majaczyć i wykrzykiwać słowa, nawiązujące do odbytych walk i cierpień. Z ust Memnona wydobywały się jęki i płacz, w których pobrzmiwały utracone nadzieje i nie spełnione marzenia.

Żołnierz z Tegei, który stał na czele tego niewielkiego zastępu i zawsze walczył u boku Memnona, patrzył na swego dowódcę z niepokojem, przecierając mu czoło.

- To nic, Memnonie, to nic. Głupia gorączka nie może pokonać Memnona z Rodos, nie może... - powtarzał, jakby chciał przekonać samego siebie.

Człowiek, który pojechał przodem, dotarł do drogi królewskiej niedaleko mostu na rzece Halys, wzniesionego, jak opowiadano, przez Krezusa z Lidii. Żołnierz dowiedział się tam, że nie trzeba było jechać aż do Suzy. Król Dariusz postanowił wreszcie dać nauczkę temu małemu, bezczelnemu *yauna*, który ośmielił się zająć wschodnie prowincje i wyruszył ku Wrotom Syryjskim na czele pół miliona pieszych, setek wozów bojowych oraz dziesiątek tysięcy jeźdźców. Szedł za nim cały dwór, z pewnością też Barsine.

Wiść o chorobie Memnona powędrowała więc za pomocą sygnałów świetlnych, które odbijały się w tarczach z brązu, umieszczonych wysoko w górach. Następnie wiózł ją posłaniec, który galopował na wierzchowcu, aż wreszcie dotarł do namiotu z purpury i złota, należącego do Króla Królów. Otrzymawszy wiadomość, król Dariusz kazał wezwać Barsine.

- Twój małżonek jest ciężko chory - oznajmił - i pyta o ciebie. Jedźcie drogą królewską, żeby się z tobą zobaczyć. Nie wiemy, czy zdążysz dotrzeć do niego, zanim umrze, ale jeśli chcesz wyjechać Memnonowi na spotkanie, damy ci dziesięciu Nieśmiertelnych z naszej straży jako eskortę.

Barsine czuła, jak serce zamiera jej w piersi, jednak nie drgnęła jej powieka, nie uroniła jednej łzy.

- Dziękuję ci, Królu Królów, że mnie powiadomiłeś i pozwoliłeś jechać. Bezwłocznie wyruszę na spotkanie męża. Nie zaznam spokoju ani snu, dopóki go nie ujrzę.

Wróciwszy do namiotu, ubrała się jak amazonka, w filcową kamizelkę i skórzane spodnie, wzięła najlepszego konia i pogalopowała w takim tempie, że eskortujący ją strażnicy Wielkiego Króla z trudem za nią nadążali. Jechała dniem i nocą, robiąc krótkie postoje, żeby zmienić konia lub nieco odpocząć, kiedy była u kresu sił. Aż w końcu pewnego wieczoru, o zachodzie słońca, dostrzegła niewielki konwój, który poruszał się wolno i ostrożnie po opustoszałej drodze. Składał się on z krytego wozu zaprzęzonego w parę mułów i czterech uzbrojonych ludzi jadących konno.

Barsine ponagliła konia i znalazła się przy wozie. Zeskoczywszy na ziemię, zajrzała do środka, gdzie na owczych skórkach spoczywał umierający Memnon. Miał długą brodę, popękane usta, zmierzwiłone włosy. Ten, który jeszcze niedawno był najpotężniejszym człowiekiem na świecie po Królu Królów, podobny był do zjawy. Ale jeszcze żył. Nachyliwszy się nad mężem, Barsine czule ucałowała jego oczy i usta, nie zważając na to, czy ją rozpoznaje. Następnie rozejrzała się wokół w poszukiwaniu schronienia. W oddali, na wzgórzu, ujrzała dom z kamieni, w którym zapewne ktoś mieszkał. Poprosiła ludzi ze swojej straży, by spytali właściciela domu, czy może ich gościć przez kilka dni lub godzin, nie potrafiła uściślić, jak długo.

- Chcę położyć męża na łóżku, umyć go i przebrać. Pragnę, by umarł jak człowiek, a nie jak zwierzę - powiedziała.

Dowódca straży spełnił polecenie Barsine, a w chwilę potem wniesiono Memnona do domu. Gospodarz przyjął chorego z wszelkimi honorami. Podgrzano wodę, po czym Barsine rozebrała męża, umyła go i włożyła mu czyste ubranie. Kiedy służący skrócili mu włosy, Barsine namaściła je wonnym olejkiem, po czym posmarowała mu czoło chłodzącą maścią.

Położyła Memnona na łóżku i usiadła obok, trzymając go za rękę.

Było już późno. Właściciel domu zapytał Barsine, czy zje wieczerzę z żołnierzami, którzy jej towarzyszyli, ale uprzejmie odmówiła.

- Jechałam dniem i nocą, żeby ujrzeć męża, i dopóki będzie żył, nie opuszczę go ani na chwilę.

Mężczyzna wyszedł, zamykając za sobą drzwi, a Barsine ponownie usiadła przy łóżku Memnona, głaszcząc go i zwilżając mu od czasu do czasu usta. Było już po północy, kiedy ze zmęczenia usnęła na krześle. Przez jakiś czas Barsine drzemała, tak jakby między jawą a snem. W pewnej chwili usłyszała głos męża, ale pomyślała, że to sen. Głos jednak uporczywie powtarzał jej imię:

- Bar... si... ne.

Ocknąwszy się, otworzyła oczy. Memnon przebudził się z odrętwienia i patrzył na żonę dużymi niebieskimi oczami, które błyszczały od gorączki.

- Mój najdroższy - wyszeptła, głaszcząc go po twarzy. Memnon wpatrywał się w nią intensywnie, jakby pragnął coś powiedzieć.

- O co chodzi? Powiedz, proszę!

Memnon otworzył usta. Zdawało się, że w jego ciało wstąpiło życie, a twarz odzyskała dawne piękno. Barsine pochyliła się nad mężem, żeby nie stracić ani słowa z tego, co mówi.

- Pragnę...

- Czego pragniesz, mój ukochany? Zrobię wszystko, co zechcesz, najdroższy.

- Pragnę... zobaczyć cię.

Przypomniawszy sobie ostatnią noc, którą spędzili razem, Barsine zrozumiała życzenie Memnona. Zdecydowanym ruchem wstała z krzesła, cofnęła się nieco, żeby dobrze oświetlały ją lampy wiszące u sufitu, po czym zaczęła się rozbierać. Zdjęła kamizelkę, odwiązała rzemyki u spodni, pokonując wrodzone poczucie wstydu, i stanęła nago przed mężem. Zauważyła, jak dwie duże łzy spływają po jego zapadniętych policzkach, i zrozumiała, że dobrze odczytała jego pragnienie. Czowała, jak wzrok męża delikatnie pieści jej ciało i twarz. Wiedziała, że w ten sposób kochał się z nią po raz ostatni. Po chwili Memnon rzekł bardzo słabym głosem:

- Moje dzieci...

Ponownie spojrzął w oczy Barsine, by powiedzieć jej rozpalonym, pełnym smutku wzrokiem, jak bardzo ją kocha, po czym opuścił głowę na poduszkę i wydał ostatnie tchnienie.

Owinąwszy się płaszczem, Barsine padła na nieruchome ciało męża, okrywając je pocałunkami i szlochając. Rozpaczliwy płacz Barsine wypełnił cały dom. Greccy najemnicy, którzy czuwali na zewnątrz przy ognisku, zrozumieli, co się stało. Podniósłszy się, chwycili miecze i w ciszy oddali cześć Memnonowi z Rodos, któremu los odmówił śmierci na polu bitwy. O świcie wynieśli ciało, by je pogrzebać.

- Zgodnie z naszym zwyczajem spalimy go na stosie - zarządził najstarszy żołnierz, pochodzący z Tegei. - Dla nas pozostawienie ciała na pastwę psów i ptaków jest olbrzymią hańbą i dowodzi, jak bardzo się różnimy.

Barsine nie sprzeciwiała się. Wiedziała, że w tej ostatniej godzinie

powinna ustąpić, pozwalając, żeby Memnon powrócił do swych rodaków i otrzymał honory zgodnie z obrządkiem greckim.

Żołnierze wzniesli stos pośród ośnieżonej równiny, złożyli na nim ciało dowódcy, ubrane w zbroję z hełmem ozdobionym różą z Rodos, po czym podłożyli ogień.

Wiatr podsycił płomienie, które wystrzeliły w górę, pochłaniając szczątki wielkiego wojownika. Żołnierze stanęli w szyku z uniesionymi włóczniami i wykrzyknęli dziesięć razy imię Memnona, które wzniosło się w stronę zimnego ołowianego nieba, okrywającego równinę jak całun. Kiedy przebrzmiało echo ostatniego okrzyku, pojęli, że zostali sami na świecie. Nie mieli ojca ani matki, ani brata, ani domu, do którego mogliby wrócić.

- Przysięgałem, że pójdę za nim wszędzie - powiedział najstarszy żołnierz - nawet do piekieł.

Ukląkł, wyjął miecz z pochwy, wymierzył nim prosto w serce, po czym się na niego rzucił.

- Ja także - powtórzył jego towarzysz, wyciągając swoją broń.

- My również - odezwali się dwaj pozostali.

Kolejno runęli na ziemię, plamiąc ją własną krwią, gdy tymczasem ponurą ciszę poranka przerwało pianie kura, podobne do przenikliwego dźwięku trąby.

44

Medyk Filip zapoznał Aleksandra z wynikami sekcji zwłok Persa, którego schwymano z listem Króla Królów do Amyntasa.

- Z całą pewnością został otruty, ale użyto trucizny zupełnie mi nie znanej. Dlatego uważam, że należy przesłuchać kucharza. To dobry chłopak i na pewno nie potrafiłby jej sporządzić. Sam miałbym z tym trudności, a co dopiero on.

- Czy jest możliwe, że posłaniec sam zażył truciznę? - spytał Aleksander.

- Nie można tego wykluczyć. Wśród strażników Wielkiego Króla są żołnierze, którzy przysięgli oddać za niego życie. Obawiam się jednak, że trudno będzie dowiedzieć się czegoś więcej o tej sprawie.

Upłynęło jeszcze wiele dni bez żadnych wieści o posiłkach, które miały nadciągnąć z Macedonii, a duch bojowy żołnierzy osłabł wskutek bezczynności i nudy. Pewnego ranka władca postanowił udać się do sanktuarium Matki Bogów w Gordion. Jak mówiono, wznosił je król Midas. Aleksandrowi towarzyszyli przyjaciele, a także kilku kapłanów, którzy na wieść o wizycie króla włożyli obrzędowe szaty.

Świątynia była pradawną miejscową budowlą. Znajdował się w niej drewniany posąg bogini, zniszczony przez korniki. Zdobiły go liczne klejnoty i talizmany, które od wieków ofiarowywali pobożni wyznawcy. Na ścianach wisiały relikwie, przeróżne dary wotywnie oraz wyroby z terakoty i drewna, stanowiące świadectwo uzdrowień lub próśb o ich dokonanie. Były wśród nich stopy i dłonie ze śladami świerzbu, pomalowane na różne kolory, a także oczy, nosy, uszy i organy żeńskie, które z pewnością nigdy nie rodziły i błagały o płodność. Były też członki męskie, które również nie odegrały swojej roli. Każdy z tych przedmiotów

świadczył o nędzy, chorobach i cierpieniach towarzyszących rodzajowi ludzkiemu od zarania dziejów, odkąd niemądry Epimeteusz otworzył puszkę Pandory, pozwalając, by na świat spadły wszelkiego rodzaju nieszczęścia.

- A na jej dnie pozostała tylko nadzieja - przypomniał Eumenes, rozglądając się dookoła. - Czymże są dla nas, ludzi, te przedmioty, jeśli nie świadectwem nadziei, najczęściej płonnej, ale przecież nieodzownej?

Stojący obok niego Seleukos spojrział na Eumenesa zdziwiony tym nieoczekiwanym wywodem filozoficznym, gdy tymczasem kapłani prowadzili ich do bocznej komnaty, gdzie znajdowała się najcenniejsza pamiątka - wóz króla Midasa.

Był to dziwny pojazd, czterokołowy i dość prymitywny, z półokrągłą barierką w górnej części. Jego dyszel zakończony drążkiem łączył się z osią przednich kół, podczas gdy jarzmo przymocowane było do dyszla liną konopną zawiązaną w przemyślny węzeł, nie do rozplątania. Zgodnie z dawną przepowiednią ten, kto zdoła rozwiązać węzeł, zapanuje nad Azją. Aleksander postanowił podjąć się tej próby, a Eumenes, Ptolemeusz i Seleukos gorąco go do tego namawiali.

- Musisz spróbować - nalegał Eumenes. - Wszyscy znają przepowiednię, więc jeśli się wycofasz, ludzie pomyślą, że wątpisz we własne siły i w zwycięstwo nad Królem Królów.

- Eumenes ma rację - przyznał Seleukos. - Ten węzeł jest symbolem, który oznacza, że w Gordion krzyżują się wszystkie drogi i trasy karawan prowadzące na krańce świata. Rzeczywisty węzeł już do ciebie należy, ponieważ zdobyłeś go siłą oręża, ale teraz musisz rozwiązać też symbol.

Aleksander zwrócił się do Arystandrosa:

- Co o tym sądzisz, wróżbito?

Arystandros powiedział zaledwie kilka słów:

- Węzeł jest symbolem doskonałości, harmonii, punktem przecięcia pierwotnych energii, które stworzyły życie na ziemi. Rozwiązując węzeł, zapanujesz nad Azją i światem.

Odpowiedź wróżbity zadowolili wszystkich. Tymczasem Eumenes, obawiając się ryzyka, sprowadził jednego z oficerów admirała Nearchosa, który znał wszystkie typy węzłów stosowanych na okrętach wojennych i handlowych, by zdradził królowi swoje sekrety. Aleksander wierzył więc, że zdoła przejść przez trudną próbę. Poza tym kapłani świątyni mieli zrobić wszystko, by ułatwić nowemu władcy zadanie i nie wystawiać go na hańbiącą porażkę.

- Oto wóz Midasa - oznajmił jeden z nich, wskazując Aleksandrowi przestarzały wehikuł, zniszczony przez korniki - a oto węzeł.

Ponieważ wypowiedział te słowa z uśmiechem, wszyscy obecni, a zwłaszcza Eumenes, Seleukos i Ptolemeusz, byli pewni, że sprawa zakończy się pomyślnie. Kapłan kazał wezwać też oficerów niższego stopnia, aby mogli przyjrzeć się ważnej scenie.

Kiedy jednak Aleksander nachylił się i zaczął oglądać węzeł, zdał sobie sprawę, że przesadził z optymizmem. Lina zaplątana była w przedziwny sposób, tak że nie widać było jej początku ani końca, od którego należało rozpocząć rozwiązywanie. Widzowie zgromadzili się tłumnie, wypełniając

szczelnie całą świątynię. Kapłani w obrzędowych szatach tłoczyli się, ociekając potem.

Król poczuł, że się dusi, i ogarnęła go złość. Zdawał sobie sprawę, że za kilka chwil cały jego autorytet, zdobyty włócznią i mieczem na polu walki, zostanie narażony na szwank w tej sytuacji pozornie bez wyjścia. Spojrzał na Eumenesa, który wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie potrafi mu w żaden sposób pomóc, następnie na kamienną twarz Arystandrosa z Termessos, wróżbity, który przemówił raz i nie chciał odzywać się po raz drugi. Popatrzył na Seleukosa, Kraterosa i Perdikkasa, dostrzegając w ich oczach jedynie niepokój i zakłopotanie. Kiedy ponownie klękał przy wozie, poczuł ucisk zawieszzonego u boku miecza. Pomyślał więc, że jest to znak od bogów, a w tej samej chwili przez otwór w dachu przedostał się promień słońca, w którym zaśniły złote włosy króla i krople potu na jego czole.

Sala pogrążona była w głębokiej ciszy. Nagle dał się słyszeć metaliczny odgłos królewskiego miecza wyciąganego z pochwy, po czym zabłysło jego ostrze i niczym świetlisty piorun spadło z niezwykłą siłą na węzeł gordyjski. Przecięta lina puściła, a zwolnione jarzmo spadło z łoskotem na ziemię.

Kapłani spojrzeli po sobie zdumieni, po czym popatrzyli na Aleksandra, który chował miecz do pochwy. Kiedy uniósł głowę, dostrzegli, że jego lewe czarne oko stało się jeszcze ciemniejsze i błyszczało w świetle drżącego promienia słońca.

Ptolemeusz wykrzyknął:

- Król rozwiązał węzeł gordyjski! Król jest panem Azji!

Wszyscy towarzysze wznieśli głośny okrzyk, a ich owację usłyszeli żołnierze stojący na zewnątrz świątyni. Oni również dali upust radości, którą od dawna tłumił strach i przesąd. Zaczęli wznosić okrzyki i uderzać mieczami o tarcze, aż drżały mury pradawnego sanktuarium.

Kiedy pojawił się Aleksander w błyszczącej srebrnej zbroi, wzięli go na ręce i zanieśli do obozu w triumfie, niczym boski posąg. Nikt nie patrzył na Arystandrosa, jak odchodził samotnie, z wyrazem zniechęcenia na twarzy.

45

Kilka dni później nadeszły długo oczekiwane posiłki, składające się nie tylko z nowych rekrutów, ale i młodych mężów, którzy uzyskali zezwolenie na wyjazd z Halikarnasu, by spędzić zimę u boku żon. Tych ostatnich powitały gwizdy i wrzaski towarzyszy broni - ci bowiem byli zmuszeni stawiać czoło trudom wojny i zimy, teraz więc, folgując sobie, wykrzykiwali wszelkiego rodzaju sprośności. Niektórzy z nich, machając olbrzymimi drewnianymi fallusami, wołali gromko:

- Dogodziliście sobie? To teraz musicie wykupić fant!

Oficer dowodzący posiłkami nazywał się Trasyllós. Był człowiekiem Antypatra i dowódcą batalionu z Orestydy. Czym prędzej stanął przed królem, by zdać mu relację.

- Dlaczego zajęło to wam tak dużo czasu? - spytał Aleksander.

- Ponieważ perska flota zablokowała cieśniny, a regent Antypater nie chciał narażać naszego oddziału w bezpośrednim starciu z Memnonem.

Pewnego dnia jednak okręty przeciwnika podniosły kotwice i popłynęły na południe, wykorzystując wiatr północny, więc mogliśmy przejść.

- To dziwne - rzekł Aleksander. - W każdym razie nie wróży nic dobrego. Memnon nie zrezygnowałby, chyba że chciał zaatakować w innym miejscu. Mam nadzieję, że Antypater...

- Wieść niesie, że Memnon nie żyje, panie - przerwał mu oficer.

- Co takiego?

- Donieśli nam o tym nasi informatorzy z Bitynii.

- Co było powodem jego śmierci?

- Nikt tego nie wie. Mówią, że jakaś dziwna choroba...

- Choroba? Trudno w to uwierzyć.

- To wiadomość nie potwierdzona, panie. Krążą takie pogłoski i należałoby je sprawdzić.

- Z pewnością. Idź już i ulokuj gdzieś swoich ludzi. Niebawem ruszamy, więc macie najwyżej dzień na odpoczynek. Zbyt długo na was czekaliśmy.

Po wyjściu oficera Aleksander pozostał w namiocie sam, rozmyślając o niespodziewanej wiadomości, która nie przynosiła mu ulgi ani satysfakcji. Zawsze uważał Memnona za jedynego przeciwnika godnego siebie, podobnie jak jedynie Hektor mógł walczyć z Achillesem. Od dawna już szykował się do tego pojedynku, wzorem obrońcy homeryckiego. Nawet myśl o walce z samym Królem Królów nie miała dla niego tak dużego znaczenia.

Doskonale pamiętał imponującą sylwetkę dowódcy, hełm przysłaniający mu twarz, barwę jego głosu oraz własne głębokie przygnębienie na myśl, że nieuchwytny, niestrudzony Memnon czuwa bez przerwy i gotowy jest w każdej chwili uderzyć. Jakaś choroba... Nie tego chciał, nie takiego oczekiwał epilogu dla zacieklej walki, jaką podjął.

Wezwał do siebie Parmeniona i Klejtosa, żeby zlecić im przygotowania do wymarszu, który miał nastąpić najdalej za dwa dni. Przekazał im także otrzymaną wiadomość:

- Dowódca kontyngentu posiłków powiedział mi, że krążą pogłoski, jakoby Memnon nie żył.

- Byłoby to dla nas bardzo korzystne - skomentował generał, nie ukrywając zadowolenia. - Jego flota, panująca na morzu między nami a Macedonią, stanowiła dla nas poważne niebezpieczeństwo. Bogowie ci sprzyjają, panie.

- Bogowie pozbawili mnie możliwości stoczenia uczciwego pojedynku z jedynym godnym mnie przeciwnikiem - odparł Aleksander czerwony na twarzy. W tym samym momencie pomyślał o Barsine i jej niezwykłej urodzie. Zrozumiał, że jeśli los chciał, by Memnon zmarł na tajemniczą chorobę, to być może ten sam los sprawi, że Barsine nie będzie żywiła do niego nienawiści. Gdyby tylko znał miejsce jej pobytu, pokonałby każdą przeszkodę.

- Zdaje się, że jest gdzieś między Damaszkiem a Wrotami Syryjskimi - głos Klejtosa wyrwał go z zamyślenia.

Aleksander nagle odwrócił się do niego, jakby oficer potrafił czytać w jego myślach. Klejtos popatrzył na Aleksandra, zdziwiony jego reakcją.

- O czym mówisz, Klejtosie? - spytał władca.

- O liście, który dostarczył nam Eumolpos z Soloj.
- Właśnie o tym - wtrącił Parmenion. - Przysłał nam ustną wiadomość przez kuriera.
- Kiedy?
- Około południa. Posłaniec chciał rozmawiać z tobą, ale nie było cię, bo z Hefajstionem i strażnikami dokonywałeś przeglądu rekrutów. Przyjąłem go więc w twoim imieniu.
- Słusznie postąpiłeś, generale - odparł Aleksander - ale czy mamy pewność, że kurier przybył od Eumolposa?
- Podał jego hasło, które sam dobrze znasz.
Aleksander pokręcił głową.
- „Owczy mózdzek”! Czy ktoś słyszał dziwaczniejsze hasło?
- To jego ulubione danie - zauważył Klejtos, rozkładając ręce.
- Jak już mówiłem - ciągnął Parmenion - zdaje się, że Król Królów maszeruje z całym wojskiem w kierunku brodu w Tapsakos.
- Bród w Tapsakos... - powtórzył władca. - Tak myślałem. Dariusz próbuje odciąć mi drogę do Wrót Syryjskich.
- Chyba masz rację - przyznał Klejtos.
- Ilu ich jest? - spytał Aleksander.
- Bardzo wielu - odparł Parmenion.
- Ilu? - nalegał zniecierpliwiony król.
- Około pół miliona, o ile wiadomość jest dokładna.
- Jeden na dziesięciu. To rzeczywiście dużo.
- Co zamierzasz uczynić?
- Iść dalej, nie mamy wyboru. Przygotujcie się do wymarszu.
Obydwaj oficerowie zaszalutowali i skierowali się do wyjścia, ale Aleksander zatrzymał Parmeniona.
- O co chodzi, panie? - spytał generał.
- Czy nie sądzisz, że my też powinniśmy ustalić hasło do przekazu ustnych informacji?
Parmenion spuścił głowę.
- Nie miałem wyboru, kiedy przysłałem ci Sizyna. Nie przewidywaliśmy takiej możliwości, zanim się rozdzieliliśmy.
- To prawda, ale teraz potrzebujemy hasła do naszych ustnych przekazów. W przyszłości może powtórzyć się podobna sytuacja.
Parmenion uśmiechnął się.
- Dlaczego się uśmiechasz?
- Bo przypomniała mi się rymowanka, którą śpiewałeś w dzieciństwie. Nauczyła cię jej stara Artemizja, mamka twojej matki, pamiętasz?

*Na wojnę idzie stary druh,
Nagle na ziemię pada - buch!*

Potem przewracałeś się na podłogę.
- Dlaczego nie? - zauważył Aleksander. - Trudno będzie się domyślić, że chodzi tu o hasło.
- Nie musimy też uczyć się go na pamięć. Pójdę już.
- Generale! - zawołał go ponownie Aleksander.

- Panie?
- Co robi Amyntas?
- Wypełnia swoje obowiązki.
- W porządku. Nadal go obserwuj, ale tak, żeby się nie zorientował. Postaraj się też dowiedzieć, czy Memnon naprawdę nie żyje i na co zmarł.
- Uczynię wszystko, co w mojej mocy, panie. Posłaniec Eumolposa z Soloj jest jeszcze w obozie, więc polecę mu zbadać tę sprawę.

Nazajutrz o świcie kurier wyjechał, a żołnierze zaczęli składać namioty. Wszystko było gotowe przed czasem: zwierzęta objuczone, wozy wypełnione zapasami i bronią. Oficerowie terenowi ustalali etapy marszu, który po siedmiu dniach miał zaprowadzić wojsko do Wrót Cylicyjskich. Był to przesmyk w górach Tauros tak wąski, że nie mieściły się w nim dwa idące obok siebie muły.

Wieczorem tego samego dnia do namiotu Kallistenesa przybył jeden z żołnierzy z oddziałów posiłkowych i wręczył mu jakiś dokument. Historyk, który właśnie coś pisał, wstał, by mu zapłacić, a kiedy został sam, otworzył list. Jego treść stanowił krótki traktat z dziedziny pszczelarstwa. Kallistenes go nie zamawiał, co oznaczało, że powinien przeczytać list, posługując się specjalnym kodem. Zaszyfrowany tekst mówił, co następuje:

Wysłałem Teofrastowi lekarstwo, które ma przekazać medykowi z Lesbos, ale pogoda jest brzydka i w najbliższych dniach okręt chyba nie wypłynie. Nic nie jest pewne, nawet rezultat.

Poniżej znajdował się list następującej treści:

Arystoteles do Kallistenesa, bądź pozdrowiony!

Spotkałem pewną osobę, która знаła Pauzanasza, zabójcę króla Filipa. W świetle tego, co mi powiedziała, trudno uwierzyć w znaną nam historię jego związku z władcą. Ustaliłem tożsamość jednego z ocalałych spiskowców i spotkałem się z nim w gospodzie w Beroi. Był bardzo podejrzliwy i cały czas zaprzeczał, mimo że starałem się wzbudzić jego zaufanie. Nic nie dało się zrobić. Jediną rzeczą, jakiej się dowiedziałem, była jego prawdziwa tożsamość. Poznałem ją, przekupiwszy pewną niewolnicę, jego konkubinę. Dowiedziałem się też, że ma córkę, którą bardzo kocha i którą ukrył wśród dziewic świątyni Artemidy, na krańcach Tracji.

Muszę udać się do Aten, ale dalej będę prowadził śledztwo i o wszystkim cię informował. Dbaj o siebie.

Kallistenes włożył dokument do niewielkiej żelaznej skrzyni i położył się spać, ponieważ pragnął wypocząć przed wyjazdem, który planowano o świcie.

Było jeszcze ciemno, kiedy obudzili go Eumenes z Ptolemeuszem.

- Słyszałeś nowinę? - rzucił Eumenes.
- Jaką nowinę? - zapytał Kallistenes, przecierając oczy.
- Zdaje się, że Memnon nie żyje. Zmarł na jakąś dziwną chorobę.
- Nieuleczalną - dodał Ptolemeusz.

Kallistenes usiadł na skraju łóżka i dolał oliwy do lampy, która dawała słabe światło.

- Umarł? Kiedy?

- Wiadomość przywiózł jeden z oficerów prowadzących posiłki. Biorąc pod uwagę czas, jaki im zajęła droga do nas, sędzę, że mogło to nastąpić jakieś piętnaście dni albo miesiąc temu. Sprawy potoczyły się więc zgodnie z naszym planem.

Kallistenes, dokonując szybkiego rachunku w pamięci, przypomniał sobie datę, która widniała na liście od wuja Arystotelesa. Doszedł do wniosku, że nie było całkowitej pewności, iż śmierć Memnona została spowodowana, ale też nie można było tego wykluczyć. Powiedział tylko:

- Tym lepiej.

Nieco później, kiedy kończył się ubierać, wezwał niewolnicę i polecił jej:

- Przygotuj jakiś gorący napój dla sekretarza i dowódcy Ptolemeusza.

46

- Owczy mózdzek - oznajmił perski kucharz, stawiając przed Eumolposem z Soloj talerz z przyrumienionym daniem. Mówiąc to, ukazał w przebiegłym uśmiechu trzydzieści dwa białe zęby pod kruczoczarnymi wąsami.

Namiestnik Syrii, satrapa Ariobarzanes, który leżał na sofie naprzeciw Eumolposa, uśmiechnął się w sposób jeszcze bardziej obłudny.

- Czyż nie jest to twoje ulubione danie?

- Ależ tak, panie, który jesteś światłem Agrian i niezłomnym kondotierem. Niech ozdobi twą głowę tiara w dniu, w którym, oby Ahura Mazda tego nie zechciał, Król Królów będzie musiał wejść na wieżę milczenia, by połączyć się ze swymi znakomitymi przodkami.

- Król Królów cieszy się wspaniałym zdrowiem - odparł Ariobarzanes. - Jedz, proszę! Jak ci smakuje ten mózdzek?

- Mmm... - odparł Eumolpos, przewracając oczami, żeby jak najlepiej wyrazić doznawaną rozkosz.

- Jest to także hasło, którego używasz, przekazując poufne informacje naszym wrogom, czyż nie tak? - spytał Ariobarzanes, nadal się uśmiechając.

Słyszając te słowa, Eumolpos zakrztusił się.

- Trochę wody? - spytał troskliwie kucharz, nalewając mu wody ze srebrnego dzbana, ale purpurowy na twarzy Eumolpos dał ręką znak, że nie chce pić. Kiedy atak kaszlu minął, opanował się, mówiąc z uśmiechem:

- Nie zrozumiałem sympatycznego żartu.

- To nie jest żart - odparł miłym tonem satrapa, odrywając skrzydełko pieczonego drozda, po czym zaczął je ogryzać. - To prawda.

Eumolpos poczuł, że drętwieje ze strachu. Opanował się jednak, sięgnął po mózdzek i zjadł go ze smakiem, po czym rzekł pobłażliwym tonem:

- Dajże spokój, mój znakomity amfitrionie, nie wierzysz chyba w plotki, które może i są dowcipne, ale psują opinię człowieka honoru...

Ariobarzanes przerwał mu uprzejmym gestem, wytarł ręce w fartuch kucharza, wstał i podszedł do okna, dając Eumolposowi znak, by się

zbliżył.

- Podejdz, proszę, mój dobry przyjacielu.

Nie mając wyboru, Eumolpos podszedł do Ariobarzanesa i spojrział w dół. Poczul nagle gorzki smak w ustach i zbladł na twarzy. Ujrzał bowiem swojego posłańca, który przywiązany był za ramiona do pala, a z wielu części nagiego ciała zwisały długie pasma skóry, odsłaniając krwawiące mięśnie. Miejscami ciało było obdarte ze skóry aż do kości, a na szyi, niczym groteskowe korale, wisały jądra nieszczęśnika, który nie dawał już żadnych oznak życia.

- To on nam powiedział - wyjaśnił niewzruszony satrapa.

Opodal hyrkański niewolnik ostrzył nożem koniec akacyjego pala, pocierając go pumeksem, dzięki czemu spiczaste zakończenie stawało się gładkie i lśniące.

Ariobarzanes spojrział na pal, a następnie na Eumolposa, wykonując jednocześnie wymowny gest rękami. Biedak przełknął ślinę, potrząsając głową.

Satrapa uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że się porozumiemy, stary przyjacielu.

- Co... co mogę dla ciebie zrobić? - wybełkotał informator, nie odrywając wzroku od ostrego końca pala, podczas gdy odbyt zaciskał mu się instynktownie, usiłując zatarasować drogę przed groźnym intruzem.

Ariobarzanes wrócił do stołu i położył się na sofie, zachęcając Eumolposa, by uczynił to samo. Biedaczek westchnął z nadzieją, że najgorsze już minęło.

- Jakiej odpowiedzi oczekiwał mały *yauna*? - spytał satrapa, obdarzając tym nieprzychylnym zdrobieniem władcę, który zapanował nad całą Anatolią.

- Król Aleksander... a raczej mały *yauna* - poprawił się Eumolpos - chciał się dowiedzieć, gdzie Król Królów będzie na niego czekał ze swoją armią, by podjąć walkę.

- Wspaniale! Poślesz więc kuriera - ale nie tego, który, jak sądzę, do niczego już się nie nadaje - aby powiedział małemu *yauna*, że Wielki Król oczekuje go u Wrót Syryjskich z połową wojska, pozostawiwszy drugą połowę do ochrony brodu w Tapsakos. To zachęci go do ataku.

- O tak, z pewnością - przyznał pośpiesznie informator. - Ten głupi, zarozumiały chłopak, którego nigdy, uwierz mi, nie lubiłem, rzucił się do ataku z opuszczoną głową, pewny zwycięstwa, wciskając się w wąski korytarz między pasmem górskim Amanos a morzem, gdy tymczasem wy...

- My tymczasem nic - uciął Ariobarzanes. - Jeszcze dzisiaj zrób to, o czym mówiłem. Wezwiesz kuriera do komnaty obok, żebyśmy mogli cię widzieć i słyszeć, i wyślesz go natychmiast do małego *yauna*. Kiedy odniesiemy zwycięstwo, zdecyduję, co z tobą zrobić. Jeśli się do niego przyczynisz, to pal, który widziałeś na dziedzińcu, posłuży innym celom. Ale jeśli coś się nie powiedzie, to... ciach! - powiedział, wsuwając palec wskazujący prawej dłoni w otwór, jaki powstał ze zgięcia palca wskazującego dłoni lewej.

Eumolpos wykonał wszystko tak, jak mu polecono, podczas gdy przez

zamaskowane otwory w ścianach pokrytych malowidłami patrzyły na niego oczy, a uszy słuchały tego, co mówił. Wezwawszy innego kuriera, powiedział mu:

- Powiesz, że twój kolega źle się poczuł, więc wysłałem ciebie. A kiedy zapytają o hasło, powiesz... - tu zakasłał - „owczy mózdzek”.

- „Owczy mózdzek”, mój panie? - spytał zdumiony posłaniec.

- Tak jest, „owczy mózdzek”. Masz jakieś wątpliwości?

- Nie, nie, wszystko w porządku. Już jadę.

- Tak jest, wyjedź natychmiast!

Po chwili Eumolpos z Soloj wyszedł przez drzwi znajdujące się po drugiej stronie sali, gdzie czekał już na niego Ariobarzanes.

- Mogę odejść? - spytał z lekkim niepokojem.

- Możesz odejść - odparł satrapa. - Na razie.

Opuściwszy Gordion, Aleksander przemierzył Frygię Większą, docierając do miasta Ankyra, położonego na kilku niewielkich wzgórzach w głębi wypełnionej mgłą kotliny. Nie zmienił uprawnień satrapy perskiego sprawującego władzę w mieście, pozostawiając mu jeden garnizon pod dowództwem oficerów macedońskich. Następnie wyruszył na wschód, w kierunku olbrzymiej rzeki Halys, wpadającej do Morza Czarnego, która przez wieki stanowiła granicę między światem egejskim a Azją, dokąd, jak sądzono, Grecy nigdy nie zdołają dotrzeć. Wojsko posuwało się wzdłuż rzeki aż do południowego zakola, a następnie wędrowało brzegiem dwóch dużych, słonych jezior, wokół których rozpościerały się rozległe białe obszary.

Aleksander utrzymał na stanowisku również satrapę Kapadocji, który przysiągł mu wierność. Następnie wyruszył prosto na południe, nigdzie nie natrafiając na opór. Dotarł do rozległego płaskowyżu u stóp góry Argajon - śpiącego wulkanu, pokrytego śniegiem, który każdego ranka wynurzał się spośród mgieł, podobny do zjawy. We wczesnych godzinach rannych okoliczne pola pokrywał szron, ale w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej ponad horyzont, przybierały one barwę brunatnoczerwoną.

Wiele pól było zaoranych i obsianych, natomiast w miejscach nie tkniętych jeszcze pługiem widać było żółte ścierniska, na których pasły się niewielkie stada owiec i kóz. Po dwóch dniach marszu oczom żołnierzy ukazał się imponujący łańcuch Tauros, o białych szczytach, które lśniły w słońcu bądź czerwieniały o zachodzie. Nie mogli uwierzyć, że ten olbrzymi obszar otwierał się przed nimi niemal spontanicznie, a liczne zamieszkujące go plemiona, osady i miasta poddawały się, nie stawiając oporu. Sława młodego zdobywcy dotarła już wszędzie, podobnie jak wszędzie rozeszła się wieść o śmierci Memnona, który jako jedyny, po Królu Królów, zdolny był powstrzymać marsz Aleksandra.

Po pięciu dniach spędzonych na płaskowyżu droga stała się bardziej stroma i wspinała się w kierunku przełęczy, która prowadziła do nadbrzeżnej równiny Cylicji. Podczas każdego wieczornego postoju Aleksander, sam lub w towarzystwie Hefajstiona i pozostałych przyjaciół, zasiadał do lektury *Anabazy* Ksenofonta, pamiętnika wyprawy Cyrusa Młodszego, który sześćdziesiąt lat wcześniej przeszedł tym samym

szlakiem. Ateński historyk opisywał przełęcz jako bardzo wąski przesmyk, który trudno było pokonać, zwłaszcza jeśli ktoś go strzegł.

Aleksander osobiście poprowadził maszerującą kolumnę. Kiedy o wschodzie słońca jego postać dostrzegli strażnicy przełęczy, natychmiast rozpoznali go po czerwonej chorągwi ze złotą gwiazdą Argeadów, czarnym koniu, na którego grzbiecie siedział, i srebrnej zbroi, połyskującej przy każdym ruchu jeźdźca. Ujrzeni też nie kończący się wąż ludzi i koni, wspinający się z wolna, nieubłaganie. Stwierdzili więc, że jest ich zbyt mało, by zmierzyć się z wojskiem macedońskim, i czym prędzej zbiegli, pozostawiając wolne przejście.

Na lewej ścianie przełęczy Seleukos dostrzegł wydrapane w skale napisy, które pozostawił prawdopodobnie uczestnik wyprawy opisaną przez Ksenofonta. Pokazał je Aleksandrowi, a ten przyjrzał się odkryciu z dużym zainteresowaniem. Potem ruszyli dalej i dotarli do doliny Kydnos oraz zielonej równiny Cylicji.

- Znajdujemy się w Syrii - stwierdził Eumenes. - Anatolia jest za nami.

- Inny świat! - wykrzyknął Hefajstion, kierując wzrok w stronę cienkiej niebieskiej linii na krańcach równiny. - Widać morze!

- Gdzie też może być Nearchos z naszymi okrętami? - zastanawiał się Perdikkas.

- Gdzieś tam - odparł Leonnatos. - Być może patrzy teraz na te góry i mówi: „Gdzie też oni się skryli? Dlaczego, do licha, ich nie widać?”

- Musimy jak najszybciej zająć przybrzeżne porty - zdecydował Aleksander - a kiedy Nearchos zechce do nich wpłynąć, będzie mógł spokojnie zarzucić kotwicę, nie obawiając się zasadzki.

Ponaglił Bucefała i zaczął zjeżdżać w dół. Lizymach powiedział do Leonnatosu jadącego obok:

- Gdyby postawili uzbrojony garnizon na tych wierzchołkach nad przełęczą, nie prześliznęłyby się nawet mysz.

- Boją się - odparł przyjaciel. - Uciekają jak zające. Nikt nie zdoła nas teraz zatrzymać.

Lizymach pokręcił głową.

- To ty tak myślisz. Nie podoba mi się ta cisza. Moim zdaniem zmierzamy prosto w paszczę lwa, który na nas tylko czeka.

Leonnatos burknął:

- A ja mu wyrwę język. - Potem zawrócił, by skontrolować tył kolumny.

Po kilkudziesięciu stadionach klimat całkowicie się zmienił, przechodząc z zimnego i suchego, jaki panował na płaskowyżu, w gorący i wilgotny. Z powodu ciężkich zbroi wszyscy pocili się w upale.

Po dwóch postojach dotarli do Tarsu, miasta położonego w niewielkiej odległości od morza. Otworzyło ono im swoje bramy po ucieczce satrapy Cylicji, pragnącego dołączyć do armii Króla Królów. Aleksander polecił rozbić obóz na równinie, on zaś, wybrane zastępy i wysocy oficerowie zamieszkali w najlepszych domach w mieście. Wkrótce zapowiedziano władcy czyjąś wizytę.

- Przybył kurier, który pragnie mówić z tobą osobiście, panie - oznajmił jeden z wartowników stojących przy wejściu.

- Kto go przysłał?

- Mówi, że przybywa od Eumolposa z Soloj.

- Powinien więc znać hasło.

Wartownik wyszedł, a po chwili dał się słyszeć jego śmiech. Był to więc z pewnością posłaniec Eumolposa.

- Hasło brzmi... - zaczął wartownik, z trudem powstrzymując śmiech.

- Przestań się wygłupiać! - uciął król.

- Hasło brzmi: „owczy mózdzek”.

- To on. Każ mu wejść.

Wartownik wyszedł, chichocząc, po czym wprowadził wysłannika.

- Panie, przysłała mnie Eumolpos z Soloj.

- Wiem, tylko on ma takie zabawne hasło. Dlaczego nie przyjechał ten poprzedni kurier? Nigdy przedtem cię nie widziałem.

- Tamten kurier spadł z konia, doznając obrażeń.

- Co masz mi przekazać?

- Ważne wieści, mój panie. Król Królów jest już bardzo blisko, a Eumolpos przekupił adiutanta z obozu Dariusza i dowiedział się, gdzie odbędzie się bitwa, w której masz zostać pokonany.

- Gdzie?

Rozejrzawszy się dookoła, kurier dostrzegł opartą o sztalugi mapę, którą Aleksander zawsze woził ze sobą. Przyłożył palec do miejsca na równinie między górą Karmel a wzgórzem Amanos.

- Tutaj - powiedział. - Przy Wrotach Syryjskich.

47

Wieść rozeszła się po obozie lotem błyskawicy, wywołując powszechną panikę.

- Król nie żyje! Król nie żyje!

- Jak to się stało?

- Utonął.

- Nie, otruto go.

- Perski szpieg.

- Gdzie on jest?

- Nie wiadomo. Uciekł.

- Ścigajmy go więc. Dokąd pojechał?

- Zaczekajcie, nadchodzi Hefajstion z Ptolemeuszem!

- Jest też Filip, medyk króla.

- A więc żyje!

- Skąd mam wiedzieć? Słyszałem, że nie żyje.

Żołnierze natychmiast zgromadzili się wokół trójki mężczyzn, którzy próbowali przedrzeć się przez tłum, chcąc wydostać się z obozu. Grupa koniuszych ustawiła się w szyku, by pozwolić im szybko pokonać odległość z namiotu Filipa do wyjścia.

- Jak to się stało? - spytał medyk.

- Właśnie skończyliśmy jeść obiad - zaczął Hefajstion.

- Był potworny upał - ciągnął Ptolemeusz.

- Piliście coś? - spytał Filip.

- Król był w świetnym humorze i wychylił „kielich Heraklesa”.

- Pół amfory wina - burczał medyk.

- Tak - przyznał Ptolemeusz. - Potem powiedział, że nie może już wytrzymać tego upału, a widząc z okna nurt Kydnos, zawołał: „Idę się wykapać!”

- Z pełnym żołądkiem?! - wykrzyknął rozwścieczony Filip.

Tymczasem dotarli do koni. Wsiedli na ich grzbiety i pędem pogalopowali w stronę rzeki, która znajdowała się w odległości dwóch stadionów.

Władca leżał na ziemi w cieniu figowca. Położono go na macie, przykrywając płaszczem. Jego twarz była ziemistej barwy, miał podkrążone oczy i sinawe paznokcie.

- Do licha! - wykrzyknął Filip, zeskakując z konia. - Dlaczego mu tego nie zabroniliście?! Ten człowiek ledwo żyje. Odsuńcie się, odsuńcie się!

- Ale my... - bełkotał Hefajstion. Nie skończył zdania, odwracając się w stronę pobliskiego drzewa, żeby ukryć łzy.

Odkrywszy Aleksandra, medyk przystawił mu ucho do piersi. Usłyszał słabe, nieregularne bicie serca. Natychmiast przykrył go ponownie.

- Prędko! - rozkazał, zwracając się do jednego z koniuszych. - Pędź do domu króla i powiedz Leptine, żeby szykowała gorącą kąpiel i postawiła kocioł z wodą na ogień, rozpuszczając w niej te zioła, dokładnie w takich proporcjach, jak ci napiszę. - Wyjawszy z torby tabliczkę i rylec, napisał pośpiesznie przepis. - A teraz jedź już! Z prędkością wiatru!

- Co możemy zrobić? - zapytał Hefajstion.

- Zróbcie matę z trzciny i umocujcie ją do pary jucznych koni. Musimy zawieźć go do domu.

Wyjawszy miecze z pochew, żołnierze ścięli kilka wiązek trzciny rosnącej nad rzeką i wykonali polecenie medyka. Następnie delikatnie podnieśli króla i położyli go na macie, okrywając płaszczem. Niewielki orszak ruszył, pod wodzą Hefajstiona, który prowadził konie za uzdę, by regulować ich krok.

Leptine powitała ich spojrzeniem pełnym niepokoju, nie mając odwagi nikogo o nic pytać. Na widok władcy zrozumiała, że jego stan jest bardzo poważny. W pośpiechu zaprowadziła żołnierzy niosących króla do łazienki, zagryzając wargi, żeby opanować płacz. Aleksander nie dawał oznak życia. Miał sine wargi, a paznokcie niemal czarne. Kiedy Hefajstion przykląkł i podniósł władcę, głowa i ramiona Aleksandra opadły bezwładnie, jak u zmarłego.

W tej samej chwili podszedł Filip.

- Połóż go do wanny, ale ostrożnie - polecił. - Zanurzaj ciało stopniowo.

Wykonując polecenie medyka, Hefajstion mrucał coś pod nosem - zaklęcia lub przekleństwa. Tymczasem przybyli pozostali towarzysze i ustawili się wokół wanny. Nie podchodzili jednak zbyt blisko, by nie utrudniać działania Filipowi.

- Mówiłem mu, żeby nie skakał do wody zaraz po jedzeniu, w dodatku taki rozgrzany, ale nie chciał mnie słuchać - wyszeptał Leonnatos do Perdikkasa. - Powiedział, że robił to już tysiąc razy i nigdy mu nie zaszkodziło.

- Zawsze nadchodzi ten pierwszy raz - skomentował Filip, patrząc na nich. - Niezłe z was gagatki! Kiedy w końcu zrozumiecie, że jesteście już

dorośli? I że ponosicie odpowiedzialność za cały naród? Dlaczego go nie zatrzymaliście? Dlaczego?

- Próbowaliśmy... - usprawiedliwiał się Lizymach.

- Akurat! Niech was wszystkich szlag trafi! - zaklął przez zęby Filip, masując ciało króla. - Wiecie, dlaczego do tego doszło? Wiecie? Na pewno nie wiecie. - Młodzi ludzie stali ze spuszczoneymi głowami, jak dzieci przed wychowawcą. - Latem śniegi z góry Tauros spływają do rzeki, której bieg jest bardzo krótki, a koryto głębokie, dlatego też woda nie zdąży się ogrzać i wpada do morza, kiedy jest jeszcze lodowata. To zupełnie tak, jakby nagi Aleksander zanurzył się w śniegu!

Tymczasem Leptine przyklękła obok wanny, czekając na polecenia lekarza.

- Bardzo dobrze, teraz mi pomożesz. Masuj go w ten sposób, od żołądka w górę, powoli. Postaramy się przywrócić proces trawienia.

Hefajstion podszedł do Filipa i pokazując na władcę palcem, powiedział:

- Aleksander jest królem i czyni to, co chce. Żaden z nas nie może mu tego zabronić. Ty natomiast jesteś lekarzem, więc masz go wyleczyć, jasne? Zrozumiałeś? Masz go wyleczyć, i już!

Filip spojrział mu prosto w oczy.

- Nie mów do mnie takim tonem, bo nie jestem twoim sługą. Robię to, co należy, i w sposób, jaki uznaję za słuszny, jasne? A teraz wyjdźcie stąd, wszyscy! - W chwilę później, kiedy już wychodzili, dodał: - Z wyjątkiem jednego, gdyż potrzebuję kogoś do pomocy.

Hefajstion zatrzymał się.

- Mogę zostać?

- Tak - mruknął Filip - ale usiądź na tamtym krześle i nie denerwuj mnie.

Tymczasem na twarz króla powróciły kolory, ale w dalszym ciągu był nieprzytomny i miał zamknięte oczy.

- Trzeba mu opróżnić żołądek - zdecydował Filip. - Jak najszybciej, bo w przeciwnym razie nie przeżyje. Leptine, przygotowałaś to, o co cię prosiłem?

- Tak.

- Przynieś więc ten napój, a ja go pomasuję.

Leptine wróciła z buteleczką wypełnioną ciemnozielonym płynem.

- Teraz musicie mi pomóc - zarządził Filip. - Hefajstionie, otwórz mu usta, gdyż musi wypić ten napar.

Hefajstion wykonał, o co go proszono, a medyk wlewał stopniowo zawartość buteleczki w usta Aleksandra. Przez jakiś czas władca nie reagował, ale po chwili jego ciało gwałtownie drgnęło i zaczął wymiotować.

- Co mu dałeś? - spytała przerażona Leptine.

- Środek wymiotny i lekarstwo, które przywróci do życia jego organizm, mimo że pogodził się już ze śmiercią.

Aleksander długo wymiotował, a Leptine przytrzymała go za czoło. Przybiegli też służący, którzy umyli podłogę pod wanną. Następnie chory dostał konwulsji, a z jego piersi dobywało się rżenie.

Ponieważ lekarstwo Filipa było niezwykle mocne, wywołało natychmiastową reakcję organizmu króla i jednocześnie bardzo go osłabiło.

Król przeżył, ale musiał się poddać długotrwałej rekonwalescencji. Towarzyszyły jej częste nawroty choroby, charakteryzujące się wysoką gorączką, trwającą wiele dni.

Upłynęły miesiące, zanim nastąpiła widoczna poprawa. Tymczasem ludzie stracili wszelki optymizm, twierdząc, że władca zmarł, mimo iż nikt im tego wyraźnie nie powiedział. W końcu, na początku jesieni, Aleksander wstał i pokazał się żołnierzom, żeby dodać im otuchy. Musiał jednak znowu położyć się do łóżka.

Wkrótce zaczął spacerować po komnacie, a Leptine biegła za nim z filiżanką rosółu, błagając:

- Wypij to, mój panie, wypij, dobrze ci to zrobi.

Przed wieczorem przychodził zwykle Filip, aby zbadać chorego. Całe dni spędzał w obozie, ponieważ wielu żołnierzy rozchorowało się z powodu zmiany klimatu i wyżywienia. Jedni z nich mieli rozwolnienie, inni gorączkę i nudności.

Pewnego wieczoru Aleksander siedział przy stole, odpowiadając na listy z Macedonii i podległych prowincji, kiedy przybył kurier z zalakowanym, poufnym pismem od generała Parmeniona. Król otworzył list, ale w tej samej chwili wszedł Filip.

- Jak się dzisiaj czujesz, panie? - spytał, przygotowując napój, który chciał podać królowi.

Aleksander przebiegł wzrokiem pismo od starego generała.

Parmenion do króla Aleksandra, bądź pozdrowiony!

Zgodnie z informacjami, które otrzymałem, twój medyk Filip został przekupiony przez Persów i podaje ci truciznę. Bądź czujny.

Skończywszy czytać, odparł:

- Raczej dobrze. - I wyciągnął rękę po kielich z napojem. Drugą ręką natomiast podał Filipowi list, a sam zaczął pić lekarstwo.

Medyk wcale się nie zmieszał, a kiedy król przestał pić, przelał resztę lekarstwa do dzbanka, mówiąc:

- Kolejną porcję wypijesz dzisiaj wieczorem przed snem. Jutro będziesz mógł zjeść coś konkretnego. Zostawię Leptine zalecenia dotyczące diety, której musisz ściśle przestrzegać.

- Mogę ci to obiecać - zapewnił król.

- Wracam teraz do obozu, bo wielu ludzi choruje. Wiesz o tym?

- Wiem - odparł Aleksander. - I to mnie martwi. Dariusz jest coraz bliżej, czuję to. Muszę jak najszybciej nabrać sił.

Kiedy Filip szykował się do wyjścia, Aleksander spytał:

- Kto się za tym kryje twoim zdaniem?

Filip wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Znam jednak kilku młodych, zdolnych i ambitnych chirurgów, którym mogłoby zależeć na stanowisku nadwornego lekarza. Gdyby coś mi się stało, któryś z nich chętnie zająłby moje miejsce.

- Wskaż mi ich, a ja...

- Lepiej nie, panie. Już niedługo będą nam potrzebni, a nie wiem, czy nie przydałoby się mieć ich jeszcze więcej.

- W każdym razie dziękuję za zaufanie - dodał, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

48

W połowie jesieni załoga Nearchosa spuściła kotwicę u wybrzeży Tarsu. Admirał zszedł na ląd, by powitać i uściskać Aleksandra, który powrócił już do zdrowia.

- Czy wiesz, że Dariusz ma zamiar odciąć nam drogę do Wrót Syryjskich? - powiedział król.

- Perdikkas mówił mi o tym. Niestety podczas twojej choroby miał wystarczająco dużo czasu, żeby umocnić swoje pozycje.

- Zgoda, ale posłuchaj, jaki mam plan. Otóż pójdziemy wzdłuż wybrzeża, dotrzemy do przełęczy, a następnie wyślemy zwiadowców, żeby dowiedzieli się, gdzie jest Dariusz. Uderzając z zaskoczenia, wyprzemy jego garnizon, po czym z całym wojskiem zejdziemy w dół i zaatakujemy jego oddziały stacjonujące na równinie. Persowie mają jednak znaczną przewagę liczebną, dziesięciu na jednego.

- Dziesięciu na jednego?

- Otrzymałem takie informacje. Chorzy i rekonwalescenci pozostaną w Issos, po czym podejmiemy marsz w stronę wąwozu. Wyruszymy jutro rano. Podążysz za nami z flotą i od tej pory będziemy zachowywać odległość, która pozwoli na sygnalizację bezpośrednią.

Nearchos powrócił na okręt, a następnego dnia podniósł kotwicę i przyjął kurs na południe, podczas gdy wojsko maszerowało lądem w tym samym kierunku. Niebawem armia dotarła do Issos, niewielkiego miasteczka u stóp gór, które rozciągały się wokół niczym widownia teatru. Aleksander wydał dyspozycję, by umieścić w nim ludzi niezdolnych do walki, a następnie podjął marsz w kierunku Wrót Syryjskich.

Następnego wieczoru wysłał zwiadowców na rozpoznanie, gdy tymczasem z okrętu admirała Nearchosa przekazano wiadomość, że niebawem rozpęta się burza na morzu.

- Tylko tego nam brakowało! - narzekał Perdikkas.

Jego ludzie usiłowali rozbić namioty, lecz wiatr, wiejący z coraz większą siłą, szamotał nimi i nadymał jak żagle okrętów podczas burzy. Kiedy w końcu, przed zapadnięciem nocy, obóz był gotowy, rozpętała się nawałnica, której towarzyszyła ulewa, oślepiające błyskawice i grzmoty uderzające w skalne ściany.

Nearchos ledwo zdążył przybić do brzegu, a jego załoga już wbijała w piasek cumownice i przywiązywała do nich liny, które pozostali marynarze zrzucali z okrętu.

W końcu sytuację opanowano. Naczelne dowództwo zebrało się w namiocie Aleksandra, by zjeść skromną wieczerzę i przedyskutować plany na następny dzień. Gdy nadeszła pora spoczynku, nadjechał posłaniec z Issos. Był przemoknięty i zablocony. Kiedy, zdyszany, stanął przed królem, wszyscy podnieśli się z miejsc.

- Co się dzieje? - spytał Aleksander.

- Panie - zaczął człowiek, jak tylko złapał oddech - wojsko Dariusza jest tuż za nami, w Issos.

- Co powiedziałaś?! Chyba jesteś pijany! - zawołał Aleksander.

- Niestety, nie. Spadli na nas zniecka, o zmierzchu. Zaskoczyli strażę za miastem i uwięzili wszystkich chorych żołnierzy, których tam zostawiłeś.

Aleksander uderzył pięścią w stół.

- Przeklęty Dariusz! Teraz będziemy musieli z nim pertraktować, żeby oddał naszych ludzi.

- Nie ma innego wyjścia - stwierdził Parmenion.

- Jak to się stało, że są za nami? - zastanawiał się Perdikkas.

- Tędy nie mogli przejść, bo my tu jesteśmy - zauważył i towarzysze, niosąc lampy. Nearchos wszedł na pokład okrętu, wydając załodze rozkaz, by odcumować i przystąpić do wiosłowania. Po chwili okręt wykonał obrót, kierując się na północ, a kiedy się oddalał, na dziobie pojawił się biały żagiel.

- On jest szalony - mruknął Ptolemeusz, próbując zasłonić oczy smagane deszczem. - Postawił żagiel!

- Nie jest szalony - odparł Eumenes. - Jest najlepszym marynarzem, jaki kiedykolwiek dopłynął do słupów Heraklesa, i dobrze o tym wie.

Białą plamę żagla wkrótce pochłonęły ciemności. Aleksander i towarzysze powrócili do namiotu króla, żeby ogrzać się przy piecyku przed udaniem się na spoczynek. Król był zbyt zdenerwowany, żeby zasnąć, więc przez dłuższy czas stał pod dachem chroniącym wejście do namiotu i patrzył na szalejącą burzę, spoglądając co pewien czas na Peritasa, który skowyczał przy każdym grzmocie. Nagle zobaczył, jak piorun trafił w dąb stojący na szczycie wzgórza i roztrzaskał go. Olbrzymi pień zapalił się, a w blasku płomieni Aleksander dostrzegł biały płaszcz Arystandrosa. Jego nieruchoma postać stała pośród wiatru i deszczu, z rękami wzniesionymi do nieba. Król poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach. Zdawało mu się, że słyszy krzyki wielu umierających ludzi, rozpaczliwy płacz dusz, które przedwcześnie umykają do państwa podziemia. W chwilę później umysł Aleksandra zdawał się pogrążyć w nieświadomości.

Burza szalała całą noc. Dopiero nad ranem chmury zaczęły ustępować, ukazując skrawki błękitnego nieba. Kiedy słońce wyrzało znad szczytów łańcucha Tauros, wypogodziło się, a o morski brzeg rozbijały się długie fale, z grzywami białej piany.

Przed południem powrócili zwiadowcy, których Aleksander wysłał na południe w kierunku Wrót Syryjskich. Stawili się przed królem, by zdać mu relację z wyprawy.

- Panie, nikogo tam nie ma. Równina też jest pusta.

- Nie rozumiem - powiedział Aleksander. - Cyrus z armią także tędy przechodził. Nie ma innego przejścia...

Wątpliwości króla rozwiązały się wraz z powrotem Nearchosa, którego okręt przyplłynął o zmierzchu. Jego załoga nieźle się napracowała, wiosłując pod wiatr, żeby przekazać Aleksandrowi wiadomość, na którą czekał. Zaledwie zauważono okręt, król pośpieszył na nabrzeże, by powitać admirała płynącego szalupą.

- A więc? - spytał Aleksander, kiedy Nearchos dotknął stopą ziemi.

- Niestety, kurier powiedział ci prawdę. Są za nami i są ich setki tysięcy.

Mają konie, wozy bojowe, łuczników, procarzy, lansjerów...

- Ale jak się przedostali?

- Istnieje jeszcze jedna przełęcz, Wrota Amańskie, które znajdują się w odległości pięćdziesięciu stadionów stąd, w kierunku północnym.

- Eumolpos nas sprzedał! - złorzeczył Aleksander. - Ściągnął nas do tego korytarza między górami a morzem, podczas gdy Dariusz zaczął podążać za nami, odcinając nas od Macedonii.

- Nie wiadomo, czy zrobił to specjalnie - zauważył Parmenion. - Może ktoś go zauważył i musiał tak postąpić. A może Dariusz miał nadzieję, że zaskoczy cię w Tarsie, kiedy chorowałeś.

- To nie zmienia naszej sytuacji - zauważył Ptolemeusz.

- Słusznie - poparł go Seleukos. - Mamy kłopoty.

- Co teraz zrobimy? - spytał Leonnatos, który do tej pory stał ze zwieszoną głową, a teraz nagle podniósł swą piegowatą twarz.

Aleksander milczał, zastanawiając się chwilę, po czym powiedział:

- Dariusz na pewno zna już nasze położenie. Jeśli tu pozostaniemy, zmiążdży nas.

49

Przed świtem Aleksander zwołał wszystkich na naradę do swego namiotu. Niewiele spał tej nocy, ale wyglądał na wypoczętego.

W kilku słowach przedstawił swój plan.

- Przyjaciele, armia perska przewyższa nas liczebnie, musimy więc opuścić to miejsce. Poza tym zbyt dobrze nas widać. Za nami rozciąga się rozległa równina, przed nami natomiast są góry, zatem Dariusz mógłby nas otoczyć i z łatwością pokonać. Musimy zawrócić i zmierzyć się z nim w jakimś wąskim miejscu, gdzie nie będzie mógł użyć całej siły.

Nie spodziewa się, że zawrócimy, dlatego zaatakujemy go z zaskoczenia. Przypominacie sobie miejsce, w którym rzeka Pinaros wpada do morza? Będzie ono najwłaściwsze. Oficerowie piechoty powiedzieli mi, że obszar między wzgórzami a morzem ma tam około dziesięciu, najwyżej dwunastu stadionów, a wolny teren nie przekracza trzech stadionów szerokości, będzie więc dla nas odpowiedni. Ustawimy najbardziej bezpieczny szyk, czyli: pośrodku staną bataliony falangi pezetajrów oraz najemnicy greccy, na prawym skrzydle, od strony wzgórz, będę ja z ilą i szwadronami jazdy hetajrów, na lewym skrzydle natomiast, od strony morza, będzie nas osłaniał generał Parmenion z resztą jazdy ciężkiej i jazdą tessalską. Trakowie i Agrianie staną ze mną w drugiej linii jako posiłki.

Falanga ruszy do frontalnego ataku, a na flankach walczyć będzie jazda, podobnie jak pod Cheroneją i nad Granikiem. To wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Niech bogowie mają nas w opiece! Idźcie teraz do waszych oddziałów i ustawcie je w szyku bojowym, ponieważ pragnę dokonać przeglądu armii.

Kiedy król przemawiał do żołnierzy, panowały jeszcze ciemności. Siedział na grzbiecie Bucefała i miał na sobie bojową zbroję, a jego pierś chronił srebrny pancerz, ozdobiony srebrnymi fryzami i brązową gorgoną wyrzeźbioną na sercu. U boku króla stała ochrona osobista i towarzysze: Hefajstion, Lizymach, Seleukos, Leonnatos, Perdikkas, Ptolemeusz i

Krateros. Wszyscy okryci byli od stóp do głów żelazem, brązem i hełmami, które wieńczyły długie kity, powiewające na zimnym jesiennym wietrze.

- Żołnierze! - zawołał król. - Pierwszy raz, odkąd stanęliśmy w Azji, mamy przed sobą armię perską pod wodzą samego Króla Królów. Zaszedł nas od tyłu, a jego wojsko odcina nam odwrót. Z pewnością ma zamiar iść wzdłuż wybrzeża, zepchnąć nas w stronę gór i zmiażdżyć, licząc na swoją liczebną przewagę. My jednak nie będziemy na niego czekać, tylko wyjdziemy mu na spotkanie, zaskoczmy go w wąskim przejściu i pokonamy. Nie mamy wyjścia, żołnierze! Możemy tylko zwyciężyć, bo w przeciwnym razie zostaniemy unicestwieni. Pamiętajcie! Król Królów jest zawsze pośrodku swoich szyków. Jeśli zdołamy zabić go lub schwytać, to w jednej chwili wygramy wojnę i zdobędziemy jego imperium. A teraz pragnę usłyszeć waszą odpowiedź, żołnierze! Pozwólcie mi usłyszeć łoskot waszej broni!

Armia odpowiedziała królowi jednym głośnym okrzykiem, po czym oficerowie i żołnierze, wyciągnawszy miecze z pochew, zaczęli rytmicznie uderzać nimi o tarcze, wypełniając równinę ogłuszającym łoskotem. Aleksander uniósł włócznie, ściskając nogami boki Bucefała, który ruszył majestatycznym krokiem. Po obu stronach króla jechali pozostali wojownicy, szczelnie okryci zbrojami. Za nimi dał się słyszeć ciężki, równomierny krok falangistów i odgłos tysięcy końskich kopyt.

Przez kilka godzin armia postępowwała na północ, nie napotykając żadnych trudności, ale około południa powróciła galopem grupa zwiadowców, którzy wyjechali na rozpoznanie.

- Królu! - wykrzyknął dowódca z wyrazem przerażenia na twarzy. - Barbarzyńcy zwrócili nam ludzi, których pozostawiliśmy w Issos. - Aleksander patrzył na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi. - Wszystkich okaleczyli, panie, obcięli im ręce. Wielu z nich wykrwawiło się na śmierć, inni z trudem ciągną drogą, krzycząc i jęcząc z bólu. Przerażający widok!

Władca pogalopował w kierunku swych zmasakrowanych żołnierzy. Na widok króla wyciągnęli do niego zakrwawione ramiona, a raczej kikuty, przewiązane byle jak brudnymi szmatami.

Aleksander wykrzywił twarz w grymasie bólu, po czym zeskoczył z konia, krzycząc i płacząc jak obłąkany, zaczął ich kolejno obejmować. Jakiś weteran przywłókł się do stóp króla, żeby mu coś powiedzieć, ale zabrakło mu sił i osunął się bezwładnie w błoto.

Aleksander zawołał:

- Wezwijcie Filipa, wezwijcie innych lekarzy, szybko! Niech natychmiast zajmą się tymi ludźmi! - Następnie, zwróciwszy się do oddziałów, powiedział: - Widzicie, co spotkało waszych towarzyszy! Teraz już wiecie, co was czeka, jeśli przegramy. Nie zaznamy spokoju, dopóki nie pomścimy tej masakry!

Filip zorganizował pomoc dla rannych i kazał odwieźć ich wozami z powrotem do obozu. Następnie powrócił do maszerujących żołnierzy, ponieważ wiedział, że będą go potrzebowali jeszcze przed zachodem słońca.

Okolo południa dostrzeżono wojsko Dariusza, które rozwinęło szyki na długiej linii wzdłuż północnego brzegu rzeki Pinaros. Widok był naprawdę

imponujący: co najmniej dwieście tysięcy żołnierzy ustawionych w szyku bojowym, w kilku szeregach, przed którymi stały wozy z kołami uzbrojonymi w groźne kosy. Na flankach stali jeźdźcy medyjscy, kissyjscy, sakijscy i hyrkańscy, pośrodku, za wozami, stała doborowa piechota Nieśmiertelnych - osobista straż Dariusza, wyposażona w srebrne kołczany, włócznie o połączonych szpicach i długie, podwójnie wygięte łuki.

- Na bogów Olimpu! Ilu ich jest! - wykrzyknął Lizymach.

Aleksander milczał, wpatrując się w środek nieprzyjacielskich szyków, w poszukiwaniu wozu Króla Królów. Z zamyślenia wyrwał go Ptolemeusz, wołając:

- Spójrz! Persowie okrążają nas od prawej!

Spoglądając w kierunku wzgórz, król dostrzegł szwadron kawalerii, który wjeżdżał na wzniesienia, zataczając koło.

- Nie możemy walczyć z nimi z tak dużej odległości. Poślijcie Traków i Agrian, żeby ich powstrzymali. Nie mogą przejść za żadną cenę. Dajcie sygnał, ruszamy do ataku!

Ptolemeusz ruszył galopem w kierunku oddziałów Traków i Agrian, by wysłać ich na wzgórze, Hefajstion zaś dał znak trębaczom, by zadęli w trąby. Odpowiedziały im dźwięki trąb na lewym skrzydle, po czym armia macedońska ruszyła.

- Spójrzcie tam! - zawołał Hefajstion. - Ciężkozbrojna piechota grecka! Ustawili ją pośrodku.

- A tam - wtrącił Perdikkas - wbijają w ziemię zaostrzone pale.

- Rzeka przybrała - dodał Lizymach. - Po deszczu, który padał tej nocy...

Aleksander milczał, patrząc na Agrian i Traków, którzy zaatakowali Persów, zmuszając ich do odwrotu. Tymczasem rzeka Pinaros była już blisko. Nie była głęboka, ale miała szybki nurt i błotniste brzegi. W pewnej chwili król podniósł rękę, a trąby zagrały sygnał do ataku.

Falangiści, opuściwszy sarisy, rozpoczęli natarcie. Po lewej ruszyła jazda tessalska, natomiast Aleksander, ścisnąwszy boki Bucefała, poprowadził swoich hetajrów. Zatoczył szeroki łuk na prawo, po czym skierował konia w stronę rzeki, do miejsca, gdzie była najwęższa. Za nim podążył cały szwadron, zanim Persowie zdążyli temu przeszkodzić. Następnie zawrócił i z wyciągniętą włócznią uderzył we flankę nieprzyjaciela. W tej samej chwili do rzeki weszli falangiści i zaczęli się przeprawiać na prawy brzeg, gdzie czekała już ciężkozbrojna piechota najemników greckich, ustawionych w zwartym szyku bojowym. Nierówny, śliski teren oraz wystające gdzieś skały spowodowały, że szyk macedoński się załamał, co wykorzystali Grecy, rzucając się w powstałe luki i podejmując zacieklą walkę wręcz z hetajrami. Krateros, który walczył po prawej stronie falangi, widząc, że grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo, rozkazał zadać w trąby i wezwać na pomoc koniuszych, by wypełnili luki w szeregach. Tymczasem wielu hetajrów musiało zrezygnować z saris i chwycić za krótkie miecze, którymi bronili się przed gwałtownym atakiem greckich najemników, ale ich położenie było bardzo ciężkie.

W tej samej chwili na lewym skrzydle Parmenion rzucił do walki

jeźdźców tessalskich, którzy zmierzyli się z prawym skrzydłem Persów, gdzie szwadrony ustawione były w kilku szeregach, walczących jeden po drugim, falami. Pierwszy szereg wyrzucał grad oszczepów, następnie wycofywał się, podczas gdy druga i trzecia fala rzucała się do przodu w niewielkich odstępach czasu. Z kolei ruszali do natarcia Hyrkanowie i Sakowie, których osłaniali łucznicy z Kissji. W tłum walczących Persowie rzucili też szwadron wozów, jednak na nierównym terenie wiele z nich się przewróciło, a przerażone konie uciekły, wlokąc za sobą woźniców, przywiązanych za przeguby do lejców. Nieszczęśnicy roztrzaskali się o skały.

Walka trwała wiele godzin, a Persowie wciąż rzucali do niej kolejne świeże oddziały, pochodzące z niewyczerpanych posiłków. W pewnej chwili oddział koniuszych pod wodzą Kraterosa zdołał przedostać się na tyły piechoty greckich najemników, odciął ją od reszty perskiego wojska, po czym przełamał jej szyki. Kiedy greccy najemnicy, wyczerpani długotrwałą walką, uginający się pod ciężarem zbroi, znaleźli się między dwiema liniami wroga, zaczęli się wycofywać, rozpraszać, a na koniec zostali pokonani przez jazdę tessalską. Wówczas koniuszowie przesunęli się na boki, a falanga hetajrów odnowiła szyki, opuściła sarisy i ruszyła w kierunku szerokiego frontu, jaki tworzyło dziesięć tysięcy Nieśmiertelnych Dariusza, postępujących ciężkim krokiem, tarcza przy tarczy, z uniesionymi włóczniami. Na tyłach dał się słyszeć dźwięk trąby, a następnie łoskot zagłuszający ludzkie okrzyki, rżenie koni i szczęk oręża - to była Cheroneja! Olbrzymi bęben, który przewieziono w częściach, został zmontowany, a następnie przyciągnięty siłą ośmiu koni na linię walki, by połączyć swój silny dźwięk z krzykami wojowników.

Hetajrowie zawołali: *Alalalài!* i rzucili się do walki, nie zwracając uwagi na zmęczenie czy bolesne rany. Byli zabłoceni, zakrwawieni, podobni do rozwścieczonych Furii, ale Nieśmiertelni Wielkiego Króla nie wystraszyli się, tylko zaatakowali z jeszcze większą siłą. Obydwie armie zakołysały się w straszliwym pojedynku, a front wielokrotnie przesuwał się to do przodu, to do tyłu, ustępując pod gwałtownym naciskiem raz jednej, raz drugiej siły.

Aleksander walczył na prawym skrzydle w pierwszej linii, mając przed sobą herolda dierżącego czerwoną chorągiew z szesnastoramienną gwiazdą Argeadów. Król wysyłał do ataku oddziały za oddziałami, ale szwadrony jeźdźców arabskich i asyryjskich kontratakowały za każdym razem z takim samym męstwem, pod osłoną gęstego gradu strzał wysyłanych przez łuczników medyjskich i armeńskich. Kiedy słońce chyliło się ku morzu, Trakowie i Agrianie zdołali w końcu pokonać jazdę perską, jednocząc następnie swe siły, by wesprzeć oddziały piechoty prowadzące zażartą walkę wręcz. Ich przybycie dodało odwagi hetajrom wyczerpanym nie kończącą się bitwą, natomiast Aleksander ponowił atak ili królewskiej, wydając dziki okrzyk i ponaglając Bucefała. Walecznemu zwierzęciu udzielił się zapał rycerza, więc zarżał, stając dęba, a następnie ruszył do przodu, zapierając się na potężnych pęcinach i przedzierając przez tłum nieprzyjaciół z niepohamowaną energią.

Na widok bojowego wozu Dariusza znajdujące się w odległości

najwyżej stu stóp w Aleksandra wstąpiły nowe siły. Władca macedoński parł naprzód, zabijając mieczem wszystkich, którzy starali się go powstrzymać. W pewnej chwili, niemal nieprzytomny ze zmęczenia, ujrzał przed sobą swego przeciwnika. Dwaj królowie spojrzeli sobie w oczy, lecz w tym samym momencie Aleksander poczuł silny ból w udzie. Okazało się, że to strzała traciła go nad kolanem, więc wyszarpnął ją jednym ruchem, zaciskając zęby z bólu. Kiedy podniósł wzrok, Dariusza już nie było. Jego woźnica zawrócił konie i smagając je batem, odjeżdżał w stronę gór ścieżką prowadzącą do Wrót Amańskich.

Perdikkas, Ptolemeusz i Leonnatos otoczyli rannego króla, robiąc wokół niego miejsce, gdy tymczasem Aleksander wołał:

- Dariusz ucieka! Ścigajcie go!

Wskutek koncentrycznego ataku Macedończyków Persowie zaczęli się wycofywać. Tylko Nieśmiertelni pozostali na miejscu, utworzyli zamknięty czworobok i nadal odpierali ataki nieprzyjaciół, odpowiadając na każdy ich cios.

Aleksander oderwał kawałek płaszcza, przewiązał nim ranę, po czym rzucił się w pościg za Dariuszem. Nagle wyrósł przed nim jeden z jeźdźców ze straży królewskiej z mieczem w dłoni, więc Aleksander wyciągnął zza strzemięcia obosieczny topór, zakręcił nim w powietrzu i przeciął na pół miecz przeciwnika, który na chwilę stracił orientację. Król uniósł broń, by go dobić, ale w tym samym momencie, dzięki dziwnej grze światła, rozpoznał ciemną twarz i kruczoczną brodę potężnego łucznika. Wiele lat temu zaatakowała Aleksandra lwica, którą człowiek ten położył jedną strzałą, z odległości stu kroków. Wydarzyło się to pewnego świątecznego dnia podczas polowania na kwitnącej równinie Eordai. Pers także rozpoznał Aleksandra, a teraz patrzył na niego w milczeniu, jakby rażony piorunem.

- Niech nikt nie waży się tknąć tego człowieka! - wykrzyknął Aleksander, ruszając galopem za swoimi towarzyszami.

Pościg za Dariuszem trwał kilka godzin. Królewska kwadryga pojawiała się w oddali, to znów znikwała na ścieżkach ukrytych w gęstej roślinności pokrywającej szczyty wzgórz. W pewnej chwili za jednym z zakrętów Aleksander i przyjaciele natknęli się na wóz Króla Królów ze złotym kołczanem, włócznią i łukiem, a z jego boku zwisał królewski płaszcz.

- Dalszy pościg nie ma sensu - stwierdził Ptolemeusz. - Zrobiło się ciemno, a Dariusz ucieka na wypoczętym koniu. I tak nie schwytalibyśmy go. Poza tym jesteś ranny - dodał, patrząc na zakrwawione udo Aleksandra. - Wracajmy. Bogowie byli dziś dla nas bardzo łaskawi.

50

Aleksander powrócił do obozu w środku nocy. Po przemierzeniu równiny ogarniętej pożogą, usłanej ciałami poległych i padliną, był zakrwawiony i zabłocony od stóp do głów. Również Bucefał pokryty był krwawym, na wpół zaschniętym błotem, które nadawało mu wygląd i barwę koszarnej zjawy. Towarzysze jechali obok Aleksandra, ciągnąc za sobą wóz Króla Królów, przymocowany do uprzęży wierzchowców. Żołnierze macedońscy całkowicie spustoszyli obóz Persów, nie tknąwszy

jednak namiotów królewskich, które prawnie należały do Aleksandra.

Namiot Dariusza był olbrzymi, wykonany ze zdobionej skóry, z zasłonami z purpury i złota. Wsporniki zrobione były z rzeźbionego drzewa cedrowego, krytego szczerym złotem, a na ziemi leżały kosztowne dywany. Wewnątrz namiotu ciężkie kolorowe zasłony - białe, czerwone i niebieskie - oddzielały liczne pomieszczenia niczym w prawdziwej kwaterze. Była tam bowiem sala tronowa do udzielania audiencji, jadalnia, sypialnia z olbrzymim łóżem baldachimowym oraz łaźnia.

Aleksander rozglądał się wokół, nie mogąc uwierzyć, że to olbrzymie bogactwo i przepych należały teraz do niego. Wanna, amfory i dzbany do czerpania wody były z litego złota. Przepiękne służące i młodzi eunuchowie Dariusza przygotowali kąpiel dla nowego pana, a teraz stali, drżąc ze strachu, gotowi spełnić każde jego polecenie. Aleksander ponownie przyjrzał się wszystkiemu z zachwytem, po czym wyszeptał:

- A więc tak wygląda życie króla.

Ponieważ przyzwyczajony był do surowej prostoty pałacu w Pelli, namiot Dariusza wydał mu się siedzibą godną bogów.

Wszedł do łaźni, kulejąc z powodu rany na nodze, a służące natychmiast otoczyły go, rozebrały i pomogły się wygodnie ułożyć. Tymczasem przybiegł Filip, żeby zbadać króla i zająć się nim. Pouczył służące, w jaki sposób miały kąpać króla, żeby nie wywołać krwotoku, a następnie kazał położyć Aleksandra na stole i z pomocą asystentów zoperował go. Wyczyścił i wydrenował ranę, po czym zaszył ją i starannie zabandażował. Aleksander nawet nie jęknął, ale ten ogromny wysiłek, połączony z nadludzkim zmęczeniem po całym dniu walki, bardzo go osłabił. Zaledwie więc Filip skończył zabieg, król zapadł w kamienny sen.

Odprawiwszy służbę, Leptine położyła się obok Aleksandra, chcąc ogrzać go swym nagim ciałem w tę zimną jesienną noc.

Następnego dnia obudził Aleksandra rozpaczliwy płacz dochodzący z pobliskiego namiotu. Instynktownie opuścił nogę z łóżka, ale natychmiast skrzywił twarz z bólu. Noga bardzo bolała, lecz nie spuchła, dzięki drenowi ze srebrnej kaniuli założonej mu przez Filipa. Król był osłabiony, lecz mógł poruszać się, a tym samym nie stosować się do poleceń lekarza, który zabronił Aleksandrowi wstawać z łóżka przez tydzień.

Kazał się szybko ubrać, po czym, nie tknąwszy prawie jedzenia, wyszedł z namiotu, kuśtykając, ciekaw powodu tego płaczu. Hefajstion, który spał w atrium z Peritasem, podszedł do Aleksandra, podając mu ramię, ale król odrzucił jego pomoc.

- Co się tam dzieje? - spytał. - Co to za jęki?

- W tym namiocie jest królowa matka, żona Dariusza i kilka z jego trzystu sześćdziesięciu pięciu konkubin. Reszta pozostała w Damaszku. Zobaczyły wóz Dariusza, płaszcz i kołczan, są więc przekonane, że król nie żyje.

- Chodźmy je uspokoić.

Nie chcąc wprawiać kobiet w zakłopotanie, polecili eunuchowi, żeby zapowiedział ich wizytę, po czym weszli do środka. Królowa matka, z twarzą zalaną łzami i poplamioną bistro, zawahała się przez chwilę, po czym padła do nóg Hefajstiona, sądząc, że to on jest królem, ponieważ był

wyższy i potężniejszy od Aleksandra. Eunuch, widząc, co się dzieje, zbladł, a następnie szepnął jej po persku, że władcą jest drugi mężczyzna.

Zmieszana królowa pokręciła głową i rzuciła się do nóg Aleksandra z jeszcze głośniejszym płaczem, błagając, żeby jej wybaczył. Król schylił się, po czym pomógł kobiecie wstać i powiedział, korzystając z pomocy eunucha, który tłumaczył na perski:

- Nic nie szkodzi, on też ma na imię Aleksander. - Widząc, że kobieta uspokoiła się nieco, dodał: - Proszę cię, nie płacz, nie rozpaczaj. Dariusz żyje. Zostawił kwadrygę i płaszcz i uciekł, dosiadłszy konia, dzięki czemu stał się lżejszy i szybszy. O tej porze jest już z pewnością bezpieczny.

Królowa matka pochyliła się w ukłonie i ująwszy dłoń Aleksandra, zaczęła okrywać ją pocałunkami. Żona Króla Królów także do niego podeszła, by oddać mu cześć, a Aleksander zauważył, że jest niezwykle piękna. Później jednak, przyjrząwszy się pozostałym kobietom, stwierdził, że wszystkie są niezwyklej urody, szepnął więc Hefajstionowi do ucha:

- Na Zeusa! Te kobiety są prawdziwą uczcią dla oczu! - Widać było jednak, że szukał wzrokiem czyjejś twarzy.

- Czy w obozie są jakieś inne kobiety? - spytał.

- Nie - odparł Hefajstion.

- Jesteś pewien?

- Jak najbardziej. - Następnie, widząc, że przyjaciel jest rozczarowany tą odpowiedzią, dodał: - W Damaszku jest cała świta króla. Może tam znajdziesz tę, której szukasz.

- Nikogo nie szukam - odparł pośpiesznie Aleksander. A zwracając się do eunucha, rzekł: - Powiedz królowej matce, żonie Dariusza i wszystkim pozostałym kobietom, że będą traktowane z najwyższym szacunkiem i żeby się niczego nie obawiały. Mogą prosić, o co tylko zechcą, a postaramy się spełnić ich życzenia.

- Królowa i królowa matka dziękują ci, panie - przetłumaczył eunuch - i proszą Ahura Mazdę, żeby ci błogosławił za twoją litość i dobroć.

Skinąwszy głową, Aleksander wyszedł w towarzystwie Hefajstiona, a następnie rozkazał, by zebrano poległych i pochowano ich z wszelkimi honorami.

Tego samego wieczoru Kallistenes napisał w swoim sprawozdaniu, że w bitwie zginęło tylko trzystu dziewięciu Macedończyków, ale prawda była o wiele bardziej gorzka. Kiedy bowiem król przeszedł, kulejąc, wzdłuż pola bitwy i zobaczył rozszarpane, okaleczone ciała poległych, uświadomił sobie, że były ich tysiące. Najwięcej strat poniesiono w środkowych szeregach, w miejscu, gdzie walczone z najemnikami greckimi.

Zgodnie z rozkazem Aleksandra na pobliskich wzgórzach ścięto dziesiątki drzew, aby następnie wznieść gigantyczne stosy i spalić na nich zwłoki w obecności żołnierzy stojących w szyku. Kiedy uroczystości pogrzebowe dobiegły końca, Aleksander dokonał przeglądu wojska, przed nim zaś niesiono chorągiew tej samej barwy, jaką miał splamiony krwią bandaż na nodze króla. Władca zwrócił się do wszystkich ze słowami podziękowania i otuchy, zwłaszcza zaś do tych, którzy walczyli odważnie u jego boku. Na pamiątkę bitwy wielu żołnierzom wręczył podarunki. Na koniec zawołał:

- Żołnierze! Jestem z was dumny! Pokonaliście najsilniejszą na ziemi armię! Żadnemu Grekowi ani Macedończykowi nie udało się dotąd zdobyć tak rozległego terytorium! Jesteście najlepsi, niezwyciężeni! Żadna siła na świecie nie potrafi wam sprostać!

Żołnierze odpowiedzieli królowi głośnym okrzykiem, gdy tymczasem wiatr rozwiewał prochy poległych towarzyszy, wzbijając snopy iskier ku szaremu jesiennemu niebu.

Kiedy nadszedł wieczór, Aleksander kazał zaprowadzić się do perskiego więźnia, którego oszczędził podczas bitwy. Człowiek ten siedział na ziemi, miał skrepowane ręce i nogi. Pochyliwszy się nad nim, król osobiście oswobodził go z więzów, i zapytał, pomagając sobie gestami:

- Pamiętasz mnie?

Pers przytaknął skinieniem głowy.

- Uratowałeś mi życie - oznajmił Aleksander.

Żołnierz przypomniał z uśmiechem, że jeszcze jeden chłopiec polował wtedy na lwa.

- To był Hefajstion - wyjaśnił Aleksander. - Jest tu gdzieś. Niewiele się zmienił.

Pers uśmiechnął się ponownie.

- Jesteś wolny - powiedział Aleksander, pomagając sobie ruchem ręki. - Możesz wrócić do swojego ludu i do swojego króla.

Wojownik najprawdopodobniej nie zrozumiał, więc Aleksander kazał przyprowadzić konia i podał Persowi cugle.

- Możesz iść. W domu na pewno ktoś na ciebie czeka. Masz dzieci? - spytał, zatrzymując w powietrzu dłoń na wysokości głowy dziecka.

Rozmówca pokazał dłonią wysokość dorosłego człowieka, a Aleksander uśmiechnął się.

- No tak, czas szybko mija.

Pers spojrzał na niego z powagą, a w jego oczach pojawiły się łzy wzruszenia. Uniósł dłoń do serca, a następnie dotknął nią piersi Aleksandra.

- Jedź już - popędzał go król - zanim zupełnie się ściemni.

Żołnierz szepnął coś w swoim języku, po czym wsiadł na konia i odjechał.

Tej samej nocy w obozie Persów odnaleziono Egipcjanina Sizyna, który przed rokiem przyczynił się do uwięzienia Amyntasa, dowodząc, że książę został przekupiony przez Dariusza i miał zgładzić Aleksandra, aby następnie objąć tron Macedonii. Ptolemeusz wytoczył mu proces, wykazując, że Sizyn był perskim szpiegiem. Zanim jednak przekazał go strażom, wezwał Kallistenesa, ponieważ był pewien, że zechce on zadać Egipcjaninowi kilka pytań.

Na widok Kallistenesa Sizyn rzucił mu się do stóp.

- Zlituj się! Persowie uwięzili mnie, chcąc wydobyć ode mnie informacje o waszym wojsku, ale niczego im nie powiedziałem...

Kallistenes powstrzymał go ruchem ręki.

- Jak widać, Persowie dobrze traktują więźniów, jako że miałeś luksusowy namiot, dwóch niewolników i trzy służebnice. A gdzie są ślady tortur, którym cię poddano? Wyglądasz naprawdę świetnie.

- Ale ja...

- Jeśli chcesz, byśmy cię oszczędzili, musisz mówić - nalegał historyk. - Chcę poznać całą prawdę, zwłaszcza na temat księcia Amyntasa, listu Dariusza i pieniędzy, które mu obiecał Król Królów za zabójstwo Aleksandra.

Sizyn nie był już taki blady.

- Mój szlachetny przyjacielu - zaczął przemowę - miałem zamiar nie zdradzać tajnych, wielce delikatnych aspektów mojej pracy, skoro jednak idzie tu o moje własne życie, muszę, niestety, ulec namowom... - Kallistenes dał mu znak, żeby się pośpieszył. - Jak już mówiłem, mogę udowodnić, że wiernie służyłem tronowi macedońskiemu, a całą tę historię wymyśliłem na rozkaz królowej Olimpias.

Kallistenes pomyślał o znajomym zapachu atramentu, którego użyto do napisania listu.

- Mów dalej - polecił Sizynowi.

- Królowa matka Olimpias martwiła się bardzo, że Amyntas mógłby prędzej czy później zagrozić Aleksandrowi, który znajdował się z dala od niej, na nieznanych ziemiach, i narażony był na tysiące niebezpieczeństw. Co by się stało, gdyby Aleksander został pokonany? Żołnierze mogliby ogłosić Amyntasa królem, a w zamian otrzymać pozwolenie powrotu do ojczyzny, gdzie wiedliby nieco lepsze życie. Poleciała więc perskiemu niewolnikowi, którego podarował jej król Filip, żeby napisał list, podrobiła pieczęcie barbarzyńców, biorąc na wzór listy przechowywane w pałacowej kancelarii, a mnie zaszczyliła swoim zaufaniem...

- Już rozumiem - uciał Kallistenes. - A perski kurier?

Sizyn wyraźnie się ożywił.

- Moja dyskretna misja zmuszała mnie do przebywania w perskim środowisku, gdzie zdobyłem wielu wpływowych przyjaciół. Poprosiłem więc namiestnika Nisibis, żeby powierzył mi perskiego posłańca, który miał dostarczyć list.

- A potem otruleś go, obawiając się, że wszystko wyjawi.

- Ostrożność nie zawadzi - odparł Egipcjanin pewnym głosem. - Mimo że tamten biedak i tak miał niewiele do powiedzenia.

- Tym sposobem - pomyślał Kallistenes - jako jedyny znasz całą prawdę, ale jaką prawdę?

Po chwili oświadczył:

- To wiele wyjaśnia, ale nie tłumaczy twojej obecności w perskim obozie, pośród zbytku i przyjemności. Tak naprawdę to nic nie przeszkadza sądzić, że list jest autentyczny.

- Podzielał twoją opinię, że zachodzi taka możliwość.

Historyk zamilkł, pograżając się w myślach. Było bowiem prawdopodobne, że Król Królów pragnął przekupić Amyntasa, nic wszakże nie wskazywało na współwinę księcia, oprócz insynuacji Sizyna. Patrząc w oczy rozmówcy, pomyślał, że musi podjąć jakąś decyzję.

- Lepiej będzie - rzekł - jeśli powiesz mi prawdę. Jesteś informatorem królestwa Macedonii, którego znaleziono w perskim obozie, w kompromitującym położeniu. Ptolemeusz nie ma wątpliwości, że jesteś szpiegiem.

- Mój szlachetny panie - odparł Egipcjanin - dziękuję bogom, że zesłali mi inteligentnego, rozsądnego człowieka, z którym mogę porozmawiać. Dysponuję znaczną sumą pieniędzy, którą złożyłem w Sydonie. Jeśli zdołamy się porozumieć, dostarczę ci wiarygodną wersję wydarzeń, którą będziesz mógł przedstawić dowódcy Ptolemeuszowi.

- Lepiej, żebyś powiedział mi prawdę - powtórzył Kallistenes, nie odpowiadając na aluzję.

- Powiedzmy, że chciałem się uniezależnić, a ze względu na moje powiązania Król Królów pomyślał, że mógłbym wrócić do Anatolii i przekonać namiestników niektórych miast, by wpuścili do swych portów perską flotę i...

- Pozbawili nas morskich połączeń z Macedonią.

- Czy piętnaście talentów wystarczy, by przekonać cię o mojej niewinności?

Historyk spojrział na Sizyna podejrzliwie.

- I dwadzieścia dla Ptolemeusza? - dodał Egipcjanin.

Kallistenes zawahał się, po czym odparł:

- Sądzę, że to wystarczy.

Następnie opuścił namiot, udając się do Ptolemeusza.

- Im szybciej to załatwimy, tym lepiej - powiedział Kallistenes. - Nie tylko jest szpiegiem, ale ma też poufne informacje na temat królowej, które mogłyby się okazać dla niej dość krepujące...

- Ani słowa więcej - rzekł Ptolemeusz. - Nawiasem mówiąc, nigdy nie darzyłem sympatią Egipcjan.

- Nie mów tego zbyt pochopnie - ostrzegł Kallistenes. - Niebawem poznasz wielu Egipcjan, wieść bowiem niesie, że Aleksander pragnie podbić Egipt.

51

Parmenion, który został wysłany do Damaszku, donosił w liście, że zajął pałac królewski i przejął mnóstwo pieniędzy oraz świętę Wielkiego Króla.

W sumie dwa tysiące sześćset tysięcy srebrnych talentów w monetach i pięćset min w sztabkach, poza tym trzysta pięćdziesiąt nalożnic, trzysta dwadzieścia dziewięć flectek i harfiarek, trzystu kucharzy, siedemdziesięciu degustatorów wina, trzynastu cukierników i czterdziestu wytwórców wonnych olejków.

Na Zeusa! - wykrzyknął Aleksander, kiedy skończył czytać list. - To dopiero życie!

- Mam także wiadomość ustną - dodał kurier, gdy Aleksander zwinął list.

- Mów! O co chodzi?

- Generał Parmenion pragnie cię powiadomić, że w Damaszku jest pewna szlachetnie urodzona kobieta wraz z dwójką synów. Ma na imię Barsine.

Aleksander pokręcił głową, jakby nie wierzył w to, co słyszał.

- To niemożliwe - wyszeptał.

- Ależ, tak - odparł posłaniec. - Generał powiedział mi, że pewien stary

żołnierz poda ci hasło, jeśli nie wierzysz.

- Rozumiem - przerwał mu Aleksander. - Rozumiem. Możesz odejść.

Zobaczył Barsine po ośmiu dniach, które wydały mu się wiecznością. Patrzył na nią zmieszany, kiedy jechała konno wśród świty królewskiej, pomiędzy dwoma rzędami hetajrów ze straży Parmeniona. Miała na sobie skórzane spodnie, szarą filcową kurtkę, włosy zaczesane do tyłu, spięte dwiema dużymi szpilkami. Była jeszcze piękniejsza niż w dniu, w którym spotkał ją po raz pierwszy. Twarz Barsine była blada, o bardziej wyrazistych rysach, a duże czarne oczy wydawały się jeszcze większe i błyszczące niczym dwie gwiazdy.

Odwiedził ją dopiero wieczorem, kiedy obóz pogrążony był już w ciszy, a wartownicy z pierwszej zmiany stali na swych pozycjach. Ubrany był w krótki, wojskowy chiton, a na ramionach miał szary wełniany płaszcz. Poleciał służebnicy, by zapowiedziała jego wizytę.

Barsine powitała go w lekkiej perskiej sukni, którą włożyła po kąpieli. Suknia sięgała ziemi i delikatnie podkreślała kształty jej ciała. W namiocie unosiła się woń nardu.

- Panie mój - wyszeptała, pochylając głowę.

- Barsine...

Aleksander podszedł nieco bliżej.

- Czekałem na tę chwilę od naszego ostatniego spotkania.

- Moje serce przepełnia smutek.

- Wiem. Straciłaś męża.

- Był wspaniałym człowiekiem, kochającym ojcem i czułym mężem.

- Był jedynym przeciwnikiem, którego szanowałem i jednocześnie się obawiałem.

Barsine stała ze spuszczonego wzrokiem, ponieważ wiedziała, że jest zdobyczą wojenną, żoną nieprzyjaciela, a tym samym najwyższą nagrodą dla zwycięzcy, który walczył, cierpiąc ból, odnosząc rany, znosząc widok krwi i odgłosy straszliwej rzezi. Słyszała jednak, że człowiek ten oszczędził i uszanował królową matkę, żonę i dzieci Dariusza.

Aleksander wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy, a Barsine uniosła głowę i spojrzała w jego jasne, błyszczące oczy. Zobaczyła w nich błękit pogodnego nieba, przypominający spojrzenie Memnona, a jednocześnie ciemną barwę śmierci i barwę nocy. W tej samej chwili poczuła, jakby wciągał ją jakiś wir, jakby doznała zawrotu głowy na widok bóstwa czy innej nierealnej istoty.

- Barsine... - powtórzył Aleksander głosem, w którym odezwało się głębokie uczucie i palące pragnienie.

- Jako zwycięzca możesz zrobić ze mną, co zechcesz, ale ja zawsze będę mieć przed oczami postać Memnona.

- Martwi znajdują się wśród martwych - powiedział król. - Teraz widzisz mnie, a ja nie pozwolę ci odejść, ponieważ przekonałem się, że w tobie życie zapomina o śmierci. Teraz ja jestem życiem. Spójrz na mnie, Barsine. Popatrz na mnie i powiedz, że to nieprawda.

Barsine milczała, patrząc mu w oczy z wyrazem rozpacz, a jednocześnie zagubienia. W jej oczach zabłyśły dwie duże łzy i spłynęły po policzkach, zwilżając jej usta. Aleksander podszedł do Barsine tak blisko,

że czuł na twarzy jej oddech, a na ciele dotyk jej piersi.

- Będziesz moja - wyszeptał, po czym odwrócił się nagle i wyszedł z namiotu.

W chwilę później dało się słyszeć rżenie Bucefała, rytmiczny odgłos kopyt, wreszcie galop, który przeszył głęboką ciszę nocy.

Następnego dnia Kallistenes otrzymał zaszyfrowany list od wuja, przywieziony przez kuriera wraz z pocztą od Antypatra z Macedonii.

Dowiedziałem się, gdzie przebywa córka Nikandrosa, który był współnikiem Pauzanasza, zabójcy Filipa. Dziewczyna znajduje się pod opieką kapłana świątyni Artemidy na krańcach Tracji. Kapłan jest z pochodzenia Persem, krewnym satrapy Bitynii, który w przeszłości posłał pieniądze i dary na potrzeby świątyni. Pomyślałem więc, że król Dariusz był zamieszany w zabójstwo Filipa. Przeczytałem też po kryjomu list przechowywany w świątyni, który zdaje się potwierdzać moje domysły.

Przeczytawszy list, Kallistenes udał się do Aleksandra.

- Trwa śledztwo w sprawie śmierci twojego ojca. Otrzymałem też informacje, z których wynika, że Persowie byli bezpośrednio zamieszani w zabójstwo, a teraz ukrywają jeszcze kilku członków spisku.

- To wyjaśniałoby wiele rzeczy - zauważył król. - I pomyśleć, że Dariusz ośmiela się pisać do mnie tego typu listy.

To mówiąc, podsunął Kallistenesowi pismo Króla Królów, które przywiózł mu przed chwilą posłaniec.

Dariusz, Król Królów, Pan czterech części świata, światło Agrian, do króla Aleksandra, króla Macedończyków, bądź pozdrowiony!

W czasach króla Arsesa twój ojciec Filip pierwszy obraził Persów, mimo że nie wyrządzili mu żadnej krzywdy. Kiedy zostałem królem, nie zaprosiłeś naszego poselstwa, aby potwierdzić dawną przyjaźń i przymierze, ale wtargnąłeś do Azji, w wyniku czego ponieśliśmy poważne straty. Musiałem więc zmierzyć się z Tobą, żeby bronić mojego kraju i odzyskać dawne dobra. O wyniku naszej walki zdecydowali bogowie, ale zwracam się do Ciebie jako władca do władcy, prosząc Cię, byś uwolnił moje dzieci, matkę i małżonkę. Jestem gotów sporządzić traktat o przyjaźni i sojuszu. Dlatego też proszę Cię, byś wraz z moim poselstwem przysłał mi swojego przedstawiciela, abyśmy mogli ustalić termin podpisania traktatu.

Kallistenes złożył list.

- Krótko mówiąc, obwinia cię o wszystko, dochodzi swojego prawa do obrony, przyznając się jednak do klęski. Gotów jest zostać twoim przyjacielem i sprzymierzeńcem, pod warunkiem, że zwrócisz mu rodzinę. Co zamierzasz uczynić?

W tej samej chwili wszedł Eumenes z kopią odpowiedzi, którą przygotował dla króla. Na życzenie Aleksandra sekretarz przystąpił do czytania.

Aleksander, król Macedończyków, do Dariusza, króla Persów, bądź pozdrowiony!

Twoi przodkowie wtargnęli do Macedonii i Grecji, wyrządzając nam wielkie szkody bez żadnego powodu. Kiedy zostałem wybrany na naczelnego dowódcę Greków, zaatakowałem Azję, żeby pomścić waszą napaść. To wy poparliście miasto Perinthos, które wystąpiło przeciw mojemu ojcu, i zajęliście Trację, należącą do naszych ziem.

Aleksander przerwał mu, mówiąc:

- Dodaj jeszcze to: Król Filip został zamordowany w wyniku spisku, który popieraliście, czego dowodem są napisane przez was listy.

Eumenes spojrział zdziwiony na Aleksandra i Kallistenesa, który powiedział:

- Później ci wszystko wyjaśnię.

Sekretarz czytał więc dalej:

Poza tym zdobyłeś tron wskutek oszustwa i przekupiłeś Greków, żeby wypowiedzieli mi wojnę. Uczyniłeś wszystko, co możliwe, żeby zburzyć pokój, który z trudem zbudowałem. Na polu walki i z pomocą bogów pokonałem Ciebie i Twoich generałów. Ponoszę odpowiedzialność za wszystkich perskich żołnierzy, którzy przeszli na moją stronę, jak również za inne osoby znajdujące się obecnie w moim obozie. Musisz się więc zwrócić do mnie jako do pana Azji. Możesz zażądać tego, co uznasz za stosowne, przyjeżdżając tu osobiście lub wysyłając swych przedstawicieli. Jeśli zażadasz, bym zwrócił Ci żonę, dzieci i matkę, uczynię to pod warunkiem, że zdołasz mnie przekonać. Powinieneś jednak zawsze zwracać się do mnie jako do pana Azji, a nie jako do władcy równego Ci rangą. Powinieneś więc zwracać się do mnie jako do osoby, która posiada wszystko, co do tej pory należało do Ciebie. Jeśli tego nie uczynisz, postąpię z Tobą tak jak z każdym, kto pogwałcił reguły i prawa narodów. Jeśli jednak domagasz się odzyskania pozycji władcy, musisz podjąć walkę i nie uciekać, gdyż będę Cię ścigał.

- Nie dajesz mu wyboru - skomentował Kallistenes.

- Masz rację - odparł Aleksander. - Jeśli jest prawdziwym mężczyzną i królem, musi zareagować na mój list.

52

W początkach zimy armia Aleksandra skierowała się na południe, w stronę wybrzeży Fenicji. Król postanowił bowiem, że zdobędzie wszystkie porty leżące w zasięgu Persów, uniemożliwiając im w ten sposób wszelkie działania na Morzu Egejskim i w Grecji. Miasto Arados przyjęło go z wszelkimi honorami, a Sydon obiecał nawet, że odzyska pięćdziesiąt okrętów wcielonych do floty perskiej i przekaże je do dyspozycji Aleksandra. Macedończyków ogarnęło niezwykle podniecenie. Odnosiło się wrażenie, że bogowie torowali drogę młodemu zdobywcy, a wyprawa zaczynała przypominać pełną przygód podróż, której celem było odkrywanie nowych ziem, ludów i cudownych miejsc.

Do Sydonu przybyła też część świty Króla Królów, którą Parmenion schwycił w Damaszku. Składał się na nią długi orszak niewolników, muzyków, kucharzy, degustatorów, eunuchów, mistrzów ceremonii, tancerek, flecistek, wróżbitów, czarowników i iluzjonistów, wywołujących śmiech żołnierzy i oficerów Aleksandra. Król natomiast przyjął ich z powagą, interesując się ich losem i osobistymi przeżyciami, nakazując jednocześnie, by Macedończycy traktowali członków świty Dariusza z szacunkiem. Kiedy cały orszak przemaszerował już przed władcą i jego towarzyszami, przybyła jeszcze jedna, niewielka grupa osób, eskortowana przez oddział Agrian.

- Znaleźliśmy ich w kwaterze głównej satrapy Syrii - wyjaśnił oficer dowodzący chorągwią.

- Znam tego człowieka - stwierdził Seleukos, wskazując postawnego mężczyznę z koroną szarych włosów wokół łysej głowy.

- To Eumolpos z Soloj! - wykrzyknął Ptolemeusz. - Co za niespodzianka!

- Królu, panowie! - pozdrowił ich informator, kłaniając się nisko.

- Popatrz, popatrz... Nie wiem dlaczego, ale żywię pewne podejrzenia... - żartował Perdikkas.

- Ja także - wtrącił Seleukos. - Teraz już wiem, w jaki sposób udało się Dariuszowi zaskoczyć nas pod Issos. Powiedz, Eumolposie, ile ci zapłacili, żebyś nas zdradził?

Informator zbladł jak płótno, starając się uśmiechnąć.

- Ależ, królu, moi panowie, nie sądzicie chyba, że mógłbym...

- Oczywiście, że mógł - przyznał eskortujący go oficer, zwracając się do Aleksandra. - Mówił mi o tym satrapa Syrii, który wkrótce tu przybędzie, żeby ślubować nam wierność.

- Wprowadźcie go do środka! - rozkazał król, wchodząc do swojego namiotu. - Zostanie osądzony natychmiast.

Aleksander i jego towarzysze zasiedli w kręgu, po czym król spytał:

- Pragniesz coś powiedzieć przed śmiercią?

Eumolpos spuścił wzrok, nie odzywając się słowem. Milczenie przydało mu godności, powodując, że przestał być tym wesołkiem, którego wszyscy znali.

- Nie masz nic do powiedzenia? - powtórzył Eumenes. - Jak mogłeś to zrobić? Mogli nas wszystkich pozabijać! Wiadomość, jaką przekazał nam twój kurier, wciągnęła nas w pułapkę.

- Niezły z ciebie łajdak! - wymyślał mu Leonnatos. - Gdyby to ode mnie zależało, nie umarłbyś tak łatwo. Najpierw powyrywałbym ci paznokcie, a potem...

Eumolpos spojrzał wodnistymi oczami w twarze swoich sędziów.

- No, więc? - naciskał go Aleksander.

- Panie... - zaczął informator - zawsze byłem szpiegiem. Od dziecka zarabiałem na życie szpiegowaniem niewiernych żon, opłacany przez ich mężów rogowy. Nie potrafię nic innego. Zawsze szedłem tam, gdzie mi lepiej płacono. Jednak...

- Jednak? - zachęcał go do mówienia Eumenes, który przyjął rolę śledczego.

- Jednak od dnia, w którym rozpocząłem służbę u twego ojca, króla Filipa, byłem wyłącznie na jego usługi, przysięgam. Wiesz dlaczego? Dlatego, że twój ojciec był wyjątkowym człowiekiem. Oczywiście dobrze mi płacił, ale nie tylko o to chodziło. Kiedy spotykałem się z nim, żeby przedstawić raport, zapraszał mnie, bym usiadł, jak stary przyjaciel, osobiście nalewał mi wina, pytał o zdrowie i inne tego typu sprawy, rozumiesz?

- Czy to oznacza, że ja odnosiłem się do ciebie źle? - spytał Aleksander.

- Czy ja również nie traktowałem cię jak dobrego przyjaciela, a nie jak sprzedajnego szpiega?

- To prawda - przyznał Eumolpos - dlatego też byłem ci wierny. Ale również dlatego, że jesteś synem Filipa.

- Dlaczego więc mnie zdradziłeś? Musiał istnieć jakiś powód, dla którego zdradziłeś przyjaciela!

- Strach, mój panie. Satrapa, który przybędzie za chwilę, by ślubować ci wierność, nie dotrzymując słowa danego Dariuszowi, śmiertelnie mnie wystraszył. Patrzył mi prosto w oczy, obierając z mięsa pieczonego drozda, jakby mi chciał powiedzieć: „Ty też tak skończysz. Obedrę cię ze skóry, po kawałeczku, tak jak tego ptaka”. Następnie kazał mi podejść do okna i spojrzeć na dziedziniec.

Był tam mój kurier, ten dzielny chłopiec, którego zawsze ci przysyłałem. Obdarli go żywcem ze skóry, wykastrowali, a następnie zawiesili mu genitalia wokół szyi. - Eumolpos mówił te słowa drżącym głosem, a wodniste, rybnie oczy zasły mu łzami. - Zerwali z niego skórę aż po kości... Na tym nie koniec. Na dziedzińcu był też jeden barbarzyńca, który ostrzył akacyjny pał, polerując go pumeksem. Przygotowywał go dla mnie, na wypadek gdybym nie uczynił tego, czego żądali. Panie mój, czy widziałeś kiedyś, jak wbijają człowieka na pał? Ja tak. Wbijają mu pał w ciało, ale go nie zabijają, tylko pozostawiają, by cierpiał najgorsze męki całymi godzinami, a niekiedy nawet przez kilka dni. Zdradziłem cię, bo się bałem. Ponieważ nikt nigdy nie wymagał ode mnie tak dużej odwagi.

A teraz, jeśli taka jest twoja wola, każ mnie zabić, bo na to zasłużyłem, ale proszę cię, niech to będzie szybka śmierć. Wiem, że straciłeś wielu ludzi i stoczyłeś bardzo ciężką bitwę, ale czułem, że zwyciężysz. A poza tym jaką miałbyś korzyść z tego, by torturować starego człowieka, który nigdy nie wyrządziłby ci krzywdy, gdyby to od niego zależało? Człowiek ten tak bardzo cierpiał, że musiał cię zdradzić, bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić, mój chłopcze.

Zamilkł, głośno pociągając nosem.

Aleksander i towarzysze popatrzyli na siebie, uświadamiając sobie, że żaden z nich nie będzie miał odwagi ogłosić skazującego wyroku dla Eumolposa z Soloj.

- Powinienem skazać cię na śmierć - oświadczył król - ale masz rację, twierdząc, że nic bym na tym nie zyskał. Poza tym... - Na te słowa Eumolpos uniósł głowę. - Poza tym wiem, że odwaga jest cnotą, którą bogowie przyznają jedynie nielicznym. Ciebie w nią nie wyposażyli, ale obdarzyli cię innymi zaletami, takimi jak bystrość umysłu, inteligencja, być może też wierność.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie umrę? - spytał Eumolpos.
- Tak.
- Tak? - powtórzył z niedowierzaniem informator.
- Tak - odparł Aleksander, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.
- I będę mógł nadal dla ciebie pracować?
- Co o tym sądzicie? - Aleksander zwrócił się do towarzyszy.
- Według mnie trzeba mu dać jeszcze jedną szansę - zaproponował Ptolemeusz.
- Dlaczego by nie? - zgodził się Seleukos. - Koniec końców zawsze był świetnym szpiegiem. A poza tym teraz zwyciężamy.
- A więc zgoda - postanowił król. - Musisz jednak zmienić to przekłete hasło, skoro wyjawiałeś je nieprzyjacielowi.
- Ależ, oczywiście, zmienię je - odparł Eumolpos z widoczną ulgą.
- Jakie to było hasło? - spytał zaciekawiony Seleukos.
- Owczy mózdzek - powiedział Aleksander obojętnie.
- Ja zmieniałbym je bez względu na sytuację - zauważył Seleukos. - To najgłupsze hasło, jakie słyszałem.
- Właśnie - przyznał Aleksander. Dał znak Eumolposowi, by się zbliżył.
- Powiedz mi, jakie będzie twoje nowe hasło.
- Informator szepnął mu do ucha:
- Drozd z rusztu. - Następnie ukłonił się i wszystkich uprzejmie pożegnał. - Moi panowie, królu, dziękuję wam za dobre serce. - Po czym wyszedł z namiotu, czując, że nogi uginają się jeszcze pod nim ze strachu.
- Jakie jest to nowe hasło? - spytał Seleukos po wyjściu Eumolposa.
- Aleksander pokręcił głową.
- Bez sensu - rzekł.

53

Mieszkańcy Sydonu, którzy kilka lat temu padli ofiarą krwawych represji ze strony perskiego garnizonu, z entuzjazmem przyjęli przybycie Aleksandra oraz jego obietnicę przywrócenia dawnych instytucji. Jednak dynastia panująca w mieście niedawno wygasła i należało wybrać nowego króla.

- A może ty byś się tym zajął? - zaproponował Aleksander Hefajstionowi.
- Ja? Ale ja nikogo nie znam, nie wiem nawet, gdzie szukać...
- W porządku - uciał król. - Zajmiesz się tą sprawą. Ja muszę prowadzić pertraktacje z innymi miastami wybrzeża.

Hefajstion znalazł więc tłumacza i zaczął chodzić po Sydonie incognito, rozglądając się po targowiskach, jadając w karczmach lub przyjmując zaproszenia na oficjalne obiady w domach bogatych mieszkańców. Nie zdołał jednak znaleźć nikogo, kto byłby godzien tak wysokiego urzędu.

- Jeszcze nikogo nie znalazłeś? - pytał Aleksander, kiedy spotykali się na naradach wojennych. Hefajstion kręcił głową na znak przeczenia.

Pewnego dnia, będąc w towarzystwie tłumacza, przechodził obok kamiennego murku biegnącego wśród wzgórz, spoza którego wystawały korony przeróżnych drzew: majestatycznych cedrów z Libanu, stuletnich figowców o szarych, pomarszczonych gałęziach, kaskady pistacji i

nostrzyków. Spojrzał ukradkiem za furtkę, a jego zdumionym oczom ukazały się najwspanialsze cuda: różnego rodzaju drzewa owocowe, przepięknie przycięte krzewy, fontanny, strumyki, skały porośnięte ciernistymi roślinami o mięsistych liściach, których nigdy przedtem nie widział.

- Pochodzą z libijskiego miasta Lissos - wyjaśnił tłumacz.

W pewnej chwili w ogrodzie pojawił się człowiek z osiołkiem ciągnącym wózek wypełniony obornikiem. Mężczyzna zaczął nawozić kolejno wszystkie rośliny, a czynił to z takim zamiłowaniem i starannością, że wprowadził Hefajstiona w zdumienie.

- Kiedy wybuchło powstanie przeciwko namiestnikowi perskiemu, jego uczestnicy chcieli podpalić ten ogród - kontynuował swoją opowieść tłumacz - ale ten człowiek stanął przed furtką i ostrzegł, że jeśli chcą popełnić tę zbrodnię, muszą najpierw zabić jego.

- On będzie królem - postanowił Hefajstion.

- Ogrodnik? - zdziwił się tłumacz.

- Tak. Człowiek gotowy umrzeć za rośliny w ogrodzie, który nawet do niego nie należy, uczyni wszystko, by chronić swych poddanych i dbać o rozwój miasta.

Tak też się stało. Pewnego dnia pod dom ubogiego ogrodnika zajęchał orszak wysokich urzędników pod eskortą straży Aleksandra. Następnie uroczyście zaprowadzono go do królewskiego pałacu, który miał być odtąd jego siedzibą. Ogródnik miał duże dłonie o stwardniałej skórze, które przypomniały Aleksandrowi ręce Lizypa, oraz pogodne, spokojne spojrzenie. Nazywał się Abdalonim. Okazał się potem najwspanialszym królem, jakiego pamiętano.

Z Sydonu wojsko wyruszyło na południe, w stronę Tyru, gdzie wznosiła się świątynia Melkarta, będącego fenickim odpowiednikiem Heraklesa. Miasto dzieliło się na dwie części: starą dzielnicę na lądzie stałym i nowe miasto na wyspie położonej w odległości jednego stadionu od wybrzeża. Ta druga część powstała niedawno i przyciągała wzrok ogromem swych budowli. Miała dwa ufortyfikowane porty, a otaczał ją pas murów obronnych o wysokości stu pięćdziesięciu stóp. Były to najwyższe mury, jakie kiedykolwiek postawił człowiek.

- Miejmy nadzieję, że przyjmą nas tak jak w Byblos, Arados i Sydonie - zauważył Seleukos. - Ta twierdza jest nie do zdobycia.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał Aleksandra Hefajstion, patrząc na potężny pas murów, odbijających się w błękitnych wodach zatoki.

- Arystandros radził mi złożyć ofiarę w świątyni mojego przodka Heraklesa, którego mieszkańcy Tyru nazywają Melkartem - odparł król. - O, tam jest nasze poselstwo - dodał, wskazując na szalupę, która z wolna pokonywała krótką odległość, dzielącą wyspę od lądu.

Odpowiedź nadeszła po południu i wywołała gniew Aleksandra.

- Powiedzieli, że jeśli chcesz złożyć ofiarę Heraklesowi, możesz to zrobić w świątyni w starej części miasta, na lądzie.

- Przeczuwałem to - zauważył Hefajstion. - Siedzą w kamiennym gnieździe na tej przeklętej wyspie, kpiąc ze wszystkich dookoła.

- Ale nie ze mnie - oznajmił Aleksander. - Poślijcie jeszcze jedno poselstwo. Tym razem będę wyrażać się jaśniej.

Nazajutrz wyruszyli kolejni wysłannicy z wiadomością następującej treści:

Jeśli chcecie, możecie uzyskać traktat pokojowy, zapewniający przymierze z Aleksandrem. Jeśli nie przyjmiecie tej propozycji, król wypowie wam wojnę, ponieważ jesteście sojusznikami Persów.

Odpowiedź była, niestety, równie wyrażna: zrzucano z murów członków poselstwa, którzy rozbili się o skały. Wśród nich byli przyjaciele i towarzysze dziecięcych zabaw króla. Wiadomość o ich śmierci wywołała głębokie przygnębienie władcy, które następnie zmieniło się w ślepy gniew. Aleksander przez dwa dni przebywał w swojej kwaterze, nie chcąc nikogo widzieć. Hefajstion odważył się go odwiedzić drugiego dnia wieczorem. Król był dziw-nie spokojny, zatopiony w lekturze przy świetle lampy.

- Jak zwykle czytasz Ksenofonta? - spytał Hefajstion.

- Ksenofont niczego już nas nie nauczy, odkąd opuściliśmy Wrota Syryjskie. Czytam Filistosa.

- Czy nie jest on pisarzem sycylijskim?

- Jest historykiem Dionizjusza z Syrakuz, który przed siedemdziesięcioma laty zajął fenickie miasto Motya, położone na wyspie, podobnie jak Tyr.

- Jak tego dokonał?

- Usiądź i popatrz. - Aleksander wziął do ręki trzcinę i zaczął kreślić nią znaki na papierze. - Tu jest wyspa, a tu jest ląd. Dionizjusz zbudował molo sięgające wyspy, a następnie przepawił po nim maszyny wojenne. Kiedy przyłynęła flota kartagińska, by usunąć go z mola, ustawił rząd katapult z harpunami nowego typu, podziurawił okręty, zatapiając je, inne zaś podpalił, miotając płonące pociski.

- Chcesz zbudować takie molo do Tyru? Przecież chodzi tu o odległość dwóch stadionów!

- Jak w Motyi. Skoro udało się Dionizjuszowi, mnie również się powiedzie. Jutro rozpoczniemy wyburzenie starej części miasta, a uzyskany w ten sposób materiał posłuży nam do budowy mola. Dzięki temu zrozumieją, że nie żartuję.

Hefajstion przełknął ślinę.

- Zburzyć stare miasto?

- Nie przesłyszałeś się. Zburzycie je i wrzucicie do morza.

- Jak sobie życzysz, Aleksandrze.

Hefajstion wyszedł, by przekazać rozkaz towarzyszom, król zaś ponownie zagłębił się w lekturze.

Nazajutrz wezwał wszystkich inżynierów i mechaników, którzy towarzyszyli wyprawie. Przybyli z narzędziami i przyborami do rysowania i sporządzania notatek. Przewodził im Diades z Larissy - potomek Phaylossa - naczelny inżynier Filipa, twórca wież oblężniczych użytych do zburzenia murów Perinthos.

- Panowie technicy - zaczął król - nie wygramy te wojny bez waszej pomocy. Musimy pokonać nieprzyjaciół na waszych stołach kreślarskich, jako że w tym wypadku nie istnieje pole walki.

Przez okno widać było morze połyskujące wokół bastionów Tyru. Inżynierowie doskonale zrozumieli intencję władcy.

- Mój plan jest następujący - ciągnął Aleksander. - Zbudujemy molo sięgające wyspy, tymczasem wy zaprojektujecie maszyny wyższe od murów obronnych.

- Panie - wtrącił Diades - mówisz o wieżach, których wysokość miałyby sięgać stu pięćdziesięciu stóp.

- Sądzę, że tak - odparł król pewnym głosem. - Maszyny te muszą być niezniszczalne, wyposażone w tarany i katapulty zupełnie nowego rodzaju. Potrzebuję maszyn zdolnych miotać dwustulibrowymi kamieniami na odległość ośmiuset stóp.

Inżynierowie spojrzeli po sobie zmieszani. Diades milczał rysując coś na kartce, a Aleksander nie odrywał od niego wzroku, który zdawał się ważyć więcej niż kamienie, jakimi miały miotać skonstruowane przez nich katapulty. W końcu technik uniósł głowę, mówiąc:

- To jest możliwe.

- Wspaniale, możecie zatem przystąpić do pracy.

Tymczasem na zewnątrz, w starej części miasta, słychać było płacz ludzi wyrzucanych z własnych domów; towarzyszyły mu odgłosy walących się dachów i murów. Hefajstion polecił zmontować lekkie tarany do wyburzania miasta. W następnych dniach oddziały drwali eskortowane przez Agrian weszły na wzgórze, by ścinać cedry i sporządzać z nich deski do budowy wież.

Na molo pracowano dniem i nocą, na zmianę. Wozami zaprzężonymi w woły i osły przewożono kamienie, które następnie rzucano do morza. Mieszkańcy Tyru obserwowali te prace z wysokości murów obronnych, śmiejąc się i kpiąc z nadludzkiego wysiłku Macedończyków, ale po czterech miesiącach nie mieli już ochoty na żarty.

Pewnego poranka, o świcie, strażnicy pełniący wartę na tarasach twierdzy zaniemówili na widok dwóch samojezdnych kolosów, o wysokości ponad stu pięćdziesięciu stóp, które, skrzypiąc, posuwały się po nasypie. Były to największe maszyny oblężnicze, jakie kiedykolwiek skonstruowano. Zaledwie dotarły na kraniec mola, zostały wprowadzone w ruch, a na miasto spadły olbrzymie kamienie i płonące kule, siejąc zniszczenie i budząc przerażenie wśród ludności. Mieszkańcy Tyru niezwłocznie odpowiedzieli na atak, ustawiając katapulty na szczycie murów i strzelając do robotników pracujących na molo oraz w stronę maszyn oblężniczych.

Aleksander polecił przygotować ochronne wiaty z drzewa, pokryte niewyprawionymi skórami zwierząt. Były one ognioodporne, dzięki czemu bez przeszkód kontynuowano prace na molo. Po pewnym czasie przesunięto maszyny jeszcze bliżej wyspy, a miotane kamienie trafiały w miasto ze znacznie większą precyzją. Gdyby nic nie stało na przeszkodzie atakującym Macedończykom, mogliby niebawem stanąć tuż pod murami Tyru.

Tymczasem z Sydonu i z Byblos przyплыła flota, a z Cypru i Rodos okręty, które przeszły pod komendę Nearchosa. Flota Tyru nie chciała jednak podjąć walki, zamknawszy się w niedostępnych portach, gdzie przygotowywała niespodziewane niszczące kontrnatarcie.

Pewnej bezksiężycowej nocy, po dniu wypełnionym nieustającymi atakami Macedończyków, z portu wypłynęły dwie triery holujące brander - olbrzymi, wydrażony kadłub statku, wypełniony materiałem zapalającym. Z dziobu statku wystawały dwie długie drewniane belki, na których zawieszane były zbiorniki ze smołą i olejem. Kiedy triery znalazły się blisko mola, nagle przyśpieszyły i odczepiły brander, po uprzednim podpaleniu go. Następnie zawróciły, a płonący statek popłynął dalej dzięki sile bezwładności, uderzając w molo, w pobliżu machin oblężniczych. Płonące belki na dziobie brandera połamały się, wywołując eksplozję pojemników z materiałem podpalającym, które zmieniły się w dwie ogniste kule wycelowane w podstawę wież oblężniczych. Natychmiast nadbiegli żołnierze macedońscy, chcąc ugasić pożar, ale z trier wysiadły uzbrojone grupy szturmowe. Wywiązała się zaciepła walka, która była tym bardziej przerażająca, że towarzyszył jej krwawy blask pożaru, dym, snopy iskier, a w powietrzu unosiły się opary oleju i smoły. W wyniku kolejnej eksplozji brander rozsypał się w kawałki, a wieże stanęły w ogniu, który z powodu ich ogromnej wysokości wciąż się nasilał. Płomienie i iskry strzelały na wysokość stu stóp od wierzchołków potężnych machin, oświetlając całą zatokę, a krwawa łuna pożaru padała na bastiony miasta. Mieszkańcy Tyru, stojący na murach, wznosili okrzyki radości, natomiast Macedończycy odczuwali raczej niewielką satysfakcję ze zwycięstwa nad oddziałem desantowym, który rozgromili podczas zaciepłego kontrataku na kamiennym molu, i ze zniszczenia trier przeciwnika. Napawało ich smutkiem, że w kilka zaledwie godzin uległy zniszczeniu efekty wielomiesięcznej pracy najlepszych inżynierów na świecie.

Aleksander, dosiadłszy Bucefała, pogalopował wzdłuż mola, przedarł się przez ogień i zatrzymał niedaleko wież, w chwili gdy maszyny runęły, wzniesając snopy iskier, płomienie i dym. W ślad za królem przybyli jego towarzysze, a następnie inżynierowie i mechanicy, którzy zbudowali te cuda techniki wojennej. Naczelnym inżynierem, Diades z Larissy, skamieniał ze zgrozy. Jego oczy pałały bezsilnym gniewem, ale twarz pozostała niewzruszona.

Zsiadłszy z konia, Aleksander spojrział na miasto, na zniszczone maszyny, wreszcie na swoich inżynierów, którzy stali jak porażeni, i rozkazał:

- Odbudujcie je.

54

Kilka dni później, podczas gdy inżynierowie Aleksandra opracowywali sposób zapewniający szybką odbudowę spalonych wież, wskutek gwałtownego uderzenia fal uległo zniszczeniu molo, które wzniesiono z takim trudem. Wydawało się, że bogowie nagle odwrócili się od swego ulubieńca. Seria niepowodzeń wystawiła na ciężką próbę także ducha bojowego żołnierzy.

Aleksander stał się nieprzystępny, trudno też było się z nim porozumieć. Odbywał samotne przejażdżki brzegiem morza, spoglądając na murowaną wyspę, która kpiła sobie z jego wysiłków, albo siadał na kamieniu, by patrzeć godzinami, jak fale rozbijają się o skały.

Barsine również lubiła jeździć konno wzdłuż wybrzeża o świcie, po czym wracała do namiotu, gdzie czekały na nią służebnice wraz z piastunką. Podczas jednego z takich spacerów spotkała Aleksandra, który szedł brzegiem morza, prowadząc Bucefała. Wiatr rozwiewał mu włosy, zakrywając nimi prawie całą twarz, a na nodze widać było ślad po ranie odniesionej w bitwie pod Issos. Podobnie jak w czasie ostatniego spotkania z Aleksandrem, również i tym razem Barsine poczuła nagły dreszcz, jakby ujrzała przed sobą jakąś nierealną istotę.

Król spojrział na nią w milczeniu. Barsine zsiadła z konia, nie chcąc przewyższać Aleksandra, opuściła głowę i wyszeptwała:

- Panie.

Aleksander podszedł do niej i musnął jej policzek grzbietem dłoni. Patrzył na Barsine, lekko pochylając głowę na prawo, jak to zwykle czynił, kiedy coś głęboko przeżywał. Zamknęła oczy, nie mogąc znieść siły jego wzroku, który błyszczał wśród rozwianych wiatrem włosów.

Nagle król złożył na jej ustach gorący pocałunek, po czym wskoczył na konia i pojechał wzdłuż spienionego brzegu morza. Kiedy Barsine odwróciła się, by na niego popatrzeć, był już daleko, spowity migotliwym obłokiem, jaki tworzyły krople wody unoszące się spod kopyt Bucefała.

Po powrocie do namiotu Barsine osunęła się z płaczem na łóżko.

Przewyciężywszy gniew, Aleksander ponownie przejął kontrolę nad sytuacją i zwołał radę wojenną w szerszym gronie. Wezwał wszystkich generałów, architektów, techników, inżynierów, a także Nearchosa z kapitanami floty.

- Wydarzenia ostatnich dni nie były spowodowane gniewem bogów - zagań - ale naszą głupotą. Zaradzimy temu i zwyciężymy Tyr. Po pierwsze - molo. Nasi kapitanowie muszą zbadać wiatry i prądy morskie, jakie występują w tym obszarze, a następnie poinstruować architektów, żeby mogli zaprojektować nową konstrukcję, dostosowaną do siły i kierunku tych zjawisk.

Po drugie - maszyny oblężnicze. - Mówiąc to, zwrócił się do Diadesa i jego inżynierów: - Jeśli zdecydujemy się wstrzymać działania do czasu postawienia nowego mola, stracimy zbyt wiele czasu. Musimy postępować tak, żeby mieszkańcy Tyru nie zaznali spokoju w dzień ani w nocy. Podzielimy pracowników na dwie grupy, które będą pracować jednocześnie. Jedna grupa zaprojektuje i skonstruuje maszyny przeznaczone na molo, a druga zaprojektuje maszyny, które będą się unosić na wodzie.

- Maszyny pływające, panie? - spytał Diades, otwierając szeroko oczy.

- Właśnie. Nie wiem, jak to zrobicie, ale jestem przekonany, że wkrótce się uporacie z tym problemem. Moi towarzysze natomiast zajmą się utrzymaniem spokoju wśród plemion zamieszkujących wzgórze Libanu, aby nasi drwale mogli pracować bez przeszkód. Jestem pewien, że z

nastaniem wiosny wejdziemy do Tyru. Zaraz wam wyjaśnię, dlaczego tak myślę. Tej nocy miałem sen, w którym widziałem Heraklesa stojącego na murach miasta. Otworzył ramiona, jakby pragnął mnie powitać.

Opowiedziałem ten sen Arystandrosowi, który bez wahania zinterpretował go w następujący sposób: wejdę do Tyru i złożę ofiarę w świątyni herosa. Przekażcie tę wiadomość waszym żołnierzom, żeby również oni byli pewni zwycięstwa.

- Jak sobie życzysz, Aleksandrze - powiedział Eumenes i pomyślał, że sen Aleksandra przyszedł w odpowiednim czasie.

Natychmiast przystąpiono do prac. Zgodnie ze wskazówkami marynarzy z Cypru i Rodos, świetnie znających te wody, odbudowano molo. Diadesowi przypadło trudniejsze zadanie. Musiał on zaprojektować dwie wieże obelężnicze, które miały być zamontowane na podestach przymocowanych do pokładów dwóch okrętów wojennych złączonych ze sobą. Po upływie miesiąca obydwie konstrukcje były ukończone. Kiedy tylko morze się uspokoiło, przybliżono wieże do murów obronnych miasta, po czym zakotwiczone pomosty i uruchomiono tarany, które zaczęły nieprzerwanie uderzać w mury.

Mieszkańcy Tyru niebawem odpowiedzieli na atak, wysyłając nurków, którzy nocą przecięli liny kotwic, w wyniku czego pomosty z wieżami podryfowały w stronę skał. Czuwający na królewskim pięciowiosłowcu Nearchos wydał natychmiast sygnał alarmu, a dziesięć okrętów popłynęło w stronę pomostów, którymi trudno było kierować z powodu silnego wiatru. Admirał podpłynął do wież i zatrzymał je, przerzucając przez burty pomostów cumy zakończone hakami, po czym ponownie ustawił je na miejscu, zastępując liny kotwic żelaznymi łańcuchami. Znowu zaczęto uderzać w mury, ale mieszkańcy Tyru zdołali zasłonić je workami pełnymi wodorostów, żeby złagodzić ciosy taranów. Miasto stawiało zacięty opór.

Pewnego dnia, kiedy Aleksander przebywał w górach, walcząc z plemionami Libanu, które stawały się coraz bardziej agresywne, do mola przybił statek z Macedonii z zaopatrzeniem i korespondencją. Parmenionowi zapowiedziano wizytę dawnego nauczyciela władcy, Leonidasa, który miał teraz osiemdziesiąt lat, a usłyszawszy o wyczynach swego ucznia, postanowił wsiąść na statek, by jeszcze przed śmiercią zobaczyć Aleksandra i złożyć mu swe gratulacje. Kiedy rozeszła się wieść o przybyciu Leonidasa, również pozostali uczniowie zapragnęli spotkać się ze starym nauczycielem. Seleukos, Leonnatos, Krateros, Perdikkas, Filotas, Ptolemeusz, Hefajstion i Lizymach przybyli na spotkanie, hałasując jak dzieci i wykrzykując chórem starą rymowaną, która bardzo złościła Leonidasa:

Ek korì korì koròne!

Ek korì korì koròne!

Oto nadchodzi, nadchodzi stara wrona!

Następnie zaczęli klaskać, wołając: *Didáskale! Didáskale! Didáskale!*

Stary Leonidas bardzo się wzruszył, kiedy usłyszał, że byli uczniowie nazywają go mistrzem, jak wtedy, gdy witali się z nim, siedząc w klasie, z tabliczkami na kolanach. Nie okazał tego jednak, tylko natychmiast zaczął przywoływać ich do porządku.

- Cisz! - rzekł niewyraźnie bezzębnymi ustami. - Zachowujecie się jak niesforne dzieci! Założę się, że odkąd wyjechaliście z domu, nie przeczytaliście ani jednej książki.

- Ależ, mistrzu! - zawołał Leonnatos. - Chyba nie będziesz nas teraz przepytywał? Nie widzisz, ile mamy pracy?

- Nie powinienes był wybierać się w tak daleką podróż zimą i w tak brzydką pogodę - dorzucił Ptolemeusz. - Jaki jest powód twojej wizyty?

- Słyszałem o bohaterskich czynach mojego ucznia i chciałem się z nim zobaczyć, zanim umrę.

- A z nami nie? - spytał Hefajstion. - My też byliśmy bardzo dzielni.

- Co do umierania, mistrzu, na to jest zawsze czas - rzekł Perdikkas. - A z podróży mogłeś poczekać do wiosny.

- Eh! - odparł Leonidas. - Wiem, co robię, i nie potrzebuję waszych rad. Gdzie jest Aleksander?

- Król jest w górach - oznajmił Hefajstion. - Walczy z plemionami Libanu, które dochowują wierności Dariuszowi.

- Zabierzcie mnie tam.

- Ależ... - zaczął Ptolemeusz.

- Mistrzu, w górach leży teraz śnieg - perswadował Leonnatos. - Przeziębisz się.

Leonidas nie dawał za wygraną.

- Statek odpływa za pięć dni, więc miałbym odbyć tę podróż na próżno? Chcę się zobaczyć z Aleksandrem. To rozkaz.

Leonnatos pokręcił rozczochraną głową, po czym wzruszył ramionami.

- Zawsze taki sam - mrucał pod nosem. - Zupełnie się nie zmienił.

- Zamilcz, głupcze! Pamiętam do dziś, jak wrzucałeś mi żaby do zupy - odezwał się skrzekliwie nauczyciel.

- Kto go zaprowadzi? - spytał Leonnatos.

Na te słowa wystąpił Lizymach, mówiąc:

- Ja zaprowadzę Leonidasa, a przy okazji dostarczę korespondencję.

Nauczyciel i uczeń wyruszyli następnego dnia, pod eskortą hetajrów, a wieczorem dotarli do Aleksandra. Król wzruszył się na widok Leonidasa. Jego wizyta była dla niego prawdziwą niespodzianką. Natychmiast zaopiekował się starym nauczycielem i odesłał Lizymacha do obozu nad morzem.

- Byłeś bardzo nieostrożny, *didaskale*, jadąc tutaj. To nie jest bezpieczne miejsce, a w dodatku musimy wejść jeszcze wyżej, by dostać się do Agrian, naszych oddziałów pomocniczych, które pilnują przełęczy.

- Nie boję się, a wieczorem musimy sobie uciąć pogawędkę, bo zapewne masz mi wiele do powiedzenia.

Ruszyli w podróż, lecz muł Leonidasa nie mógł nadażyć za końmi żołnierzy, więc Aleksander puścił ich przodem, a sam został w tyle z nauczycielem. Kiedy zapadły ciemności, dotarli do rozstaju dróg. We wszystkich kierunkach ziemia była rozdeptana końskimi kopytami, tak więc Aleksander wybrał na chybił trafił jedną ze ścieżek. Zaprowadziła ona jeźdźców do ustronnych miejsc, których nigdy przedtem nie widział. Tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno, a od północy zaczął wiać mroźny wiatr. Leonidas skostniał z zimna i próbował otulić się szczelnie płaszczem. Kiedy Aleksander ujrzał, że nauczyciel zsiniał z zimna, a oczy

miął załzawione od wiatru i zmęczenia, poczuł głębokie współczucie dla starca. Zdał sobie sprawę, że Leonidas, który przepłynął całe morze, by się z nim spotkać, nie przeżyje nocy przy tej pogodzie. Wiedział, że zabłądzili, ale było już za późno, by zawrócić i odszukać pozostałych, a poza tym panowały kompletne ciemności. Aleksander musiał natychmiast rozpalic ognisko, ale nie wiedział jak. Nie miał żagwi, a wokół nie było suchych gałęzi. Wszędzie panowała wilgoć, na drzewach leżał śnieg, a pogoda się pogarszała.

W pewnej chwili dostrzegł ogień migoczący w ciemnościach niedaleko od nich, a potem następny, i jeszcze jeden. Powiedział więc do Leonidasa:

- Mistrzu, zaraz wracam, zostań tutaj. Zostawiam ci Bucefała.

Koń zaprotestował, parskając, ale w końcu dał się przekonać i pozostał z Leonidasem, gdy tymczasem król poczołgał się w ciemnościach w stronę ognisk. Po chwili dostrzegł żołnierzy nieprzyjaciela, którzy szykowali się do snu i rozpalili ogniska, by się ogrzać i przygotować coś do jedzenia.

Aleksander podczołgał się do jednego z kucharzy, który właśnie nadziewał mięso na rożen. Zaledwie żołnierz oddalił się po coś, król prześliznął się do ogniska, wyciągnął z niego głównię, ukrył ją pod płaszczem i zawrócił. Jednak trzask łamanych gałęzi zdradził jego obecność. Jeden z żołnierzy wykrzyknął: „Jest tam kto?!” - po czym wyciągnął miecz i podszedł do drzewa, za którym ukrył się Aleksander. Oczy łzawiły królowi od dymu, a nie chcąc kaszlnąć czy kichnąć, musiał wstrzymać oddech. W tej samej chwili wrócił na szczęście żołnierz, który oddalił się za potrzebą.

- Ach, to ty! - rzekł, zatrzymując się w niewielkiej odległości od Aleksandra. - Chodź, jedzenie już prawie gotowe.

Król przemknął ostrożnie, by nie czynić najmniejszego hałasu, po czym dotarł do ścieżki, cały czas osłaniając tłące się polano. Zaczął padać śnieg, a wiatr stał się jeszcze zimniejszy. Stary nauczyciel musiał być przemarznięty do szpiku kości. Wkrótce dostrzegł Leonidasa.

- Już jestem, *didaskale*. Mam dla ciebie prezent - powiedział, wyciągając spod płaszcza głównię.

Znalazłszy bezpieczne miejsce pod skałą, zaczął dmuchać na polano, by ożywić płomień. Następnie dodał kilka gałązek, które najpierw lekko dymiły, a następnie rozpały się, dając ciepło. Na twarzy Leonidasa pojawiły się kolory i po krótkiej chwili nauczyciel ożywił się nieco. Z sakwy przymocowanej do siodła Bucefała Aleksander wyjął chleb, podzielił go na drobne kawałki i podał bezzębnemu nauczycielowi, po czym usiadł obok niego, blisko ogniska.

Żując chleb, Leonidas mówił:

- Czy to prawda, mój chłopcze, że zabrałeś zbroję Achillesa, a jego tarcza jest taka, jak ją opisuje Homer? A Halikarnas? Słyszałem, że Mauzoleum jest tak wysokie jak Partenon z postawioną na nim świątynią Hery w Argos. Czy to możliwe? A Halys? Widziałeś tę rzekę, chłopcze, więc potrafisz powiedzieć, czy to prawda, że jest trzy razy szersza od naszego Haliakmonu? Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. A Amazonki? Czy to prawda, że nad Halys znajduje się grobowiec królowej Amazonek, Pentesilei? Zastanawiałem się też, czy Wrota Cylicyjskie są tak wąskie, jak

opowiadają...

- *Didaskale* - przerwał mu Aleksander - stawiasz zbyt wiele pytań naraz. Lepiej, żebym odpowiadał na nie po kolei. Jeśli chodzi o zbroję Achillesa, wyglądało to mniej więcej tak...

Przez całą noc rozmawiał z nauczycielem. Użyczył mu też części swojego płaszcza, by ochronić go przed górskim chłodem. Nazajutrz Aleksander i nauczyciel, cali i zdrowi, dołączyli do pozostałych żołnierzy. Nie chcąc narażać Leonidasa na niebezpieczeństwa zimowej przeprawy, król zaproponował mu, by pozostał z nimi aż do wiosny.

55

Pod koniec zimy nowe moło było gotowe. Wysypano je ziemią tak, aby mogły po nim przejechać wieże oblężnicze, wzniesione przez Diadesa w niezwykle krótkim czasie. Na podestach, znajdujących się na poziomie murów, inżynier ustawił rząd katapult ze sprężynami, które wyrzucały poziomo ciężkie stalowe strzały. Na szczytach wież zamontowano balisty, miotające kamieniami i płonącymi kulami nasączonymi smołą, olejem i naftą. Na podestach zaś zamontowanych na trierach stały kolejne wieże wyposażone w tarany, mające wybić otwór w murach obronnych. Z okrętów wysiadły na brzeg tysiące żołnierzy, którzy mieli za zadanie utworzyć przyczółek przed jedną z bram miasta.

Obrońcy Tyru odpowiedzieli na atak zacieklą walką, a tarasy na murach obronnych zaroily się od walczących żołnierzy, niczym mrowisko, w które wbiło patyk małe dziecko. Również oni ustawili dziesiątki katapult, odpowiadając ciosem za cios. Kiedy dostrzegli Macedończyków podpalających bramę, zrzucili na nich gorący piasek, który parzył ciała okryte zbrojami. Chcąc uśmierzyć ból, niektórzy atakujący z krzykiem wskakiwali do morza, inni zdejmowali zbroje, wystawiając się na strzały łuczników, jeszcze innych trafiały harpuny i haki miotane z machin, jakich dotąd nie widziano, po czym podnosiły ich w górę, by na koniec powiesić na murach, gdzie krzyczeli z bólu tak długo, aż skonali. Ich przejmujące krzyki docierały do króla, który nie spoczywał w dzień ani w nocy, krążąc po namiocie jak zgłodniały wilk wokół owczarni. Również jego żołnierze wpadali w gniew na widok tych straszliwych scen.

Aleksander zwlekał jednak z przystąpieniem do ostatecznego ataku, który zakończyłby się z pewnością masakrą, i starał się wymyślić mniej drastyczne rozwiązanie. Pragnął uratować swój honor, a jednocześnie życie mieszkańców Tyru, gdyż podziwiał ich męstwo i nieustępliwość.

Postanowił zapytać o radę Nearchosa, który najlepiej potrafił ocenić sytuację i sposób myślenia mieszkańców nadmorskiego miasta.

- Posłuchaj - powiedział mu admirał. - Zmitrężyliśmy tu już siedem miesięcy, ponosząc znaczne straty. Sądzę, że powinienes poprowadzić armię dalej, gdy tymczasem ja będę kontynuował oblężenie. Mam do dyspozycji sto okrętów wojennych, a niebawem z Macedonii przybędą następne. Nie pozwolę nikomu wejść ani wyjść z miasta, aż do momentu, kiedy skapitulują, a wtedy zaproponuję im pokój na godziwych warunkach.

Tyr to miasto wspaniale pod każdym względem. Jego marynarze dotarli aż do słupów Heraklesa, a nawet dalej. Zwykło się mówić, że odwiedzili

ziemie, których nie widziała żadna ludzka istota, oraz że znają drogę na Wyspy Szczęścia położone za oceanem. Pomyśl, Aleksandrze, czy nie byłoby lepiej oszczędzić miasto, które stanie się wkrótce częścią twojego imperium?

Król zastanawiał się nad słowami Nearchosa, ale niebawem przypomniał sobie inne wieści, które do niego dotarły.

- Eumolpos z Soloj powiedział mi - rzekł - że Kartagińczycy zaproponowali Tyrowi pomoc, a ich flota już się zbliża. Nie zapominajmy też, że Persowie pływają po Morzu Egejskim i jeśli mnie tu nie będzie, w każdej chwili mogą cię zaatakować. Nie, mieszkańcy Tyru muszą się poddać. Dam im jeszcze jedną szansę ratunku.

Postanowił wysłać kolejne poselstwo, wybierając do niego najstarszych i najmądrzejszych doradców. Usłyszawszy o tym, stary Leonidas postanowił widzieć się z królem.

- Mój chłopcze, pozwól, żebym z nimi poszedł. Nie wiesz o tym, ale twój ojciec często powierzał mi poufne i bardzo dyskretne misje, które zawsze wypełniałem z dużym... znanstwem.

Aleksander pokręcił głową.

- Nawet o tym nie myśl, *didaskale*. To bardzo ryzykowna misja i nie chcę niepotrzebnie wystawiać cię na...

Leonidas wziął się pod boki.

- Niepotrzebnie? - powtórzył. - Nie wiesz, co mówisz, mój synu. Bez twojego starego Leonidasa ta misja nie ma żadnych szans powodzenia. Mam najwięcej doświadczenia i jestem najzdolniejszym człowiekiem, jakiego potrzebujesz. Przepraszam, ale kiedy jeszcze siusiałeś do łóżka, z rozkazu twego ojca - oby jego imię żyło wiecznie! - kierowałem misją u okrutnych barbarzyńców, których zmieniłem w łagodne istoty, nie podejmując żadnej walki. Czytujesz czasem *Iliadę*?

- Oczywiście, że tak, *didaskale* - odparł król. - Co wieczór.

- Kto więc wysłał Achilleasa z posłannictwem do Achajów? Czy nie był to przypadkiem jego dawny mistrz Feniks? Zakładając więc, że jesteś nowym Achillesem, rozumie się, że ja jestem nowym Feniksem. Pozwól mi pójść, a gwarantuję ci, że zmuszę do myślenia tych przeklętych uparciuchów.

Leonidas był tak zdeterminowany, że Aleksander nie czuł się na siłach odmówić mu tej chwili chwały i zlecił mu misję. Na okręcie wyposażonym w symbole zawieszenia broni wysłał grupę posłów, by zaczęto pertraktacje o warunki kapitulacji miasta, po czym zamknął się w namiocie na końcu mola i z niepokojem oczekiwał wyników misji. Mijały godziny, a posłowie nie wracali.

Około południa nadszedł Ptolemeusz z zachmurzonym czołem.

- No, i co? - spytał Aleksander. - Co odpowiadają?

Ptolemeusz dał znak, by z nim wyszedł z namiotu, po czym wskazał wznoszące się ponad murami obronnymi Tyru wysokie wieże, do których, jak do pięciu krzyży, przybito pięć zakrwawionych ciał. Wśród nich było też ciało Leonidasa, wyróżniające się łysą głową i wychudłymi członkami.

- Torturowali ich, a następnie ukrzyżowali - oznajmił.

Widząc to, Aleksander zbladł i stał jak sparaliżowany. Podczas gdy

niebo zakrywało się gęstymi chmurami, jego spojrzenie stawało się coraz ciemniejsze, a lewe oko przypominało czarną otchłań. Nagle wydał z siebie przeraźliwy, nieludzki okrzyk, który zdawał się wydobywać z samych trzewi. Wyrażał on gwałtowny gniew Filipa i okrucieństwo Olimpias, które wyzwoliło w nim ślełą żądzę zniszczenia. Król opanował się jednak, odzyskując głęboki, lecz groźny spokój, niczym niebo przed burzą.

Wezwał do siebie Hefajstiona i Ptolemeusza.

- Podajcie mi zbroję! - rozkazał.

Ptolemeusz dał znak ordynansom i ci odpowiedzieli:

- Na twoje rozkazy, królu!

Jeden z nich zaczął pośpiesznie ubierać Aleksandra w błyszczącą zbroję, drugi zaś przyniósł królewski sztandar z gwiazdą Argeadów.

- Trąby! - rozkazał następnie władca. - Dajcie znak wszystkim wieżom, by rozpoczęły atak.

Kiedy zagrały trąby, rozległ się łoskot taranów uderzających w mury, a zatokę wypełnił świst pocisków wyrzucanych z katapult i balist. Aleksander zwrócił się następnie do admirała:

- Nearchosie!

- Na rozkaz, królu!

Aleksander wskazał wieżę oblężniczą stojącą najbliżej murów.

- Zawieź mnie na tamten podest, a jednocześnie każ flocie, by wypłynęła, stanęła w portach i zatopiła wszystkie okręty, które napotka na drodze.

Nearchos spojrział w niebo, które stawało się coraz ciemniejsze, ale wypełnił rozkaz, każąc zawieźć się wraz z królem i jego towarzyszami na pokład admirałskiego pięciowiosłowca. Natychmiast polecił zwinąć żagle i usunąć maszty na wszystkich okrętach, a następnie zatknął wojenną flagę i podniósł kotwice. Ze stu okrętów dał się słyszeć odgłos bębnów, które zgodnie wyznaczały rytm wiosłowania, a morze zakipiało od silnego wiatru i uderzeń tysięcy wiosł.

Okręt admirałski dopłynął do podestu w deszczu pocisków wyrzucanych z wysokich murów. Aleksander i towarzysze przeskoczyli przez burzę statku, po czym dostali się na wieżę, wbiegając w pośpiechu po schodach, wśród nawoływań, ogłuszającego łoskotu taranów uderzających w mury i głośnego, miarowego okrzyku ludzi nabierających rozmachu, by pchnąć olbrzymie kłody.

Kiedy czarne jak węgiel niebo rozdarła błyskawica i na moment oświetliła ciała ukrzyżowanych, nagle na szczycie wieży pojawiła się złota zbroja Aleksandra i szkarłatna plama sztandaru. Na taras spuszczone drewniany mostek, z którego król i jego towarzysze przypuścili atak. Z boków osłaniali Aleksandra Leonnatos uzbrojony w topór, Hefajstion z mieczem, Perdikkas dzierżący długą włócznię oraz Ptolemeusz i Krateros, okryci błyszczącą stalą. Król, w lśniącej zbroi, z białym pióropuszem na helmie i z czerwono-złotą chorągwią, stał się od razu celem łuczników i zwartego ataku obrońców miasta. Jeden z żołnierzy macedońskich o imieniu Admet ruszył do przodu, by udowodnić królowi swoją waleczność, lecz został zabity. Aleksander jednak wtargnął w szeregi nieprzyjaciół, obracając mieczem i powalając ich uderzeniami tarczy, podczas gdy Leon-

natos torował mu drogę po lewej stronie, siejąc zniszczenie toporem. Znalazszy się na tarasie, władca zrzucił z murów jednego z nieprzyjaciół, drugiego przeciął na pół od pachwiny po brodę, trzeciego zaś strącił ze schodów na dachy stojących niżej domów. Tymczasem Perdikkas wbił czwartego obrońcę na włócznię, podniósł go w górę niczym rybę przesyłą harpunem i rzucił w stronę nieprzyjaciół. Aleksander krzychał coraz głośniej, ciągnąc za sobą rzekę żołnierzy. Jego gniew sięgał zenitu, jakby potęgowany siłą błyskawic i hukiem grzmotów, które poruszały otchłanie nieba i ziemi. Parł naprzód nieprzerwanie, aż w końcu zaczął biec w kierunku bliskiego już krzyża z Leonidasem, nie dbając o grad strzał i stalowych pocisków wyrzucanych z katapult. Obrońcy zatarasowali mu drogę, lecz Aleksander powalił ich kolejno jak marionetki, podczas gdy Leonatos bił nieprzyjaciół na oślep toporem, a jego niezwykle silne uderzenia krzesaly snopy iskier z tarcz i hełmów, rozbijając na kawałki miecze i włocznie wroga.

Kiedy król znalazł się wreszcie pod krzyżem, gdzie stała katapulta z grupą rusznikarzy, zawołał:

- Przejmijcie katapultę i wycelujcie ją w pozostałe! Zdejmijcie tego człowieka!

Podczas gdy towarzysze wypierali wroga spod krzyża, Aleksander dostrzegł obok katapulty skrzynię z narzędziami. Odłożywszy na ziemię tarczę, chwycił do ręki obcęgi. W tej samej chwili jeden z nieprzyjaciół zaczął celować do niego z łuku, z odległości dwudziestu kroków, napinając cięciwę. Tymczasem Aleksandrowi wydało się, że słyszy głos zatroskanej matki, wołającej: *Aleksandrze!*

Władca cudem spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo, błyskawicznie wyciągnął zza pasa sztylet i rzucił nim w łuczniaka, trafiając prosto w pierś. Następnie towarzysze ustawili wokół mur z tarcz, podczas gdy Aleksander wyciągał gwoździe z umęczonych członków nauczyciela. Zdjąwszy go z krzyża, wziął na ręce nagie, wychudłe ciało i położył na ziemi. W tym samym momencie przypomniał sobie pewne pogodne popołudnie w Koryncie i nagie członki innego starca - Diogenesa, mędrca o łagodnych oczach. Czując głęboki smutek w sercu, wyszeptał:

- *Didaskale...*

Na dźwięk tego słowa wątłe ciało Leonidasa nagle drgnęło w ostatnim przyływie życia i nauczyciel otworzył oczy.

- Mój chłopcze, nie udało mi się... - I to były ostatnie jego słowa.

W tej samej chwili niebo nad miastem pękło, a ulewny deszcz spadł na morze, ziemię i małą wyspę wypełnioną odgłosami walki. Zerwał się silny wiatr i zaczął sypać grad, który jednak nie zdołał ugasić wojennego zapala walczących stron. Wśród wzburzonych fal na otwartym morzu flota Tyru prowadziła zacieklą bitwę z potężnymi pięciowiosłowcami Nearchosa, a mieszkańcy miasta bronili ulic i własnych domów, póki starczyło im sił.

Przed wieczorem, kiedy słońce przedarło się przez chmury, oświetlając sine morze, zniszczone mury miasta, wraki okrętów kołyszające się na wodzie i ciała topielców, opór mieszkańców Tyru został złamany ostatecznie. Wielu spośród tych, którzy ocaleli, schroniło się w świątyniach, uczepiwszy się posągów bóstw, więc król kazał ich oszczędzić. Nie

udało mu się jednak powściągnąć żądzę odwetu, jaką przejawiali żołnierze w stosunku do osób schwytanych na ulicach miasta. Dwa tysiące jeńców ukrzyżowano wzdłuż mola.

Ciało Leonidasa spalono na stosie, a jego prochy wysłano do ojczyzny, gdzie miały być pochowane pod platanem, w cieniu którego mistrz miał zwyczaj głosić swe nauki wiosną i latem.

56

Aleksander wydał rozkaz, by flota popłynęła na południe i przewiozła rozmontowane maszyny oblężnicze do Gazy, która była ostatnią twierdzą na skraju pustyni, leżącą na granicy Palestyny i Egiptu. Dziesięć okrętów wysłano natomiast do Macedonii, by zaciągnąć do służby żołnierzy, mających zastąpić poległych. Właśnie wtedy Aleksander otrzymał odpowiedź od króla Dariusza.

Dariusz, król Persów, Król Królów, światło Agrian i Pan czterech części świata do Aleksandra, króla Macedończyków, bądź pozdrowiony!

Pragnę, abyś wiedział, że podziwiam Twoją dzielność i szczęście, jakim Cię obdarzają bogowie. Jeszcze raz proponuję, żebyś został moim sojusznikiem i złączył się ze mną więzami pokrewieństwa.

Daję Ci za małżonkę moją córkę Statejrę i przyznaję Ci władzę nad ziemiami, które rozciągają się od Efezu i Miletu, miasta yauna, po rzekę Halys, jak również dar w wysokości dwóch tysięcy srebrnych talentów.

Zaklinam Cię, byś nie wyzywał losu, który mógłby się od Ciebie w każdej chwili odwrócić. Pamiętaj, że gdybyś chciał kontynuować wyprawę, zestarzejesz się, zanim dotrzesz na kraniec mojego imperium, nawet jeśli nie będziesz musiał toczyć bojów. Moich ziem bronią też cztery olbrzymie rzeki, których nie da się przekroczyć: Tygrys, Eufrat, Araks i Hydaspos.

Rozważ moją propozycję i podejmij mądrą decyzję.

Aleksander polecił odczytać list radzie wojennej, po czym spytał:

- Co o tym sądzicie? Co powinienem odpowiedzieć?

Nikt nie śmiał doradzać królowi, co powinien uczynić, więc wszyscy milczeli. Tylko Parmenion, który ze względu na wiek i autorytet sądził, że może wyrazić swoją opinię, powiedział:

- Gdybym był na miejscu Aleksandra, zgodziłbym się.

Król spuścił głowę, jakby zastanawiał się nad tym, co usłyszał, po czym odparł chłodno:

- Ja też, gdybym był na miejscu Parmeniona.

Stary generał spojrział na niego zaskoczony. Najwidoczniej poczuł się urażony, więc w milczeniu wstał i wyszedł. Towarzysze spojrzeli po sobie, ale władca mówił dalej spokojnym głosem:

- Rozumiem punkt widzenia generała, ale mam nadzieję, że wszyscy zdajecie sobie sprawę, iż Dariusz daje mi tylko to, co już zdobyłem, pomijając oczywiście jego córkę. Co więcej, prosi mnie otwarcie, bym zrezygnował ze wszystkich prowincji i miast na wschód od rzeki Halys, które kosztowały nas tak wiele poświęceń. Stara się nas zastraszyć, bo sam się boi. My natomiast ruszymy dalej. Zdobędziemy Gazę, a później Egipt,

najstarszy i najbogatszy kraj na świecie.

Odpowiedział więc odmownie na list Dariusza, po czym ruszył na czele armii wzdłuż wybrzeża, podczas gdy w konwoju płynęła flota pod dowództwem Nearchosa i Hefajstiona.

Gaza była dobrze strzeżoną twierdzą, ale jej mury obronne wykonano z cegły. Wznosiła się na wzgórzu pokrytym gliniastą ziemią, w odległości około piętnastu stadionów od morza. Jej dowódcą był czarnoskóry eunuch o imieniu Batis, człowiek wielkiej odwagi i bardzo oddany Dariuszowi. Ponieważ nie chciał poddać miasta, Aleksander zdecydował się je zaatakować. Objechał twierdzę dookoła, chcąc ustalić, gdzie wykonać podkop i w którym miejscu ustawić maszyny wojenne. Nie była to prosta sprawa ze względu na piaszczysty teren rozciągający się wokół wzgórza. Kiedy tak zastanawiał się nad rozwiązaniem problemu, przeleciał nad nim kruk, upuszczając na głowę Aleksandra kępkę trawy. Następnie ptak usiadł na murach miasta, lecz przykleił się do pokrywającej je smoły, która roztopiła się w gorących promieniach słońca. Zdarzenie to bardzo zdziwiło Aleksandra. O wyjaśnienie przepowiedni poprosił Arystandrosa, który towarzyszył mu zawsze niczym cień.

- Co to znaczy? Jaką przepowiednię przysyłają mi bogowie?

Wróżbita spojrział na rozpalone słońce, a potem zwrócił zwięzione źrenice na kruka, który rozpaczliwie trzepotał skrzydłami sklejonymi od smoły. Ptak szarpał się, lecz w końcu zdołał się uwolnić, straciwszy kilka posklejanych piór.

- Zdobędziesz Gazę, ale jeśli uczynisz to dzisiaj, zostaniesz ranny.

Pomimo wyjaśnień Arystandrosa Aleksander postanowił od razu podjąć walkę, aby żołnierze nie myśleli, iż przestraszył się przepowiedzianych cierpień. Podczas gdy oddziały kopaczy przystąpiły do wykonywania tuneli, które miały osłabić mury, król rozpoczął frontalny atak od strony podejścia prowadzącego do miasta.

Batis, przekonany o swej korzystniejszej pozycji, opuścił miasto i przystąpił do kontrataku. W szeregach jego armii znajdowali się Persowie i dziesięć tysięcy najemników arabskich i etiopskich, ludzi o czarnej skórze, których żołnierze Aleksandra nigdy przedtem nie widzieli.

Król, mimo że dawna rana spod Issos sprawiała mu jeszcze ból, zajął pozycję w pierwszej linii piechoty, zmierzając do bezpośredniej walki z Batisem, czarnym kolosem lśniącym od potu, który bił się zaciekle na czele Etiopczyków.

- Bogowie! - zawołał Perdikkas. - To człowiek z jajami, mimo że wykastrowany!

Kiedy Aleksander odpierał mieczem żołnierzy wroga, którzy się na niego rzucili, jeden z rusznikarzy na wieży dostrzegł jego czerwoną chorągiew, pióropusz na hełmie oraz lśniącą zbroję, i wymierzył do króla z katapulty.

Tymczasem na wieży pałacu w dalekiej Pelli Olimpias wyczuła grożące synowi niebezpieczeństwo. Zawołała więc rozpaczliwie: *Aleksandrze!*

Jej głos nie mógł jednak dotrzeć na tak dużą odległość ani odwrócić złej przepowiedni. Strzała została wystrzelona i ze świstem poleciała do celu, a przebiwszy tarczę i pancerz, trafiła Aleksandra w ramię. Król upadł, a

nieprzyjaciele rzucili się, żeby go dobić i zdjąć z niego zbroję. Jednak Perdikkas, Krateros i Leonnatos obronili Aleksandra, odpychając wrogów tarczami i przeszywając włóczniami.

Władca, zwijając się z bólu, zawołał:

- Sprowadźcie Filipa!

Medyk przybył natychmiast.

- Szybko! Zabierzmy go stąd! - krzyknął.

Dwaj żołnierze położyli króla na noszach i wynieśli z pola bitwy. Wiele osób spostrzegło jednak, że Aleksander był śmiertelnie blady, a w jego ramieniu tkwiła strzała, więc rozeszła się wieść o jego śmierci i szyki zaczęły się chwiać pod naporem nieprzyjaciela.

Słyszając krzyki, Aleksander zrozumiał, co się dzieje. Chwycił za rękę Filipa biegnącego obok noszy i powiedział:

- Muszę jak najszybciej wrócić na miejsce bitwy. Wyciągnij strzałę i zaszyj ranę!

- To nie wystarczy! - wykrzyknął lekarz. - Panie, jeśli tam wrócisz, umrzesz!

- Nie. Zostałem ranny, więc spełniła się pierwsza część przepowiedni. Pozostała część druga: mam wkroczyć do Gazy.

Kiedy znaleźli się w królewskim namiocie, Aleksander powtórzył:

- Wyciągnij strzałę. To rozkaz.

Filip spełnił jego polecenie. Naciął ramię narzędziem chirurgicznym i wyciągnął grot, a tymczasem król wbijał zęby w skórzany pas, żeby nie krzyczeć z bólu. Popłynęła krew, ale Filip wyjął natychmiast z pieca rozpalone ostrze i zanurzył je w ranie. Namiot wypełnił się mdłym zapachem palonego mięsa, a król jęczał z bólu.

- Zaszuj! - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Medyk zaszył ranę, opatrzył ją i przewiązał bandażem.

- Teraz załóżcie mi zbroję.

- Panie, zaklinam cię... - błagał Filip.

- Załóżcie mi zbroję!

Żołnierze wypełnili rozkaz, po czym król powrócił na pole bitwy, gdzie armia macedońska, podupadłszy na duchu, ustępowała pod naporem nieprzyjaciół, mimo że Parmenion sprowadził posiłki w postaci kolejnych dwóch batalionów falangi.

- Król żyje! - wykrzyknął głośno Leonnatos. - Król żyje! *Alalalài!*

- *Alalalài!* - odpowiedzieli żołnierze, którzy poczuli przyływ nowych sił do walki.

Aleksander, nie zwracając uwagi na przejmujący ból, jaki sprawiała świeżo odniesiona rana, ponownie stanął w pierwszej linii, ciągnąc za sobą szeregi armii, którą zadziwiło to nagłe pojawienie się króla. Wyglądało to tak, jakby prowadził ją nie człowiek, tylko niedosiężny, niezwyknięty bóg.

Nieprzyjacielscy wojownicy zostali odparci pod bramę miasta. Wielu z nich zginęło, gdyż nie zdążyli schronić się poza mury obronne. Podczas gdy zamykały się wrota bramy, a Macedończycy wznosili okrzyki zwycięstwa, jeden ze śmiertelnie trafionych żołnierzy wroga zdołał się jeszcze wydostać spod przykrywającej go tarczy i przeszył mieczem lewe

udo Aleksandra. Król przybił go włócznią do ziemi, po czym upadł na ziemię, wijąc się z bólu, jaki sprawiały mu odniesione rany.

Przez trzy noce i trzy dni bredził w wysokiej gorączce, podczas gdy jego ludzie nieustannie drażyli wnętrze wzgórza, na którym wznosiła się Gaza.

Czwartego dnia odwiedziła go Barsine. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, podziwiając wytrzymałość młodego króla na tak olbrzymi ból. Zobaczyła, jak w kącie namiotu cicho płacze Leptine, po czym podeszła do Aleksandra i lekko pocałowała go w czoło. W chwilę później wyszła niepostrzeżenie.

Pod wieczór Aleksander odzyskał przytomność, lecz jego ból stał się trudny do zniesienia. Spojrzawszy więc na siedzącego obok Filipa, którego oczy zaczerwienione były od nieprzespanych nocy, powiedział:

- Nie mogę wytrzymać, chyba zwariuję... Daj mi jakiś środek na uśmierzanie bólu.

Lekarz zawahał się, ale widząc wykrzywioną twarz Aleksandra, zdał sobie sprawę z ogromu jego cierpienia.

- Lekarstwo, które ci podam - oznajmił - jest silnym narkotykiem, ale jego skutków jeszcze dokładnie nie znam. Nie możesz jednak nadal tak cierpieć, bo dostaniesz pomieszania zmysłów. Musimy zaryzykować.

W oddali słychać było łoskot walących się murów Gazy, pod które podkopali się Macedończycy, oraz okrzyk żołnierzy ruszających do ataku. Król szeptał niewyraźnie, jakby ponownie tracił przytomność:

- Muszę iść... Muszę tam iść... Daj mi coś, co ukoi ból.

Filip wyszedł, a po chwili wrócił z małym dzbankiem, z którego nalał do czarki niewielką ilość ciemnego płynu o intensywnym zapachu, i podał go królowi.

- Wypij to - powiedział z lekkim niepokojem.

Aleksander połknął łączywie podane lekarstwo w nadziei, że ból ustąpi. Odgłosy toczącej się pod murami walki wywoływały w nim dziwne, rosnące podniecenie, a jego wyobraźnię zaczęli stopniowo wypełniać bohaterowie poematu Homera, który czytywał wieczorami w latach wczesnej młodości. W pewnej chwili usiadł na łóżku. W dalszym ciągu odczuwał ból, ale teraz miał on nieco inny charakter. Aleksandrowi wydało się nagle, że wskutek jakiejś nieokreślonej groźnej siły ogarnął go gwałtowny, ślepy gniew, podobny do gniewu Achillesa. Nagle wstał i wyszedł z namiotu, jakby we śnie. W uszach pobrzmiwały mu słowa lekarza, który prosił: „Nie idź tam, panie... Jesteś chory. Zaczekaj, proszę”. Słowa te jednak nie miały znaczenia, gdyż teraz był Achillesem i musiał biec do towarzyszy, którzy usilnie potrzebowali jego pomocy.

- Przygotujcie mi wóz - rozkazał, a zdumieni ordynansi wypełnili polecenie. Aleksander miał szklany, nieobecny wzrok, a jego głos stał się metaliczny. Wsiadł na wóz, a woźnica smagnął biczem konie i popędził w stronę Gazy.

Wszystko, co się później wydarzyło, odbyło się jak w sennym koszmarze. Aleksandrowi wydawało się, że jest Achillesem, który na rydwanie objeżdża kilkakrotnie mury Troi, włócząc po ziemi ciało Hektora. Kiedy odzyskał przytomność, zobaczył, że woźnica ściąga lejce, zatrzymując wóz przed szeregami armii. Z tyłu wozu przywiązane było ciało

człowieka, zmienione w krwawą masę. Jeden z żołnierzy wyjaśnił Aleksandrowi, że był to Batis, bohaterski obrońca Gazy, którego wzięto do niewoli.

Król, przepelnięty grozą, spuścił wzrok, po czym odjechał daleko, w kierunku wybrzeża, gdzie ból odezwał się z nową siłą, przesywając na wskroś umęczone członki. Późną nocą powrócił do namiotu, odczuwając głęboki wstyd, wyrzuty sumienia, a także silny ból w ramionach, klatce piersiowej i nogach.

Usłyszawszy, jak Aleksander jęczy z bólu, Barsine zapagnęła go zobaczyć. Na jej widok Filip i Leptine opuścili namiot. Barsine usiadła na brzegu łóżka, głaszcząc pokryte kroplami potu czoło Aleksandra i zwilżając mu usta wodą. W pewnej chwili król, mając w gorączce, objął ją i przyciągnął do siebie, a Barsine nie śmiała uwolnić się z uścisku.

57

Filip umył ręce i zabrał się do zmiany opatrunków Aleksandra. Od okrutnej śmierci Batisa upłynęło pięć dni, lecz król nadal był wstrząśnięty swym czynem.

- Sądzę, że działałeś pod wpływem lekarstwa, które ci podałem. Uśmierzyło ból, ale jednocześnie dodało ci sił, nad którymi nie zdołałeś zapanować. Nie mogłem tego przewidzieć... ani ja, ani nikt inny.

- Pastwiłem się nad człowiekiem, który nie był w stanie się obronić. Jego męstwo i oddanie zasługiwały na najwyższy szacunek. Powinniście mnie za to osądzić...

Eumenes, który siedział na stołku po drugiej stronie łóżka obok Ptolemeusza, wstał i zbliżył się do Aleksandra.

- Nie możesz być sądzony jak zwykły człowiek - oznajmił. - Dokonałeś bowiem niezwykłych czynów, odnosząc przy tym poważne rany, cierpiąc ból, którego nikt inny nie potrafiłby znieść, i zwyciężając w najgroźniejszych walkach.

- Jesteś kimś wyjątkowym - dodał Ptolemeusz - jak Herakles i Achilles. Zasady kierujące życiem zwykłych śmiertelników ciebie nie dotyczą. Nie zadrećzaj się, Aleksandrze. Gdyby Batis wziął cię do niewoli, z pewnością zadałby ci jeszcze gorsze cierpienia.

Tymczasem Filip oczyścił i zabandażował rany, po czym podał Aleksandrowi do wypicia napar uspokajający i uśmierający ból. Za ledwie król zasnął, usiadł przy nim Ptolemeusz, natomiast Eumenes wyprowadził Filipa z namiotu. Medyk natychmiast pojął, że sekretarz pragnął porozmawiać z nim w cztery oczy.

- O co chodzi? - spytał Filip.

- Nadeszła niedobra wiadomość - odparł Eumenes. - Aleksander, król Epiru, wpadł w zasadzkę i zginął w Italii. Królowa Kleopatra jest załamana i nie wiem, czy przekazać królowi jej list.

- Czytałeś go?

- Nie ośmieliłbym się czytać zapieczętowanego listu do Aleksandra. Wszystkiego dowiedziałem się od posłańca.

Filip się zamyślił.

- Lepiej nie dawać listu królowi. Nie czuje się najlepiej i taka wiadomość

mogłaby go załamać. Powinieneś z tym poczekać.

- Jak długo?

- Powiem ci, o ile darzysz mnie zaufaniem.

- Ufam ci. Jak się czuje król?

- Bardzo cierpi, ale wyzdrowieje. Chyba masz rację - Aleksander nie jest zwykłym człowiekiem.

W tych dniach cierpiała też Barsine, ponieważ zdradziła pamięć męża. Zadręczała się, że uległa Aleksandrowi, ale jednocześnie widziała, jak cierpi, i pragnęła być blisko niego. Barsine miała nianię, starszuskę o imieniu Artema, która zawsze towarzyszyła swej podopiecznej. Niania dostrzegła, że od pewnego czasu Barsine coś trapi. Pewnego wieczoru spytała:

- Czym się martwisz, moja córko?

Barsine spuściła głowę, cicho płacząc.

- Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, to nie mogę cię do tego zmuszać - zauważyła starszuszka.

Barsine czuła jednak potrzebę rozmowy z życzliwą osobą, więc po chwili oznajmiła:

- Uległam Aleksandrowi, nianiu. Kiedy wrócił z pola bitwy, słyszałam, jak krzyczy z bólu, i nie potrafiłam mu się oprzeć. Był dobry dla mnie i dla dzieci, więc chciałam mu pomóc... Podeszłam do niego, starłam mu pot z czoła, byłam dla niego czuła... Widziałam w nim jedynie chłopca trawionego gorączką, którego męczyły straszliwe koszmary. - Artema słuchała w skupieniu słów Barsine. - W pewnej chwili przyciągnął mnie do siebie, obejmując tak mocno, że nie mogłam się uwolnić. Nie wiem, jak to się stało... - wyszeptła drżącym głosem. - Nie wiem. Jego umęczone ciało wydzielalo jakiś tajemniczy zapach, a podniecony wzrok miał niezwykłą moc. - To mówiąc, wybuchnęła płaczem.

- Nie płacz, moje dziecko - uspokajała niania. - Nie uczyniłaś niczego złego. Jesteś młoda, a życie domaga się swoich praw. Poza tym razem z dziećmi dostałaś się do niewoli. Instynkt podpowiada ci, żebyś złączyła się z mężczyzną, który ma władzę nad wszystkimi i może ochronić twoich synów.

Taki jest los każdej pięknej kobiety, godnej pożądania. Kiedy trafia do niewoli, rozumie, że jedynym ratunkiem dla niej i jej dzieci jest miłość i poddanie się woli mężczyzny. - Barsine płakała nadal, ukrywając twarz w dłoniach. - Człowiek, który cię zdobył, jest pięknym młodzieńcem i zawsze okazywał ci szacunek i uprzejmość. Udowodnił, że zasługuje na twą miłość. Cierpisz, ponieważ odczuwasz dwa głębokie uczucia: ciągle żywą miłość do człowieka, którego już nie ma, oraz nie uświadomianą miłość do mężczyzny, którego odrzucasz, ponieważ jest wrogiem i w jakimś stopniu ponosi winę za śmierć twojego ukochanego męża. Nie uczyniłaś niczego złego. Czując, że rodzi się w tobie uczucie, nie walcz z nim, gdyż wszystko, co dzieje się w ludzkich sercach, jest zgodne z wolą Ahura Mazdy - wiecznego ognia i przyczyny wszelkiego ognia na niebie i ziemi. Ale pamiętaj: Aleksander nie jest podobny do zwykłych ludzi. Jest jak wiejący wiatr, a nikt nie potrafi uwięzić wiatru. Nie ulegaj miłości, jeśli wiesz, że

nie zdołasz znieść rozłąki.

Otarłszy łzy, Barsine wyszła z namiotu. Była piękna, pogodna noc, a srebrny promień księżyca padał na spokojne morskie wody. Niedaleko stał pawilon króla; na ścianach malował się jego niespokojny, samotny cień, powstały od płomieni lamp. Barsine poszła w kierunku morza, ale w pewnej chwili wydało się jej, że czuje zapach Aleksandra i głos, który szepcze: „Barsine”.

To było niemożliwe, a jednak stał za nią tak blisko, że prawie czuła jego oddech.

- Śniło mi się - rzekł Aleksander cichym głosem - że obdarzyłaś mnie miłością, a ja pieściłem twoje ciało i delikatnie brałem cię w posiadanie. Kiedy się przebudziłem, znalazłem w łóżku tę chusteczkę. - To powiedziawszy, upuścił błękitną, batystową chusteczkę, która zniknęła wśród fal. - Czy była twoja?

- To nie był sen - odparła Barsine, nie odwracając się. - Weszłam do twego namiotu, ponieważ słyszałam, jak krzyczysz z bólu. Usiadłam przy tobie, a wtedy objąłeś mnie mocno i nie mogłam się uwolnić.

Aleksander położył dłonie na biodrach Barsine, odwracając ją ku sobie. Światło księżyca padało na jej twarz bladą jak kość słoniowa, o błyszczących oczach.

- Teraz możesz, Barsine. Możesz uwolnić się z moich objęć, ale proszę cię, żebyś mnie nie odpychała. W ciągu kilku ostatnich miesięcy znosiłem wszelkiego rodzaju cierpienia, straciłem młodzieńcze sny, sięgnąłem dna wielu otchłani, zapomniałem, że kiedyś byłem dzieckiem i miałem ojca i matkę. Ogień wojny wypalił mi serce, lecz żyję, widząc, że śmierć jedzie u mego boku, ale mnie oszczędza. W takich chwilach wiem, co znaczy być nieśmiertelnym, i napawa mnie to przerażeniem. Nie odpychaj mnie teraz, Barsine, kiedy moje dłonie dotykają twojej twarzy, nie odmawiaj mi ciepła twoich ramion.

Na ciele Aleksandra widać było blizny po wielu ranach odniesionych na polu walki, a także liczne zadrapania i obtarcia. Jedyne twarz była jakimś cudownym sposobem nie naruszona, a jego długie włosy miękko opadały na ramiona, dodając mu wdzięku i melancholii.

- Kochaj mnie, Barsine - powiedział, przyciągając ją do piersi.

Kiedy księżyc schował się za chmury napływające z zachodu, król złożył na ustach Barsine namiętny pocałunek. Odwzajemniła go, jakby ogarnięta gorącym płomieniem, lecz w tej samej chwili jej serce wypełnił głęboki smutek.

Zaledwie król nabrał sił, armia ruszyła dalej, w kierunku pustyni. Po siedmiu dniach marszu dotarła do egipskiego miasta Peluzjon, położonego na wschodnim brzegu delty Nilu. Perski namiestnik, widząc, że został sam, poddał się i przekazał miasto oraz skarbiec w ręce Aleksandra.

- Egipt! - zawołał Perdikkas, patrząc z wieży twierdzy na bezkresne pola, wolno płynące wody rzeki, falujące kiście papirusów rosnących wzdłuż kanałów, palmy ciężkie od daktyli wielkości orzechów.

- Nie wierzyłem nawet w jego istnienie - zauważył Leonnatos. - Myślałem, że jest to jedna z bajkowych krain, o których opowiadał nam

stary Leonidas.

Młodych zdobywców poczęstowano winem daktylowym i słodyczami, które podała im dziewczyna w czarnej peruce i o oczach pomalowanych bistro, ubrana w lnianą suknię tak obcisłą, że wydawała się naga.

- Nadal nie lubisz Egipcjan? - spytał Ptolemeusza Aleksander, patrząc jak urzeczony na piękną dziewczynę.

- Już nie tak bardzo - odparł Ptolemeusz.

- Spójrzcie tam, na rzekę! Co to za potwory? - zawołał nagle Leonnatos, wskazując na wzburzoną rzekę i wynurzające się z niej grzbiety zwierząt, które zalśniły w słońcu, a następnie zniknęły pod wodą.

- To krokodyle - wyjaśnił tłumacz, Grek z Naukratis o imieniu Arystoksenos. - Są wszędzie, pamiętajcie o tym. Kąpiel w tych wodach jest bardzo niebezpieczna. Musicie bardzo uważać, bo...

- Co to takiego? Spójrzcie! Przypominają ogromne świnie!

- To *hipopotamoi*, jak nazywamy je my, Grecy - poinformował tłumacz.

- „Konie rzeczne” - zauważył Aleksander. - Na Zeusa! Podejrzewam, że Bucefał obraziłby się, gdyby się dowiedział, iż te bestie nazywane są końmi.

- Tak się tylko mówi - odparł tłumacz. - Zwierzęta te nie są niebezpieczne, gdyż żywią się roślinami i algami, ale zdolne są przewrócić łódź z całym ładunkiem, a wtedy ten, kto wpadnie do rzeki, może paść ofiarą krokodyli.

- Egipt jest pełen niebezpieczeństw - skomentował Seleukos, który do tej pory podziwiał w milczeniu krajobraz. - Jak myślisz, co nas tutaj czeka? - spytał, zwracając się do Aleksandra.

- Nie wiem, ale mam nadzieję, że przyjmą nas tu przyjaźnie, o ile zdołamy zrozumieć tych ludzi. Odniosłem wrażenie, że Egipcjanie są uprzejmi i mądrzy, a przy tym bardzo dumni.

- To prawda - przyznał Eumenes. - Egipt nigdy nie tolerował obcych najeźdźców, a Persowie nie potrafili tego zrozumieć. W Peluzjonie umieścili namiestnika wraz z oddziałami, co stało się przyczyną krwawo stłumionych buntów.

- Dlaczego mieliby zachować się inaczej w stosunku do nas? - spytał Seleukos.

- Potraktowaliby inaczej także Persów, gdyby uszanowali oni egipską religię i gdyby Król Królów zgodził się przyjąć tytuł faraona. Chodzi tu raczej o formę.

- O formę? - zdziwił się Ptolemeusz.

- Tak - odparł Eumenes. - O formę. Lud, który żyje dla bogów i zaświatów i wydaje ogromne kwoty na import kadzideł, by je następnie palić w świątyniach, z pewnością przywiązuje dużą wagę do formy.

- Myślę, że masz rację. Wkrótce się o tym przekonamy. Jutro powinna przypląć nasza flota, po czym ruszymy w górę Nilu, do Memfis, stolicy Egiptu.

Dwa dni później okręty Nearchosa i Hefajstiona zakotwiczyły u ujścia wschodniej odnogi Nilu, po czym władca wraz z towarzyszymi popłynęli rzeką do Heliopolis, a następnie do Memfis, podczas gdy armia

maszerowała lądem. Wkrótce wojsko znalazło się w pobliżu piramid, które błyszczały w słońcu niczym diamenty, oraz olbrzymiego Sfinksa, który od tysiącleci strzegł snu władców Egiptu.

- Według Herodota stawiało go trzydzieści tysięcy ludzi przez trzydzieści lat - wyjaśnił Arystoksenos.

- Myślisz, że to prawda? - spytał Aleksander.

- Sądzę, że tak, mimo iż w tym kraju opowiada się wiele różnych historii.

- Czy prawdą jest, że na pustyni żyją uskrzydłone węże? - spytał Aleksander.

- Nie wiem - odparł tłumacz. - Nigdy tam nie byłem, ale jest to z pewnością jedno z najbardziej niegościnnych miejsc na ziemi. Za chwilę dobijemy do brzegu. Widzisz tych ludzi z ogolonymi głowami, którzy czekają na brzegu? To kapłani świątyni Zeusa Amona. Odnoś się do nich z szacunkiem, gdyż pomogą ci zaoszczędzić wysiłku i przelewu krwi.

Aleksander skinął głową i przygotował się do zejścia na ląd. Kiedy tylko opuścił pokład okrętu, podszedł do kapłanów i uprzejmie poprosił ich, by zaprowadzili go do świątyni, gdzie pragnął złożyć hołd Amonowi. Kapłani zamienili między sobą szeptem kilka słów, po czym uklonili się i ruszyli w stronę sanktuarium, intonując hymn sakralny, przy akompaniamencie fletów i harf. Dotarłszy do kolumnady atrium, zatrzymali się, czyniąc przejście dla Aleksandra, który samotnie przekroczył próg świątyni.

Przez otwór w suficie do wnętrza budowli padały promienie słońca. Przenikały przez gęsty dym kadzideł palących się w złotych trybularzach ustawionych pośrodku świątyni; pozostała jej część pogrążona była w mroku. Na granitowym piedestale wznosił się posąg bóstwa z baranią głową, rubinowymi oczami i parą złoconych rogów. Rozejrzawszy się wokół, Aleksander zauważył, że świątynia była zupełnie pusta, a kompletną ciszę maćił jedynie szmer dobiegający z zewnątrz, który zdawał się gubić w gąszczu kolumn podtrzymujących pułap z drzewa cedrowego. Nagle odniósł wrażenie, że posąg się poruszył, a jego rubinowe oczy się zaświeciły. Po chwili w wielkim hipostylu dał się słyszeć tubalny głos:

- Dwadzieścia lat temu ostatni prawowity władca tego kraju zmuszony był schronić się na pustyni, by nigdy stamtąd nie powrócić. Czy to ty jesteś jego synem, o którym się mówi, że urodził się daleko od Nilu, i którego od dawna oczekujemy?

W jednej chwili Aleksander zrozumiał wszystko, co słyszał o Egipcjach i jego mieszkańcach, więc odpowiedział pewnym głosem:

- Tak, to ja.

- Jeśli nim jesteś - ciągnął dalej głos - udowodnij to.

- W jaki sposób? - zapytał władca.

- Tylko bóg Amon może uznać cię za syna, ale on przemawia tylko w wyroczni w Siwie, która wznosi się w sercu pustyni. Musisz tam pójść.

Siwa - pomyślał Aleksander i przypomniał sobie historię, którą opowiadała mu matka, kiedy był dzieckiem. Była to opowieść o dwóch gołębicach uwolnionych przez Zeusa u zarania dziejów. Jedna usiadła na dębie w Dodonie, druga zaś na palmie w oazie Siwa, gdzie zaczęto głosić proroctwa. Matka opowiadała mu też, że po raz pierwszy poczuła jego

ruchy w swym łonie, kiedy udała się do Dodony, natomiast jego boskie narodziny nastąpiły po wizycie w wyroczni w Siwie.

Kiedy głos w świątyni zamilkł, Aleksander opuścił olbrzymią, ciemną salę i wyszedł na zewnątrz, gdzie świeciło słońce i panowała ogólna radość, wśród śpiewów i świętych hymnów. Następnie przyprowadzono do Aleksandra byka Apisa i zwieńczono czoło władcy girlandami z kwiatów, a on z kolei zabił antylopę, by złożyć ofiarę bogu Amonowi. Kapłani, zachwyceni tym gestem, powierzyli Aleksandrowi klucze do miasta, po czym król rozkazał odrestaurować uszkodzoną w wielu miejscach świątynię.

58

Kilka dni później, kiedy rany Aleksandra całkowicie się wygoiły, rozpoczęła się wyprawa do odległej oazy Siwa. Armia maszerowała na południe, dokąd zmierzała również flota. Wszystkie oddziały miały spotkać się w zatoce położonej niedaleko odnogi Nilu, wysuniętej najbardziej na zachód. Znalazłszy się na miejscu, Aleksander pozostał pod urokiem rozległej laguny, wyspy porosłej palmami, chroniącymi od wiatrów z północy, a także szerokiego równinnego pasa, biegnącego wzdłuż wybrzeża. Uznał, że jest to odpowiednie miejsce do rozbicia obozu. Wydał tam wieczerzę, by uczcić wraz z towarzyszami i całą armią powodzenie wyprawy, a także pokojowe przyjęcie, jakie zgotowano mu w Egipcie. Zanim jednak uczta zmieniła się w orgię, jak to zwykle bywało w takich sytuacjach, Aleksander zaproponował przyjaciołom, by obejrzeni występy artystów greckich i egipskich oraz jego ulubionego aktora Tessalosa, który zaprezentował monolog Edypa z tragedii *Edyp w Kolonos*.

Kiedy wszyscy zebrani nagradzali artystów brawami, zapowiedziano królowi czyjaś wizytę.

- Kto to jest? - spytał Aleksander.

- Dziwny człowiek - odparł Eumenes, nieco zmieszany. - Twierdzi, że dobrze cię zna.

- Ach, tak? - powiedział król, któremu dopisywał dobry humor. - Wprowadź go więc! Dlaczego jednak mówisz, że jest dziwny?

- Sam się o tym przekonasz - odrzekł Eumenes, po czym udał się po gościa.

Kiedy pojawiła się zapowiedziana osoba, przez salę przebiegł szmer i dał się słyszeć tłumiony śmiech. Był to mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, zupełnie nagi, przykryty jedynie lwią skórą, niczym Herakles, z maczugą w prawej ręce. Aleksander z trudem powstrzymał się od śmiechu na widok tak oryginalnego sposobu, w jaki gość składał hołd przodkowi króla. Siłąc się na powagę, zapytał:

- Kim jesteś, cudzoziemcze, który tak bardzo przypominasz Heraklesa, mojego przodka?

- Nazywam się Dejnokrates - odpowiedział mężczyzna. - Jestem architektem z Grecji.

- Dziwny ubiór jak na architekta - zauważył Eumenes.

- To, co liczy się naprawdę - oznajmił przybysz - to nie ubranie, ale projekty, które ktoś potrafi wymyślić i zrealizować.

- Jaki zatem projekt pragniesz mi przedstawić? - zapytał władca.

Dejnkrates klasnął w dłonie, po czym do sali weszło dwóch młodzieńców i rozwinęło u stóp Aleksandra duży zwój papirusu.

- Na Zeusa! - wykrzyknął król. - Cóż to takiego?

Dejnkrates był wyraźnie zadowolony z reakcji Aleksandra. Zaczął więc wyjaśniać:

- Chodzi tu o projekt niewątpliwie bardzo ambitny, ale jednocześnie godny twej wielkości i sławy. Zamierzam wyrzeźbić w górze Athos twoją podobiznę, czyli to, co widzisz na rysunku. Kolos będzie trzymał w otwartej dłoni miasto, które ty własnoręcznie odlejesz w brązie. Czyż to nie nadzwyczajne?

- Z całą pewnością - wtrącił Eumenes. - Zastanawiam się tylko, czy jest też wykonalne.

Aleksander przyjrzał się szalonemu projektowi, według którego władca miał być wielki niczym góra i trzymać na dłoni całe miasto.

- Obawiam się - rzekł - że ten projekt przekracza moje możliwości... Poza tym jeśli rzeczywiście chciałbym wykonać tak olbrzymi posąg, zwróciłbym się do bardzo zdolnego chłopca, którego poznałem podczas nauki u Arystotelesa, w Miezie. Ma on na imię Chares i jest uczniem Lizypa. Marzy o tym, by pewnego dnia wyrzeźbić kolosa z brązu, wysokiego na osiemdziesiąt łokci. Znasz go?

- Nie.

- Jeśli chcesz, mógłbym zlecić ci inną pracę.

- Nie podoba ci się mój projekt, panie? - spytał rozczarowany architekt.

- Nie o to chodzi. Po prostu sędzę, że to przesada. Natomiast pracę nad moim projektem mógłbyś rozpocząć już jutro, oczywiście jeśli zechcesz.

- Jak najbardziej, panie. Wyjaśnij mi tylko, o co chodzi.

- Chodź więc ze mną - poprosił go król, po czym wyszedł na zewnątrz, kierując się w stronę wybrzeża. Był piękny letni wieczór, a w spokojnych wodach zatoki odbijał się sierp księżyca.

Aleksander zdjął płaszcz i rozłożył go na ziemi.

- Otóż chciałbym, żebyś zaprojektował dla mnie miasto - w kształcie macedońskiego płaszcza - które powstałoby wokół tej zatoki.

- To wszystko? - spytał Dejnkrates.

- Tak, to wszystko - odparł król. - Weźmiesz się do pracy już jutro, skoro świt. Muszę udać się w podróż, a kiedy wrócę, chcę zobaczyć, że trwa już budowa domów, ulic i portu.

- Dołożę wszelkich starań, panie, by tak się stało, ale kto mi da pieniądze?

- Otrzymasz je od sekretarza Eumenesa. - To powiedziawszy, udał się w kierunku swego namiotu, pozostawiając dziwnego architekta z maczugą i lwią skórą pośród pustej równiny. - Musisz dobrze wykonać tę pracę! - dodał jeszcze, oddalając się.

- Jeszcze jedno pytanie, królu! - zawołał Dejnkrates, zanim władca powrócił na ucztę. - Jaką nazwę będzie nosiło to miasto?

- Aleksandria. Będzie się nazywać Aleksandria i musi to być miasto najpiękniejsze na świecie.

Wkrótce rozpoczęto prace. Dejnkrates zastąpił lwią skórę

przyzwoitszym ubraniem. Okazał się też świetnym budowniczym. Inni architekci, od dawna już towarzyszący wyprawie, nie byli zadowoleni, że król powierzył realizację projektu nieznanemu osobie. Aleksander jednak często kierował się intuicją, a przy tym rzadko się mylił.

Wydarzył się jednak pewien epizod, który nieco przyćmił całe przedsięwzięcie. Narysowawszy plan miasta, Dejnokrates ustawił przyrzady, by odtworzyć go na ziemi. Następnie zaczął rysować kredą obwód, ulice, obszary pod budowę głównego placu, rynku i świątyń. W pewnej chwili zabrakło mu kredy. Pragnąc ukończyć pracę, kazał sobie przysłać z intendentury worki z mąką i użył jej do uzupełnienia rysunku. Następnie posłał po króla, by przedstawić mu ogólne założenie urbanistyczne Aleksandrii. W chwili gdy król w towarzystwie wróżbity Arystandrosa zbliżał się do projektu, przyfrunęło stado ptaków i zaczęło wydziobywać mąkę, niszcząc połowę rysunku. Jasnowidz spostrzegł, że Aleksander zdenerwował się nieco całym zajściem, jakby dopatrzył się w nim złej wróżby. Uspokoił jednak króla.

- Nie martw się, królu - rzekł - ponieważ jest to dobra wróżba. Oznacza, że miasto będzie niezwykle bogate i przybysze ze wszystkich stron świata zechcą szukać w nim źródła zarobku.

Słyszając te słowa, także Dejnokrates poczuł ulgę i z entuzjazmem przystąpił do dalszej pracy, tym bardziej że przysłano mu kredę.

Tej nocy Aleksander miał piękny sen. Śniło mu się, że miasto bardzo się rozrosło i wszędzie wznosiły się domy, pałace i cudowne ogrody. Zatoka, osłonięta wyspą, roiła się od okrętów, z których wyladowywano wszelkiego rodzaju towary, pochodzące ze wszystkich krajów świata. Widział też molo sięgające wyspy i na niej wysoką wieżę, oświetlającą w nocy drogę do portu. Wydawało mu się też, że słyszy głos, który pyta: „Czy kiedykolwiek to zobaczę? Kiedy powrócę do mojego miasta?”

Nazajutrz opowiedział ten sen Arystandrosowi i zadał mu to samo pytanie:

- Kiedy powrócę do mojego miasta?

Arystandros stał odwrócony do niego plecami, gdyż jego serce przepęniało złe przeczucie, ale po chwili spojrzął na Aleksandra, mówiąc pogodnym głosem:

- Wrócisz, panie, przysięgam. Nie wiem kiedy, ale wrócisz...

59

Armia ruszyła na zachód. Po prawej stronie rozciągało się morze, po lewej zaś bezkresna pustynia. Po pięciu postojach Macedończycy dotarli do Parajtonion. Tu mieli zwyczaj spotykać się Egipcjanie, Grecy z Kyreny i plemiona nomadów z głębi kraju - Nasamonowie i Garamantowie, którzy podzielili wybrzeże na sektory. Kiedy tonął jakiś okręt, okradało go to plemię, w którego sektorze znalazł się jego wrak, natomiast rozbitków sprzedawano na targu w Parajtonion. Opowiadano, że przed dwoma wiekami Nasamonowie przemierzyli ogromne morze piasku, którego rozmiarów nikt nie znał, dotarli do olbrzymiego jeziora pełnego krokodyli i hipopotamów, gdzie rosły różnorodne drzewa, rodzące owoce przez cały rok. Mówiono też, że w tej okolicy znajdowała się jaskinia Proteusa, boga

przyjmującego różne formy, który mieszkał w towarzystwie fok i potrafił przepowiedzieć przyszłość.

Aleksander pozostawił część oddziałów w Parajtonion pod wodzą Parmeniona, powierzając mu też opiekę nad Barsine. W wieczór przed wymarszem odwiedził ją, by się pożegnać. Przyniósł jej w darze naszyjnik ze złota i emalii, który należał niegdyś do królowej Nilu.

- Żaden klejnot nie jest godzien zdobić twojej urody - powiedział, zawieszając na szyi Barsine cudowny naszyjnik. - Żaden blask nie potrafi dorównać światłu twoich oczu, próżno też szukać emalii, która mogłaby przyćmić twój uśmiech. Oddałbym za niego wszystkie bogactwa. Twój uśmiech napęłniłby mnie radością większą niż ta, której doznaję, całując cię lub pieszcząc.

- Ahura Mazda dawno już pozbawił mnie uśmiechu - odparła Barsine. - Teraz jednak, kiedy udajesz się w niebezpieczną podróż, czuję, że będę się o ciebie martwić, a kiedy w końcu wrócisz, przywitam cię z uśmiechem. - To powiedziawszy, delikatnie pocałowała go w usta, po czym dodała: - Wróć do mnie, Aleksandrze.

Zaopatrzywszy się w zapasy wody i żywności, które załadowano na grzbiety stu wielbłądów, Aleksander z kilkoma oddziałami i wiernymi towarzyszami, wyruszył na pustynię, zdążając do świątyni Amona. Wszyscy starali się przekonać króla, by nie podejmował wyprawy w samym środku upalnego lata. Aleksander jednak był pewien, że pokona każdą przeszkodę, wyleczy rany i stawi czoło wszelkim niebezpieczeństwom, co starał się wytłumaczyć swym ludziom. Po dwóch pierwszych postojach upał stał się nie do zniesienia, więc ludzie i zwierzęta spożywali coraz większe ilości wody. Wszyscy mieli poważne wątpliwości, czy uda im się pokonać resztę drogi. Na dodatek trzeciego dnia rozpułała się burza piaskowa, zasypując szlak i wystawiając na twardą próbę wytrzymałość ludzi i zwierząt. Kiedy po wielu trudnych chwilach pył wreszcie opadł, wokół widać było jedynie bezkresną pustynię. Nie można było dostrzec szlaku ani żadnego z kamieni, które go wyznaczały. Ludzie szli naprzód, grzęznąc w piasku tak gorącym, że parzył ich w stopy, których nie zdołały ochronić buty. Chcąc kontynuować wyczerpujący marsz, musieli przewiązać nogi po kolana kawałkami tunik lub płaszczy.

Czwartego dnia wyprawy wielu żołnierzy zaczęło tracić nadzieję. Jednak na widok króla, który maszerował na czele oddziałów, pieszo, jak zwykły żołnierz, pił zawsze ostatni, a wieczorami jadł zaledwie kilka daktyli, troszcząc się o jedzenie dla innych, wstępowały w nich nowe siły i determinacja, by iść dalej.

Piątego dnia zapas wody się wyczerpał, a na horyzoncie nadal nie dostrzegano żadnej oznaki życia, ani jednego źdźbła trawy czy cienia żywej istoty.

- Ktoś tu jednak jest - oznajmił tłumacz, Grek z Kyreny, o bardzo ciemnej skórze, zapewne po matce, która musiała być Libijką lub Etiopką. - Jeśli zginiemy, na horyzoncie natychmiast pojawią się ludzie, jakby wskutek czarów. Wyjdą na powierzchnię jak mrówki i w krótkim czasie ogołocą nas z wszystkiego, a nasze ciała wyschną na wiór w gorącym słońcu pustyni.

- Nęcąca perspektywa - zauważył Seleukos, idący za tłumaczem, z głową przykrytą macedońskim kapeluszem o szerokim rondzie.

W tej samej chwili Hefajstion coś zauważył i zawołał:

- Spójrzcie tam!

- To jakieś ptaki - oznajmił Perdikkas.

- Kruki - wyjaśnił tłumacz.

- Oj! - pożalił się lakonicznie Seleukos.

- A jednak to dobry znak - stwierdził tłumacz.

- Oznacza to, że nasze ciała nie zmarnują się - zauważył Seleukos.

- Nie. Oznacza to, że niedaleko jest jakaś osada.

- Niedaleko dla tych, którzy mają skrzydła, a nie dla nas maszerujących na piechotę, bez wody i jedzenia...

Arystandros, który samotnie szedł opodal, nagle zatrzymał się.

- Stać! - rozkazał.

- Co się dzieje? - spytał Perdikkas.

Aleksander również zatrzymał się, spoglądając na wróżbitę, który usiadł na ziemi i zarzucił sobie na głowę płaszcz. Między wydmami lśniącego niczym rozpalony brąz dało się odczuć lekki podmuch wiatru.

- Zmienia się pogoda - powiedział Arystandros.

- Na Zeusa! Żeby to nie była kolejna burza piaskowa! - błagał niepokieszony Seleukos. Podmuch wiatru wzmógł się jednak, przynosząc słaby zapach morza.

- Chmury - oznajmił wróżbita. - Nadchodzą chmury.

Seleukos wymienił z Perdikkasem porozumiewawcze spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Majaczy”. Jasnowidz jednak naprawdę odczuwał zbliżające się chmury, które po godzinie nadciągnęły od północy, zaciemniając horyzont.

- Nie łudźmy się! - odezwał się przewodnik. - O ile wiem, w tych stronach nigdy nie pada. Ruszajmy dalej!

Kolumna podjęła marsz w oślepiających promieniach słońca, kierując się na południe, ale żołnierze co chwila odwracali się, spoglądając na coraz ciemniejsze chmury, przesywane błyskawicami.

- Może i nie pada - zauważył Seleukos - ale za to grzmi.

- Masz dobry słuch - oznajmił Perdikkas. - Ja nic nie słyszę.

- To prawda - przyznał tłumacz. - Słysząc grzmoty, ale i tak nie spadnie deszcz. Jednak chmury osłonią nas od słońca i będziemy maszerować w cieniu, a poza tym się ochłodzi.

Godzinę później pierwsze krople deszczu spadły na gorący piasek, a powietrze wypełnił przyjemny zapach mokrego kurzu. Wyczerpani ludzie, z poparzoną skórą i popękanymi wargami, krzyczeli jak szaleni, wyrzucając w górę kapelusze i otwierając spieczone usta, żeby napić się tych kilku kropel, które mogły zniknąć w rozgrzanym piasku.

Przewodnik pokręcił głową.

- Trzeba im powiedzieć, że nie warto się trudzić. Wskutek ciepła deszcz wyparuje, zanim dotknie ziemi, tworząc mgłę, która z powrotem uniesie się w górę. To wszystko.

Zanim jednak skończył mówić, nieliczne krople przeszły najpierw w drobny deszcz, a następnie w ulewę, której towarzyszyły błyskawice i

grzmoty.

Ludzie wbili w piasek włócznie i przywiązali do drzewców płaszcze, chcąc zebrać do nich jak najwięcej wody. Położyli też na ziemi odwrócone hełmy i tarcze, a po chwili mogli się z nich napić. Kiedy ulewa się skończyła, po niebie nadal płynęły chmury, co prawda już nieco rzadsze, ale w dalszym ciągu chroniły maszerujących żołnierzy przed słońcem.

Aleksander cały czas milczał, idąc w zamyśleniu, jakby śledził jakiś tajemniczy głos. Wszyscy skierowali na niego spojrzenia, przekonani, że prowadzi ich nadludzka istota, zdolna wyleczyć się ze śmiertelnych ran, sprowadzić deszcz na pustynię, a nawet sprawić, o ile tylko zechce, że wyrosną na niej kwiaty.

Dwa dni później, o świcie, dostrzeżono na horyzoncie oazę Siwa. Był to pas niezwykle bujnej zieleni, wyraźnie widoczny na oślepiającej bieli piasków. Ludzie krzyczeli z radości, wielu płakało ze wzruszenia, widząc, że na wypalonym słońcem pustyni zatriumfowało życie, jeszcze inni składali podziękowania bogom, że uratowali ich od straszliwej śmierci. Tymczasem Aleksander szedł dalej w milczeniu, jakby nigdy nie wątpił w możliwość osiągnięcia celu.

W ogromnej oazie rosły palmy ciężkie od daktyli, a pośrodku tryskało cudowne źródło. W czystej jak kryształ wodzie odbijała się ciemna zieleń palm i pomniki starej tajemniczej wspólnoty. Na widok wody żołnierze czym prędzej pobiegli w stronę źródła, ale medyk Filip zawołał:

- Stójcie! Woda jest bardzo zimna, pijcie więc powoli, małymi łykami.

Aleksander napił się pierwszy, stosując się do wskazówek lekarza.

Najbardziej jednak zaskoczył wszystkich fakt, że byli oczekiwani. Na schodach świątyni stali w szeregu kapłani, a przed nimi pomocnicy poruszający dymiącymi trybularzami. Uczestnicy wyprawy oswoili się już z myślą, że na tej ziemi wszystko się może zdarzyć.

Przewodnik, będący jednocześnie tłumaczem, wyjaśnił Aleksandrowi, co powiedział kapłan, który na powitanie poczęstował go kielichem zimnej wody i koszem dojrzałych daktyli.

- O co prosisz, przybyszu z pustyni? Jeśli prosisz o wodę i jedzenie, otrzymasz je, gdyż gościnność jest tu świętym prawem.

- Pragnę poznać prawdę - odparł Aleksander.

- Do kogo zwracasz się z tą prośbą? - zapytał kapłan.

- Do największego z bogów, Amona, który zamieszkuje tę wspaniałą świątynię.

- Przyjdź tu w nocy, a wszystkiego się dowiesz.

Pokłoniwszy się kapłanowi, Aleksander powrócił do towarzyszy rozbijających obóz w pobliżu źródła. Spotkał Kallistenesa, który zanurzył dłonie w wodzie, a następnie obmył sobie czoło.

- Czy to prawda, że woda pod wieczór ogrzewa się, a nocą staje się letnia? - spytał Aleksander przyjaciela.

- Moje zdanie na ten temat jest inne. Uważam, że źródło przez cały czas ma jednakową temperaturę, zmienia się natomiast temperatura powietrza. Tak więc rano, kiedy na zewnątrz jest bardzo gorąco, woda wydaje się lodowata, natomiast pod wieczór, kiedy powietrze jest chłodniejsze,

wydaje się gorąca, a w nocy letnia. Wszystko jest względne, jakby powiedział wujek Arystoteles.

- Słusznie - zgodził się Aleksander. - Czy otrzymałeś od niego jakieś nowe informacje dotyczące śledztwa, które prowadzi?

- Nie, żadnych. Z pewnością dowiemy się czegoś, kiedy powrócą okręty z rekrutami. Zdaje się, że znalazł jakiś dowód na to, iż kryją się za tym Persowie, ale wiem, co powiedziałaby, gdyby tu teraz był.

- Ja też. Powiedziała, że Persom zależało na zabójstwie mojego ojca, ale nawet jeśli to nie oni go zamordowali, to i tak podaliby do wiadomości, że to zrobili, aby przyszli królowie Macedonii nie wazyli się występować przeciw nim.

- To bardzo prawdopodobne - przyznał Kallistenes, ponownie zanurzając dłonie w źródlanej wodzie. W tej samej chwili nadszedł Filip.

- Spójrz, co znaleźli żołnierze - powiedział, potrząsając olbrzymim węzem o pomarszczonej trójkątnej głowie. - Jego ukąszenie zabija w kilka sekund.

Aleksander przyjrzał się gadowi.

- Powiedz żołnierzom, żeby mieli się na baczności, a potem zabalsamuj węza i wyślij go Arystotelesowi do jego kolekcji. Wyślij mu też kilka roślin, o ile uznasz, że mają nie znane nam właściwości. Otrzymasz list dotyczący każdej z tych rzeczy.

Filip skinął głową i oddalił się z węzem, a tymczasem Aleksander usiadł nad brzegiem źródła, czekając, aż się ściemni. Nagle dostrzegł w wodzie odbicie Arystandrosa.

- Nadal prześladuje cię ten koszmar? - zapytał król. - W dalszym ciągu śni ci się człowiek palony żywcem na stosie?

- A jakie koszmary męczą cię? - zainteresował się Arystandros.

- Jest ich wiele... zbyt wiele - odparł król. - Śmierć ojca, cierpienia Batisa, którego wlokłem za wozem, jeżdżąc wokół Gazy, duch Memnona, który staje między mną a Barsine za każdym razem, kiedy biorę ją w ramiona, węzeł gordyjski, który przeciąłem mieczem zamiast go rozwiązać i...

- Co jeszcze? - nalegał Arystandros, patrząc mu prosto w oczy.

- Ta rymowanka - odparł Aleksander, spuszczać wzrok.

- Jaka rymowanka?

Król wyrecytował szeptem:

*Na wojnę idzie stary druh,
Nagle na ziemię pada - buch!*

- Czy ma ona dla ciebie jakieś znaczenie?

- Nie, to tylko rymowanka, którą śpiewałem, będąc dzieckiem. Nauczyła mnie jej niania mojej matki, stara Artemizja.

- Nie myśl więc o tym. Jeśli chodzi o twoje koszmary, to widzę tylko jedno wyjście - oznajmił Arystandros.

- Jakie?

- Musisz zostać bogiem - odparł wróżbita.

Zaledwie wypowiedział te słowa, jego odbicie zniknęło z powierzchni

wody, ponieważ wpadł do niej owad, który rozpaczliwie bronił się przed śmiercią.

Kiedy nastały ciemności, Aleksander przekroczył próg wielkiej świątyni, oświetlonej wewnątrz dwoma rzędami lamp oliwnych wiszących u sufitu. Największa lampa stała na ziemi, rozjaśniając drżącym światłem gigantyczne członki boga Amona. Aleksander spojrzał na zwierzęcą twarz kolosa, na jego olbrzymie, baranie rogi, szeroką pierś, silne ramiona o zaciśniętych pięściach, opadające wzdłuż tułowia. W tej samej chwili przypomniał sobie słowa matki, które usłyszał przed podjęciem wyprawy: „Wyrocznia w Dodonie przepowiedziała twoje narodziny, a inna wyrocznia, znajdująca się pośrodku gorącej pustyni, przepowie ci życie, które będzie trwać wiecznie”.

- O co pytasz boga? - spytał nagle głos dobiegający z kamiennego lasu kolumn podtrzymujących pułap świątyni. Aleksander rozejrzał się wokół, ale nikogo nie dostrzegł. Spojrzał na olbrzymią baranią głowę o dużych żółtych oczach z czarnymi źrenicami. Tak miał wyglądać bóg?

- Czy był jeszcze ktoś... - zaczął Aleksander, a echo odpowiedziało: ktoś... - Czy wśród zabójców ojca był jeszcze ktoś, kogo dotąd nie ukarałem?

Jego słowa rozbiły się o tysiące załamanych płaszczyzn, po czym nastąpiła chwila ciszy. Następnie z piersi kolosa ponownie dał się słyszeć metaliczny, drżący głos:

- Uważaj, co mówisz, gdyż twój ojciec nie jest zwykłym śmiertelnikiem. Twój ojciec to bóg Amon!

Król opuścił świątynię późną nocą, usłyszawszy odpowiedzi na swoje pytania, ale nie chciał wracać do obozowego namiotu. Przemierzywszy palmowe gaje, znalazł się na skraju pustyni, pod bezkresnym niebem, usianym gwiazdami. Nagle usłyszał czyjeś kroki, a po chwili stanął przed nim Eumenes.

- Nie mam ochoty na rozmowę. - Eumenes nie drgnął. - Jeśli jednak pragniesz powiedzieć mi coś ważnego, wysłucham cię.

- Mam dla ciebie niedobłą wiadomość. Czekałem na odpowiedni moment, żeby ci o tym powiedzieć...

- Sądysz, że to jest odpowiedni moment?

- Być może. W każdym razie nie mogę tego dłużej ukrywać. Aleksander, król Epiru, poległ w walce z barbarzyńcami, którzy mieli przewagę liczebną.

Król ze smutkiem skinął głową, a kiedy Eumenes oddalał się, spojrzał ponownie na bezkresne niebo i pustynię i cicho zapłakał.



KONIEC TOMU DRUGIEGO

Księgozbiór DiGG



2009